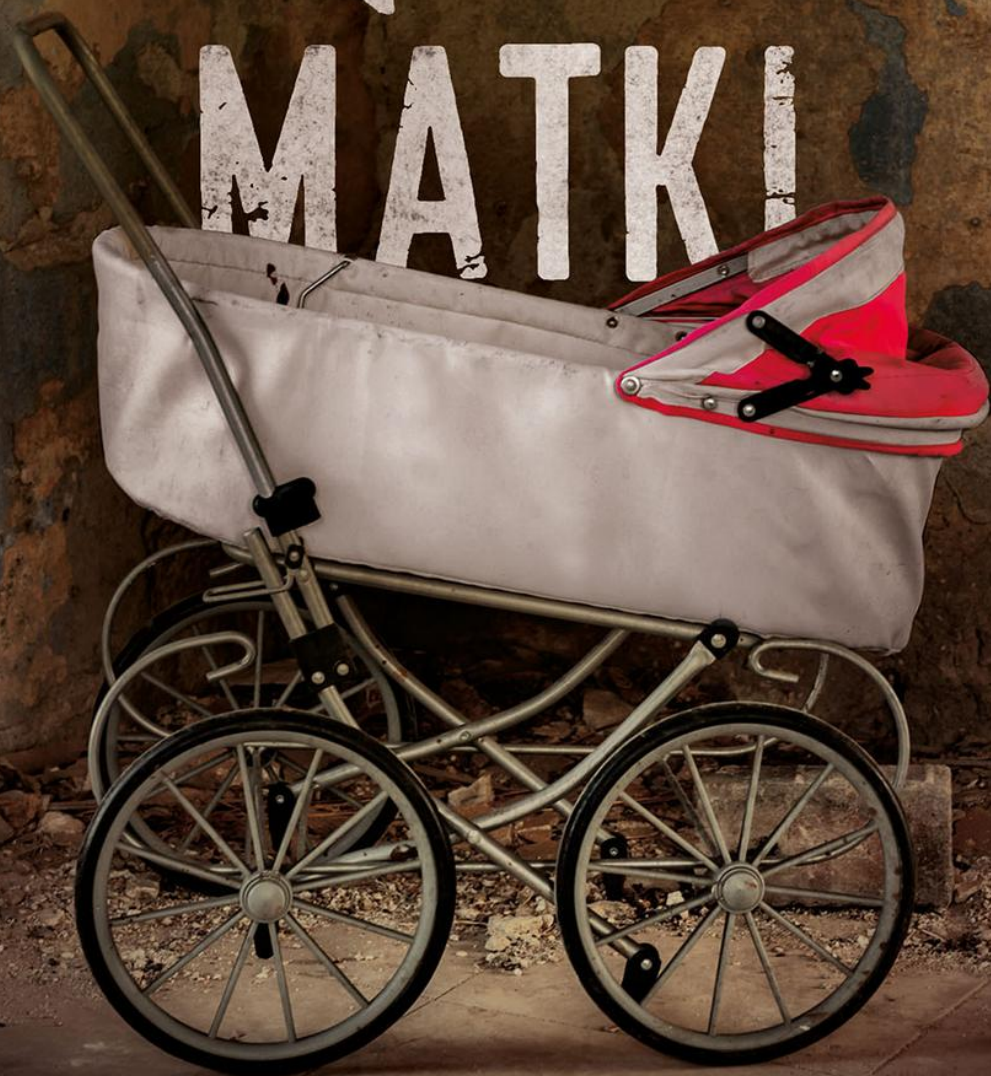


ŚMIERĆ ŚLĄSKIEJ MATKI



h
HARDE

ROBERT OSTASZEWSKI

ŚMIERĆ ŚLĄSKIEJ MATKI

ROBERT OSTASZEWSKI

Spis treści

Prologi

piątek, 7 lutego 2013

Część I. W imię ojca

piątek, 7 lutego 2013

sobota, 8 lutego 2013

niedziela, 9 lutego 2013

poniedziałek, 10 lutego 2013

wtorek, 11 lutego 2013

środa, 12 lutego 2013

Część II. W imię matki

czwartek, 13 lutego 2013

piątek, 14 lutego 2013

sobota, 15 lutego 2013

niedziela, 16 lutego 2013

poniedziałek, 17 lutego 2013

Epilogi

poniedziałek, 17 lutego 2013

sobota, 2 marca 2013

Copyright © by Robert Ostaszewski, 2023

Projekt okładki: Urszula Gireń

Redaktor prowadząca dział fiction: Małgorzata Hlal; mhlal@grupazpr.pl

Redaktor nadzorująca: Anna Sperling

Redakcja: Olga Gorczyca-Popławska

Korekta: Elżbieta Szelest, Beata Wójcik

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Zdjęcie autora: Przemysław Poznański/zupelnieinnaopowiesc.com/Archiwum prywatne

Copyright © for the Polish edition by TIME SA, 2023

ISBN 978-83-67502-69-6

Wydawca: TIME SA, ul. Jubilerska 10, 04-190 Warszawa



Więcej o naszych autorach i książkach:

facebook.com/hardewydawnictwo

instagram.com/hardewydawnictwo

tiktok.com/@harde.wydawnictwo

Dział sprzedaży i kontakt z czytelnikami: harde@grupazpr.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

Prologi

piątek, 7 lutego 2013

Leciwa kobieta szła powoli i złorzeczyła z cicha, czasami mamrocząc pod nosem albo składając słowa pełne złości jedynie w myślach. Nie obawiała się, że ktoś usłyszy, jak mówi do siebie, i weźmie ją za starą wariatkę. Znowu zaczął sypać śnieg, niezbyt gęsty, ale mokry. Duże płatki rozpuszczały się na jej twarzy. Naciągnęła głębiej na czoło wełnianą czapkę w kolorze „pieprz i sól”, dopięła guzik szarego płaszcza. Ludzie kulili się, pochylali głowy i szybko przemykali do samochodów. Właśnie – samochodów.

Zatrzymała się i postawiła reklamówki na chodniku, mając gdzieś, że się zamoczą i później będzie z nich kapało. W wyobraźni już widziała kałużę brudnej wody w przedpokoju, ale uznała, że będzie się tym martwić później. Ściągnęła rękawiczkę i przetrła mokrą twarz. Z centrum handlowego do domu przy ulicy Ciemały nie miała daleko, wystarczyło przejść kładką nad średnicówką, pójść kilkadziesiąt metrów chodnikiem obok kępy drzew, przeciąć Gliwicką – i była na miejscu. Jednak ciężkie zakupy i kiepska aura sprawiały, że z każdym krokiem narastały w niej furia i żal do całego świata w ogóle, a do jej bliskich w szczególności.

Jeść to każdy chce, jak najbardziej, ale pomóc matce, podwieźć z zakupami to już nie łaska, obracała w myślach gorzkie słowa. Jej ślubny zaś się gdzieś stracił i nie odbierał telefonu, ale na niego nigdy specjalnie nie liczyła, był, jaki był, bez szans na zmianę. Nie wychowała go sobie, więc ma za swoje. Dawno na dziada machnęła ręką. Pewnie znowu siedzi na tej durnej laubie. Ciekawe, co on tam w ogóle robi? A młodsza córka musiała zostać w domu z Roksanką. Na myśl o trzyletniej wnuczce kobiecie zrobiło się ciepłej na sercu. Jej słoneczko! Chwyciła torby i ruszyła w stronę kładki. Miała dla wnusi kinder niespodziankę.

Idąc nad średnicówką, poklęła jeszcze na pierońskich gizardów, którym jak zwykle nie chciało się posypać chodników piaskiem. Jak nic, można było sobie złamać giczałę. Zeszła na dół, pokonała krótki odcinek prowadzący w stronę

ulicy Gliwickiej, stanęła przed torowiskiem i poprawiła opadającą na oczy czapkę. Tramwaj nie jechał, pod wiatą pobliskiego przystanku chowała się grupka ludzi. Podeszła kilkanaście kroków do ulicy. Przepuściła dwa samochody. Było pusto, tylko z podjazdu do domu, znajdującego się kilkaset metrów od przejścia, skręcało w jej stronę auto. Zdązę jak nic, myślała, zaraz będę na miejscu. Dotarła na środek jezdni, kiedy usłyszała ryk silnika i przenikliwy pisk opon. Spojrzała w lewo i zamarła. Wbiła wzrok w snopy reflektorów, które znalazły się uderzająco blisko. Zbyt blisko. Nie mogła się ruszyć, niczym sarna wpatrzona w światła auta zbliżającego się na śródleśnej drodze.

*

Komisarz Adam Tyszka walczył z sennością, jak tylko mógł, w desperacji sięgnął po kolorowe gazety leżące na stoliku stojącym obok wysłużonego fotela. Historie celebrytów, których nazwiska ani twarze zupełnie z niczym mu się nie kojarzyły, tylko go zirytowały. Sranie w banię, kogo obchodzi, że się schodzą albo rozchodzą. Ewentualnie żenią. Właśnie, żeniaczka... Wstał i podszedł do witryny zakładu krawieckiego. Spojrzał przez szybę na myśłowicki rynek. Znowu padało. Nieliczni przechodnie szybko przemykali przez duży plac, ślizgając się na brei, w którą zamieniał się mokry śnieg. Wbił wzrok w figurę Jana Chrzciciela wieńczącą fontannę. Święty zdawał się wypinać w jego stronę ośnieżony tyłek.

– A do rzyci – wymamrotał Adam pod nosem.

Tkwił u krawca już ponad godzinę, czekając na ojca, który miał pierwszą przymiarkę ancugu. Ślubnego. Że też ojcu zebrało się na stare lata na żeniączkę! Adamowi wydawało się, że jeśli nawet wciąż nie pogodził się z decyzją starzika, to przynajmniej trochę oswoił. Nawet z tym, że pani Basia będzie jego macochą. Właściwie jak miał się do niej zwracać po ślubie? Pani Basiu, jak wcześniej? Barbaro? Mamo? Matkę przecież miał tylko jedną... Wciąż targały nim sprzeczne emocje. Dostrzegał, że związek z panią Basią dobrze robi ojcu, sprawił, że starzik odżył, nabrał chęci do życia. Z drugiej strony perspektywa rychłego ślubu rodzica wciąż wzbudzała w nim irytację, wewnętrzny sprzeciw.

Uroczystość wyznaczono na początek marca, bo pani Basia, kierując się prastarym zabobonem, uznała, że zaślubiny mogą się odbyć tylko w miesiącu, który w nazwie ma literę „r”, co ponoć stanowi dobrą wróżbę na przyszłość. A właściwie dlaczego nie w lutym, Adam szybciej miałby to z głowy. Może jednak wkurzały go głównie rozwleczone przygotowania do ślubu i wesela, w które wciągała go pani Basia, konsultując z nim a to wygląd zaproszeń ślubnych, a to weselne menu. Jakby miał o tym jakiegokolwiek pojęcie, to raz.

Dwa, uważał, że tego rodzaju szczegóły są zupełnie bez znaczenia. Myślał, że ludzie przejmują się takimi pierdołami tylko przy pierwszym ślubie. A tu proszę. Widać z wiekiem nie mądrzeją, a przynajmniej nie wszyscy.

Teraz znowu klapnął na fotel i powoli wypuścił powietrze. Uważał się za człowieka cierpliwego, ale – do cholery – są jakieś granice.

– Panie Heniu, długo jeszcze? – zwrócił się do mistrza igły i nici.

– Nie ugo – wymamrotał krawiec z ustami pełnymi szpilek.

Pan Henio był stary jak świat, a na pewno starszy od ojca Adama, i prowadził zakład krawiecki w tym samym miejscu, w kamienicy przy rynku w Mysłowicach, od kiedy tylko Tyszka sięgał pamięcią. Właśnie pan Henio uszył mu garniturek na pierwszą komunię. Adam zaczął obliczać, kiedy to było, ale szybko się pomylił. W chwili, kiedy pojawił się temat garnituru ślubnego dla staruszka, zaproponował, żeby kupili gotowy. W końcu w marketach można było dostać naprawdę porządne garnitury, w każdym rozmiarze i za rozsądne pieniądze. Jednak ojciec uparł się, że nie, nie ma mowy, jeśli ma sobie zafundować ostatni ancug w życiu, niech będzie taki, jak trzeba, obstalowany. Bo taki ze ślubu to i do trumny się nada. I powiedział, że pan Henio go uszyje. Adam najpierw zdziwił się, że pan Henio jeszcze żyje, a potem zdumiał jeszcze bardziej, że jest w stanie w miarę pewnie utrzymać w palcach igłę czy nożyce. Ojciec odparł, że Basieńka wszystko posprawdzała i nawet już umówiła ich z krawcem. No jasne, Basieńka...

Jak Adam sam się przekonał, pan Henio może nie był w szczytowej formie, na pewno nie pracował szybko, ale dawał radę, o czym świadczył fakt, że dotarli do etapu przymiarki, a marynarka, z tego, co mógł ocenić, leżała na ojcu całkiem dobrze.

Rozdzwonił się jego telefon. Adam wyjął aparat i spojrzał na wyświetlacz: Krystyna. Nawet się ucieszył.

– Cześć pracy, Krzysiek, co tam?

– Czołem, potrzebny jesteś – powiedział bez zbędnych wstępów aspirant Krzysztof Mateja, którego Adam przezywał Krystyną za względu na słabość kolegi do kunsztownych fryzur na żel podobnych do tych, które nosił Cristiano Ronaldo.

– A co się urodziło?

– Mamy starszą kobietę potrąconą na pasach. Śmiertelnie.

– I co nam teraz do tego? – Tyszka się zdziwił. – To raczej robota dla gierojów z drogówki.

– To bardziej skomplikowane. Sam zobaczysz.

Adam w duchu cieszył się, że niedługo opuści zakład krawiecki i weźmie się do roboty, ale postanowił urządzić teatrzyk na potrzeby ojca. Żeby nie wyjść na

niesłownego syna, który nie jest w stanie poświęcić starzikowi wieczoru, mimo iż obiecał, że zawiezie go do krawca i odwiezie, choćby się waliło i paliło.

– Ale ja mam już dzisiaj wolne. Poza tym ojcem się zajmuję. Mundek albo Renata ci nie wystarczą?

– Polański to wiesz... – Adam wiedział. Ich szef, nadkomisarz Edmund Polański, robił wszystko, żeby weekendy poświęcać wyłącznie rodzinie. Zazwyczaj w piątek zaraz po wyjściu z pracy wyłączał komórkę. Tyszka pamiętał, że również przy okazji ostatniej dużej sprawy, którą prowadzili, a która zaczęła się od młodego mężczyzny z łbem odstrzelonym podczas rekonstrukcji historycznej obrony wieży spadochronowej w Katowicach, Mundek zjawił się na miejscu zbrodni ostatni. – Abonent niedostępny, a nie mam czasu do niego podjechać.

– A Petarda?

– Adam, wiesz, że Renata nie lubi, gdy ją tak nazywasz.

Tyszka wiedział, ale zwyczajnie lubił brzmienie dawnego pseudonimu podkomisarz Renaty Łukowskiej.

– Lubi, nie lubi, co z nią?

– Nie mam pojęcia. Nie odbiera.

Adam miał ochotę drążyć temat, ale ugryzł się w język. Tajemnicą poliszynela było, że Krzysiek jest w związku z Renatą. Takim z rodzaju trudnych i skomplikowanych. Poza tym z jego obserwacji wynikało, że to raczej Matei bardziej zależy na Łukowskiej niż odwrotnie. Renata bez wątplenia nie należała do kobiet bezproblemowych. Wszyscy zdawali sobie z tego sprawę – również Krzysiek. Jego wybór, jego problem.

– Dobra, działaj na razie sam. Za pół godziny będę. Tylko wyślij mi esemesem adres.

Schował telefon do kieszeni i podniósł się z fotela. Zwrócił się w stronę staruszka i zamarł na chwilę, gdy dostrzegł jego ponury wzrok. Zaczął niepewnie:

– Łojciec...

Wydawało mu się, że starzik chce coś powiedzieć, ten jednak milczał.

– Robota mi wypadła, muszę jechać.

– Taaa, jak zwykle obcy trup jest dla ciebie ważniejszy ode mnie.

– A skąd wiesz, że o trupa idzie? – spytał odruchowo.

– Może stary jestem, ale pamiętam jeszcze, gdzie pracujesz i co tam robisz.

– Wiesz, taka służba – rzucił Adam, do końca nie wiedząc, czy chce przekonać ojca, czy samego siebie.

Rodzic westchnął ciężko i machnął ręką nadspodziewanie energicznie.

– Panie Zenonie, szew puści... – zajączał krawiec.

– Co mi tam szew, jak jedyny syn ma mnie w rzyci – ojciec mówił cichym, na pozór spokojnym głosem.

Brzmiała w nim rezygnacja, która zawsze boleśnie dotykała Adama, z czego starzik doskonale zdawał sobie sprawę.

Tyszka westchnął ciężko.

– Jak chcesz, poczekam, aż pan Henio skończy, i odwiozę cię do domu.

– A jedź w cholere, jak cię służba wzywa. Zadzwońię po Romusia, na pewno po mnie przyjedzie.

Romuś... Starszy syn pani Basi, posiadacz samochodu i nieograniczonej, jak się zdawało Adamowi, ilości wolnego czasu. Zawsze skory do pomocy innym. Także ojcu Adama. Staruszek wiedział, że wzmianka o Romusiu zabolí syna. I zabolą.

Część I. W imię ojca

piątek, 7 lutego 2013

Podkomisarz Renata Łukowska wszystkiego miała dosyć. Śląska, na którym – wszystko na to wskazywało – utknęła na dobre. Zgniłej jesienno-zimowej pogody, wszechobecnej lepkiej szarości, która od ponad tygodnia spowijała cały region. Miała też dosyć samej siebie.

Po wyjściu z komendy wsiadła do czarnego audi TT i ruszyła przed siebie. Po prostu. Nie chciało jej się wracać do wynajmowanej w Gliwicach kawalerki, nie miała żadnego planu na wieczór. Kręciła się po Śląsku, przejeżdżała z jednego miasta do drugiego, skręcając gdzie popadnie. Jej koledzy, o których wciąż myślała, że są nowymi kolegami i nigdy nie staną się starymi, dobrymi kumplami, twierdzili, że każde tutejsze miasto czy miasteczko jest inne, w swoisty sposób wyjątkowe. Gównu prawda! Dla niej był to jeden miejski moloch pozbawiony wyraźnych granic, ponury i brzydki jak styрани menel. W końcu wbiła się w wąską uliczkę, przy której stały dwupiętrowe familoki, ku jej zdziwieniu nawet zadbane, co – jak już się nieraz przekonała – wcale nie było regułą. Odbiła w prawo i zaparkowała niedbale na chodniku. Nie wiedziała, gdzie jest, mętnie kojarzyła, że ostatnio widziała tablicę z napisem Ruda Śląska. Nawet ją to rozbawiło. Ona też była ruda, choć ani trochę nie czuła się śląska.

Włączyła nawigację i czekała, aż mapa się załaduje. Gorzkie myśli wciąż tłukły się jej pod czaszką. Jeszcze do niedawna miała nadzieję, że jej zesłanie do Katowic nie potrwa długo i szybko wróci do Warszawy – jej miejsca na ziemi. A tkwiła na Śląsku już ponad pół roku i nic nie wskazywało, by jakiegokolwiek przeniesienie choćby majaczyło na horyzoncie. Co więcej, za ostatnią sporą sprawę dwóch zabójstw mężczyzn ze Świętochłowic dostała pochwałę z wpisaniem do akt, mimo że zdarzało jej się podczas śledztwa przeginać, łamać regulamin. Było się tak starać?! Nawet Polański, jej bezpośredni przełożony, mówił potem, że cieszy się, że ma ją w zespole, choć na początku traktował ją z dużym dystansem. Może jednak lepszą strategią było olewanie roboty? Tyle że

i tak była na cenzurowanym, więc kolejna wtopa mogła się skończyć zesłaniem na jeszcze gorsze, totalne zadupie, czego nie chciała. I tak źle, i tak niedobrze.

Z bezsilnej złości walnęła otwartymi dłońmi w kierownicę. Spokojnie, tylko spokojnie, skarciła się w myślach. Bo właściwie co aż tak złego się działo? Nic. I chyba to „nic” najbardziej jej dokuczało. Gdy spojrzała na mapę, okazało się, że naprawdę jest w Rudzie. Postanowiła, że do Gliwic pojedzie przez Świętochłowice – Świony, jak mówili lokalsi – żeby spojrzeć na miejsca, w których kilka miesięcy temu bywała bardzo często.

Zbliżając się do Gliwic, gorączkowo kombinowała, co zrobić z tak kiepsko zaczętym wieczorem, który nie zapowiadał żadnych atrakcji. Nie chciała wracać do zimnego mieszkania w kamienicy. W pokoju – jedynym – miała piękny, ale stary piec kaflowy z wkładem elektrycznym. Płaciła za prąd jak za zboże, a i tak nie mogła dogrzać wysokiego pomieszczenia. Mogła pójść do knajpy, by powoli saczyć mocne drinki, coś z rumem na przykład. Tak, ten alkohol doskonale pasował do pogody i jej nastroju. Uznała jednak, że bywa za częstym gościem w gliwickich lokalach, poza tym zwyczajnie nie miała ochoty na procenty. Wjechała do Gliwic i kątem oka zobaczyła znak wskazujący drogę do palmiarni. Czemu nie...

Budynek palmiarni miejskiej, znajdującej się na terenie parku Chopina, kojarzył się Renacie z kiepsko zaprojektowaną fabryką. Dużo stali i szkła, doskonała sceneria do postapokaliptycznego filmu, w którym niedobitki ludzkości walczą o żarcie, tlen czy cokolwiek innego, co pozwoli im przedłużyć nędzny żywot. W środku palmiarnia była jednak bardzo przyjemna, bo – niespodzianka! – były w niej palmy. Renata lubiła te rośliny, choć nie wiedziała dlaczego, przecież nigdy nie kręciło jej hodowanie kwiatów ani nie tęskniła za egzotycznymi wypadami i byczeniem się w cieniu palmowych liści. Po prostu lubiła palmy, i tyle. W Gliwicach wystawiano donice z nimi na trawniki i skwery, co sprawiało, że czuła się w tym mieście lepiej. Nieco i jedynie przez chwilę.

Na piętrze palmiarni była niczego sobie kawiarnia, w której zwykle przesiadywali emeryci, matki z drobnym przychówkiem albo turyści. Renata zastanawiała się, czy lokal jest jeszcze otwarty, na szczęście był. Przez chwilę pomedytowała przed oszkloną ladą, w końcu zdecydowała się na czarną kawę i szarlotkę na ciepło z bitą śmietaną i gałką lodów. Może i była twardą policyjną suczą, ale od czasu do czasu lubiła zjeść słodkie jak zwykła laska.

W kawiarni było tylko kilka osób i lekko znudzona kelnerka oraz barmanka w jednym, najpewniej dorabiająca sobie studentka miejscowej politechniki. Łukowska wybrała mały stolik w kącie, tuż przy przeszklonej ścianie. Za szybą niemrawo sypał śnieg, rozmazując szarość wieczoru. Kawa była mocna, a ktoś,

kto robił szarlotkę, nie pożałował jabłek, godnie doprawionych cynamonem. Renata skupiła się na smaku i zapachu, starała się nie myśleć. O niczym.

Dźwięk przychodzącego esemesa wyrwał ją z letargu. Znowu Mateja? Wcześniej dzwonił do niej ze trzy razy, ale go olała. Odblokowała aparat i wyświetliła wiadomość. *Zajebie cie policyjna suko*. Odruchowo odsunęła aparat od siebie. Dostawała podobne groźby już od kilku dni: *Znalazłem cie, nie żyjesz!!!*. Ktoś ewidentnie się rozkręcał. Wiadomości wysłano z tego samego numeru, który z nikim i niczym jej się nie kojarzył. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zadzwonić i nie rozmówić się z gnojem, jednak uznała, że jest za wcześnie na nerwowe ruchy. Prawdę powiedziawszy, nie przejęła się zbyt, bo już nie raz, nie dwa spotkała się z agresją. Nie tylko słowną. Choć intrygowało ją, kto nagle zapałał do niej tak szczerą i głęboką nienawiścią. Nie sądziła, żeby przez kilka miesięcy pobytu na Śląsku dopiekła komuś aż tak mocno, by chciał się na niej mścić albo chociaż trochę ją postraszyć, bo, jak dla niej, wyglądało to na groźby bez pokrycia. Najpewniej chodziło o jakąś sprawę z przeszłości, mniej lub bardziej odległej. Wprawdzie wydawało jej się, że wszystkie ponure historie sprzed lat pozamykała definitywnie i jak należy, ale przecież spotkała na swojej drodze wielu frustratów, przez dekady pielęgnujących pamięć rzeczywistych bądź wydumanych krzywd. Prawdopodobnie któryś z zapuszkowanych przez nią zbójów wyszedł z za krat. Ale skąd, do kurwy wynędzniałej, wytrzasnął jej numer?

Dokończyła ciastko, dopiła kawę. Pomimo irytującego esemesa było jej przyjemnie, wręcz błogo. Najchętniej zostałaaby w przytulnej kawiarni, gapiąc się bezmyślnie na padający śnieg, ale chciało jej się palić. Wstała, narzuciła na ramiona brązową skórzaną kurtkę z podpinką. Rozdzwonił się telefon. Czyżby dupek od gróźb chciał się z nią rozmówić? Sięgnęła po aparat.

Kolejny raz Mateja. Tak miała go zapisanego w telefonie. Nie Krzysztof, Krzysiek czy Krzyś. Nawet nie Krystyna, choć bawiła ją ksywka, której on nie cierpiał. Dla niej był Mateją. Wciąż.

Nie odebrała. Po kilkunastu sekundach zadzwonił po raz drugi. Wrzuciła telefon do torby. Postawiła kołnierz kurtki. Pomyślała, że już najwyższy czas, żeby zrobić coś z tym dziwnym romanssem. Nie miała jednak bladego pojęcia, co by to miało być.

*

Pulsujące światła radiowozu, zaparkowanego kilkadziesiąt metrów od przejścia dla pieszych na ulicy Gliwickiej w Katowicach, nadawały padającemu śniegowi nierzeczywisty wygląd. Mateja czuł się tak, jakby znalazł się na planie

psychodelicznego teledysku, w którym na kiepski, monotony podkład muzyczny składają się nerwowe dźwięki klaksonów. Gliwicka była w tym miejscu wąska, poruszające się jednym pasem auta szybko utknęły w korku, niewiele pomógł wyznaczony objazd, tym bardziej że w piątkowy wieczór ruch był tu większy niż zwykle. I jak w psychodelicznym teledysku, pozbawionym spójności i logiki, Krzysiek nie wiedział, co stanie się za chwilę.

Schował komórkę do kieszeni kurtki i chuchnął w zgrabiące dłonie. Dobrze, że chociaż Tyszka raczył odebrać, nie będzie musiał sam pieprzyć się z tym bajzlem. Przeczesał palcami mokre włosy. Nie miał czapki ani kaptura, miał za to wątłą nadzieję, że wystawanie na śniegu nie skończy się dla niego przeziębieniem. Spojrzał w stronę leżącego na ulicy ciała starszej kobiety, odgradzonego od drugiego pasa jezdni niewielkim parawanem. Wciąż jeszcze kręcili się przy nim technicy. Kobieta miała nienaturalnie podkurczone nogi i rozrzucone ręce. Wokół jej głowy pojawiła się krwista aureola. Nieco dalej od niej leżały dwie reklamówki z pobliskiego hipermarketu, z których wysypała się część zawartości: puszka groszku, paczka makaronu, zawinięty w rozmiękły papier kawałek mięsa, marchewka. Kinder niespodzianka, która zatrzymała się w kałuży krwi, wyglądała jak z surrealistycznego obrazu. Pokręcił głową. Że też akurat na weekend musiała wyskoczyć kolejna sprawa.

Wyciągnął z kieszeni dowód osobisty kobiety, który przekazał mu jeden z techników. Zdzisława Krol, lat sześćdziesiąt cztery. *Za długo się nie nażyła kobiecina* – skomentował w myślach. Zameldowana przy ulicy Ciemały 4 w Katowicach. Nie kojarzył tego adresu, poszperał w telefonie i ze zdziwieniem odkrył, że to rzut beretem od miejsca, w którym zginęła. W pierwszym odruchu ruszył w stronę Ciemały, by sprawdzić, czy ktoś jest w domu, i przekazać tragiczną wiadomość. Zatrzymał się jednak po kilku krokach, uznawszy, że poczeka na Tyszkę. Adam zdecydowanie lepiej radził sobie z takimi rozmowami.

Schował się pod wiatą przystanku i kolejny raz zadzwonił do Renaty. Znów nie odebrała. Zaklął cicho. Wystukał krótkiego esemesa z informacją, że jest potrzebna w robocie, i go wysłał. Nie miał pojęcia, w co ona gra, ale coraz mniej mu się to podobało, bo ewidentnie go olewała. Bolało. Czy chodziło jedynie o urażoną męską dumę? Był rozkojarzony, nie wiedział, co robić. Nie tylko z Renatą. Zimny chirurg, Karol Biedrzycki, dawno pojechał, niewiele mówiąc, jak miał w zwyczaju. Stwierdził, że obrażenia Krol wyglądają na typowe dla wypadku komunikacyjnego, a więcej powie po sekcji. Tyle tylko, że jak już zdążył ustalić młodszy aspirant Jacek Rojewski z drogówki, raczej nie był to zwyczajny wypadek spowodowany przez debila, który pomylił miejską ulicę z torem wyścigowym.

Mateja jakby ściągnął myślami Rojewskiego, który przyszedł na przystanek i przypomniał:

– Świadek czeka.

– A tak, faktycznie. Gdzie jest?

Młodszy aspirant zmarszczył brwi i wbił wzrok w Krzyśka.

– Przecież mówiłem ci chyba ze dwa razy. Siedzi u mnie w aucie.

– Jasne, sorry, za dużo mam na głowie. Do tego sam jestem.

Rojewski nie skomentował, machnął ręką w stronę radiowozu i poszedł do kolegów z drogówki, którzy próbowali zapanować nad wciąż powiększającym się korkiem.

Mateja podszedł do policyjnego samochodu. Przez mokrą szybę nie za wiele było widać, majaczyła za nią sylwetka szara jak ostatnie dni. Rzucając krótkie „dobry”, wcisnął się na tylne siedzenie skody.

– Kurde, wreszcie – warknął siedzący tam mężczyzna. – Myślicie, że domu nie mam i chętnie spędzę wieczór w waszym samochodzie?

Aspirant zignorował narzekania mężczyzny i spojrzał na niego. Facet był dobrze po czterdziestce, miał wyraźne zmarszczki, mocno przeredzoną czuprynę zaczesaną na bok i spory brzuch, powiększony optycznie przez puchową kurtkę. Oczywiście szarą.

Mateja przedstawił się i poprosił mężczyznę o dowód.

– Przecież już pokazywałem jednemu z waszych!

– Pokaże pan jeszcze raz – Krzysiek za wszelką cenę starał się zachować spokój.

Mężczyzna podał mu plastik. Cezary Karaś, mieszkaniec Chorzowa. Mateja całkiem dobrze oszacował jego wiek, bo Karaś miał czterdzieści sześć lat.

– Widział pan... – Krzysiek przez chwilę zastanawiał się, jakiego użyć słowa. – Widział pan wypadek, tak?

– A pewnie, nie tylko ja, bo kilka osób stało na przystanku. Wszyscy spieprzyli pierwszym tramwajem, który podjechał, a ja zostałem jak ten głupi. Zachciało mi się spełnić obywatelski obowiązek!

– Panie Karaś, nie ma co się wściekać. Im szybciej przejdziemy do konkretów, tym szybciej pójdzie pan do domu czy gdzie tam się pan wybiera.

Mężczyzna prychnął, ale wstrzymał się z kolejnym komentarzem.

– Zacznijmy jeszcze raz. Dobrze widział pan wypadek?

– Pewnie. Stałem parę metrów od przystanku, bo szluga paliłem. W pierwszej chwili tej babiny z siatami nawet nie zauważyłem. Wie pan, człowiek po robocie zmęczony, niby patrzy, a nie widzi. Dopiero jak usłyszałem pisk opon, odruchowo odwróciłem głowę. Babina stała na samym środku przejścia, jakby ją wbiło w ziemię. A ten pruł na nią, ile fabryka dała.

– Ten? Za kierownicą siedział facet?
– A cholera wie, tak mi się powiedziało! Ciemno, no i śnieg padał. A ten za kółkiem był w czapce, takiej bejsbolówce, tyle widziałem.
– Zauważył pan, co to był za samochód?
– To akurat tak. Stary golf „czwórka”, trzydrzwiowy.
– Można powiedzieć: klasyk.
– Do tego styrały. Miał wymieniony prawy przedni błotnik. Niepolakierowany.

– Jakiego był koloru?
– Taki bardziej ciemny. Czarny albo granatowy.
– To w końcu jaki?
– No raczej czarny.

Mateja wyjął z plecaka tablet, z którym prawie się nie rozstawał, uruchomił i zapisał podane przez Karasia informacje.

– Dobra, co było dalej?
– Pomyślałem w pierwszej chwili, że to jakiś kolejny fiut, który ma za ciężką nogę i lubi ruszyć z piskiem. Ale on wcale nie zwalniał, chyba nawet przyspieszył przed tym przejściem. I pierdolnął babinę... Aż ją w górę wywaliło z tymi siatami. Kurwa, ciągle mam to przed oczami. Mogę zapalić?

Krzysiek tylko pokręcił głową.

– Zatrzymał się potem?
– Tak, zahamował, aż go zarzuciło. Chciałem nawet podbiec do babiny, ale jakoś tak mi siły zeszyły... – Karaś opuścił głowę i oddychał coraz szybciej.

– Spokojnie – Mateja poklepał go po ramieniu.

Mężczyzna przejechał dłonią po twarzy.

– I wtedy skurczybyk zaczął cofać. Też z piskiem.

– W stronę przejścia? – upewnił się Krzysiek.

– Tak, to wyglądało, jakby chciał ją przejechać. Jeszcze raz.

– Wjechał na tę kobietę?

– No nie wiem, nie jestem pewny. Ja przynajmniej nie widziałem. Zrobiło się zamieszanie, ludzie zaczęli krzyczeć. Ktoś wybiegł z przystanku i poleciał w stronę przejścia. Odwróciłem głowę. A jak znowu popatrzyłem w tamtą stronę, golf już spierniczał na Chorzów.

– Patrzył pan na blachy? Może zapamiętał pan numery albo chociaż ich część?

– Nie bardzo. Chyba miał ślaskie, ale głowy za to nie dam.

– O której mniej więcej doszło do wypadku, pan wie?

– A no pewnie. Czekałem na tramwaj o siedemnastej czterdzieści cztery. To się stało parę minut wcześniej, bo ten tramwaj, jak mówiłem, niedługo

przyjechał. Może jakieś pięć minut wcześniej, nie więcej.

Mateja był zdziwiony i zadowolony, bo świadkowie rzadko podawali aż tak dokładny czas zdarzenia.

– Coś jeszcze się panu przypomina z wypadku albo z tego, co działo się potem?

– Nie no, chyba wszystko powiedziałem. Ktoś musiał zadzwonić na alarmowy, bo mnie to jakoś do głowy nie przyszło w tym całym szoku. Najpierw przyjechała karetka, potem wasi. Wszyscy z przystanku spylili, ja zostałem.

– Wiem, wiem...

– Przepytali mnie, usadzili tu. I tak siedzę.

– Już pan dłużej nie musi.

*

– Adam, miałeś dojechać w pół godziny – rzucił Mateja na widok Tyszki zamiast powitania.

– A tam, jak nie urok, to sraczka! – Komisarz tylko machnął ręką. – Najpierw auta nie mogłem odpalić, potem wbiłem się w Kato w korek przed tunelem. Jak to przy piątku.

– Powinieneś już oddać na szrot tego swojego rzęcha.

– Stary, nie każdy ma dzianych rodzicieli jak ty. A ja mam jeszcze na głowie ślub łożca. Wiesz, ile te pierdoły kosztują? Mówię ci, rozbój w biały dzień. Nowy wóz nie jest moim priorytetem na ten rok, pewnie też nie na kolejny.

Mateja tylko prychnął, nie chciał się wdawać w dyskusje z Adamem, który od dłuższego czasu chodził mocno podminowany. Na pewno też nie zamierzał tłumaczyć, jakie relacje łączą go ze starymi. Nie brał od nich kasy, choć chcieli dawać. No dobrze, czasami matka coś mu zostawiała, a on dla świętego spokoju nie odmawiał, kiedy zamęczała go matczyną dobrocią.

Pokrótkie opowiedział Adamowi, co do tej pory ustalił w kwestii podejrzanego wypadku.

– I nie było śladów hamowania? – upewnił się Tyszka.

– Przed przejściem najmniejszych. Po zdarzeniu zostało na miejscu jedynie ciało tej kobiety i jakieś drobiazgi, które odpadły od auta podczas zderzenia, głównie z rozbitego reflektora.

– Ale ten cały świadek...

– Karaś.

– Może być i płotka – Adam machnął ręką. – Mówił, że koleś drugi raz na nią najechał, tak?

– Do końca nie wiemy. Ani czy prowadził facet, ani czy faktycznie najechał. Nie widział tego.

– A co powiedział Biedrzycki po obejrzeniu ciała?

– Się pytasz!? – zachnął się Mateja.

– Więcej po sekcji – wycedził Adam, naśladowując flegmatyczny sposób mówienia lekarza ostatniego kontaktu.

– Jakbyś przy tym był.

– W przypadku takiego wypadku – Adam kulawo zrymował – nie jestem pewien, czy Biedrzycki znajdzie coś ciekawego dla nas. Pewnie tylko masę połamanych gnatów.

Tyszka popatrzył w stronę przejścia dla pieszych. Zwłoki kobiety już zostały zabrane do prosektorium. Technicy i koledzy z drogówki odjechali. Samochody jeździły po obu pasach ruchu.

– Pogadałbym z tym Karasiem – powiedział komisarz.

– Puściłem go. I tak się chłop naczekał. Ale kazałem mu przyjść jutro do fabryki, żeby podpisał zeznania. Będziesz miał okazję.

– Dobra – Adam zsunął wełnianą czapkę i poczochnął się po krótko ostrzyżonych włosach. – Chodźmy do chałupy tej Krol. Miejmy smutną gadkę za sobą.

Zanim ruszyli w stronę ulicy Ciemały, zobaczyli granatową skodę, która zahamowała z piskiem przed przejściem i wjechała na wąski pas trawnika, oddzielający ulicę od torowiska.

– A ten co odwala? – Mateja wbił wzrok w samochód.

– Krystyna, nie jesteśmy z drogówki.

– Nie mów do mnie Krystyna – warknął Krzysiek. – Ja bym go sprawdził, bo niby po co on tutaj stanął. Chodź.

Jednak nie musieli ruszać się z miejsca. Z auta wyskoczył wysoki chudy blondyn ze skórzaną aktówką pod pachą. Rozejrzał się wokoło, wyciągnął telefon i zadzwonił. Odezwała się komórka Matei. Spojrzał na wyświetlacz – numer nieznany.

Mężczyzna podszedł do policjantów.

– Panowie z komendy? – spytał zdyszczanym głosem.

– A kto pyta? – rzucił Tyszka.

– Prokurator Sebastian Krok.

Adam i Krzysiek spojrzeli po sobie. Zupełnie nie kojarzyli tego prawnika.

– A jakąś legitymację pan ma? – spytał Adam.

Krok nerwowo przeszukiwał kieszenie płaszczka, przytrzymywana ramieniem aktówka piasnęła o chodnik, zaklął, podniósł teczkę i otrząsnął z błota, w końcu

odnalazł legitymację w tylnej kieszeni spodni. Tyszka spojrzął na nią i pokiwał głową. Przedstawił siebie i Mateję.

– Mam nadzorować sprawę, bo jak się dowiedziałem, jest podobno poważniejsza, niż się na pierwszy rzut oka wydaje – obrócił się wokół własnej osi i rozejrzał. – Gdzie doszło do zdarzenia?

– Trochę się pan prokurator spóźnił – powiedział komisarz słodkim głosem.

– No tak, hm – prawnik się zmieszał. – Straszny dzisiaj mam zapieprz, jakaś kurde kumulacja spraw jak w totku. Co tu się właściwie stało?

Tyszka kiwnął głową w stronę Matei, żeby ten oświecił proroka, ale nim Krzysiek otworzył usta, rozdzwonił się telefon Kroka. Prawnik zrobił przeproszający gest, odebrał i odszedł na stronę. Po minucie wrócił.

– Panowie, przyślijcie mi jutro rano raport. Teraz muszę spadać, prokurator Mrozowska mnie wzywa. Ma mi jeszcze dzisiaj przekazać dokumenty.

– No, szanownej prokurator Mrozowskiej się nie odmawia – skomentował Adam z udawaną powagą. – A co właściwie jest z panią prokurator?

Krok pewnie nawet nie usłyszał pytania, bo już truchtał do samochodu. Patrzyli, jak z trudem, na trzy razy, wykręca na wąskiej ulicy, przez chwilę blokując przejazd. Znowu wściekle zabrzmiały klaksony.

– Co to niby było? – Mateja z trudem powstrzymywał śmiech.

– Jak to? Wygląda, że nasz nowy prokurator.

– Jakiś popaprany.

– Nie bardziej niż Mrozowska, synek, na pewno nie bardziej.

*

Śnieg przestał sypać, choć ciężkie chmury, nisko wiszące nad Katowicami, nie zapowiadały definitywnego końca opadów. Mateja i Tyszka przeszli przez ulicę Gliwicką, a po kilkudziesięciu metrach skręcili w prawo w Ciemały. Ulica była krótka, stało przy niej ledwie kilka parterowych bliźniaków, otoczonych chaotycznie stawianymi garażami i przybudówkami. Pod spadzistymi dachami miały użytkowe poddasza. U wylotu majaczył wysoki nasyp kolejowy i kilka drzew ogołoconych z liści, wyglądających jak z taniego horroru. Krzysiek rozglądał się dookoła.

– Te domy trochę podobne do tych w Gisz, nie? Tylko bardziej poprzerabiane.

– To osiedle Mościckiego, chyba międzywojenne, więc raczej późniejsze, ale dokładnie nie wiem. Nie miałem tu znajomków i chyba nie trafiła się żadna sprawa w tej okolicy. Przynajmniej nie pamiętam.

Stanęli przed posesją na rogu ulic Ciemały i Grzędziela. Budynek i jego okolice były zadbane, a kremowy tynk na domu w miarę nowy, bo nie zdążył się pokryć plamami brudu i sadzy. Furtka przy bramie była otwarta, przeszli do drzwi chodnikiem wyłożonym płaskimi kamieniami.

– Miejmy to już za sobą – powiedział Adam pod nosem i zapukał.

Otworzyła im młodo wyglądająca kobieta ubrana w pstrokate legginsy i powyciąganą bluzę dresową. Za nią pojawiła się dziewczynka z dwoma cienkimi warkoczykami śmiesznie sterczącymi na boki. Objęła udo kobiety rączkami i wychylając się zza matki, popatrywała na przybyłych. Bez strachu, raczej z ciekawością. Tyszka przedstawił siebie i Mateję, pokazał blachę i spytał dla jasności:

– Czy tutaj mieszka Zdzisława Krol?

– Tak, ale o co właściwie się rozchodzi?

– Porozmawiajmy w środku, dobrze?

Kobieta pokręciła głową, jednak ruszyła w głąb mieszkania, dając znak dłonią, by poszli za nią. Adam rozglądał się po domu, był wysprzątany na błysk, pachniał pastą do parkietów. Kurde, trochę jak w muzeum, pomyślał komisarz. Za to spory salon był krainą dziecięcego chaosu, wszędzie walały się zabawki – na środku puchatego dywanu leżały klocki, na fotelach i narożnej kanapie siedziały pluszaki, pod szafką z telewizorem leżał wózek z lalką przewieszoną przez jego brzeg, jakby była ofiarą wypadku. Dla Adama stało się jasne, kto jest najważniejszą osobą w tym domu.

Kobieta pozgarniała z foteli misia, zajaca i świnkę i wskazała miejsca policjantom. Sama usiadła na kanapie. Dziewczynka szybko straciła zainteresowanie gośćmi i klapnęła na dywan, żeby bawić się klockami.

– Dlaczego pytają panowie o mamę?

Tyszka chrząknął, zerknął na Mateję, który gapił się w bok. Nie było rady, sam musiał poprowadzić rozmowę, zresztą jak zwykle. Wiedział, że w takich sprawach nie ma co liczyć na Krzyśka. Nie miał do niego o to żalu. Niektórzy, mimo lat służby, zwyczajnie nie radzili sobie z rozpaczą ludzi dowiadujących się o śmierci bliskich. Też nie cierpiał roli posłańca tragicznych wieści, ale jakoś sobie z takimi sytuacjami radził. Raz lepiej, raz gorzej. Taka robota albo służba, jak dzisiaj powiedział łojcu.

– A pani to...?

– Córka. Anna Zawojska.

– Pani Anno... – Adam przełknął ślinę. – Bardzo nam przykro, pani matka zginęła w wypadku.

– Co pan mówi?! Jak to zginęła? To pomyłka. Mama jest na zakupach, zaraz powinna wrócić.

– Niestety, proszę przyjąć kondolencje.

– Nie!!!

Zawojska łkała bezgłośnie, po jej policzkach płynęły łzy. Adam nienawidził takich sytuacji, nigdy do końca nie wiedział, jak się zachować, i nigdy nie uodpornił się na łzy. Zwłaszcza kobiece. Robił jednak, co musiał. Dziewczynka, przestraszona krzykiem, podbiegła do matki, pogładziła ją po włosach i powiedziała:

– Nie płakaj, mama, nie płakaj. Grzeczna jestem.

Anna posadziła córkę na kolanach i mocno objęła.

– Ała, mama, boli – jęknęła dziewczynka i zanosła się łkaniem.

Płakały obie, matka wciąż nie wydając z siebie dźwięku, córka coraz głośniejsze.

– Pani Anno, spokojnie. Niech pani puści córkę.

Popatrzyła na Tyszkę, nie był jednak pewien, czy go widziała. Wciąż przyciskała dziecko do siebie.

– Jak? – wycharczała.

– Mówiłem już – Adam starał się mówić spokojnie, kojąco. – To był wypadek – na razie nie zamierzał zdradzać szczegółów kobiecie, która ewidentnie była w szoku.

– Nie, nie, nie!!!

Zawojska wyła, jej córka zawodziła. A komisarz nie miał pojęcia, co zrobić. Podszedł do niej i powiedział:

– Proszę mi dać dziecko.

– Zostaw. Zostawcie mnie!

W uspokajającym geście rozłożył otwarte dłonie.

– Jest ktoś jeszcze w domu? Mąż?

– Nie ma, kurwa, żadnego męża.

– Naprawdę, proszę się uspokoić.

– Ale jak ja... Nie, nie, nie!

– A pani ojciec?

– Na laubie jest.

Nagle Zawojska przestała płakać. A przynajmniej tak się Tyszce wydawało. Nie wiedział, czy to dobry znak, czy zapowiedź jeszcze głębszego załamania, które sprawi, że kobieta zupełnie się rozsypie. Razem z córką zaczęła się powoli kiwać w przód i w tył. Kołysanie trochę uspokoiło dziewczynkę, która mimo to wciąż pochlipywała.

– Spytałem jeszcze raz, bo chcę, żeby ktoś teraz z panią był – Tyszka mówił spokojnie i wolno. – Gdzie jest pani ojciec?

– Mówiłam – wyszeptwała na granicy słyszalności.

Wstała, usadziła córkę na biodrze i podeszła do komody, na której leżała komórka. Postukała w aparat i bez słowa podała go komisarzowi. Na wyświetlaczu widniały słowo „Stary” i informacja o nawiązanym połączeniu.

*

Pod kwartał ogródków działkowych, które leżały w Załężu pomiędzy średnicówką a ulicami Wiśniową, Gliwicką i Jana Pawła II, Mateja i Tyszka zajęchali od strony tej ostatniej, bo tam znajdowały się główna brama i parking. Adam zapalił papierosa i kiwnął na Krzyśka, że mogą ruszać, choć zwykle nie lubił palić, idąc, ale nie chciał tracić czasu. Jedyne, o czym w tej chwili marzył, to schować się przed zgniłą pogodą w mieszkaniu i zalec w fotelu przed telewizorem, nawet bez piwa. Ela skutecznie wybiła mu z głowy wieczorne popijanie.

Karol Krol, ojciec Zawojskiej, nie odebrał, kiedy zadzwonili do niego po raz pierwszy, ale Tyszce udało się wyciągnąć z córki, choć z trudem, gdzie jest lauba, w której ojciec zwykle przesiaduje po całych dniach. Pytanie Matei, czemu rodzic w zimie siedzi na działce, zamiast w czystej i ciepłej chałupie, zbyła wzruszeniem ramion i znowu zapadła się w siebie. Działki były niedaleko od ulicy Ciemały, ledwie kilka minut jazdy samochodem, więc od razu tam pojechali. I w końcu stanęli przed posesyjką, której szukali. Nawet wieczorem i przyprószona śniegiem wyglądała na zadbaną, by nie rzec wychuchaną. Wysypana drobnymi kamykami alejka, której brzegi zabezpieczono podobnej wielkości kamieniami polnymi, była niedawno odśnieżana, co wrażliwsze na niską temperaturę krzewy opatulono słomianymi chochołami, a pnie drzew pobielono wapnem. Domek na działce nie wyglądał jak komórka na narzędzia czy chatynka sklecona do spółki ze szwagrem z tego, co akurat było pod ręką. Zbudowano go z solidnych drewnianych bali, których łączenia obetkano wełnianką niczym w chałupach na Podhalu. Widoczne od uliczki okno też było drewniane, z otwartymi teraz solidnymi okiennicami, a z pokrytego blachodachówką stromego dachu wystawał murowany komin. Leciał z niego dym, a w oknie się świeciło. Adam nacisnął klamkę furtki. Była zamknięta.

- Dzwon jeszcze raz do ciula – polecił Krzyśkowi.
- Nie wiem, czy dobrze robimy – rzucił Mateja.
- Że zadzwonimy?
- Nie o tym mówię. Może trzeba było wysłać do Zawojskiej psychologa od nas. Nie wyglądała za dobrze.
- Spoko, zaraz wyślemy jej ojca.

Krol konsekwentnie nie odbierał. Nie zauważyli też żadnego ruchu w środku domku.

– Nie będziemy tu sterczeli jak smętne fiuty. Przełóż i wyciągnij go z nory – powiedział Adam.

– Może jednak go nie ma.

– Nie marudź, tylko skacz.

Mateja założył zwisający pasek plecaka na ramię i z trudem pokonał chybotliwą furtkę. Podszedł do domku i zapukał w masywne drzwi. Przez dłuższą chwilę nie działo się nic. Walnął w nie pięścią i już robił w tył zwrot, by wrócić do Adama, kiedy drzwi nagle się otworzyły i stanął w nich niewysoki, otyły mężczyzna z siekierką w dłoni.

– Wypad mi stąd, ciulu, bo ci uśmiech prześlancuję na drugą stronę – wrzasnął.

Krzysiek uniósł otwarte dłonie.

– Pan się uspokoi. Jestem z policji.

– Taaa, a ja od farorza.

Mateja pokazał mu blachę i rzucił:

– Proszę otworzyć furtkę, bo tam kolega czeka.

Mężczyzna wyjrzał zza futryny, ale nie wyszedł na zewnątrz.

– Czego ode mnie chcecie?

– Musimy porozmawiać.

– Nie mam czasu na pogaduszki. Po to tu sam siedzę, żeby mi nikt nie pitolił nad uchem.

Krzysiek stracił cierpliwość do naburmuszonego faceta.

– Niech pan otworzy i odłóż tę siekierę.

– Nie będziesz mi, synek, mówił, co mam robić.

– To nie była prośba.

Mężczyzna poburczał pod nosem, ale postawił narzędzie przy drzwiach i poszedł do furtki, nie zmieniawszy filcowych laci na zwykłe buty. Mateja wszedł do środka. Domek składał się ze sporej kuchni, jednego pokoju i łazienki. W rogu pokoju był kominek, w którym paliły się szczapy drewna. Większość mebli wykonano z litego drewna. Nie wyglądały na masówkę ze sklepu. Facet sam je robił? Krzysiek nie miał pojęcia, nie znał się na tym. Usiadł na ławie przy stole przykrytym ceratą w kwiatowy wzór. Stał na nim wazon ze sztuczną różą, otwarta butelka taniego piwa i popielniczka ze starego luksfera.

Kiedy zasiedli we trzech przy stole, a Tyszka poinformował Krola o tragicznej śmierci żony i złożył zdawkowe kondolencje, mężczyzna znieruchomiał. Milczał i patrzył przed siebie pustym wzrokiem. W końcu jakby

ocknął się z letargu, przetarł dłonią łysinę na czubku głowy, okoloną dawno niestrzyżonymi rzadkimi włosami, sięgnął po paczkę fajek i zapalił.

– Cierpiała? – zadał rzeczowe pytanie.

– Śmierć na miejscu – powiedział Mateja.

– Tyle dobrego – burknął Krol.

Mężczyzna irytował Adama, choć ten do końca nie był pewien, z jakiego powodu, więc wypalił:

– Jakoś nie wygląda pan na bardzo przejętego.

Krol zaciągnął się głęboko i wydmuchał przez nos dwie smużki dymu.

– Prawie osiem lat byłem ratownikiem na grubie. Różne okropne rzeczy widziałem, przeżyłem. Człowiek przywyka do śmierci, do tego, że może przyjść w każdej chwili.

Fatalistyczne podejście Krola do kwestii życia i śmierci nie przekonało Tyszki, ale wstrzymał się z komentarzami.

– I pan się spodziewał śmierci żony? – spytał Krzysiek z lekkim zdziwieniem.

– Daj spokój, nie teraz – rzucił Tyszka.

Krol machnął ręką i zdusił niedopałek w popielnicy.

– Spodziewałem, nie spodziewałem. Sam nie wiem. Choć to moja ślubna, wiedziałem, że niezła z niej ojla. Dużo miała w sobie złości do innych i pamiętliwa była, że aż strach. A że od lat chorowała na serce, myślałem, że kiedyś ta złość ją zadusi. Przestrzegałem, tłumaczyłem, ale nie słuchała wcale a wcale. Ale żeby wypadek, to... – urwał w pół zdania.

Adam dopiero teraz wychwycił nutę żalu w słowach Krola. Pytanie, czy był szczerzy.

– Z kim pana żona była w konflikcie? – drażył Mateja.

– Pan się spytaj, z kim nie była – zachnął się Krol. – Ale ostatnio to głównie z Kubą wojowały. Moja razem z córką.

– Kto to taki?

– Mąż Anki, właściwie były, bo się rozwiedli, będzie już z rok temu. Obie sobie umyśliły, żeby Kubę do wnuczki, znaczy jego córki, a mojej wnuczki, nie dopuszczać. Żeby łojcu nie dać z własnym bajtlem się spotykać, wyobrażacie sobie?! Niby że Kuba zły, że pijok. Że wyrwy do bitki. Jaki tam zły? Normalny synek jest. A one go po sądach włóczyły. Inna rzecz, że dłużny im nie był, bywało, że na pały je podawał.

Tyszka z Mateją popatrzyli po sobie, ale zignorowali obelżywe przezwisko. Krzysiek chciał zadać kolejne pytanie, ale Adam tylko pokręcił głową.

– Będziemy jeszcze chcieli porozmawiać z panem na ten temat, ale później. Teraz niech pan pojedzie do córki. Nie powinna być sama.

- No ja – odpowiedział Krol mechanicznie i wstał od stołu.
- Poradzi pan sobie? – spytał Mateja z troską w głosie.
- Po to portki noszę, żeby sobie radzić.

*

Mateja zatrzymał auto za zaparkowanym przy Gliwickiej samochodem Tyszki.

– Jesteś pewien, że dobrze robimy?

– A co ty nagle taki bojący się zrobiłeś? – zdziwił się Adam. – Wszystko jest ogarnięte jak trzeba.

Klepnął Krzyśka w ramię i wysiadł. Po chwili z rury wydechowej leciwego audi wystrzeliła chmura czarnego dymu i Tyszka pokulał się w stronę centrum Katowic.

Zerwał się lekki wiatr, znowu zaczął sypać śnieg, mokry i gęsty. Przednia szyba auta szybko pokryła się grubą warstwą bieli. Krzysiek uruchomił wycieraczki i przyglądał się ich monotonnemu ruchowi. Poskrzypywały. Przypomniał sobie, że już dawno miał wymienić zużyte pióra, ale nie mógł się do tego zabrać. Podobnie jak do wielu innych rzeczy. Zdawał sobie sprawę, że jego coraz większe rozmemłanie jest spowodowane równie rozmemłanym związkim z Renatą. Tak, zdecydowanie powinien wreszcie zrobić coś konkretnego. Z wycieraczkami i Łukowską. Niekoniecznie w tej kolejności.

Kolejny raz tego wieczoru zadzwonił do Renaty. Nie raczyła odebrać. Dla spokoju sumienia wybrał numer Polańskiego, ale jak było do przewidzenia, abonent był chwilowo niedostępny albo miał wyłączony aparat. Stawiał na to drugie i na pewno by wygrał. Uznał, że zrobił tego wieczora, nawet tego dnia, wszystko, co powinien i mógł. Może Adam miał rację? Po rozmowie z Krolem rozpytali mieszkańców domów niedaleko miejsca zdarzenia, ale nikt z tych, których zastali, nic nie widział. I tyle było z poszukiwań kolejnych świadków.

Krzysiek chciał jeszcze dzisiaj jechać do Jakuba Zawojkiego, byłego zięcia, którego Krol zapewne szczerze nienawidziła, żeby sprawdzić, czy nie miał czegoś wspólnego z tym wypadkiem nie wypadkiem. Faceci, którym utrudnia się albo wręcz uniemożliwia kontakt z dziećmi, często działają impulsywnie, nieracjonalnie. I bywają niebezpieczni. Podczas służby spotkał się kilka razy z podobnymi przypadkami, choć zwykle kończyły się jedynie na naruszeniu nietykalności cielesnej. Pamiętał, że w sprawach związanych z przepychankami rodziców o prawo opieki nad dziećmi zazwyczaj trudno było ustalić, kto jest winny, odróżnić sprawcę od ofiary. Trafiło się w sam środek wiru wzajemnych oskarżeń i pretensji. Jedno tylko było pewne – cierpiały dzieci, co zaślepieni nienawiścią rodzice nie zawsze dostrzegali. Zawojski miał więc motyw, o ile to

on siedział za kierownicą golfa, który staranował Krol. Właśnie, czy faktycznie on?

Tyszka tłumaczył, że dziwne zachowanie kierowcy, który potracił kobietę, wcale nie musiało oznaczać, że celowo chciał jej zrobić krzywdę. Może był pijany albo naćpany. Może był w szoku i dlatego wykonywał nietypowe manewry. W końcu mógł też zwyczajnie zwać z miejsca wypadku jak wielu innych kierowców, którzy mieli płonną nadzieję, że unikną odpowiedzialności. Prawie dał się przekonać Adamowi, że powinni poczekać na wyniki poszukiwań drogówki – stary, poobijany golf jest przecież charakterystyczny. Więcej, Adam zwyczajnie go przekonał, żeby wstrzymać się z kolejnymi działaniami, zanim Polański nie zapozna się ze sprawą i nie postanowi co dalej. Tym bardziej że nie było pośpiechu, bo – z tego, co się zorientowali – prokurator raczej nie będzie ich zbyt popędzał. Wreszcie wpadł na pomysł, że dla spokoju sumienia jeszcze tego wieczora skrobnie do szefa mejla, w którym opíše dokładnie to, co ustalili do tej pory w sprawie śmierci Krol. I wystarczy.

Włączył silnik i ruszył. Nie chciało mu się wracać do mieszkania. Postanowił, że pojedzie do znajdującej się niedaleko jego bloku siłowni, do której zapisał się z początkiem stycznia w ramach wypełniania noworocznych postanowień. Torbę z ciuchami i obuwiem do treningu miał w bagażniku. Ostatnimi czasy częściej katował ciało ćwiczeniami. Ciekawe dlaczego... Przypomniał sobie jednak, że wcześniej powinien odebrać Księcia od pani Kowalskiej.

Księżę był buldożkiem francuskim, który ostał mu się po Pauli, narzeczonej, którą rzucił dla Renaty. Choć po prawdzie to raczej Paula rzuciła jego. Wystawiła go za drzwi swojego mieszkania razem z betami. I Księciem na dokładkę. Początkowo nie miał pomysłu, co począć z psem. Z czasem przywiązał się do tego melancholijnego i niespecjalnie aktywnego stworzenia. Samemu trudno by mu było zajmować się Księciem ze względu na nienormowany czas pracy, ale okazało się, że do psa zapalała miłością kilkuletnia córka sąsiadki z klatki, pani Kowalskiej. Sąsiadka nie pracowała, więc stwierdziła, że spokojnie może się zajmować zwierzęciem. Miał więc psa właściwie na spółę z sąsiadką. Tyle miał na pewno – Księcia. I niewiele więcej, poza nową sprawą, której akurat w tym momencie mieć nie chciał.

sobota, 8 lutego 2013

Edmund Polański splótł dłonie na karku i przeciągnął się, napinając mięśnie grzbietu. Mimo wypitej kawy wciąż czuł się senny i rozleniwiony. Potem wpisał hasło w laptopie i czekając, aż system się uruchomi, włączył komórkę. Zaatakowały go dźwięki przychodzących wiadomości i nieodebranych połączeń. Przejrzał je pobieżnie, większość pochodziła od aspiranta Matei, który wczoraj wieczorem miał dyżur w fabryce. Stało się coś poważnego? Mundek uznał, że na pewno nie, bo wtedy próbowaliby skontaktować się z nim także prokurator Mrozowska albo jego bezpośredni przełożony, podinspektor Kazimierz Pietrusiński, który w spisie kontaktów figurował jako Pietrucha. Aspirant był bystrym i pracowitym policjantem, do tego nieocenionym, jeśli chodzi o obsługiwanie wszelkiej elektroniki, na której Mundek i Adam słabo się znali, ale wciąż miał problemy z oceną sytuacji i samodzielnym podejmowaniem decyzji. *Może zwyczajnie dają mu za mało swobody?* – zastanawiał się Mundek. Z drugiej strony nie był przecież typem szefa, który zawsze i wszystkim lubi sterować ręcznie. Przynajmniej tak o sobie myślał.

Zalogował się do poczty, przebiegł wzrokiem mejl od Krzyśka. Co było do przewidzenia, Mateja pytał, jakie powinni wykonać ruchy w sprawie Zdzisławy Krol, lat sześćdziesiąt cztery, która zginęła w wypadku drogowym, nieco podejrzanym. Uznał, że sprawa nie jest pilna, a przynajmniej nie na tyle, żeby zwracać sobie nią głowę w sobotę.

Wyciągnął z półki jeden z albumów ze starymi pocztówkami. Zbierał je od dziecka, początkowo tylko dlatego, że każdy z kolegów z podstawówki coś kolekcjonował. Czasami były to nietypowe rzeczy, które dzisiaj uznano by za śmieci – puszki po piwach i pudełka po papierosach, oczywiście zagranicznych, które u szarego schyłku PRL-u były namiastką świata zachodniej obfitości, ale też resorowe samochodziki, fotki z gwiazdami futbolu, oczywiście znaczki... A on znalazł kiedyś w szafie pudełko ze starymi pocztówkami, w większości ze zdjęciami Krakowa. Ani matka, ani ojciec nie pamiętali, skąd właściwie się ono wzięło, tym bardziej że na kilku były nazwiska i adresy ludzi, którzy na pewno nie należeli do bliższej czy dalszej rodziny. Wizerunki Krakowa, niby bardzo podobnego do tego, który widywał na co dzień, ale jednak nieco innego, trochę nierzeczywistego, bardzo mu się spodobały. Zaczął je zbierać, szukać kolejnych

pocztówek w licznych wtedy w Krakowie antykwariatach, czarno-białych albo w sepii, mimo że stanowiły kiepską walutę i żaden z kolegów ze szkoły albo podwórka nie chciał się na nie wymieniać. Nawet im się nie dziwił ani nie był zły z tego powodu, bo kolekcja sprawiała, że czuł się kimś wyjątkowym.

Później, kiedy wciągnęły go studia, praca i rodzina, uzupełniał kolekcję tylko incydentalnie, odwiedzając targi staroci albo antykwariaty typu mydło i powidło, kiedy miał wolną chwilę. A miewał je rzadko. Jednak raz na jakiś czas sięgał po albumy, oglądał stare wizerunki miast, bo z czasem zaczął kolekcjonować pocztówki nie tylko z Krakowa, lecz także ze śląskich miast i miasteczek. Urządził sobie podróże w przeszłość, aby choć na chwilę odpocząć od – czasami dręczącej – terażniejszości. Po tym jak na jesieni przenieśli się do domu na Giszowcu, w niewielkim pomieszczeniu w piwnicy urządził coś na kształt gabinetu, choć prawdę powiedziawszy, właściwie była to kryjówka, do której od czasu do czasu uciekał przed zgiełkiem życia rodzinnego. Postanowił, że co ciekawsze czy cenniejsze pocztówki z kolekcji umieści w antyramach i zawiesi na ścianie nad biurkiem. Antyramy już kupił, ale wciąż brakowało mu czasu, aby przejrzeć pocztówki i wybrać najlepsze.

– Tata, śniadanie! – usłyszał wrzask starszego syna, Bartka, któremu nie chciało się schodzić do piwnicy.

– Idę – odkrzyknął.

Odłożył album, westchnął. Zaklinał w duchu, by poranek przebiegł spokojnie, bez scysji, choć sytuacja mogła się rozwinąć różnie. Ledwo wstali z Beatą z łóżka, do drzwi zaczęła się dobijać jego matka, Krystyna, która – jak zwykle – nie raczyła uprzedzić, że przyjedzie z Krakowa i uszczęśliwi ich swoją obecnością. Wpadła do domu jak huragan, obrzuciła wnuki prezentami, a potem zasiadła w fotelu w salonie i zażądała kawy, byle dobrej. Wiedział, że Beatę zirytowało nagłe pojawienie się teściowej. Żona lubiła mieć wszystko zaplanowane i zawczasu przygotowane. Nie była fanką niespodzianek. A już na pewno nie tych fundowanych przez jego matkę. Nie przepadały za sobą, wręcz toczyły podjazdową wojnę psychologiczną, jednak w ciągu ostatnich miesięcy ich relacje trochę się ociepliły. Krystyna zaczęła bardziej interesować się wnukami, a właściwie jedynie najmłodszą Basieńką, sama z siebie, nieproszona, pożyczyła im pieniądze na kupno domu, w ogóle wreszcie sprawiała wrażenie zainteresowanej życiem najbliższej rodziny. Oczywiście na miarę własnych możliwości. Nie tak znowu wielkich, jak uważała. Beata przestała się jeżyć na sam widok teściowej i z większą cierpliwością przyjmowała jej nie zawsze delikatne komentarze dotyczące tego, co i jak robi żona jej jedynaka, ponoć ukochanego. Od pewnego czasu tylko niektóre spotkania Beaty i Krystyny

kończyły się awanturami. Miał nadzieję, że tego sobotniego poranka nie dojdzie do kłótni.

Mundek niemal fizycznie czuł napięcie narastające przy stole, jakby zbierała się nad nim niewidzialna chmura burzowa. Synowie, wciąż słabo oswojeni z babcią, wyglądali na spiętych, co miało też dobre strony, bo nie dokazywali, nie szturchali się ani nie przekomarzali. Beata postawiła na stole talerz z kanapkami z serem i szynką, drugi z pokrojonymi warzywami oraz patelnię bosko pachnącej jajecznicy na bekonie. Na widok jajek Krystyna się skrzywiła i powiedziała słodkim głosem, że takie tłustości nie są na jej żołądek, ale chętnie zjadłaby naleśniki. Oczywiście usmażone jedynie na kropeli oliwy. Beata wywróciła oczami i już chciała rzucić jakiś komentarz, ale Mundek ją wyprzedził, mówiąc, że chętnie zrobi naleśniki, jeśli mama ma na nie ochotę. Chłopcy skupili się na pałaszowaniu jajecznicy, a on szybko uporał się ze smażeniem. Matka zjadła jednego i skomentowała, z rzadką u niej autoironią, że antytalent do gotowania musiał odziedziczyć po niej. Beata westchnęła ciężko. Jedynie niespełna półtoraroczna Basieńka gaworzyła radośnie pomiędzy pochłanianiem jednej a drugiej łyżki dziecięcej paćki, bez wątpienia niezwykle pożywnej i zdrowej.

Bez pyskówek i złości dotrwali do końca śniadania. Mundek miał nadzieję, że matka niedługo zabierze się z ich domu, żeby załatwić swoje interesy. Bardzo rzadko zostawała z jego rodziną dłużej niż godzinę czy dwie. Taka po prostu była, co zresztą, jak sądził, akurat nie miało specjalnego związku z nimi. Krystyna zwyczajnie nie umiała spokojnie usiedzieć na tyłku. Na rzyci – zdaniem Mundka to słowo z języka śląskiego było jeszcze adekwatniejsze. Dlatego zdziwił się, gdy zażyczyła sobie kolejnej kawy.

– Chodź, mamy do pogadania – zarządziła Krystyna.

– To rozmawiajmy – Mundkowi po obfitym posiłku nie chciało się ruszać z kanapy.

– Tutaj wolałabym nie.

– Mamo, ile razy ci mówiłem, że nie mam przed Beatą tajemnic.

– Ale to sprawy nie dla kobiet.

Jakby matka nie była kobietą. No może jednak nie do końca. Jeśli w teorii o istnieniu płci mózgu było choć ziarno prawdy, Krystyna bez wątpienia miała mózg męski. Żeby nie wdawać się w niepotrzebne dyskusje, zaparzył kawę i z filiżankami w dłoniach zaprowadził matkę do swojego gabinetu. Zlustrowała pomieszczenie krytycznym okiem.

– Widzę, że twoja ukochana wygoniła cię do piwnicy...

– Mamo, przestań!

– Dobra, dobra, już nic powiedzieć nie można.

– Naprawdę czasami lepiej by było dla wszystkich, gdybyś nie zdradzała światu swoich przemyśleń.

– Widzę, że z wiekiem dowcip ci się wyostrza. Lepiej późno niż wcale. Ale nie o tobie chciałam pogadać.

Tylko o sobie i własnych, jakże ważnych dla wszechświata, sprawach – skomentował, ale jedynie w myślach.

– Jest taka sprawa... – Krystyna nagle urwała. – I tak sobie pomyślałam, że mógłbyś mi pomóc.

Zachęcił matkę gestem dłoni, by mówiła dalej. Trochę go zaintrygowała. Nigdy wcześniej nie pytała go o radę ani nie prosiła o pomoc, pewnie dlatego, że – jak sądził – uważała go za lekkiego nieudacznika, który w życiu dokonuje wyłącznie niewłaściwych wyborów.

– Mówiłam ci jakiś czas temu, że pracuję nad nowym dużym projektem.

Prawdopodobnie rzeczywiście mówiła, tyle że od dawna niezbyt uważnie słuchał jej przydługawych opowieści o branży turystycznej w ogóle, a licznych sukcesach jej firmy w szczególności.

– Chcę wejść z moją firmą na rynek hiszpański. Z przytupem.

Jakżeby inaczej. Także ten komentarz pozostawił dla siebie.

– Mamo, po co ci to wszystko? – nie powstrzymał się przed zadaniem pytania. – Masz, z tego, co pamiętam, całą masę wycieczek i pobytówek na Bałkanach, w Grecji i Włoszech. Na co ci jeszcze Hiszpania?

Matka prychnęła i powiedziała:

– Co ty tam wiesz o biznesie, siedząc na państwowej posiadce. Zresztą kiepskiej. Kto się nie rozwija, ten się zwija, jasne?

Wzruszył ramionami.

– Mniejsza o to – nie chciał się z nią spierać o strategię rozwoju jej firmy. – Co to za projekt i o czym chciałaś porozmawiać?

– Taki mój znajomy znajomego chce wejść ze mną w spółkę, jeśli chodzi o ekspansję na Hiszpanię. Siedzi na tym rynku od lat, dobrze sobie radzi, więc współpraca z nim byłaby mi na rękę. Ja daję *know how* niestandardowej oferty turystycznej, sprofilowanej pod indywidualne potrzeby odbiorcy, on kontakty na miejscu, pomagające to wszystko ogarnąć i rozkręcić.

– To w czym problem?

– Chce, żebym na wejściu zainwestowała sporą sumę. Moim zdaniem warto, ale jeśli mam wyłożyć kasę, muszę mieć pewność, że gość mnie nie oszuka.

– Nie sprawdziłaś go?

– Popytałam tu i tam, ale wiesz, jak to w biznesie, jedni go chwalą, inni niekoniecznie. Pomyślałam więc, że może być go dla mnie przeświecił, tak nieoficjalnie. Macie tam przecież w tej policji swoje sposoby, nie?

Mundek westchnął ciężko. Sięgnął po filiżankę i popijał kawę małymi łykami, żeby dać sobie czas na wymyślenie przekonujących argumentów.

– Mamo, jak ty sobie to wyobrażasz? Że poprowadzę jakieś prywatne dochodzenie? W ramach pracy czy w czasie wolnym? Poza tym przypomnę, bo może nie pamiętasz, że zajmuję się sprawami kryminalnymi, a nie gospodarczymi. Nie za bardzo się na tym znam.

– Ale właściwie co ci szkodzi posprawdzać, czy tam w tych waszych archiwach albo bazach nie ma czegoś o nim, czy był karany albo w coś zamieszany.

– Od sprawdzania ewentualnych kontrahentów czy wspólników są wyspecjalizowane agencje detektywistyczne. Biały wywiad gospodarczy, te sprawy – bezwiednie posłużył się ulubionym powiedzonkiem Pietruchy.

– Czyli własnej matce nie pomożesz? – Krystyna świetnie grała na jego emocjach.

– Nie – odparł, sam nie wiedząc, skąd ma w sobie tyle zdecydowania.

– Cóż, właściwie czego ja się po tobie spodziewałam – odstawiła niemal nietkniętą kawę na biurko. – Zbieram się.

Powiało od niej syberyjskim chłodem. Chciał coś powiedzieć, załagodzić sytuację, ale nie znalazł żadnych słów, które wydawałyby się odpowiednie. Poszedł za matką, która niemal wbiegła po schodach i nie żegnając się ani z wnukami, ani z Beatą, skierowała się ku wyjściu. Drzwi nagle się otworzyły i stanęła w nich teściowa Mundka. Zanim zareagowała, Krystyna rzuciła niewyraźne „bry” i pognęła w stronę samochodu zaparkowanego przed bramą. Mundek darował sobie odprowadzanie matki do furtki.

– A tej zaś się kole rzyci hajcuje – skomentowała teściowa. – Coś się stało?

– Nic, nic – odpowiedział nerwowo i zaprosił teściową do środka.

Wiedział, co za chwilę będzie się działo. Beata do spółki z matką urzędzą mu przesłuchanie, podczas którego żadna z nich nie wejdzie w rolę dobrego policjanta. A co się Krystynie stało? A o co się pokłóciliście, bo pewnie się pokłóciliście? A potem obie zaczną narzekać na jego matkę. I w dużej części będą miały rację. Nie miał na to jednak siły ani ochoty. Powiedział, że wypadła mu nagła robota. Służba nie drużba. Nawet za bardzo nie skłamał.

*

Na parking przed budynkami komendy policji przy ulicy Lompy w Katowicach zajechała – na oko kilkuletnia – skoda fabia kombi w paskudnym piaskowym kolorze. Tyszka nazywał go, z właściwą sobie dosadnością, sraczkowatym nawet w obecności Polańskiego, ale Mundek nie reagował na te drwiny. Nadkomisarz

w ogóle nie interesował się motoryzacją, wcześniej przez długie lata nie miał własnego samochodu i kazał się wozić innym albo korzystał ze służbowego. Mateję wciąż dziwiło, że jego szef po latach zaczął prowadzić auto, chociaż robił to niechętnie i jedynie wtedy, kiedy musiał. Teraz też Polański wyskoczył ze skody, przesiadł się do czerwonego nissana juke Krzyśka, którego wcześniej w sobotnie przedpołudnie wyrwał z błogiego nicnierobienia i kazał stawić się w robocie. Pojechali do Gliwic, gdzie mieli odszukać i rozpytać Jakuba Zawojkiego, który zdaniem eksteścia wojował z Krol i jej córką, choć nie wiedzieli, czy na śmierć i życie.

– Jakież wieści od chłopaków z drogówki? – spytał Polański, choć nie liczył na cud.

– Jeśli szef pyta o bitego golfa, to nie.

– Czemu mnie to nie dziwi...

– Żaden patrol się na niego nie natknął. Na monitoringu też nie wyskoczył, z tym że nie przejrżeli jeszcze wszystkich dostępnych nagrań.

Polański zadzwonił do Łukowskiej, a Krzysiek się zdumiał, gdy niemal natychmiast odebrała, choć może wcale nie powinien się temu dziwić. Najprawdopodobniej tylko jego telefony od czasu do czasu konsekwentnie ignorowała, chociaż wciąż było dla niego zagadką z jakiego powodu. Nadkomisarz kazał Renacie podjechać na ulicę Klonową w Gliwicach, gdzie w bloku miał mieszkać Zawojki, i się rozłączył. Krzysiek nie wiedział, po co im ona do zwykłego rozpytania, spokojnie mogli załatwić sprawę we dwóch. W ogóle za bardzo nie rozumiał, czemu w sobotę Polański ruszył się z domu, tym bardziej że śledztwo nie zapowiadało się na skomplikowane. Może szef miał zwyczajnie dosyć rodzinnego ciepła, mimo że wyjątkowo dbał o bliskich.

Krzysiek doskonale pamiętał, że jego ojciec bardzo często w weekendy czy święta organizował sobie zajęcia poza domem, czyli – mówiąc wprost – zwiewał jak najdalej od rodziny. Czasami miał wtedy grafik bardziej napięty niż w dni robocze. Jeździł na polowania, grał w tenisa albo spotykał się z licznymi kolegami, co kończyło się w łatwy do przewidzenia sposób. Matka nieodmiennie narzekała, że stary nie potrafi usiedzieć w chałupie, on obiecywał, że się zmieni, ale po kilku dniach o obietnicach zapominał. I tak kręcił się ich rodzinny kabarecik. Krzysiek darował sobie pytanie szefa o sprawy rodzinne. Zresztą Polański i tak najpewniej nic by mu nie powiedział.

Minęli węzeł drogowy łączący A1 z trasą 902 i na kolejnym rozjeździe skrzyżowali w stronę Ligoty Zaborskiej. Jechali przez typową dla peryferyjnych dzielnic w tym regionie ni to miejską, ni podmiejską okolicę – domy jednorodzinne przemieszane z niewysokimi blokami, niezabudowane działki porośnięte krzakami i skupiskami drzew, drobne zakłady i hurtownie, nawet

stojący na uboczu klub nocny, który bez wątpienia był zakamuflowanym burdelem. Prostytucja wciąż miała się na Śląsku dobrze. Mateja wiedział z policyjnych raportów i opracowań dotyczących przestępczości w aglomeracji śląskiej, które czytał jak na sumiennego glinę przystało, mimo że w gruncie rzeczy nie musiał tego robić, że ta dzielnica nie należy do najlepszych i najspokojniejszych, choć – z tego, co pamiętał – największy problem był tu z kradzieżami, raczej drobnymi. Wąskimi dziurawymi ulicami dojechali do niewielkiego osiedla, na które składało się kilka trzypiętrowych bloków otoczonych zielenią. Zawojski mieszkał w najdłuższym z nich, liczącym sześć klatek. Krzysiek zaparkował przed najbliższą, z trudem pokonując wysoki krawężnik. Sprawdzili numerację na domofonie – mieszkanie Zawojskiego najprawdopodobniej znajdowało się gdzieś w środku bloku.

Polański zatrzymał się nagle i pokazując ręką na prawo, zawołał:

– Patrz!

Na poboczu ulicy stał byle jak pozostawiony golf, który rzucał się w oczy, bo większość samochodów parkowała po drugiej stronie Klonowej, bliżej bloku. Miał niepolakierowany prawy przedni błotnik i był czarny, choć upstrzony nieregularnymi plamami szpachli i oblepiony błotem niemal po szyby.

Podeszli do leciwego auta.

– To może być ten? – spytał Mundek.

– Z grubsza pasuje do opisu.

Zajrzeli. W środku golf wyglądał jeszcze gorzej niż na zewnątrz. Obicia foteli były poplamione i miejscami przypalone papierosami, na podłodze wały się plastikowe kubki po kawie, papierki po hot dogach i inne opakowania. Z przepelnionej popielniczki wysypywały się pety. Powoli obeszli samochód dookoła.

– Szef zobaczy! – krzyknął Krzysiek, wskazując przód auta.

Osłona lewego reflektora była zbita, na masce było widać ciemne kropki, które mogły być zakrzepłą krwią, choć równie dobrze – ciemniejszymi pacynami blocka.

Polański pokręcił głową i zarządził:

– Na wszelki wypadek ściągnij tu techników. Zadzwoń do fabryki, niech sprawdzą numery i ustalą, na kogo jest zarejestrowany ten zabytek motoryzacji.

Krzysiek, z telefonem przy uchu, przyglądał się, jak Polański idzie do kolejnej klatki schodowej i sprawdza numery mieszkań. Nim skończył rozmowę, zauważył czarne audi Renaty. Jechała zbyt szybko, jak zwykle. Zahamowała z piskiem opon tuż za golfem i wysiadła.

– Co się dzieje? – spytała bez powitania.

Pokazał na telefon. Wzruszyła ramionami, oparła się o swój samochód i zapaliła. Polański podszedł do nich i coś do niej mówił. Pewnie wprowadzał ją w szczegóły sprawy. Krzysiek dowiedział się, czego potrzebował, schował telefon i ruszył do nich.

– I co tam? – wyrwał się z pytaniem Polański.

– Technik w drodze. Golf jest własnością Huberta Szmatlocha, też z Gliwic, ale nie jest tutaj zameldowany.

– Co to za jeden?

– Nie wiem, jego nazwisko dotąd nie wypłynęło.

– Renata, poczekasz przy aucie na techników, a my sobie pogadamy z Zawojkim.

Lokum byłego zięcia Krol znajdowało się w czwartej klatce. Zawojki nie zareagował na domofon, ale Polański uznał, że jeszcze podobijają się bezpośrednio do jego drzwi, choć Krzysiek nie wiedział po co – najprawdopodobniej mężczyzny nie było w mieszkaniu. Weszli do środka metodą „na ulotki”, która zawsze działała. Prawie. Stanęli przed podniszczonymi drzwiami na pierwszym piętrze, zza których dobiegało przytłumione dudnienie muzyki. Zadzwonili, potem pukali, ale nikt nie otwierał.

– Uznajmy, że nie dosłyszał – powiedział Mundek.

Polański naciągnął rękaw kurtki na dłoń i nacisnął klamkę. Było otwarte. Krzyśka uderzył w nos zapach fajek, doprawiony czymś jeszcze. Lekko zgnitym. Jego uszy zaatakowały dźwięki bluesowej gitary. Odruchowo się cofnął.

– Wchodzimy, tylko ostrożnie – powiedział cicho nadkomisarz.

Mundek bardziej uchylił drzwi, weszli do niewielkiego przedpokoju, na którego środku leżały ubłocone adidas i zwinięta w kłęb kurtka. Drzwiczki stojącej przy ścianie szafki na buty ledwie trzymały się na górnym zawiasie. Na wprost nich były otwarte drzwi do łazienki, zza których lekko załatywało kanalizacją. Albo czymś podobnym. Drzwi po prawej, drzwi po lewej. Z pomieszczenia po prawej dobiegał ochrypły głos wokalisty, który objawiał światu, że „najgorzej w życiu to... to samotnym być”. Zajrzeli na lewo. Niewielka kuchnia wyglądała tak, jakby nikt nie sprzątał jej od miesiąca. A najpewniej nawet dłużej. Zlew pełen był brudnych, częściowo pokrytych pleśnią naczyń i garnków. Talerze z resztkami jedzenia stały też na zaplamionej podłodze z beżowych, miejscami popękanych kafli. Na stole pomiędzy butelkami po piwie zobaczyli małą patelnię z ledwo tkniętą jajecznicą. Niemal wszędzie wały się butelki po piwie i winie oraz małpki po wódkach rozmaitych gatunków. Zawojki najwyraźniej nie miał ulubionej marki.

– Dżem – rzucił Mateja.

– Co takiego? Gdzie ty widzisz dżem w tym bajzlu?

– Taki zespół. Jego piosenka właśnie leci.

Polański wzruszył ramionami. Ruszyli do pokoju, w którym panował jeszcze większy bałagan niż w kuchni. O ile w ogóle było to możliwe w pokoju z niewielką ilością mebli. Dwudrzwiowa szafa, stara ława ze sklejką z obłazującym lakierem, na której oprócz butelek i popielniczki stał mały tani odtwarzacz płyt z radiem, kanapa. Wszędzie walały się ubrania przemieszane z pudełkami po papierosach, pizzy, strzępami gazet. Na kanapie póleżał chuderławy mężczyzna w bokserkach, czarnej koszulce z logo Metalliki i wełnianej czapce na głowie. Krzysiek podszedł do niego i się nachylił. Śmierdział przetrawionym alkoholem i fajkami. Pochrapywał, więc żył.

Polański wyłączył odtwarzacz i polecił:

– Budź go.

Krzysiek potrząsnął mężczyzną, który zabelkotał i próbował naciągnąć na siebie koc, którego nie było, a potem odwrócił się do nich plecami i dalej spał sprawiedliwym snem wojownika po ciężkim boju.

– Nawalony w trzy dupy – powiedział Krzysiek. – Może zawlokę go pod zimny prysznic?

– A to w ogóle działa?

– Na filmach zawsze, a w praktyce chyba nie za bardzo.

– Nie osłabiaj mnie.

Rozejrzeli się po mieszkaniu i nie znaleźli tam nic podejrzanego, poza dowodami na ewidentny upadek Zawojskiego. Krzysiek pomyślał, że Zawojski może i nie jest, jak stwierdził jego teść, złym facetem, ale bez wątplenia ma problem z alkoholem. Wielki. Już się nie dziwił, że była żona źle zareagowała na pytanie o męża.

– Co robimy? Mam go dobudzić? – spytał Mateja.

– Na razie nie widzę potrzeby.

– To może chociaż dokładniej się tutaj rozejrzemy?

– Krzysiek, mieliśmy z nim tylko porozmawiać. A tak w ogóle nawet nie powinniśmy tu wchodzić.

Polański jak zwykle dbał o przestrzeganie wszelkich przepisów i regulaminów. Czasami Krzysiek zastanawiał się, czy Mundek działa tak, bo jest z gruntu prawy, czy raczej nie chce podkładać się prokurator Mrozowskiej.

*

– Renata, co ty, do cholery, robisz?! – krzyknął Polański, kiedy zobaczył Łukowską zaglądającą przez otwarte drzwi do golfa.

– A tak tylko się rozglądam – odparła z niewinną miną.

– Miałaś poczekać na techników.

– Spoko – zupełnie się nie przejęła. – Zauważyłam, że przed fotelem leżą kluczyki, drzwi były otwarte. Uznajmy, że zabezpieczyłam mienie ruchome przed ewentualną kradzieżą.

– Taaa, ciekawe, gdzie tu widzisz złodzieja – tylko na taki komentarz zdobył się Mundeck.

Potem jeszcze pomruczał pod nosem. Łukowska wywróciła oczami i zapaliła następnego papierosa.

– I nie smródź mi tu – warknął.

Renata uniosła dłonie w uspokajającym geście i odeszła w stronę swojego auta. Mateja poszedł za nią.

– Czy ty go musisz ciągle drażnić? – spytał półgłosem.

Wydmuchnęła dym przez nos.

– Nie, ale on to lubi.

Krzysiek cmoknął i pokręcił głową.

– No jasne, tak jak ja niby lubię, jak się mnie zlewa i nie odbiera telefonów. Co to ma być, jakaś pokręcona gra?

– Coś ci nie pasuje?

– Renata...

– Jesteśmy w robocie, nie czas na takie pogawędki.

Krzysiek irytował ją coraz bardziej, nie tylko tego dnia. Nie była do końca pewna, dlaczego tak się dzieje. Na pozór przyjemny był z niego chłopaczyna, bezkonfliktowy, mający poczucie humoru, a do tego trochę inny od większości znajomych z fabryki, nieskomplikowanych jak obsługa cepa, a przez to przewidywalnych i na dłuższą metę po prostu nudnych. I bez wątpienia nie zamierzał się pakować z buciorami w jej życie. Doceniała to, czasami. Tyle tylko, że od lat właściwie nie była z żadnym facetem w stałym związku, który przetrwałby dłużej niż miesiąc, góra dwa. Dobrze, jako tako stałym – należało nazywać rzeczy po imieniu. Może po prostu była stworzona do przelotnych romansów, uniesień jednej nocy, po której kończyła znajomość krótkim „no to cześć” i ulatniała się, nie zostawiając nawet numeru telefonu.

Na Klonową zajechała kia techników, tylko z jednym w środku. Łukowska i tak uznała za cud, że w weekend ktokolwiek w miarę szybko się zjawił. Technik, którego nazwiska nie pamiętała, podobnie jak większości kolegów z fabryki, z którymi miała niewiele do czynienia, wypakował metalową walizkę pełną wszelkich gadżetów kryminalistycznej techniki i wziął się do badania golfa. Polański gdzieś dzwonił, Mateja nerwowo spacerował po chodniku wzdłuż bloku, a Renata walczyła z chęcią sięgnięcia po kolejną fajkę i zastanawiała się, po kiego tutaj tkwi, czekając nie wiadomo na co. Była już

bliska przekonania siebie, że bez powodu ciska się i denerwuje, przecież nie miała na dzisiaj żadnych planów ani nic interesującego do zrobienia. Jasne, powinna zrobić pranie, bo w szufladzie z bielizną rano znalazła jedynie majtki tak podniszczone, że przed samą sobą wstydziła się je włożyć, nie mówiąc o pokazaniu się w nich komukolwiek. Właściwie kogo miała na myśli? Mateję?

Znowu sięgała po fajkę, kiedy dotarł do niej okrzyk technika:

– Mam coś.

We troje podeszli do poobijanego golfa.

– Na masce są ślady krwi – oznajmił technik.

– Ludzkiej? – spytał Polański.

*

– Mniejsza o większość – w niezbyt konkretny sposób nadkomisarz Polański podsumował swoje rozterki.

Od dobrych dziesięciu minut sterczał na rogu ulic Gliwickiej i Ciemały, czekając na Tyszkę, który tradycyjnie się spóźniał albo – jak sam to określał – był w permanentnym niedoczasie. Choć nadkomisarz uznał, że na razie nie ma większych powodów do niepokoju i wykonywania nerwowych ruchów, postanowił, że jednak lepiej podjąć działania, niżli później wyrzucać sobie jakiegokolwiek zaniechanie. Albo pozwolić, żeby inni opieprzali go za opieszałość. Technik odkrył i zabezpieczył na golfie ślady ludzkiej krwi, zaczął opowiadać o paskach Hemophan do ich enzymatycznego ujawniania metodą dotykową, ale Mundek przerwał mu objaśnienia. Był zdania, że wysoce specjalistyczna wiedza nie jest mu niezbędna, w odróżnieniu od konkretnych wyników badań. Poleciał technikowi dokładnie przeszukać auto i zabezpieczyć wszystko, co mogło im się przydać w śledztwie. Wprawdzie golf nie był zarejestrowany na Zawojskiego, tylko na Huberta Szmatocha, ale to, że stał niemal przed klatką, w której ten pierwszy mieszkał, było więcej niż podejrzane. Chcieli tylko porozmawiać z byłym zięciem Krol, ale nie mogli, więc pomysł, żeby wezwać radiowóz i przewieźć go na dołek, nie wydawał się Mundkowi wcale taki zły. Tak czy siak, Zawojski wytrzeźwieje, co przynajmniej wyjdzie mu na zdrowie. O ile jego resztki jeszcze zachował.

Wysłał Renatę z Krzyśkiem, żeby odszukali i rozpytali Szmatocha, a sam poczekał na mundurowych. Wynieśli Zawojskiego, który wciąż nie łąpał kontaktu ze światem, niczym wór ziemniaków, narzekając, że muszą się pierniczyć ze śmierdzącym ozyrokiem. Mundek uciął ich narzekania, mówiąc, że ani pierwszy, ani ostatni raz użerają się z pijakiem. Nie skomentowali. Po drodze do fabryki podrzucili go na Załęże, gdzie umówił się na spotkanie z Adamem.

Uznał, że przyda mu się obecność kogoś, kto już poznał byłą żonę Zawojskiego i jego teścia. Również byłego. Postanowił zawczasu dowiedzieć się jak najwięcej na temat alkoholika. Czy już uważał go za podejrzanego? Niekoniecznie, Zawojski jednak bez wątpienia miał powód, by nienawidzić byłą i jej matkę, a nienawiść od zbrodni często dzieli jedynie krok. Niewielki.

Tyszka nie był w dobrym nastroju i szybko wyjaśniło się, z jakiego powodu. Ledwie wysiadł z auta, rzucił:

– Masz minusa u Eli. Mieliśmy plany na sobotę i...

– Co tu dzisiaj wszyscy tacy marudni?

Mówiąc to, Polański miał na myśli także siebie. Niespodziewane odwiedziny matki i jej absurdalna prośba o pomoc, której nie mógł i chciał spełnić, były wystarczającym powodem do irytacji.

– Adam, z tego, co mówił Krzysiek, i tak miałeś być w fabryce, żeby pogadać z Karasiem i żeby ci podpisał zeznanie.

– A skąd ty wiesz, jak się nazywa świadek wypadku? – zdziwił się Tyszka, ale zaraz machnął ręką. – Głupio pytam, zapomniałem o twojej nadludzkiej pamięci do nazwisk. Pewnie, byłem i pogadałem z tym całym Karasiem, ale potem już się zwijałem do chałupy.

– Powiedział coś istotnego?

– Bo ja wiem? Potwierdził, że golfa prowadził ktoś w bejsbolówce. Może facet, może kobieta, nie widział dokładnie.

– Zawsze coś – Mundek przerwał na chwilę, a potem dodał ugodowo: – A do Eli niedługo pojedziesz.

Adam nie skomentował, bez słowa doszli do domu, który odwiedził już wczoraj. Otworzył im stary Krol.

– Zaś policaje – wymamrotał pod nosem, ale wpuścił ich do środka.

Mundek chciał najpierw porozmawiać z byłą Zawojskiego. Poprosiła ojca, by zajął się wnuczką, a ich zaprowadziła do kuchni.

– Obiad mam rozgrzebany – powiedziała ni to do siebie, ni do nich.

Usiadła przy stole, wzięła do ręki nóż i dalej obierała warzywa na zupę. Mundek skinął na Adama, usiedli po drugiej stronie.

– Mam kilka pytań dotyczących pani męża... – zaczął Mundek.

– Byłego – dorzucił Adam.

Anna cisnęła nożem do plastikowej miski.

– Nie będę gadała o tym ciulu.

– Niestety, będzie lepiej, jeśli pani z nami porozmawia.

– Co znowu nawywijał?

– To znaczy, że już wcześniej były z nim problemy?

Zawojaska sięgnęła po nożyk i ziemniaka, machinalnie zaczęła go obierać tak grubo, że właściwie niewiele z niego zostało.

– On na drugie imię powinien mieć Problem. Od rozwodu nie daje nam... nie daje mi spokoju – cisnęła resztką ziemniaka do garnka z wodą. Krople rozprysły się po stole. – Jakby nie rozumiał, że wszystko między nami jest skończone i powinien się od nas odpierniczyć. Od nas wszystkich. Raz na zawsze.

– Ma skłonności do przemocy? – Adam jak zwykle podczas przesłuchania poszedł na skróty.

Mundek dał mu znak dłonią, aby nie wyskakiwał z kolejnymi pytaniami.

– Kiedy się pani rozwiodła z Jakubem Zawojaskim? – spytał sam.

– Niecały rok temu, ale nie mieszkam z nim prawie od dwóch lat. Od razu się do mamusi przenieśli.

– Jaki był powód rozejścia?

Kolejna reszтка ziemniaka z pluskiem wylądowała w garnku.

– A co to was obchodzi? – Zawojaska podniosła głos, wymachując trzymanym w rękę nożykiem.

– Proszę się uspokoić. I odpowiedzieć.

– Nie rozumiem po co... Ale niech wam będzie, wszystko i tak w papierach jest opisane. W sądzie wszystko podałam, ze szczegółami, jaki z tego Jakuba złamas niemyty.

Mundek z Adamem spojrzeli po sobie.

– Zajmowałam się po całych dniach Roksanką, obiadki ciulowi gotowałam, choć na ostatnich nogach byłam, bo u małej było słabo ze spaniem, do tego często chorowała, a on poszedł moczyć do innej. I na dodatek do sąsiadki.

Mundek pomyślał, że to, czy Zawojaski zdradzał żonę z sąsiadką, czy z kobietą z innego miasta, nie powinno mieć żadnego znaczenia, ale z drugiej strony cóż on wiedział o psychologii zdrad. Może chodziło o zwykły wstyd przed sąsiadami, tyle że z jego obserwacji wynikało, że ludzie od dawna przestali się interesować losem sąsiadów, więcej nawet, często w ogóle ich nie znali, tyle co z widzenia, więc o jakimkolwiek wstydzie nie powinno być mowy. Chyba że wyobrażonym. A wyobrażenia czasami dręczy równie mocno jak rzeczywistość.

– Szybko pani poszło z rozwodem. Takie sprawy potrafią się długo ciągnąć.

– Bo u mnie nie ma zmiłuj, albo w jedną, albo w drugą. I nie wierzę w sensowność dawania drugiej szansy. Zresztą mamusia... – nagle jakby straciła oddech, jej twarz wykrzywiła się w niekontrolowanym grymasie. Głośno przełknęła ślinę. – Mamusia mówiła, że jak chłop raz poszedł w bok, to już zawsze będzie chodził. Przyłaził tu z kwiatami, na kolanach przeproszał, w ogóle nie docierało do niego, że go skreśliłam raz na zawsze. Aż go mamusia musiała przeganiać.

– Matka, a nie ojciec? – zdziwił się Adam.

– Bo ojciec to takie ciepłe kluchy. I nie jest wyrywny, żeby cokolwiek robić. Musi sobie najpierw wszystko przemyśleć, przekalkulować, a z niego to raczej taki bardziej wolnomyśliciel, jeśli wiedzą panowie, o co mi chodzi.

Mundek wiedział również to, że stary Krol raczej nie był bohaterem we własnym domu.

– Czy ostatnio Jakub nachodził panią albo pani matkę? Awanturował się albo kłócił?

– A to, to nie. Nawet on nie jest aż taki głupi, żeby pakować się na minę. Jakiś czas temu załatwiłyśmy z mamusią ciulowi sądowy zakaz zbliżania się. Ale dzwonił, listy wysyłał. Listy od razu darłam, a połączenia z nim zrywałam, jak tylko się zorientowałam, że zebrało mu się na gadanie. Zresztą najczęściej dzwonił napity.

Rozwód rozwodem, zdarza się, nawet często, myślał Mundek, ale zakaz zbliżania to już nie przelewki. Co się działo w tej na pozór porządnej rodzinie? Czy Zawojki już wcześniej pił, czy zaczął chlać bez opamiętania po rozwodzie? Wyrzucał sobie, że wcześniej, przed tą rozmową, nie poczytał, gdzie się dało, na temat Zawojkich i Krolów. Rozgrzeszył się jednak w duchu, że w podobnych przypadkach świetnie sprawdzała się strategia jego pierwszego przełożonego, jeszcze z krakowskich czasów, Wasiaka, nazywana przez niego rozpoznaniem walką. Pójść, popytać, a nóż widelec coś z tego wyniknie. Czasami dawało to efekty, czasami nie.

– Czy zakaz dotyczył także córki? – nagle wtrącił się z pytaniem Adam.

Zawojka w jednej chwili poczerwieniała, jej usta zadrgały. Ewidentnie była na skraju wybuchu, ale w ostatniej chwili powstrzymała się i wycedziła:

– Roksanka nie ma z tym nic wspólnego.

– Ale pani ojciec mówił, że utrudniały panie Jakubowi kontakt z córką.

Polański spojrział na Tyszkę, lekko zdziwiony. O tym nie miał pojęcia.

– A co on tam wie – kobieta machnęła ręką, w której trzymała nożyk. – Stary pierdzieli jak potłuczony. Tylko tyle potrafi.

– Czyli pani były mąż nie może się spotykać z córką? – Mundek chciał się upewnić.

– Jeszcze by tego brakowało.

– Dlaczego?

– Jakże, kurwa, dlaczego?

Wzbierała w niej furia.

– Proszę się uspokoić. I niech pani odłoży ten nóż, bo jeszcze przez przypadek zrobi pani komuś krzywdę. Sobie albo nam – Polański powoli tracił cierpliwość.

Nóż trafił prosto do garnka z ziemniakami. Mundek nie skomentował.

– Wracając, dlaczego nie chciała pani, żeby mąż, były mąż – poprawił się nadkomisarz, widząc wykrzywającą się twarz Zawojskiej – kontaktował się z córką?

– Bo to popieprzony, nieodpowiedzialny człowiek. Zwykły gnój niewart splunięcia. Nierób i pijak. No i nawet alimentów na czas nie płacił. Taki z niego dobry tatusiek, tak mu na Roksance zależy. Miałam oddawać córeczkę pod opiekę faceta, który przy niej pił? A może i coś jeszcze gorszego robił, kto go tam wie. Miałam pozwalać, żeby ten degenerat ją krzywdził?

Mundek powoli nabrał powietrza, po czym je wypuścił. Przemoc w rodzinie? Znęcanie się nad dzieckiem? Może nie poszło tylko o zdradę z sąsiadką? Tego rodzaju sprawy, w których między niegdyś bliskimi sobie ludźmi kłębiły się złe emocje, zwykle wydawały mu się trudniejsze do zniesienia niż najbrutalniejsze morderstwa, bo niełatwo było rozsypać węzeł wzajemnych pretensji, pomówień czy zwykłych kłamstw.

– Mąż bił córkę?

– Pewnie, posiniaczona od niego wracała, jak jeszcze byłam na tyle głupia, że pozwalałam mu ją zabierać na kilka godzin. Jak wróciła z guzem na głowie i obdartymi łokciami, powiedziałam „dosyć”.

– Pani Anno, dzieci czasami się przewracają i robią sobie krzywdę... – zaczął Polański.

– Sranie w banię – przerwała mu warknięciem. – Przy mnie czy przy mamusi takie wypadki Roksance jakoś się nie zdarzają. A pan to w ogóle ma pojęcie, o czym mówi? Ma pan dzieci?

– Trójkę – odpowiedział odruchowo.

– Ale pan chłop, to i co tam pan wie o zajmowaniu się dziećmi.

Mundek puścił to mimo uszu, bo nie chciał wdawać się w jałową dyskusję. Przecież wszystkie bliskie mu śląskie kobiety też były zdania, że faceci z założenia nie potrafią opiekować się dziećmi, a w ogóle dziecko plus facet z pewnością równa się katastrofie. Mniejszej lub większej. Jego zdaniem wcale nie musiało tak być, ale nie walczył z utrwalanym przez pokolenia przekonaniem po części z własnego lenistwa. Zajmować się dziećmi od święta – w gruncie rzeczy tak było mu wygodniej, choć z drugiej strony nigdy się nie migał, jeśli Beata prosiła, by pobył z dzieciarnią, pobawił się albo zabrał do kina na kreskówkę, na której zwykle rozpaczliwie walczył z sennością. Oczywiście, jeśli akurat nie był w środku śledztwa.

– Czyli pani zdaniem mąż mógł być niebezpieczny dla innych?

– Pewnie. Mamusia zawsze mi mówiła, że źle mu z oczu patrzy. A ja, głupia, nie słuchałam...

– Dobre, źle mu z oczu patrzy... – wymamrotał Adam pod nosem, ale zamilkł, gdy usłyszał syknięcie Mundka.

– Mógł skrzywdzić pani matkę? – drążył Polański.

– On był zdolny do wszystkiego.

Zawojska zamarła z półotwartymi ustami, jakby dopiero w tym momencie dotarło do niej, w jakim kierunku zmierza rozmowa.

– I myślicie, że to on... Że to przez tego złamasa mamusia...

– Na razie tylko sprawdzamy fakty.

– Zamknijcie gnoja! Natychmiast wsadźcie za kraty! Tyle razy po pijaku darł się tu pod domem, że zajebie.

– Kogo?

– No kogo? To chyba jasne, mamusię, mnie, wszystkich!

Mundek wstał, uznając, że powinien przerwać rozmowę z Zawojską, aby jej niepotrzebnie nie nakręcać. I tak była ponad miarę wzburzona.

– Będziemy się z panią jeszcze kontaktować, ale teraz chciałbym porozmawiać...

Nagle wtrącił się Tyszka:

– Mundek, wyjdźmy już. Nie mamy teraz czasu.

Nadkomisarz nie miał pojęcia, o co właściwie Adamowi chodziło. Czego jak czego, ale czasu mieli aż nadto. Jednak nie raz, nie dwa przekonał się, że Tyszka ma niezwykle wyczucie do rozmów i przesłuchań, rodzaj daru, który sprawiał, że wyciągał od ludzi więcej informacji, niż udawało się jego kolegom. Inna sprawa, że nie zawsze z tego daru korzystał. Tym razem coś kazało mu ewakuować się z domu Krolów. Mundek temu czemuś zaufał i skinął głową, mówiąc:

– Jasne.

– To ja odprowadzę.

Zawojska zerwała się z krzesła tak szybko, jakby tylko czekała na ten moment, i niemal pobiegła do przedpokoju.

Zanim Mundek z Adamem wyszli z kuchni, usłyszeli jeszcze jej wrzask:

– Po kiego dałeś jej farby!

Przyspieszyli kroku. Zobaczyli córkę Anny, której twarz, ręce i bluzkę z bohaterką bajki, której Mundek nie kojarzył, pokrywały różnokolorowe smugi. Za dzieckiem stał Krol i patrzył spod byka na córkę.

– Umarasiła się, wielkie mi co – powiedział pod nosem.

– Obiad robię, nie wiem, w co ręce włożyć, a ty nawet dzieciaka nie dopilnujesz. Chodź, Roksanko, mamusia cię umyje.

– Nie chcę – pisnęła dziewczynka.

Zawojska nic sobie nie robiła z protestów, chwyciła opierającą się córkę za rękę i pociągnęła w stronę łazienki.

Trzej mężczyźni stali w przedpokoju i patrzyli po sobie. Po chwili Krol westchnął i spytał:

– Kiedy?

– Co: kiedy? – zdziwił się Tyszka.

– Kiedy oddacie mi... – Krol nie dokończył zdania. Potarł szeroką, spracowaną dłonią po mocno zarosniętych policzkach. – Ślubną chciałbym pochować. Kiedy będę mógł?

– Na razie trudno mi powiedzieć – odpowiedział szczerze Mundek.

Adam podszedł do Krola i położył dłoń na jego ramieniu.

– Panie Krol, zrobię wszystko, żeby to było najszybciej, jak tylko się da.

Kiedy tylko wyszli na ulicę, Mundek spytał:

– Dlaczego nie chciałeś, żebyśmy teraz porozmawiali z Krolem?

– Wszystko ci wyjaśnię.

*

Za sto metrów skręć w lewo.

Nie wiedzieć czemu, Matei wydawało się, że nawigacja przemawia głosem starej zmęczonej kobiety. Może dlatego, że sam był znużony jak emerytka po trzygodzinnych zakupach w hipermarkecie.

– Dlaczego ciągle używasz nawigacji?

Łukowska nie odpowiedziała, jedynie prychnęła, nie odrywając wzroku od ulicy.

– Nie ogarnęłaś jeszcze Gliwic? Przecież mieszkasz tu już z pół roku. Albo i dłużej, nie?

– Nie, nie, nie – przedrzeźniła go. – O co ci, człowieku, chodzi?

– Właściwie o nic. Tylko dziwi mnie, że jeszcze nie jeździsz po Gliwicach na pamięć.

– A ty niby tak dobrze znasz ten twój zapyziały Sosnowiec?

– No pewnie, ale ja tam mieszkam od dziecka, więc...

– Taaa, i jako supermacho nigdy nie odpalasz nawigacji, bo tak robią tylko głupie baby, które nie mają orientacji w terenie, mapa to dla nich niepojęty rysunek pełen kolorowych kresek i znaczków, a północ rozpoznają po mchu na drzewie. O ile wiedzą, co to mech.

Zamknij się, po prostu się zamknij – napominał się w myślach – *nie odzywaj się, nie komentuj, w ogóle najlepiej, jakbyś był niemy i głuchy na dokładkę.* Rozmowy z Renatą nigdy nie należały do najłatwiejszych, przypominały spacer po polu minowym. Nigdy nie wiedział, co ją może rozdrażnić. Jednak na początku ich znajomości chyba lepiej sobie radził. Z pewnością o niebo lepiej

niż Polański czy Tyszka. Przynajmniej tak mu się wydawało. Może bardziej się starał, może mocniej mu zależało. Prawdopodobnie działało się tak samo w drugą stronę. Akcja i reakcja. Niewykluczone też, że kilka miesięcy wcześniej Renata wykazywała się większą cierpliwością, bo trochę się czała, dopiero poznając i jego, i wszystkich kolegów w Kato. Pewnie od jakiegoś czasu zwyczajnie jest sobą. Czy mu się w takiej odsłonie podobała? Trudno powiedzieć. Miał głębokie przekonanie, że mało kto jest w stanie szybko wyprowadzić go z równowagi. Łukowska bez wątpienia posiadała ten dar.

Jechali na południe Gliwic długą, prostą jak strzełił ulicą Księdza Dzierżona, wzdłuż której ciągnęły się prywatne posesje i domki jednorodzinne. Przeważnie nie za nowe i nie za piękne. W pierwszej chwili chciał spytać Renatę, czy może wie, kim był ten ksiądz i czym zasłużył sobie na nazwę ulicy, ale uznał, że nie ma to najmniejszego sensu. I tak by mu pewnie nie odpowiedziała. On po prostu lubił wiedzieć, tak miał od dziecka. Choćby nawet zdobyta wiedza była mu całkowicie zbędna. Tyszka czasami się z niego podśmiewał, że gdyby urodził się dwie albo trzy dekady wcześniej, do poduszki zamiast bajek czytałby encyklopedię. Wielotomową. Uruchomił tablet, sprawdził. Dzierżon był nazywany „ojcem polskiego pszczelarstwa”. Ale że ksiądz pszczelarz? Pasterz pszczół, dobre. Dzierżon odkrył zjawisko partenogenezy u tych owadów. A co to takiego?

– Jesteśmy – rzuciła Renata, parkując przed domem stojącym szczytem do ulicy.

Zanim doszli do drzwi, usłyszeli ujadanie psa. Otworzyła im młoda, właściwie bardzo młoda dziewczyna, która miała na sobie – zdaje się – jedynie koszulę. Za dużą i zdecydowanie męską. Delikatnie czuć było od niej alkohol.

– Taaa? – rzuciła, tłumiąc ziewanie i mierzwiąc rozczochrane włosy.

Przedstawił siebie oraz Renatę i spytał:

– Zastaliśmy Szmatlocha?

W oczach dziewczyny pojawiło się szczere zdziwienie.

– Ale że niby kogo?

– Huberta Szmatlocha – doprecyzował. – Tu jest zameldowany.

– Aaa, Hubiego. Jeśli Hubiego, to go nie ma.

Łukowska się skrzywiła.

– Mów, dziewczyno, gdzie on jest. Nie mamy czasu.

– Do pracy pojechał.

– Przy sobocie? – zdziwiła się Renata.

– On ma komis samochodowy przy Kozielskiej – dziewczyna nie do końca opowiedziała na pytanie.

– To wiesz, gdzie pracuje, a nie pamiętasz, jak ma na nazwisko? – Renata wbiła w nią wzrok.

– Bo opowiadał, gdzie i co robi. A do nazwisk to ja pamięci nie mam – odparła młoda, zupełnie niespeszona.

– Poczekaj, poczekaj... A ile ty właściwie masz lat?

Zanim dziewczyna zebrała się do odpowiedzi, Krzysiek rzucił krótkie „jedziemy” i pociągnął Renatę w stronę auta. Do dziewczyny z opóźnieniem dotarło, kto z nią rozmawiał, bo wykrzykiwała za nimi:

– Ale co się właściwie stało? Czego chcecie od Hubiego?

Zignorowali ją. Renata wyszarpnęła ramię z jego uścisku i wsiadając do samochodu, wycedziła:

– Ona może być nieletnia.

Krzysiek wzruszył ramionami.

– Nie sądzę. A jeśli nawet, to nie jest nasz problem, przynajmniej nie w tym momencie.

Wstukwała dane w nawigację i ruszyła z piskiem opon.

– Może i nie nasz, ale na pewno jej – mówiła chyba bardziej do siebie niż do niego. – Choć pewnie jeszcze sobie z tego nie zdaje sprawy. Co takie pipy mają we łbach? Pcha się facetowi do łóżka, a wcale go nie zna. Żeby nazwiska nie zapamiętać...

– Renata, wyluzuj.

– Odezwał się ten wyluzowany jak skejt po trawie.

Tym razem skutecznie powstrzymał się od riposty. Żadne z nich się już nie odezwało, aż dotarli do komisju o niezbyt wyszukanej nazwie Hubi-Auto. Zaparkowali na średniej wielkości placu, na którym w rzędach stały samochody. Raczej starsze niż nowsze. Kręciło się tam dwóch mężczyzn, którzy odczytywali wetknięte za przednie szyby kartki z podstawowymi danymi wozów, kopali w opony, jakby ten starożytny zwyczaj kupujących miał im objawić całą prawdę i tylko prawdę o stanie technicznym. W róg placu był wciśnięty parterowy budynek z małymi oknami, który na pierwszy rzut oka wyglądał niczym dworcowy szalet. Z tych wolno stojących, budowanych za PRL-u. W niewielkim pomieszczeniu stały biurko, stolik kawowy z małą sofą i fotelem. W rogu tkwił spory kaktus, który sprawiał nieco absurdalne wrażenie w ten szary, zimny lutowy dzień. Jak element dekoracji do zupełnie innego filmu. Za burkiem siedział przypakowany mężczyzna o krótko obciętych włosach, siwawych na skroniach, który na ich widok rzucił niegłośne:

– Dzień dobry.

– Pan Hubert Szmatoch?

– A kto pyta?

Krzysiek przedstawił siebie i Renatę. Mężczyzna bez słowa skinął głową, co Łukowska wzięła za potwierdzenie, że zrozumiał i przyjął informację, bo zaraz spytała:

– Czy jest pan właścicielem czarnego volkswagena golfa o rejestracji SG84779?

Wyrecytowała numery, nie zaglądając do notesu. Krzyśka nieodmiennie zadziwiała jej fotograficzna pamięć, tym bardziej że sam miał problemy nawet z zapamiętywaniem nazwisk. O cyfrach nie wspominając.

– Mam różne auta, więc...

– Stary, pewnie bity, bo miał wymieniany błotnik.

– Aaa, ten rzęch. No tak jakby jest mój.

– Jeździł pan nim wczoraj?

– A o co właściwie się rozchodzi? Ukradł go ktoś czy co? Albo rozwalił? Nawet bym się ucieszył, może jakieś grosze z ubezpieczenia by wpadły.

– Pytane było – Renata wbiła zimny wzrok w Szmatlocha. – Pan odpowie.

– Kumpel nim jeździ. Od dawna.

– Kto taki?

– Jakubek, w sensie Zawojski.

Renata spojrzała wymownie na Krzyśka.

– No to mamy do pogadania – rzuciła i przysiadła na rogu biurka.

Mateja przyciągnął fotel i rozsiadł się w nim.

– Ale ja w robocie jestem.

– Jak widzę, tłum tu nie wali drzwiami i oknami – powiedziała. – Od kiedy się znacie z Zawojskim?

– To długa historia.

– Posłuchamy.

Szmatloch poobracał w palcach paczkę papierosów, odłożył na biurko. Odjechał fotelem na kółkach w tył i założył nogę na nogę.

– Poznaliśmy się właściwie przez baby – zobaczył ściągnięte brwi Renaty i zaraz dodał: – Z przeproszeniem. Jakubek miał warsztat. Swoją drogą, niezły z niego jest mechanik, prawdziwy fachura. Czasami coś tam u niego naprawiałem dla siebie i dla firmy. Ale wtedy znaliśmy się o tyle o ile, jak to z fachowcem. Robiliśmy biznesy, nic więcej. Zakumplowaliśmy się bliżej, kiedy zaczął mieć problem z... – przerwał na moment. – Ze starą swoją. Nieźle go przeczogąła do spółki z tą jej mamuszką z piekła rodem.

Krzysiek chciał się wbić z pytaniem, ale Renata powstrzymała go gestem dłoni.

– Kiedy zaczęliście się kumplować? – spytała.

– Będzie z półtora roku. Może trochę mniej – Szmatoch przerwał. Przejechał dłonią po głowie. – A tak w ogóle to o co biega? Coś się stało z Jakubkiem?

W jego głosie Krzysiek nie wychwycił nawet najmniejszej nuty niepokoju. Tacy z Zawojkim byli przyjaciele?

– Dojdziemy i do tego. Pan powie więcej o tej przyjaźni. Jak to się zaczęło i jak dobrze się znacie?

– Wtedy już sam mieszkał, bo go to jego blond bóstwo zostawiło i spyliło z dzieckiem do mamusi. Jeszcze kazała mu się odwieźć do starych, wyobrażacie sobie, jaka bezczelna?

Łukowska tylko wzruszyła ramionami.

– Dlaczego żona go zostawiła?

– Tak do końca nie wiem, nie dopytywałem, bo to nie moja sprawa.

– To chyba jednak Zawojki nie był pana za dobrym kumplem – skomentowała Renata.

Szmatoch zignorował uwagę i ciągnął dalej:

– Najpierw to tylko raz czy drugi pogadaliśmy sobie jak facet z facetem przy browarze. Dopiero jak już się rozwodził, a potem walczył o córę, byliśmy bliżej. Pomagaliśmy mu, bo go była mocno skubnęła na rozwodzie, a potem jeszcze ciągała po sądach rodzinnych, żeby mu utrudnić kontakty z dzieckiem.

– Pomagaliśmy, to znaczy kto? – dopytała Łukowska.

Właściciel komisju znowu przejechał dłonią po głowie.

– Też jestem rozwodnikiem po przejściach. Moja była poszła ze mną na wojnę, ale ze mną nie ma miękkiej gry. Nie pozwolę, żeby byle kto mnie poniewierał. Poszukałem, popytałem i trafiłem do takiej jednej fundacji. „Niepokonany Tato” się nazywa. Spodobało mi się, co chłopaki robią, i też zacząłem u nich działać. Oczywiście, na ile mi czas pozwala.

– Czym się fundacja zajmuje? – Krzysiek spytał jedynie z ciekawości, bo nie sądził, żeby informacje na temat tej organizacji przydały się na obecnym etapie śledztwa.

– Głównie wspomaganie ojców, którzy starają się o uzyskanie opieki nad dziećmi. Załatwieniem pomocy prawniczej czy psychologicznej, o ile taka jest potrzebna. Tak ogólnie pomaganiem chłopakom, którym rozwody rozwaliły życie. We wszystkim, z czym nie za bardzo sobie radzą. Wsparciem, jednym słowem.

– Prawdziwa solidarność jader – skomentowała Renata pod nosem.

– Co takiego? – Szmatoch się zjeżył.

– A nic. I pomagaliście Zawojkiemu, tak? – spytała.

– Tak, tylko trochę za późno uznał, że sam sobie za cholere nie poradzi z tematem. Taki typ, twardy i charakterny, ale do czasu. Jak większość z nas

zresztą. Po rozwodzie został goły i wesoły, potem rachunki od adwokata go dobiły. Ale mu pomogliśmy. To znaczy głównie ja do Jakubka wyciągnąłem rękę.

– Co pan zrobił?

– Jak Jakubek stracił swój warsztat, dałem mu robotę. Ma chłopak rękę do aut, każde tak podrasuje, że chodzi jak nówka nieśmigana.

Mateja był niemal pewien, że Hubi-Auto należy do tych szemranych komisów samochodowych, których właściciele wciskają klientom na szybko i tanio podrasowane graty, opowiadając przy okazji rzewne historie o poprzednim właścicielu, który płakał, jak sprzedawał.

– I dał pan Zawojskiemu tego golfa? – Łukowska chyba uznała, że już dosyć nasłuchiwała się o smętnym życiu upadłego mechanika i czas przejść do konkretów.

– Użyczyłem, żeby to tak precyzyjnie określić.

– Od kiedy nim jeździł?

– A gdzieś tak przed Bożym Narodzeniem jego mazda się całkiem zdupiała, więc dałem mu tego rzęcha. I tak stał i tylko rdzewiał.

– I później pan już nie jeździł tym samochodem?

– A mało to mam aut... Ale zaraz, powiecie mi w końcu, o co biega z tym golfem?

– Uczestniczył w zdarzeniu drogowym – powiedziała Renata tak, by w gruncie rzeczy nic konkretnego nie powiedzieć.

Szmatloch się skrzywił.

– Z was coś wyciągnąć, to jak od ubezpieczyciela kasę. Co się wydarzyło? I tak w ogóle co z Jakubkiem? Chyba nic mu się nie stało, nie? – wreszcie zainteresował się losem kumpla.

Łukowska zignorowała jego pytania i sama rzuciła:

– Gdzie pan był wczoraj po siedemnastej?

Szmatloch wbił w nią wzrok.

– Tak pogrywacie... Wcale nie muszę odpowiadać na wasze pytania. Dobrze znam swoje prawa.

– Oczywiście, że nie. Ale niech się pan zastanowi, czy warto nas denerwować. Współpraca bywa opłacalna.

Mężczyzna milczał przez chwilę. Pewnie, jak na człowieka biznesu przystało, robił w myślach błyskawiczny bilans ewentualnych zysków i strat.

– Po robocie skoczyłem do pubu.

– Ktoś to może potwierdzić?

Szmatloch prychnął.

– Barman i Agnieszka. Pewnie też z kilkanaście innych osób, które tam akurat były.

– Ta nieletnia siksa, którą spotkaliśmy w pana domu?

Właściciel komisur uniósł się z fotela i pochylił w stronę Łukowskiej. Jego oczy się zwęziły.

– Posłuchaj, paniusiu, to, że masz w kieszeni blachę, nie znaczy, że możesz sobie ze mną lecieć w kulki. A Agnieszka ma tyle lat, ile trzeba. Życie mnie nauczyło, że z babami – ostatnie słowo wypowiedział powoli i dosadnie – trzeba ostrożnie.

Renata zeskoczyła z biurka i zanim ruszyła do drzwi, powiedziała:

– Facet, który uczy się na błędach. Naprawdę rzadki okaz. Do widzenia.

Skinęła na Krzyśka. Już stojąc w drzwiach, dodała:

– Bo na pewno jeszcze się zobaczymy.

niedziela, 9 lutego 2013

Wszystkie dzwony biją, bim, bam, bom, bim, bam, bom...

W pierwszej chwili Renata nie miała pojęcia, dlaczego z zakamarków jej pamięci wyskoczyła dziecięca piosenka o panu Janie. Pewnie dlatego, że był najwyższy czas, żeby zwlec się z łóżka. Otworzyła oczy, ale zaraz je ponownie zamknęła, bo promienie zimowego słońca niczym szpilki wbiły się w źrenice. Mogła wieczorem poprzestać na jednym czerwonym winie, jednak miała przed sobą wolny dzień, a obok kolejną, jak najbardziej pełną, butelkę. Grzech było nie skorzystać. Czemu, do cholery, myślała o grzechach i dzwonach? Uświadomiła sobie, że obudziły ją dźwięki płynące nad centrum Gliwic z kościelnych dzwonnicy. Wymacała komórkę na stoliku i jednym okiem, ledwo rozchyłając powieki, spojrzała na wyświetlacz. Minęło południe.

Po krótkim chłodnym prysznicu doszła do siebie. Nie licząc na zbyt wiele, otworzyła lodówkę, jednak widok pustych półek mimo wszystko ją zaskoczył. Kiedy ostatnio robiła większe albo właściwie jakiegokolwiek zakupy? Nie pamiętała, raczej dawno, bo przed sobą miała opakowanie jogurtu naturalnego, połówkę przywędłego pomidora, oczywiście musztardę, bo bez niej trudno było przełknąć parówki, którymi ostatnio żywiła się najczęściej, oraz nieruszone opakowanie margaryny. Skąd się wzięło w jej lodówce, skoro zdecydowanie wolała masło? Musiało pozostać z darów Matei, który od czasu do czasu wpadał na pomysł, żeby zrobić jej zakupy, podkarmić zdrowszą żywnością, zwykle nie pytając wcześniej, czego naprawdę potrzebuje albo na co ma ochotę. Dobrze chociaż, że nie głądził o wyższości wegetarian nad mięsożercami. A w knajpach zamawiał dla siebie frykasy z warzyw, nie pytając, czy przypadkiem też nie zjadłaby tej przepysznej sałatki z jarmużem. Tak czy siak, nie miała niczego, z czego dałoby się zrobić choćby najprostsze, jako tako sycące śniadanie. A porządnie najść się musiała, żeby zdusić kaca, najlepiej czegoś tłustego i bez wątplenia niezdrowego.

– Kawa i papieros na ten moment wystarczą. Muszą – zarządziła.

Jakiś czas temu zauważyła, że coraz częściej zdarza jej się – co tu kryć – mówić do siebie. Na szczęście tylko wtedy, kiedy była w mieszkaniu. Uznała, że na razie nie ma powodów do niepokoju. Inni przemawiali do kotów czy psów, a jedna z jej warszawskich przyjaciółek gadała z roślinami i puszczała im

muzykę, utrzymując, że dzięki temu lepiej rosną i są odporniejsze na choroby. Renata przynajmniej zagadywała do człowieka. I co z tego, że do siebie, przynajmniej wiedziała, czego po takiej konwersacji się spodziewać.

Po kawie i pierwszym papierosie zastanowiła się, co zrobić z tak pięknie, choć późno zaczęłą niedzielą. Poza koniecznymi zakupami. W gruncie rzeczy nigdzie nie musiała się spieszyć, przecież nie miała nic konkretnego do zrobienia. Głównie dzięki Polańskiemu, który postanowił, że w sprawie kobiety rozjechanej na pasach kolejne czynności spokojnie mogą podjąć w poniedziałek. W sumie szef miał trochę racji, śledztwo potoczyło się błyskawicznie, kejs nie wydawał się skomplikowany, a podejrzanego, co więcej – bardzo podejrzanego, mieli już w garści, więc mógł spokojnie trzeźwieć i kruszeć w areszcie do poniedziałku. Jednak ona rozegrałaby to inaczej, przede wszystkim dlatego, że wolała działanie niż wyczekiwanie. Tak zwyczajnie miała.

Zrobiła kolejną kawę, zapaliła i wypuściła ku sufitowi kilka kształnych kółek dymu. Chciała poukładać sobie w głowie to wszystko, co zrobili i ustalili podczas sobotniego śledztwa. Wczoraj, zaraz po tym, jak z Krzyśkiem wyszli od Szmatocha, zadzwoniła do Polańskiego, by potwierdzić, że golfem, który brał udział w piątkowym zdarzeniu, niemal na sto procent kierował Zawojwski. Nadkomisarz odparł, że już polecił zamknąć podejrzanego w areszcie. Musiała przyznać, że Mundek miał nosa i wyczucie, może nie tak wielkie jak ona, ale jednak. Poprosił, by wrócili jeszcze do fabryki na krótką odprawę.

Najpierw podrzuciła Krzyśka pod blok Zawojskiego, gdzie jej chłopak nie chłopak zostawił samochód. Po drodze Mateja powiedział, że jego zdaniem Szmatoch może nie łągał w żywe oczy, ale z pewnością coś ukrywał. Zgodziła się. Podczas rozpytania też wyczuła, że właściciel komisju ściemniał. Nie widziała jednak potrzeby, by podczas pierwszej rozmowy go dociskać. Poza tym na razie zbyt mało wiedzieli o Zawojskim i jego rodzinie, żeby zadawać konkretniejsze, trafiające w sedno pytania. Przez chwilę przeszło jej przez myśl, że może nie najlepiej pograła ze Szmatochem, że może więcej by z niego od razu wyciągnęli, gdyby rozpytanie poprowadził Krzysiek. Ten – jak go nazywało tamto nierozsądne dziewczę – Hubi ewidentnie jeżył się na widok kobiety, która czegoś od niego chce i zadaje niełatwe pytania. Nienawidził kobiet? Niewykluczone. Z założenia nie znosiła takich facetów. I nie zamierzała wnikać, czy jakakolwiek kobieta dała mu powody do nienawiści.

Kiedy wczoraj weszła do gabinetu Polańskiego – jako ostatnia, bo nie spieszyła się do fabryki – trwała tam niemal weekendowa fiesta. Nadkomisarz spokojnie popijał kawę, Tyszka pożerał gigantycznego hamburgera, a Mateja krzywił się na ten widok. Może był głodny albo odezwała się jego wegetariańska szajba. Szef pokrótce opowiedział, czego dowiedzieli się od Zawojskiej,

pochwalił Adama, że ten odwiódł go od rozpytania ojca kobiety. Spięty mężczyzna najpewniej nie chciałby się wywnętrzać w obecności córki, poza tym informacje, które mógł mieć, nie były im w tym momencie niezbędne. Jej zdaniem Mundek chwalił Adama ponad miarę, czy było to potrzebne, czy nie. Skrzywiła się, ale nie podzieliła się swoimi wątpliwościami, czy ci dwaj powinni się afiszować w robocie z kumpelskimi relacjami. W końcu – nie jej broszka – to Polański kierował zespołem. Za to streściła rozmowę ze Szmatlochem. Zdaniem nadkomisarza, chociaż prawie wcale się nie napracowali, zbliżali się do zamknięcia sprawy. Napięte relacje między Zawojskimi, kłótnie o dziecko, nienawiść Jakuba do teściowej... Złe emocje narastały, a alkohol sprawił, że Zawojski stracił panowanie nad sobą i stało się, co się stało.

Wszyscy zgodzili się, że to bardzo prawdopodobny scenariusz. Wystarczyło jedynie przesłuchać w poniedziałek Zawojskiego i uzyskać przyznanie się do winy. Na wszelki wypadek Polański polecił Krzyśkowi, aby przeszukał wszelkie bazy w poszukiwaniu informacji o zdarzeniach z udziałem Zawojskich, bo z tego, co powiedzieli córka denatki i jej ojciec, przynajmniej niektóre z kłótni pomiędzy byłymi małżonkami musiały się kończyć interwencjami policji. Adam przypomniał, że wypadałoby powiadomić nowego prokuratora, Sebastiana Kroka, o postępach w sprawie i przede wszystkim o zatrzymaniu podejrzanego, mimo że prawnik od piątku nie dawał znaku życia, jakby sprawa śmierci Krolowej zupełnie go nie interesowała. Polański najpierw się zdziwił, że sprawy nie prowadzi prokurator Aldona Mrozowska, i spytał, czy znają Kroka. Tylko pokręcili głowami. Na pytanie nadkomisarza, co dzieje się z Mrozowską, też nikt nie znał odpowiedzi. Jedno było pewne – nikt za nią przesadnie nie tęsknił.

Renata zgasiła kolejnego papierosa. Zaburczało jej w brzuchu. Zrobić sobie jeszcze jedną kawę? Trzecia kawa na pusty żołądek byłaby przesadą nawet jak na jej specyficzne standardy i potrzeby żywieniowe. Wczoraj, nim otworzyła pierwsze wino, zrobiła pranie, więc dzisiaj ściągnęła z ustawionej przy piecu suszarki czyste ubrania. Jak niedziela, to niedziela. Zamierzała podjechać do marketu, by od razu zrobić zapasy na tydzień albo i dłużej. Wzięła kartkę i zaczęła spisywać listę zakupów, ale po zanotowaniu trzech punktów i kilku minutach wpatrywania się w ścianę zmięła ją i cisnęła do kosza na śmieci. Nigdy nie miała do takich zajęć cierpliwości, a sporządzanie planów wychodziło jej tylko w robocie. Uznała, że żadna strata, żaden stres. Tradycyjnie weźmie to, co akurat wpadnie jej w ręce, a jak o czymś zapomni – trudno. Dawno temu utwierdziła się w przekonaniu, że z łatwością obywa się bez rzeczy i produktów, bez których większość kobiet nie wyobraża sobie życia.

Obok drzwi sąsiedniego mieszkania na drewnianej ryczce siedział posunięty w latach mężczyzna, ćmiąc cygareta.

– A dzień dobry pani ładnej.

– Dobry, panie Rysiu.

Emeryt był jedynym mężczyzną, któremu bezkarnie pozwalała w ten sposób się do siebie zwracać. Pan Rysio często przesiadywał na klatce schodowej kamienicy, bo jego ślubna nie pozwalała mu palić w mieszkaniu. Jako palacze szybko znaleźli nić porozumienia, a ona zwyczajnie polubiła pogodnego i bezkonfliktowego staruszka, który do tego miał jedną wielką zaletę – nie był wścibski. W odróżnieniu od jego małżonki, która perypetie sąsiadów śledziła z równym zaangażowaniem jak losy bohaterów serialowych tasiemców.

– Papieroska? – spytał, wyciągając w jej stronę pomietą paczkę.

– A nie, dziękuję. I tak już za dużo dzisiaj wypaliłam.

– To teraz, widzę, spacerek dla zdrowotności, tak? Bo chyba nie do kościoła.

Zaśmiał się, a ona mu zawtórowała. Pan Rysio szczerze nienawidził Kościoła w ogóle, a okolicznych farorzy w szczególności. Chętnie opowiadał o kłótniach z żoną, która była, jego zdaniem, świętsza niż synod biskupów, ale jedynie poza domem, bo w mieszkaniu wciąż grzeszyła myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem. Renata podejrzewała, że czerpał z tych opowieści niezdrową podniecie, zdając sobie sprawę, że ślubna najpewniej podsłuchuje za drzwiami.

– Do marketu jadę, bo w lodówce mam tylko szron.

– Bo wy, młodzi, wcale o zdrowie nie dbacie – powiedział pan Rysio z pełną powagą, gasząc niedopałek w przepelnionej popielniczce. – A dobre, syte jedzenie to podstawa.

– Może przy okazji coś panu kupić?

– Z tym jechaniem i kupowaniem to chyba pani ładnej dzisiaj nie wyjdzie.

– Dlaczego? – zainteresowała się.

– Jak mnie rano stara z psem na spacer pognała, widziałem, że ma pani kapturka w samochodzie.

– Ale jak to? – szczerze się zdziwiła. – Wczoraj wszystko było okej.

– Teraz to nie te materiały i nie ta robota co kiedyś. Wszystko się szybko dupi, bo to...

Reszty przemowy nie usłyszała, bo pomknęła schodami w dół. Może miała lekkiego fioła, ale swoje audi traktowała niemal jak dziecko, na które trzeba chuchać i dmuchać. Przebiegła przez podejrzaną zalatującą stęchlizną bramę kamienicy. Gdzie wczoraj zaparkowała? Rozejrzała się w prawo i lewo, namierzyła wzrokiem samochód, co nie było trudne, bo ulica Świętej Cecylii była bardzo krótką uliczką, łączącą równoległą do średnicówki Franciszkańską z ulicą Błogosławionego Czesława. Gdy podbiegła do audi, oddychała coraz szybciej. Powoli obeszała je dookoła. Zamarła w pół kroku na środku ulicy. Ramiona jej opadły.

– No do kurwy wynędniałej! – wrzasnęła, mając gdzieś, czy ktoś ją usłyszy.

Błogosławiony Czesław tej nocy najwyraźniej nie czuwał nad jej samochodem.

*

Adamowi nie chciało się wkładać kurtki, więc miał za swoje, bo coraz bardziej marzł, stojąc na balkonie i paląc. Temperatura od kilku dni wciąż utrzymywała się w okolicach zera, ale wilgoć sprawiała, że chłód był dojmujący. Zdusił wypaloną w połowie fajkę i wrócił do mieszkania. Powinien coś zjeść, w lodówce miał obiad od pani Basi. Pomyślała o nim, choć wcale się nie dopraszał, żeby go dokarmiła. Jedzenie podrzucił mu jej syn, kiedy rano przyjechał po ojca Adama.

– Łojciec by już u niej zamieszkał – mrucał Adam pod nosem. – Skończyłyby się korowody z odwożeniem i przywożeniem.

Był jednak pewien, jak starzik skwitowałby taką propozycję słowami: Przed ślubem? Nigdy.

Poczłapał do kuchni, otworzył lodówkę. Rolada, kluski śląskie i modra kapusta, czyli tradycyjny śląski zestaw obiadowy na niedzielę, były zapakowane w oddzielne plastikowe pojemniki i opisane. Z miejsca zeźlił się na panią Basię, która traktowała go jak gówniarza, któremu wszystko trzeba podtykać pod nos i na wszelki wypadek kluczowe kwestie wypowiadać wyraźnie, dużymi literami, a najlepiej powtórzyć kilka razy, żeby na pewno dotarły. Bo chłop bez baby to jakby pół chłopca. Wybrakowany i nieporadny. Taki to nawet, wychodząc z domu, sznurówek w trzewikach nie zawiąże, bo zapomni, a potem zwali się ze schodów i łeb potrzaska. W dwóch słowach – sierota boża.

Minęła mu ochota na jedzenie, poszedł do dużego pokoju i włączył telewizor. Skakał po kanałach. Gadające głowy spierające się o polityczne bzdury, które interesowały jedynie naiwniaków wciąż wierzących, że ich głos wyborczy cokolwiek w tym kraju znaczy i zmieni, bezpośrednia relacja z najnudniejszej konkurencji sportowej świata, czyli skoków narciarskich, program motoryzacyjny i jego nakręcenie jak bączki prowadzący, zachwalający zalety samochodu, na który nigdy nie będzie go stać. Wyłączył odbiornik.

A może by tak napić się piwa przy niedzieli? Nie miał w domu choćby marnej butelki najzwyczajszego browaru, bo odkąd obiecał Eli, że ograniczy picie – czy właściwie popijanie, jak to sam określał – starał się nie kupować alkoholu na zapas, żeby go nie kusilo. Zawsze jednak mógł pójść do baru znajdującego się niemal pod blokiem. Ale przecież obiecał Eli... Jasne, tylko że Eli z nim nie było i o niczym nie musiała wiedzieć. Tym bardziej że go dzisiaj

olała. Tak jakby. Wczoraj stwierdziła ze spokojem, że zaplanowane na sobotę zakupy równie dobrze mogą zrobić w niedzielę. Zadzwonił więc rano z pytaniem, kiedy się spotkają, ale wymówiła się, że wypadła jej nieplanowana robota. Niby nie było w tym nic dziwnego, bo kobieta jego obecnego życia, Elżbieta Malinowska, była kuratorką sztuki w Galerii Szyb Wilsona w Katowicach i często załatwiała różne sprawy poza oficjalnymi godzinami pracy. Także w weekendy. Tłumaczyła, że tak właśnie wygląda robota z artystami, że trzeba w niej zachować elastyczność.

Adam zdążył się już do tego przyzwyczaić, ale teraz, siedząc sam w pustym mieszkaniu, zaczął kombinować, że być może Ela w ten niezbyt wyszukany i trochę pokrętny sposób odgrywa się na nim za to, że wczoraj się z nią nie spotkał, nie pojechał na obiecane zakupy, bo to jemu wypadła nagła robota. Wet za wet. Nie chciał się nad tym zastanawiać, bał się, że niepotrzebnie się nakręci, zezłości na Elę. Uznał, że jednak nie wysiedzi w chałupie bez konkretnego zajęcia, bo jeszcze zrobi coś głupiego. Właściwie jedyną możliwą rzeczą, czyli pochła. Zdjął kurtkę z wieszaka, wzuł buty i zgarnął z szafki kluczyki do auta.

Jadąc w stronę Kato, nie miał pomysłu, co ze sobą zrobić, a nie lubił kręcić się bez sensu po okolicy. Wystarczało mu jeżdżenia po Katowicach i okolicznych miastach w trakcie roboty. Wielbicielem spacerów nigdy nie był, pogoda też nie nastrajała do przechadzek dla sportu i rekreacji, bo wprawdzie nie padało, ale nieodmiennie od kilku dni było szaro, buro i ponuro. Dopiero kiedy zamajaczyła mu w oddali wieża zabytkowego Szybu Jerzy, który kiedyś był częścią kopalni Gottwald, a obecnie stanowił znak rozpoznawczy centrum handlowego Silesia, postanowił, że jeśli już jest w tej okolicy, może zajechać na zakupy. A właściwie nawet powinien.

Centrum Silesia od początku było ogromne, a po rozbudowie w 2011 roku stało się wręcz gigantyczne, co miało swoje plusy i minusy. Właściwie dla Adama ledwie jeden plusik, bo poza okresami okołoswiątecznymi nie było tam wielkiego problemu ze znalezieniem miejsca do parkowania. Poza tym nie znosił Silesii, podobnie zresztą jak wszelkich innych ponad miarę rozrośniętych przybytków handlu i konsumpcji. Chodził powoli w gęstym tłumie ludzi przemieszczających się alejami, które – zdawać by się mogło – nie miały końca, i odczytywał nazwy mijanych sklepów. W większości przypadków zupełnie nic mu nie mówiły, o rodzaju oferowanych w nich towarów dowiadywał się jedynie z wystaw. O tyle o ile. Jednak główny problem polegał na tym, że nie za bardzo wiedział, czego szuka. Jasne było tylko jedno – musiał kupić prezent ślubny. Nigdy nie miał głowy do wymyślania oryginalnych prezentów, kiedy trzeba było, kupował bliskim coś, właściwie cokolwiek, co akurat wpadało mu w ostatniej chwili w ręce.

Łojcu przez ostatnie lata sprawiał albo skarpetki, albo czapki, gdy chciał mu nie wprost zasugerować, że za rzadko wychodzi z domu. Eli na ostatnią Gwiazdkę kupił wymyślne kolczyki w małym zakładzie wytwarzającym artystyczną biżuterię, poleconym mu przez żonę Mundka. I był to, z tego, co pamiętał, jedyny naprawdę przemyślany i zaplanowany prezent, który zrobił od dobrych dwudziestu lat. Albo i więcej. Ale prezent ślubny czy weselny? Nie miał nawet pojęcia, jak ten rodzaj prezentu prawidłowo się nazywa. Dobrze, po prostu prezent na nową drogę życia. Ale o jakiej znowu „nowej drodze życia” można było mówić w przypadku pani Basi i jego starzika, czyli państwa młodych, którzy mieli już w życiu – oby żyli jak najdłużej, tego przecież szczerze im życzył – zdecydowanie z górki? Przypominał sobie wesela, nie tak znowu liczne, na których był, i prezenty, które wtedy dawał. Najczęściej była to kasa w kopercie, tak, oczywiście, szczyt łatwizny, albo coś z listy prezentów, którą młodzi udostępniali przed ślubem. Wydawało mu się, że popełniłby gruby nietakt, gdyby dał ojcu kasę do ręki. A coś do domu, nowego domu, bo łojciec przecież planował przeprowadzkę do pani Basi. Przecież, do cholery, nie kupi im sokowirówki albo kompletu pościeli! Choć z nowej sokowirówki pani Basia, która rok w rok zapełniała piwnicę domowymi przetworami, pewnie by się ucieszyła.

Adam poczuł dojmujący brak Eli. Ona wiedziałaby, do jakiego sklepu pójść, żeby kupić prezent, który sprawi radość jego ojcu, bo w gruncie rzeczy na zadowoleniu rodzica głównie mu zależało. Na pewno by mu pomogła, tak jak z chęcią pomagała mu od półtora roku w życiowych sprawach większego i mniejszego kalibru. Może faktycznie w gadaniu, że chłop bez baby jest jakby niekompletny, było trochę racji.

Nagle Adam stanął jak wryty. Ktoś wpadł na niego i zaklął. Zignorował typa, wpatrując się we wnętrze niewielkiej kawiarni.

Nigdy nie wierzył w przyciąganie dusz, bliskość tak wielką, że ludzie odgadują myśli partnera czy wiedzą, jakie wypowie słowa, nim otworzył usta. Fakt był jednak taki, że ledwo pomyślał o Eli, zjawiła mu się przed oczami. Stała przy barze kawiarni, pewnie czekając na zamówienie. Przypadek? Jeśli tak, jak wolał myśleć jako zdeklarowany racjonalista, to sympatyczny. Tyle że racjonalista w jego głowie był jednocześnie policjantem. Ela miała być w robocie, a natknął się na nią w centrum handlowym. Właściwie jednak, kiedy rozmawiała z nim przez telefon, nie powiedziała, gdzie dokładnie będzie, a on nie spytał. Mogła umówić się na spotkanie poza miejscem pracy, z tego, co wiedział, często tak robiła.

Poczuł ukłucie niepokoju. Poszedł przed siebie, ale po kilkudziesięciu metrach zawrócił, przeszedł na drugą stronę alejki i ustawił się tak, by widzieć

wnętrze kawiarni, w której była Ela. Nie był pewien, dlaczego to zrobił. Ciągłe jeszcze mógł najzwyczajniej w świecie podejść do niej, powiedzieć „cześć”, ciesząc się, jak najbardziej szczerze, że ją spotkał. To było najprostsze rozwiązanie, a on właśnie takie lubił i cenił najbardziej. Jednak czas mijał, a on wciąż tkwił w tym samym miejscu, gapiąc się na faceta, który siedział przy małym, jak wszystko w tej kawiarni, stoliku i rozmawiał z Elą. Mężczyzna miał szpakowate proste włosy sięgające ramion. Pewnie był jednym z gości zajmujących się sztuką, z którymi zadawała się w pracy. Może był przystojny, a może nie, Adam nie znał się na męskiej urodzie. Właściwie nie działo się nic podejrzanego czy niepokojącego. Rozmawiali, popijali coś, najpewniej kawę, z absurdalnie wielkich kubków. Adam nigdy nie rozumiał mody na podawanie kawy w wielkich garach. Facet pokazał coś Eli w telefonie, pokiwała głową i się roześmiała.

Roześmiała się!?

Kim, do cholery, jest ten szpakowaty ciul? – zastanawiał się gorączkowo. I dlaczego Ela nie powiedziała mu, że wybiera się na spotkanie z facetem? Jasne, nie pytał o to. Ale sama mogła powiedzieć, jeśli to nie była tajemnica. Czy była?

Nie zastanawiając się, wyciągnął komórkę, wystukał esemesa i wysłał. *Co robisz? Tęsknię.* Patrzył, jak Ela spogląda na leżący na stoliku telefon, w niepowtarzalny i zarazem uroczy sposób marszcząc brwi. Powiedziała coś do szpakowatego i chwyciła aparat. Piknęła komórka Adama. *Na spotkaniu. Dryndnę potem,* odczytał.

– Jasne, że na spotkaniu – powiedział pod nosem.

Zaczął wystukiwać kolejną wiadomość i zamarł z palcem nad klawiaturą. Szybko, żeby tylko się nie rozmyślić, schował telefon do kieszeni i poszedł, niemal pobiegł do wyjścia. Co on najlepszego wyrabiał? Zachowywał się jak nastoletni pętał. Chciał sprawdzać Elę? Może jeszcze śledzić? Z jakiej niby racji? Byli ze sobą, ale przecież nie trzymali się za rączki przez dwadzieścia cztery godziny siedem dni w tygodniu. Każde miało własną pracę i własne zajęcia, dawali sobie przestrzeń i swobodę. Ona ufała jemu, a on jej. Tak to działało i tak działać powinno.

Stanął przed wejściem do Silesii, z dala od ludzi skupionych wokół popielniczki. Zapalił i kilka razy zaciągnął się głęboko. Już był spokojny. Przynajmniej tak mu się wydawało.

Tak, bez wątplenia ufał Eli.

Ale kim, pierona, był ten szpakowaty ciul?!

*

Jechać, nie jechać? Wahał się jedynie przez chwilę. Mógł być zły na Renatę, mógł się nawet wściekać, ale nie umiał długo się na nią gniewać, pielęgnując zapiekłą złość. Ich związek przypominał mu rytm przypływów i odpływów, zupełnie stały w niestalej równowadze. O ile w ogóle ich wspólne bycie, czy raczej bywanie, można było nazwać związkiem. Miał spore doświadczenie w luźnych związkach, które nazywał otwartym partnerstwem, bo tak ładniej brzmiało. Oczywiście pomijając narzeczeństwo z Paulą, które, jak myślał teraz, po kilku miesiącach, zostało przez Paulę wymuszone i skończyło tak, jak się skończyło – nie nazbyt burzliwym rozstaniem. Wydawało mu się, że dobrze się odnajduje w luźnych układach. Jednak z Renatą nie udawało mu się stworzyć żadnej, choćby najmniejszej strefy komfortu. Jego komfortu, bo ona, niezależnie od tego, co robił czy mówił, zachowywała spokój i luz. Wydawała się całkowicie impregnowana na jakiekolwiek emocje, które iskrzyły między nimi. W odróżnieniu od niego.

Zastanawiał się nad naturą swojego związku z Łukowską, jadąc do Gliwic. Renata zadzwoniła po południu, co już samo w sobie było nietypowe, bo zwykle, jeśli w grę nie wchodziły sprawy służbowe, on pierwszy się z nią kontaktował. Wychwycił, że jest rozdrażniona albo wzburzona, ale mógł się mylić, bo wciąż słabo odczytywał jej reakcje. Poprosiła, żeby przyjechał, bo ma problem. Duży, zaznaczyła. To też było nietypowe, bo chyba po raz pierwszy poprosiła go o cokolwiek. Po – w sumie – kilku sekundach wahania, jechać czy nie, wskoczył do nissana.

Zauważył ją, kiedy tylko skręcił w ulicę Świętej Cecylii. Stała przygarbiona na chodniku obok swojego audi, z rękami w kieszeniach podniszczonej skórzanej kurtki i papierosem w kąciку ust. Przypominała mu jakiegoś pisarza przekłętego czy innego kaskadera literatury, już nie pamiętał, jakim określano go mianem, którego zdjęcie widział kilka lat temu, kiedy jego ówczesna panna, studentka kulturoznawstwa na Uniwersytecie Śląskim, zmuszała go do czytania ambitnej polskiej prozy. A on, napędzany chwilową fascynacją i chęcią zjednania jej, czytał, choć bez zbytnej przyjemności. Właściwie Renata bardzo by przypominała Stachurę czy Hłaskę, gdyby nie rozczochrane rude włosy.

– Czy ty to, kurwa, widzisz? – spytała, wciąż z papierosem w ustach, wskazując swój samochód.

To, że klęła, nie było dla niego nowością. Ewidentnie jednak wzbierała w niej dzika, ślepa furia. Takiej jej nie znał, o ile w ogóle mógł powiedzieć, że ją zna.

Obszedł audi, kucając przy każdym kole. Ktoś przebił wszystkie opony ostrym narzędziem. Stojący na flakach samochód wyglądał żałośnie.

Krzysiek westchnął.

– Przecież mówiłem ci tyle razy, żebyś go zostawiała na strzeżonym parkingu. Ta dzielnica naprawdę nie jest najlepsza.

Renata wzięła w palce niedopałek wypalony po sam filtr i pstryknęła nim przed siebie.

– Pierdolenie – skomentowała. – Wszyscy tu wiedzą, że jestem psem, a samochodu psa, tak jakby swojego psa, się nie rusza. Rozumiesz, nawet się na niego nie spogląda! Nie za bardzo wierzę w bandyckie kodeksy i mitologię honorowych przestępców, ale to akurat wciąż działa. Nie srasz na własnym podwórku. Ale mniejsza, chodź, zobacz.

Podeszła do samochodu, otworzyła bagażnik. Nachylił się i zobaczył, że zapas też jest przebity.

– Ale to znaczy, że... – zaczął.

– Właśnie tak! – przerwała. – Ktoś załatwił wszystkie opony, a na dodatek fachowo, bo nie widzę za wiele śladów, otworzył mi furę i jeszcze rozpierdolił zapas.

– To wygląda jak ostrzeżenie. Albo kogoś mocno wkurwiłaś i się mści w ten niewyszukany sposób.

– Ja tam nie wiem, jakie na waszym Śląsku są zwyczaje, wciąż nie mam pojęcia, jak zbóje komunikują się tutaj z psami. Właśnie tak? – wskazała na audi.

Uznał, że to pytanie retoryczne.

– Dzwon do Tyszki – zarządziła.

– Ale po co?

– Bo on chyba najlepiej z was wszystkich się orientuje, który z miejscowych mógł zrobić coś tak porąbanego i bezczelnego.

Poczuł się urażony, ale nie dał po sobie poznać, że jej słowa go dotknęły. Nie zamierzał udowodniać, że zna śląski półświatek nie gorzej od Adama, a może nawet lepiej, bo przynajmniej regularnie czyta wewnętrzne raporty na temat przestępczości, do których Tyszka zaglądał tylko wtedy, kiedy musiał. Zdawał sobie sprawę, że doprowadziłyby tym do nikomu niepotrzebnej kłótni. A już na pewno nie jemu. Zastosował więc strategię wcześniej przeciwioną wielokrotnie na swojej matce. Zignorował słowa Renaty, błyskawicznie wykasował z pamięci uwagi o Tyszcze i zwyczajnie zmienił temat, mówiąc, że w pierwszej kolejności należy załatwić naprawę audi. W sekundzie zapomniała o Tyszcze, zbójach oraz ewentualnej zemście na nich i skupiła się na ukochanym aucie. A on w duchu przyznał sobie tytuł mistrza drobnych manipulacji. Tyle jego.

Po pięciu wypalonych przez Renatę papierosach, dwóch napadach furii, spowodowanych problemami ze ściąganiem pomocy drogowej, i jednej kłótni z mechanikiem, który zapowiedział, że samochód będzie do odbioru w poniedziałek, ale najpewniej zrobi się z tego wtorek, w końcu usiedli w nie

najelegantszym pubie znajdującym się przy sąsiedniej ulicy. Jak to przy niedzieli, w poobiedniej porze, w środku było niemal pełno, ale znaleźli wolny stolik. Renata zamówiła od razu dwa giny z tonikiem, on – mineralną bez gazu. Barman spojrział na niego z politowaniem.

Długim łykiem wypila pół drinka.

– A ty w ogóle jadłaś coś dzisiaj?

– Weź mnie nie wnerwiaj.

Wyjęła z kieszeni kurtki papierosy i wykonała ruch, jakby chciała wstać i wyjść zapalić. Rozmyśliła się i położyła fajki na stoliku. Odetchnęła powoli kilka razy.

– Dobra, walić Tyszkę. Coś podobnego wam się tutaj zdarzało? – spytała.

Poprawił kosmyk włosów, który wysmyknął mu się ze starannie ułożonej grzywki.

– Przyznam, że nie kojarzę. Jakieś bluzgi, wyzwiska przez telefon, niegroźna szarpanina bez konsekwencji, to już było grane, ale nie słyszałem, żeby ktoś celowo zniszczył policjantowi samochód.

– Bo tu same dobre chłopaki mieszkają – mruknęła.

– Może to jednak był przypadek...

– Daj spokój – machnęła ręką i znowu sięgnęła po szklankę. – Przez przypadek to można po pijaku albo dopalaczach urwać lustro lub rozpiąć szybę. Ale nie przebić wszystkie opony. Dosłownie wszystkie – wycedziła.

– Pewnie masz rację. To by znaczyło, że musiałaś kogoś bardzo wkurzyć. Tylko kogo?

– Nie mam bladego pojęcia. Za długo tu przecież nie służę, wyjątkowo trudnych spraw dotąd nie prowadziłam razem z wami. Z nikim nie mam kasy, chyba.

– A ten były pies, którego tak zglebiłaś, że trafił do szpitala?

Przypomniał sobie sprawę Roberta Zaręby, zastrzelonego we wrześniu zeszłego roku podczas rekonstrukcji historycznej pod wieżą spadochronową w Kato. Był w nią zamieszany ekszlina, którego koniec końców zapuszkowali, choć z zupełnie innego powodu. Mógł mieć do nich więcej niż tylko żal.

– A on jeszcze nie siedzi?

– Nie mam pojęcia.

– Ale nie, nie sędzę, żeby to był on. Wyglądał mi na takiego, który w razie czego przyszedłby mi wklepać, a nie wyżywał się na aucie.

– Mnie nikt nie przychodzi w tej chwili do głowy.

Chwyciła papierosy i nagle zamarła ze wzrokiem wbitym w ścianę, po której wił się bluszcz. Plastikowy.

– Dobra – plasnęła dłonią w udo, jakby w ten sposób dodawała sobie otuchy.
– Coś ci powiem, ale najpierw zafajczę.

– Mogę iść z tobą.

– Siedź.

Patrzył, jak Renata wychodzi z pubu, odprowadzana wzrokiem przez kilku drobnych pijaczków, i nagle go olśniło. Wszystko rozbijało się o kontrolę. Ona zapewne chciała niepodzielnie panować nad każdym, nawet najdrobniejszym albo najbanalniejszym, aspektem swojego życia. Będąc w związku czy w układzie – jak zwał, tak zwał – z nim, była zmuszona zrezygnować z pełnej kontroli. Przynajmniej teoretycznie. I to właśnie ją drażniło. Ale czy faktycznie problem był z Renatą, a nie z nim? Nie rozstrzygnął tej kwestii, bo wróciła, klapnęła ciężko na krzesło i podała mu swoją komórkę.

– Masz, czytaj.

Kolejne krótkie i jasne polecenia, myślał, a więc jednak chodzi o kontrolę. Zerknął na wyświetlacz.

– Co to jest?! – spytał wzburzonym głosem.

– Nie odebrało ci mowy, ale straciłeś zdolność rozumienia prostych tekstów?

Zaśmiała się sztucznie.

– *Zajebie cie policyjna suko...* – odczytał powoli.

– Mam tego więcej. Wszystkie wiadomości z równie radosnym przesłaniem.

– Dlaczego nic o tym nie powiedziałaś?

– Co miałam mówić? Że jakiemuś typowi zagotowało się pod czachą i najpewniej po pijaku wystukał wiadomość?

– Renata...

– Tak, jasne – wtrąciła się. – Wiem, co powiesz. I tak, przyznam, że wyjątkowo masz rację. Nie potraktowałam tego poważnie.

– No teraz już wygląda na to, że on nie żartuje.

Zamilkła i znowu wpatrywała się w ścianę. Miał na końcu języka pytanie, którego pod żadnym pozorem nie powinien zadawać, ale i tak chciał je wypowiedzieć: o czym myślisz? Nieświadomie go uratowała, gdy rzuciła gwałtownie:

– Walić to!

Chwyciła leżącą na stoliku komórkę i wybrała numer. Przyłożyła do ucha, czekała. W końcu prychnęła i odłożyła aparat.

– Ma wyłączoną komórkę.

– Esemesy zawsze przychodzą z tego samego numeru?

– Tak.

– Gość nie jest za mądry ani za sprytny.

– Albo w ten sposób pokazuje, że się mnie nie boi.

– Niewykluczone. Masz pomysł, kto to może być?

Rozłożyła ręce.

– A to nie chodzi o historie z bardziej odległej przeszłości, te warszawskie? – drażył.

Wciąż milczała.

– Ktoś z gangu Zawiasa, o którym mi kiedyś opowiadałaś?

Pokręciła głową, aż zafalowały loki.

– Im to raczej wielkiej krzywdy koniec końców nie zrobiłam – powiedziała i dodała pod nosem: – Dałam wtedy dupy po całości.

W pierwszej chwili chciał zaprzeczyć, upewnić ją, że skomplikowane operacje policyjne nie zawsze kończą się sukcesem i że nie przez nią akcja się wysypała i ucierpiał ktoś całkiem niewinny. Powstrzymał się, bo zdawał sobie sprawę, że Renata nie potrzebuje słów pocieszenia. Na pewno nie od niego, a prawdopodobnie od nikogo.

– A ktoś z innego śledztwa?

Nic, nie wypowiedziała ani słowa.

– Halo, słyszysz mnie?

– I tak ci już za dużo zdradziłam. Nie chcę mówić o żadnych innych operacjach. Nawet nie mogę.

– Daj spokój z tajnościami i poufnościami! – wkurzył się. – Co ty, jesteś jak Polański, który traktuje regulamin jak zbiór prawd objawionych?!

Popatrzyła na niego z politowaniem.

– Uspokoileś się?

Kiwnął głową. Wiedział, że pohukiwania na nią nie działają.

– To posłuchaj. Co było w Warszawie, zostało w Warszawie. Koniec tematu. A z kutasiną, który lubi bawić się scyzorykiem, sama sobie poradzę.

– Powinnaś to zgłosić – podjął ostatnią próbę przemówienia jej do rozsądku.

– Niby co? – fuknęła. – Że bliżej nieznanemu Czarnemu Ludowi łazi za mną i próbuje mnie nastraszyć, esemesy z obelżywymi słowami mi przysyła, a ja biedna, słaba pipa się go boję, tak?

– Renata, to już nie są żarty. Na wszelki wypadek powinnaś mieć ochronę, przynajmniej przez jakiś czas.

– Już ja sobie z nim pożartuję. Sama.

Był pewien, że Renata tak właśnie zrobi. Oczywiście mógł o zajściu z audi powiadomić Polańskiego, nawet powinien, ale gdyby ona się o tym dowiedziała, z miejsca rzuciłaby go w cholerę. Miałby to jak w banku, a nie chciał tego.

Położył dłoń na jej dłoni. Nie wyszarpnęła się, choć nie znosiła okazywania czułości w miejscach publicznych.

– Obiecuj mi jedno – zaczął miękkim głosem.

– W ciemno nic nie obiecuję – zjeżyła się.

– Jeśli zauważysz, że wokół ciebie dzieje się coś dziwnego albo niepokojącego, jeśli Czarny Lud choćby zamajaczy na horyzoncie, zaraz do mnie zadzwonisz. O każdej porze dnia i nocy. Zanim cokolwiek zrobisz, zanim nawet pomyślisz, że mogłabyś coś zrobić, zadzwonisz. Obiecujesz?

Z wahaniem skinęła głową.

– Chcę to usłyszeć – zaznaczył.

– Obiecuję, że zadzwonię, tyle mogę.

poniedziałek, 10 lutego 2013

Mężczyzna siedział, choć właściwie pólleżał, na krześle, na ile tylko polegwanie na niewygodnym drewnianym siedzisku było możliwe. Nogi trzymał szeroko rozstawione, a szare powyciągane spodnie dresowe podciągnął, nie wiadomo po co, aż do kolan. Ręce opuścił wzdłuż tułowia, a głowę schylił tak, że brodą prawie dotykał piersi. Nadkomisarzowi Polańskiemu wydawało się, że z ust mężczyzny zwisa nitka śliny, znacząc czarną koszulkę z logo zespołu metalowego.

– Kwitnąco to on wciąż nie wygląda – odezwał się Tyszka.

Mężczyzną, jakby na potwierdzenie słów, których na pewno nie słyszał, wstrząsnęły dreszcze.

– Ciekawe, jak ty byś się prezentował po maratonie chłania – powiedział Mundeck.

– Sugerujesz coś?

Polański spojrzał na Adama i tylko pokręcił głową. Zauważył, że kumpel od samego rana chodził podenerwowany, ale nie dopytywał, co spowodowało, że był „elektryczny”. Wiedział, że Adam prędzej czy później sam mu powie, o ile uzna, że jest to coś ważnego, albo zwyczajnie będzie chciał się wygadać.

– Bierzymy się za niego? – spytał znowu Tyszka, wskazując w stronę lustra weneckiego i Zawojskiego siedzącego po drugiej stronie w pustym pokoju przesłuchań.

– Krzysiek miał wrzucić Zawojskiego i Krolów na bęben i przynieść mi notatkę. Jak sądzę, powinny na nich być jakieś kwity. Tylko mu się długo schodzi.

– Krystyny nie znasz? Pewnie wszystko dla pewności po dwa razy sprawdza.

– Nie mów na niego Krystyna.

– Dobra, dobra – Tyszka machnął ręką. – A w ogóle te informacje są nam potrzebne w tej chwili?

– Właściwie...

– Zobacz, gość ma kaca giganta, jest miękki jak plastelina, więc łatwo go ulepimy, jak chcemy. Spytamy go otwartym tekstem, czy po pijaku stuknął teściową. Jest duża szansa, że się przyzna. I będzie po sprawie. Już widzę radość Pietruchy, że mu wykrywalność skoczyła.

– Może się przyzna, może nie.

Polański zdawał sobie sprawę, że Adam w policyjnej robocie lubił chodzenie na skróty i często wybierał rozwiązania najprostsze z możliwych. Czasami to się sprawdzało, ale często nie. W tym przypadku mógł mieć jednak trochę racji. Poza tym mieli czas, mogli spokojnie, z przerwami, maglować podejrzanego przez cały dzień.

Przeszli do pokoju przesłuchań i usiedli naprzeciwko Jakuba Zawojskiego. Zatrzymany milczał. Oni też. Zawojski uniósł głowę, spojrzał na policjantów lekko zmętniałym wzrokiem i przejechał dłonią po krótko, najpewniej maszynką, ostrzyżonych włosach, w niektórych miejscach pozlepianych krwawymi strupami. Należał do dosyć powszechnego typu śląskich niskopiennych mężczyzn o drobnej budowie, niemal wątych, ale o wyraźnie zarysowanych mięśniach twardych jak postronki. Choć jego chudość mogła być i najpewniej była wynikiem długotrwałego i wyniszczającego picia.

Tyszka włączył magnetofon, wypowiedział niezbędne formułki i spytał:

– Nazywasz się Jakub Zawojski?

Zatrzymany skinął głową.

– Nie kiwaj mi tu, tylko odpowiedz.

– Mogę wody? – słowa Zawojskiego brzmiały jak charkot z trudem odpalanego dwusuwowego silnika.

Adam prychnął, ale nie skomentował i wyszedł z pokoju przesłuchań. Przyniósł plastikowy kubek i od razu dwie butelki mineralnej. Zawojski zignorował kubek i przyssał się do butelki. Ręce mu się trzęsły, więc woda pociekła po brodzie. Odstawił butelkę na stolik i otarł usta wierzchem dłoni. Niespecjalnie dokładnie.

– A mogę jeszcze papierosa? – spytał.

– I co jeszcze? Setkę wódki? – Tyszka podniósł głos.

Mundek dał mu znać gestem dłoni, że on przejmuje przesłuchanie. Najwyraźniej Adam tego dnia miał zdecydowanie za mało cierpliwości.

– Zaczniemy jeszcze raz. Czy nazywa się pan Jakub Zawojski? – powiedział powoli i wyraźnie.

– Tak.

Mundek odetchnął, bo Zawojski, który wciąż nie wyglądał na do końca trzeźwego, wreszcie zaczął współpracować. Jednak po chwili zwątpił, czy mężczyzna odnalazł się już na dobre w rzeczywistości, gdy usłyszał jego pytanie:

– Co zrobiłem?

Adam z Mundkiem wymienili spojrzenia.

– A zrobił pan coś?

Zawojski znowu pochylił głowę i zamamrotał coś pod nosem.

– Głośniej proszę.

Zatrzymany podniósł głowę i skupił wzrok na Polańskim. Mniej więcej na nim.

– Nie do końca pamiętam.

– Dobrze, za chwilę do tego wrócimy.

Polański zdawał sobie sprawę, że przesłuchiwanie alkoholików czy narkomanów, zwłaszcza kiedy byli na kacu czy głodzie, nigdy nie należy do łatwych.

Zastosował więc wielokrotnie sprawdzoną zasadę małych kroków, pytając:

– Wie pan, jaki mamy dzień tygodnia?

– Poniedziałek – odpowiedział Zawojski prawie bez namysłu i zakaszłał paskudnie.

– To już mamy coś konkretnego.

– Klawisz mi powiedział – dodał przesłuchiwany.

Wszystko wskazywało, że Zawojski ma dziury w pamięci wielkie jak te na śląskich ulicach.

– A z wczoraj coś pan pamięta?

– Jak się jako tako ocknąłem, zobaczyłem, że jestem zamknięty. Myślałem, że to wytrzeźwiająka, i się wkurwiłem.

– Słownictwo – warknął Tyszka.

Trudno powiedzieć, czy Zawojski się tym przejął. Znowu przyssał się do butelki.

– Pamięta pan, co robił w piątek wieczorem? – Polański przeszedł do rzeczy.

– Mniej więcej.

– A może jakieś konkrety?

– Pewnie piłem.

– Przez cały piątek?

– No nie, wcześniej byłem w robocie.

– Gdzie pan pracuje?

– U kumpla w komisie samochodowym.

– Nazwisko kumpla.

– Szmatoch.

Polański pomyślał, że Zawojski na całe szczęście nie ma jeszcze mózgu do cna wypalonego gorzałą. Raczej na ich szczęście, bo nie jego.

– Niech pan opowie dokładnie, co pamięta z piątku.

– Wyszedłem z firmy wcześniej, tak pewnie koło południa, bo nie było nic konkretnego do roboty.

– Często tak się zdarza?

– To nie praca w biurze. Jak nie mam nic do zrobienia, Hubert pozwala mi się zwinąć do domu.

– Dobrze, co było dalej?

– Wróciłem do domu. To znaczy nie tak od razu. Zostawiłem auto pod blokiem i poszedłem do takiego tam pubu po sąsiedzku na piwo albo dwa. W końcu zaczął się weekend, a ja nie miałem nic w planach.

Mundek uznał, że spokojnie można było przemnożyć liczbę piw przez dwa albo i więcej.

– Do której pan tam był?

– Na zegarek nie patrzyłem, ale się ściemniało, jak wychodziłem.

– A potem?

– Zahaczyłem o Żabkę, kupiłem krowę na wieczór i wróciłem do chałupy.

– I później pan już nie wychodził?

– Niby po co? Miałem wszystko, co trzeba.

– Niektórzy po wódce lubią ruszyć w miasto. Nie pojechał pan samochodem na wycieczkę?

– Ja nigdy na podwójnym gazie nie prowadzę.

– Noż kurde, dowcip roku – Tyszka zaśmiał się krótko.

Mundek zgromił go wzrokiem.

– No ale powiedzcie, co niby zrobiłem? – Zawojcki ponowił pytanie, które zadał na początku przesłuchania.

– A co mogło się stać?

Mężczyzna odchrząknął.

– Jak piję na chacie, słucham muzyki. Głośno. Sąsiada to wkurwia, zresztą on się o byle gówno czepia. Taki typek. Mógł znowu przyjść z awanturą, mogłem go popchnąć. Albo odlać się na jego wycieraczkę czy drzwi.

– Tak się już zdarzało?

– Nie żyjemy w zgodzie.

Polański bez trudu mógł sobie wyobrazić, jakim dopustem bożym było mieć za sąsiada kogoś takiego jak Zawojcki.

– I na pewno po przyjeździe z knajpy nie wychodził pan już z mieszkania?

– Raczej nie.

W głosie Zawojckiego nie było za grosz pewności.

Mundek dał znać Adamowi, żeby przeszedł do ataku.

– Koniec pieśczoć! – warknął Tyszka. – Twój obsrany golf w piątek po siedemnastej brał udział w wypadku. Zginęła kobieta! Dociera to do ciebie?!

– Ale jak to mój...

– Tak to! Wsiadłeś nawalony do auta i przejechałeś na pasach kobietę.

Zawojcki usiadł prosto na krzesle, zakołysał się lekko w obie strony. Objął się ramionami i patrzył wytrzeszczonymi oczami na Tyszkę, z trudem cedząc słowo po słowie:

– Nie jeździłem wtedy żadnym autem... Nie... Nie pamiętam, żebym jeździł.

– To nie jeździłeś czy nie pamiętasz? Konkrety!

– Nie, nie, nie... To niemożliwe.

– Całkiem możliwe, bo tak się stało. Swoją teściową przejechałeś, bo jej nienawidziłeś.

Zawojcki spał się w sobie, a potem zaczął kręcić głową tak gwałtownie, jakby chciał ją sobie urwać. Nagle poderwał się na równe nogi i wałnął pięściami w stół.

– To znowu one! Knują przeciwko mnie! One ciągle kłamią!

– Siadaj – rzucił Tyszka, też wstając.

Nie musiał nawet podchodzić do Zawojckiego, bo ten zaraz opadł na krzesło, jakby wybuch złości albo rozpachy całkiem go wyczerpał.

– Pana teściowa na pewno nie kłamie, bo nie żyje. Dociera to do pana? – powiedział Polański.

Przesłuchiwany kiwnął głową.

– Więc pytam po raz ostatni, czy w piątek po godzinie siedemnastej trzydzieści kierował pan samochodem i jechał ulicą Gliwicką?

Tym razem Zawojcki zaprzeczył ruchem głowy.

– Czy to znaczy, że pan nie jeździł wtedy autem?

– Nie powiem, niczego nie powiem – odparł trzęsącym się głosem.

– Tylko pogarszasz swoją sytuację – wtrącił Tyszka.

– Niczego nie powiem bez mojego adwokata.

– Ooo, to ty masz adwokata? – Adam zdziwił się szczerze.

– Chcę do niego zadzwonić.

*

Pierwsze przesłuchanie Zawojckiego nie zakończyło się po ich myśli, z pewnością trudno było mówić o sukcesie, ale zdaniem Adama Mundek niepotrzebnie się na niego boczył. „Mogliśmy poczekać, mogliśmy się lepiej przygotować”, przez jakiś czas Polański zrzędził w kółko jak, nie przymierzając, łojciec Adama w czasach przed panowaniem pani Basi, kiedy irytowała go najmniejsza pierdoła. Pewnie mogli, jednak niewiele to zmieniało w ich sytuacji. Niczego nie zyskali, ale też niczego nie stracili, gadając z Zawojckim prawie z marszu.

– Sami zobaczcie, po pierwsze – zaczął Tyszka, kolejno odginając palce prawej dłoni – mamy, że tak powiem, narzędzie zbrodni, czyli golfa, którym jeździł Zawojcki. Mamy, po drugie, motyw jak dzwon, czyli nienawiść naszego pijaka do teściowej. I wreszcie, po trzecie, samego Zawojckiego, który twierdzi, że nic nie pamięta, bo był nachlany. Moim zdaniem ściemnia. Co wam jeszcze nie pasuje?

Powiódł wzrokiem po kolegach zgromadzonych w gabinecie Polańskiego.

Kiedy okazało się, że Zawojcki, ku zdziwieniu wszystkich, rzeczywiście ma adwokata i do tego prawnik zjawi się w komendzie najszybciej, jak tylko się da, Mundek zwołał całą swoją grupę na naradę, żeby na nowo rozkręcić śledztwo, o którym myśleli, że jeszcze dzisiaj je zamkną.

– Dziura w pamięci jest bardzo wygodną linią obrony – pierwsza odezwała się Łukowska, która dotąd siedziała w kącie, sprawiając wrażenie zupełnie nieobecnej.

– Nie jestem przekonany – powiedział ostrożnie Mateja. – Zawojcki jest najbardziej podejrzany, więc zasłanianie się w jego przypadku niepamięcią jest słabe.

– A tam słabe – zachnął się Adam. – Pijakom się wydaje, że są sprytni. A ten ich spryt jest dokładnie taki jak Zawojckiego.

– To nie ma znaczenia – Mundek przerwał rozkręcający się spór podwładnych.

– Niby co dokładnie? – spytał Adam.

– Czy Zawojcki, mówiąc, że nie pamięta, co robił w piątek wieczorem, kłamie, czy nie – doprecyzował nadkomisarz. – A przynajmniej nie w tej chwili. Sami to ustalimy we właściwym czasie. Źle się zabraliśmy do tej sprawy. Wydawała się łatwa, szybko ustrzeliliśmy podejrzanego. I wszystko nam się ułożyło w ładny, wyraźny obrazek. Za ładny. Wsadziliśmy Zawojckiego na dołek i zachowaliśmy się jak prokurator Mrozowska, która wydaje wyroki szybciej niż sąd.

– O to akurat nie jest trudno...

– Adam, nie przeginaj.

Tyszka sądził, że Mundek irytuje się niepotrzebnie. Wiedział jednak, że kumpel nie znosił sytuacji, w których śledztwo szło nie po jego myśli, więc trochę go rozumiał.

– To moja wina, nie prowadziliśmy czynności jak trzeba, po kolei. Nie sprawdziliśmy, czy wszystkie, nawet najmniejsze szczegóły do siebie pasują. Wyciągnęliśmy wnioski oparte na wątplych podstawach.

– Spokojnie, przecież to nie jest szefa wina – wtrącił się Krzysiek.

Polański zignorował próbę pocieszenia i kontynuował:

– Teraz więc porządnie sprawdzamy każdą informację, każdy detal od początku. Powoli i sumiennie. Czy mamy, jak powiedział Adam, narzędzie zbrodni? Jest potwierdzenie, że na golfie była krew Krol? Może to Zawojki się gdzieś po pijaku poharatał i to jego krew.

Podwładni nadkomisarza popatrzyli po sobie.

– Nie dotarły jeszcze żadne raporty od techników – odezwał się Mateja.

– Może więc wcale nie mamy narzędzia zbrodni, to raz – skomentował Mundek. – Dwa, sprawdzenie motywu. Wiemy o burzliwym rozwodzie i o tym, że Zawojka uważa byłego męża za złego człowieka zdolnego do wszystkiego. Za to jej ojciec jest, jak mi się zdaje, innego zdania.

– Szmatloch też ma Zawojkiego raczej za ofiarę wojny małżeńskiej – wtrąciła Łukowska.

– Kumplują się, więc nie jest obiektywny – zgłosił zastrzeżenie Mateja.

– Na razie to zostawmy – zdecydował Polański. – Krzysiek, posprawdzałeś Zawojkich, jak cię prosiłem?

– Tak, pewnie – Mateja włączył tablet i przesuwiał palcem po ekranie. – Były interwencje na ulicy Ciemały. Nieźle tam musiały być dymy. Zgłoszenia były od Zawojkiej i Krol, w drugą stronę od Zawojkiego, ale też od sąsiadów. Głośne kłótnie, zakłócenia miru domowego, jakieś groźby karalne. Zadzwoiłem do tamtejszego dzielnicowego, Leszka Ziętka, łebski, zaangażowany facet.

– Krzysiek, do rzeczy – popędził go Tyszka.

– Ziętek mówił, że rozróby zaczęły się, kiedy Zawojka sprowadziła się z córką do rodziców. Dzielnicowemu wyglądało to na typową walkę o dziecko. Zawojka nie pozwalała, żeby mąż widywał się z dziewczynką, ten się wściekał i żarł się na oczach sąsiadów.

– Zawojki był agresywny? – spytał Mundek.

– Podobno tylko słownie. Po rozwodzie na jakiś czas się uspokoilo, Zawojki widywał się z córką. A po kilku miesiącach to samo od nowa. Ostatnia notatka jest sprzed niespełna miesiąca. Krolowa zadzwoniła, że Zawojki dobija się im do domu. Podjechał patrol i zgarnęli go na wytrzeźwiałkę, bo był ledwo przytomny.

– A tak w ogóle, skąd ten Ziętek tyle wie o Zawojkach? Ma tylko jedną rodzinę w rewirze, która go interesuje? – pytał Adam.

– Chce mieć spokój, to się interesuje – odciął się Mateja. – Ze dwa, trzy razy gadał dłużej z Zawojkim. Stwierdził, że facet ciągle tylko mówił o córce, tylko na niej mu zależało. I że była z teściową urabiały dziecko przeciwko ojcu. Ziętek mówił, że szkoda mu było chłopaka, bo mu dobrze z oczu patrzyło, tyle że za bardzo zaczął zaglądać do kielonka.

– *To dobry chłopak był i mało pił* – zanucił Adam niespecjalnie czysto.

Polański pogroził mu placem. Adam wiedział, że Mundek nie znosi jego śpiewania, ale nie zamierzał się ograniczać. Bo właściwie w imię czego?

– Niedobrze mi się robi od takiego pieprzenia – nagle wtrąciła się Renata. – Facet z facetem zawsze się dogada, jak dzielnicowy z naszym delikwentem. Ojciec taki dobry, a matka oczywiście zła. Jak każda kobieta.

Wizualizując swoje słowa, wykonała gest wkładania palców do gardła.

– A czy przypadkiem nie jest tak, że... – Adam próbował skomentować jej słowa, ale Mundek bezceremonialnie mu przerwał:

– Czyli prawdopodobny motyw jest, tylko trzeba będzie go potwierdzić. Najpewniej mamy tu do czynienia z rodzinnym dramatem, który rozgrywa się od lat i w którym role dobrych i złych bohaterów nie zostały jasno obsadzone. Dlatego będziemy musieli dokładnie odpytać wszystkich, którzy wiedzą o napięciach między Zawojskimi, żeby ustalić, co tam się właściwie działo. Jasne?

Jego podwładni zgodnie pokiwali głowami.

– I wreszcie ostatnia, ale kluczowa wątpliwość. Czy to zdarzenie na pasach na Gliwickiej faktycznie było kryminalne? Może to jednak zwykły wypadek.

– Tu to już się, Mundek, czepiasz – jęknął Adam.

– Ależ oczywiście. I powinienem tak się czepiać od samego początku tej sprawy.

– Świadek twierdzi, że golf cofnął, żeby drugi raz najechać na Krol – przypomniał Mateja.

– Ale czy Karaś widział, jak golf drugi raz przejeżdża kobietę?

– No nie.

– A może mamy kwity z sekcji, które by to potwierdzały? – Polański cierpliwie zadawał pytania, jak dociekliwy nauczyciel nierozgarniętym uczniom, których trzeba naprowadzić na właściwą odpowiedź.

– Przecież wiesz, że doktor Biedrzycki nigdy do specjalnie szybkich nie należał – już zaczynając to zdanie, Adam wiedział, że jest zupełnie niepotrzebne.

– To ja go za chwilę popędzę! – powiedział nadkomisarz trochę głośniej.

Adamowi wydawało się, że jak na standardy niehumanoidalnie opanowanego Mundka był to niemal krzyk.

– Dobrze, zebraliśmy opinie, ale co teraz mamy robić? – Łukowska jak zawsze była konkretna.

Zanim Polański odpowiedział, rozległo się pukanie do drzwi. Jak jeden mąż, wszyscy spojrzeli w stronę wejścia. Nie był to dźwięk często słyszany przez nich w fabryce, głównie dlatego, że drzwi najczęściej zostawiali otwarte. Pukanie powtórzyło się, trochę głośniejsze.

Mundek odchrząknął i zawołał:

– Proszę!

Do pokoju wszedł tyczkowaty blondyn ze skórzaną teczką pod pachą, zrobił krok, ale zaraz się zatrzymał.

– Ooo, ale ja chyba przeszkadzam – powiedział. – A w ogóle to dzień dobry.

W odpowiedzi usłyszał tylko niewyraźne „bry” Renaty.

– A pan to...? – spytał Mundek.

– Prokurator Sebastian Krok, chciałem porozmawiać z panem nadkomisarzem, ale mogę poczekać, aż skończycie, nie ma sprawy – wyjaśnił prawnik i nim ktokolwiek zareagował, wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Łukowska krótko parsknęła śmiechem.

– I to jest ten nasz nowy prorok? – upewnił się nadkomisarz.

– W całej swej chudej okazałości – potwierdził Adam. – My już go z Krzyśkiem widzieliśmy na Gliwickiej – przypomniał.

– Jakiś podejrzenie greczny i miłutki – Polański był szczerze zdziwiony.

– Wiesz – tłumaczył Adam z pełną powagą – może im zrobili szkolenia z komunikacji z ludźmi, że niby z szacunkiem i frontem do klienta, jak pracownikom skarbowki, żeby z uśmiechem na ustach powiadamiali o niezapłaconych podatkach oraz karnych odsetkach i pocieszali, że od teraz wprawdzie będzie biednie, ale za to uczciwie. Może i szanownej prokuraturze zafundowali coś podobnego na koszt podatnika.

– To się dopiero okaże, czy będzie się z nim współpracowało lepiej niż z szanowną prokurator Mrozowską.

Polański sięgnął po filiżankę, ale nie było w niej choćby kropli kawy. Wstał i podszedł do ekspresu, żeby zrobić sobie kolejną. Jednocześnie cały czas mówił:

– Czyli robimy tak... Porozmawiam sobie najpierw z prokuratorem Krokiem, a jak się zjawi papuga Zawojkiego, znowu go przesłucham. W wolnej chwili ponaciskam techników i lekarza, żeby jak najszybciej przysłali raporty. A wy dokładnie posprawdzacie, co tam się tak naprawdę wyprawiało w relacjach Zawojkiego z byłą żoną i w ogóle z Krolami...

– Aha – wtrącił się Mateja, przesuwając palcem po tablecie – bo jak szukałem informacji o Krolach, dowiedziałem się, że tam jest jeszcze druga córka.

– Mateja, ogarnij się! – Renata przewróciła oczami. – Konkretnie czyja córka? Bo brzmisz jak narrator telenoweli, który buduje napięcie przez sześć odcinków.

Krzysiek spojrział na nią z wyrzutem i wyjaśnił:

– Krolowie mają starszą córkę, Jadwigę, lat trzydzieści sześć, uczy matematyki w podstawówce. Teraz jest wystarczająco konkretnie?

Ekspres zacharczał, jakby się krztusił, ale wypluł porcję kawy. Polański, nie odwracając się do Matei, spytał:

– Dlaczego do tej pory o niej nie wiedzieliśmy?

– Bo – aspirant zawiesił głos – nie pytaliśmy?

Mundek westchnął tak ciężko, że usłyszeli go wszyscy w gabinecie. Wrócił na swoje miejsce z pełną filiżanką i wypił łyk kawy. Pomasował palcami skronie.

– W sumie nie ma problemu. – Adam w końcu dosłyszał w głosie kumpla to, czym Mundek zawsze imponował, czyli spokój. – Uznajmy, że pogaduszki z Jadwigą wcześniej i tak nie były nam niezbędne. Renata i Krzysiek, namierzycie Jadwigę i z nią porozmawiacie. Może rzuci nowe światło na relacje w tej toksycznej rodzinie.

– Ja bym też drugi raz odpytała Szmatlocha, bo odniosłam wrażenie... – Łukowska zerknęła na Mateję – odnieśliśmy wrażenie, że wie więcej o Zawojkim, niż nam sprzedał.

– Dobry pomysł – pochwalił Polański. – To podjedźcie też do niego. Adam, porozmawiasz z Krolem, tylko, tak jak ustaliliśmy, na osobności, żeby obok nie kręciła się jego córka.

– Da się zrobić.

– Tylko wiesz, delikatnie, w końcu stracił żonę.

– O której chyba nie miał najlepszego zdania – wtrącił Adam.

– Powiedziałem, delikatnie, nie inaczej – Polański nie zamierzał wdawać się w dyskusje. – Później powieszysz w bloku Zawojkiego. Sprawdź, czy ktoś go w piątek tam widział albo w knajpie, w której niby był, zweryfikuj, czy coś z tego, co nam dzisiaj zeznał, ma pokrycie w faktach. No i pogadaj z jego sąsiadami o tym, co o nim myślą.

– Nie trzeba być wróżką, żeby to wiedzieć – wtrącił Tyszka.

– Od tej chwili niczego nie zakładamy, zwyczajnie pytamy i sprawdzamy. Jasne?

Nie musieli potwierdzać.

*

Prokurator Krok wyglądał... Prawdę powiedziawszy, Polański nie był w stanie ubrać w słowa, jak wyglądał prokurator Krok. Niby nic nadzwyczajnego – staranna i grzeczna blond fryzura z przedziałkiem z boku, miła i regularna twarz, standardowo niebieskie oczy. Prawnik był niby typowym blondynem, miał jednak w rysach twarzy coś niezwykłego. Wyglądał jak amant przedwojennego kina? Być może.

Mundek postawił przed nim filiżankę z kawą, sam miał już dosyć kofeiny na dłuższy czas.

– I to pan został skierowany do sprawy Krol? – upewnił się na początek.

– Tak, dlatego tu jestem. I przepraszam, że dopiero dzisiaj włączam się aktywnie do śledztwa, ale jestem nowy w Katowicach i mam na głowie sporo spraw organizacyjnych. Jeszcze w piątek pani prokurator Mrozowska dopiero wprowadzała mnie w sprawy, którymi mam się zajmować.

Dla Polańskiego prokurator, który przepraszam, był nowością, bez wątpienia miłą.

– A skąd pan prokurator się do nas przeniósł?

– Z rejonówki w Jaworznie.

– Czyli można powiedzieć, że pan awansował.

– Pewnie tak.

Przez chwilę Mundek zastanawiał się, czy to fałszywa skromność, czy zwyczajny brak pewności w nowym miejscu pracy. Nie było jednak wykluczone, że Krok jest tak odmienny w sposobie bycia od szanownej prokurator Mrozowskiej, że aż po części nierealny. A przynajmniej o realności mocno wątpliwej.

– A tak przy okazji – zaczął Polański – zwykle współpracowałem z prokurator Mrozowską. Ma inną, ważniejszą sprawę? – spytał z lekką ironią w głosie, bo wiedział, że Mrozowska od zawsze szukała kejsu, który pozwoli jej zostać gwiazdą prokuratury, nie tylko katowickiej, i zabłysnąć w mediach.

– Poszła na urlop, jakieś problemy rodzinne, nie wiem dokładnie.

Proszę, proszę, prokurator Mrozowska ma rodzinę... Wcześniej Polański obstawiał, że jedyną rodziną prawniczki jest spasiony czarny kot, którego ta z lubością łajała, kiedy zwierzak z trudem gramolił się na fotel albo kanapę.

– Mam nadzieję, że to dla pana nadkomisarza nie jest problem, że ja tu jestem, a nie prokurator Mrozowska?

– Absolutnie nie.

– To przejdźmy do rzeczy, bo jak się zorientowałem, mamy mało konkretów i dokumentów, za to podejrzanego w areszcie.

Prokurator Krok nie lubił gadać po próżnicy i coraz bardziej zaczynał się Polańskiemu podobać. Choć na razie nadkomisarz udzielił mu bardzo ograniczonego kredytu zaufania. Przecież z prawnikami nigdy nic do końca nie wiadomo, lepiej być czujnym jak ważka.

Zreferował prokuratorowi, co do tej pory ustalili w sprawie Krol, nie kryjąc się z wątpliwościami. Chociaż na wszelki wypadek przemilczał, że na początku śledztwa poszli mocno na skróty. Krok zaglądał w papiery wyjęte ze skórzanej

aktówki, notował w gustownym moleskinie, więcej słuchał, niż mówił. I naprawdę robił na Mundku dobre wrażenie.

– Czyli mamy motyw i... – Krok urwał.

– Wydaje mi się, że tak.

– Ale czy na pewno?

– Moi ludzie są właśnie w terenie i badają sprawę relacji rodzinnych podejrzanego.

– Bo jednak nie do końca mi się to wszystko klei.

– Co pan prokurator ma na myśli?

– Jak tak sobie przypominam inne przypadki z rodzinnymi waśniami w tle...

– zaczął Krok powoli. – Ojciec, którego się odcina od ukochanego dziecka, jeśli już decyduje się na desperackie kroki, to próbuje je uprowadzić i gdzieś się z nim zaszyć. Najczęściej za granicą, co oczywiście zawsze kończy się, jak się kończy. Ale zamach na teściową, nawet taką, której się nienawidzi i która bruździ? Desperackie i... – prokurator przez moment szukał odpowiedniego słowa – przeciwnie. Bo co niby miałyby tym osiągnąć? Czy poprawi swoją sytuację w sporze o dziecko? Nie. I nawet mniejsza o to, że takie przestępstwa niemal zawsze wychodzą na jaw. A wtedy nie zobaczyłby córki przez długie lata albo może już nigdy. Zawojski zaryzykowałby tak wiele dla samej zemsty?

– Może nie myślał trzeźwo, przecież jest alkoholikiem, może górę wzięły złe emocje.

– Dopuszczam taką możliwość. My za to musimy myśleć trzeźwo, zwłaszcza jeśli próbujemy zrekonstruować tok myślenia Zawojskiego. Motyw niby mamy, ale stawiam przy nim znak zapytania – jak powiedział, tak zrobił, kreśląc zamaszty pytajnik w notatniku. – Poza tym na razie trudno nam będzie udowodnić, że w feralnym czasie to Zawojski siedział za kierownicą golfa.

– Pracujemy nad tym – Mundek z miejsca uciął ten wątek.

– Nie wątpię, tylko pańscy ludzie muszą pracować szybciej. Wie pan dlaczego?

– Domyślam się – mruknął Polański.

– Lubię jasne sytuacje, więc powiem wprost, że na podstawie tego, co teraz mamy, nie podpiszę kwitów na przedłużenie aresztu Zawojkiemu.

– Chyba że sam się przyzna.

Polański zauważył, że prokurator lekko się skrzywił, a rysy jego twarzy się wyostrzyły. Wciąż wyglądał jak amant przedwojennego kina, ale taki o mrocznej przeszłości i czarnej duszy.

– Chyba po tej akcji ze ściąganiem adwokata sam pan nadkomisarz nie wierzy w taką możliwość.

– Niespecjalnie.

– Świetnie, że się rozumiemy. To czekam na wyniki sekcji i badania krwi z golfa, a także na notatkę z kolejnego przesłuchania podejrzanego.

– Mam wielką nadzieję, że jeszcze dzisiaj będę to wszystko miał.

– Ja też, panie nadkomisarzu, ja też, bo nie ukrywam, że chciałbym, by moja pierwsza sprawa w Katowicach poszła gładko.

Krok zebrał swoje rzeczy, wstał i wyciągnął rękę na pożegnanie.

– A tak w ogóle, miło było pana nadkomisarza poznać. Sporo dobrego o panu słyszałem.

Polański miał na końcu języka, że on zaś aż do dzisiaj nie miał pojęcia o istnieniu kogoś takiego jak prokurator Sebastian Krok, ale to przemilczał. Podziękował i pożegnał się z prawnikiem.

Gdy patrzył, jak ten wychodzi, powiewając połami długiego czarnego płaszcza, myślał, że prokurator naprawdę należy do ludzi konkretnych, co dobrze wróżyło ich współpracy. Zakładał też, może nazbyt optymistycznie, że nie będzie mu przeszkadzał i próbował niepotrzebnie mieszać w śledztwie. Jeśli nie zostanie do tego zmuszony.

*

Krzysiek umówił się przez telefon z Jadwigą Krol, zanim z Renatą wyruszyli z komendy. Nauczycielka była jeszcze w pracy, w podstawówce na Ochojcu, ale niedługo kończyła lekcje i zaprosiła ich do siebie. Uznali, że rozmowa w jej domu będzie najlepszym rozwiązaniem. Zapowiadała się, jak sądził, dłuższa pogawędka, najpewniej niezbyt przyjemna, bo nikt nie lubi opowiadać o problemach, które sprawiają najbliżsi, jeśli nie musi. Chyba że jest emocjonalnym masochistą, lubującym się w grzebaniu w ranach zadawanych przez członków rodziny.

Żeby nie tracić czasu, pojechali do Gliwic, aby drugi raz rozmówić się ze Szmatochem. Zaparkowali na placu komisju, po którym hulał jedynie wiatr. Wsiadając z nissana Krzyśka, Łukowska zapowiedziała, że najpierw musi zafajczyć. Nie protestował, mimo że nie uśmiechało mu się wystawanie na zimnie. Nie chciał jej drażnić, tym bardziej że w jego odczuciu robiła dziś wszystko, by zachować spokój i opanowanie. Nie narzekała, jak to się wcześniej zdarzało, że musi wozić się autem Krzyśka, którego z niejasnych dla niego powodów nie znosiła, i nawet odpowiedziała na jego pełne troski pytania (Kiedy odbiera audi? – Jutro. Czy nie objawił się Czarny Lud? – Nie).

Teraz zaciągnęła się, rozejrzała dookoła i powiedziała:

– Kiepsko dbają o klienta w tym Hubi-Auto.

– Dlaczego?

- Stoimy tu już trochę, a nikt do nas nie wyszedł.
- W taką pogodę to i psa z budy trudno wygonić. Poza tym chyba nie myślisz, że Szmatoch się za nami stęsknił i wyjdzie nam naprzeciw z otwartymi ramionami.

Skrzywiła się, wzięła dwa szybkie machy, cisnęła peta pod nogi i poszła w stronę budynku. Krzysiek wyprzedził ją i mało elegancko wepchnął się przed nią drzwiami. Nie zaprotestowała, pewnie zdawała sobie sprawę, że lepiej będzie, jeśli właściciel komisju najpierw zobaczy jego. I że to on powinien rozmawiać z obciętym na jeża mężczyzną.

Ku ich zaskoczeniu za biurkiem siedział też obcięty na jeża facet, ale zupełnie inny, chudy i z sinobrazowymi worami pod oczami, które pojawiły mu się na twarzy na pewno nie dlatego, że czytał po nocach ambitne powieści. Krzysiek przedstawił siebie i Renatę.

– Jest Szmatoch?

– Szefa nie ma.

– A kiedy będzie?

– Trudno powiedzieć.

– Człowieku – zaczęła Renata, przeciągając głoski – nie pytamy cię o tajemnicę państwową, ty nie jesteś premierem, a my dziennikarzami. Gdzie jest Szmatoch i kiedy będzie?

Pracownik Hubi-Auto skulił się na krześle, przez co wyglądał jak pół chłopa. Co najwyżej.

– Ja naprawdę nie wiem, szef mi się nie tłumaczy.

– Dobrze, to mów wszystko, co wiesz – polecił Krzysiek.

– Szef zwykle w poniedziałki jest w robocie, ale dzisiaj zadzwonił i powiedział, że bierze urlop na kilka dni. Spytał, czy dam sobie radę sam, powiedziałem, że spokojnie. To wszystko.

– Nic więcej nie mówił?

– Nie, bo i po co?

Renata spytała jeszcze:

– Często zdarza się, że Szmatoch nagle bierze sobie wolne i zostawia pana samego w firmie?

– Samego to nie, bo jeszcze tu Staszek robi na zmianę ze mną i Jakubem. Jakuba też dzisiaj nie widziałem, no ale on nie pracuje u nas codziennie.

– Spytam jeszcze raz, czy Szmatoch często robi sobie nieplanowane wcześniej wolne?

– Często, nieczęsto, bywa. Jest szefem, takie jego prawo.

– A tak przy okazji: Zawojkiego dobrze pan zna?

– Jakuba? – upewnił się mężczyzna, pewnie tylko po to, by zyskać chwilę na zastanowienie. – Niekoniecznie. To bardziej kolega szefa jest, nie mój.

Renata zgarnęła z biurka wizytówkę z telefonami do Szmatlocha i wyszli. Już w drodze do samochodu komentowała:

– Ja nic nie wiem, ja tu tylko sprzątam – całkiem udanie naśladowała płaczliwy głos pracownika komisju.

– Fakt, nie wygląda na mistrza w obsłudze klienta, ale zdaje mi się, że naprawdę mało wie.

– Za to na pijaka i owszem. Szmatloch chyba nie tylko handluje samochodami, ale też wspiera nie tak bardzo anonimowych alkoholików.

– Raczej bez większego powodzenia. Gdzie teraz? – spytał, odpalając nissana.

– Sprawdzimy, czy Szmatloch przypadkiem nie byczy się w domu z jakąś małoletnią panną.

W środku dnia ruch na ulicach był umiarkowany, więc szybko znaleźli się na miejscu. Z auta Łukowska dzwoniła do Szmatlocha na wszystkie numery z wizytówki, ale nie odbierał. Jego dom stał pusty i głuchy, furtka była zamknięta.

– Gdzie ten typ się podziewa? – spytała Renata i z czubą kopnęła w furtkę, niezbyt mocno.

Znowu zapaliła papierosa. Krzysiek chciał skomentować, że stanowczo za dużo pali, ale uznał, że byłaby to przesada. Chce, niech pali. Ona się nim nie przejmuje, więc on nie będzie zadręczał się stanem jej zdrowia. Tym bardziej że dym mu nie przeszkadzał, a przynajmniej nie zawsze.

– Samochód stoi na podjeździe, może się przed nami tajniaczy – zauważył. Zawiesiła wzrok na kilkuletniej toyocie i się skrzywiła.

– Mówił, że ma kilka samochodów. A poza tym, po co miałyby nas unikać?

– I to jest dobre pytanie!

– Mówię ci, panna, którą tu spotkaliśmy w sobotę, była nieletnia. Szmatloch się przestraszył, że będzie z tego dym, i postanowił zejść nam z oczu. Tak na wszelki wypadek.

– Ale przecież wiedział, że chodzi nam o Zawojkiego, a mniej o jego przeboje i podboje.

– Wiedział, nie wiedział... Dla mnie jest śliskim, podejrzanym typkiem.

– Jasne, ale obstawiałbym, że jeśli, powtarzam, jeśli naprawdę zniknął celowo, poszło o Zawojkiego, a nie o tę pannę. Nie sądzę, żeby gość, który wcześniej miał problemy z kobietami, ładował się w aferę z małolatą.

Renata się zaśmiała.

– A ty myślisz, że faceci, jak przychodzi co do czego, myślą głową?

– Nie gadamy o naturze facetów, tylko o Szmatlochu – Krzyśka zirytowały jej słowa. – Mogło być tak, że Zawojki wypucował się przed Szmatlochem, że chce zrobić krzywdę Krolowej. Szmatloch nie chciał sprzedać kumpla, więc wolał na wszelki wypadek się gdzieś przyczaić.

– Wszystko pięknie, tylko przecież do tej akcji na Gliwickiej Zawojki nie potrzebował współnika. To zbyt wydumane.

– Nie mówię, że mu w jakikolwiek sposób pomagał, ale że wiedział o czymś, o czym na pewno nie chciał nam powiedzieć.

– Tak mogło być.

– W sumie to może być zupełna pierdoła. Szmatloch wie, że Zawojki jest w kiepskiej sytuacji, ma skopane życie rodzinne i chłpa, więc niechętnie o nim mówi, żeby mu, broń Boże, jeszcze nie dołożyć do pieca.

– Szmatloch wie o czymś kluczowym. Czuję to.

– Ty i te twoje przecucia – Krzysiek się zaśmiał.

– Zapamiętaj sobie moje słowa – Renata zdeptała niedopałek. – Szmatloch na razie nie jest pilny. Jak się sam nie pojawi, poszukamy go i na pewno znajdziemy. A teraz jedziemy do Jadwigi.

Krzysiek wsiadł do samochodu. Obiecał sobie, że oczywiście zapamięta, co Renata powiedziała. I we właściwym momencie z satysfakcją oznajmi jej, że przecucie ją myliło.

*

Wysiadając z samochodu, Tyszka wdepnął prosto w kałużę pokrytą cienką warstwą lodu. Chlupnęło. Przyjrzał się butowi, uznał, że i tak był brudny, więc nie ma dramatu, najważniejsze, że skarpetkę wciąż ma suchą. Zapalił, osłaniając się przed wiatrem, który próbował zdmuchnąć płomień zapalniczki, i poszedł w stronę ogródków działkowych, gdzie umówił się z Krolew. Po telefonie do niego w pierwszej chwili zdziwił się, że mężczyzna nie siedzi w domu z córką i wnuczką. Ponoć w nieszczęściu rodzina powinna trzymać się razem. Jednak zdążył się już zorientować, że Krolowie nie są rodziną jak z obrazka. Szedł powoli, popatrując na działkowe posesje, które zimową porą wyglądały smętnie. Jak mawiała jego świętej pamięci matka: obraz nędzy i rozpaczy. Z naciskiem na rozpacz.

Jak zwykle w takich okolicznościach zachodził w głowę, co za przyjemność czerpią właściciele pseudowiejskich włości położonych w środku miasta, przyduszonych smogiem i spalinami, zapamiętane strzygąc trawniki, sadząc kwiatki czy podwiązując pomidory, które przecież można kupić w sklepie. Szukali spokoju? Zabijali czas? A może jak jego łojciec uciekali na działkę

z domu, w którym trudno było im opędzić się od smutnych albo złych myśli? Czy on też będzie na emeryturze przesiadywał na laubie, zgorzkniały i samotny? Bo chyba nie z Ela.

Zaczął rozważać fenomen laub, a skończył na myśleniu o Eli. Od wczoraj niemal każdy wątek jego myśli niepostrzeżenie skręcał w jej kierunku. W niedzielę wieczorem zadzwoniła, tak jak wcześniej obiecała w esemesie. Ku jego zdziwieniu brzmiała zupełnie normalnie, jakby nic się nie stało. Czy naprawdę nic? Chciał tak myśleć, ale nastawił się na wychwytywanie fałszu w jej słowach. Opowiedziała mu, jak minął jej dzień, mówiła, że dobrze, zaliczyła udane spotkanie. Naprawdę musiała użyć słowa „zaliczyła”? Żadnych więcej szczegółów. Bardzo chciał zapytać, z kim się spotkała, więcej – doskonale zdawał sobie sprawę, że powinien, żeby jak najszybciej wyjaśnić i wyczyścić sytuację, jednak nie umiał zdobyć się na wypowiedzenie tego pytania, w sumie prostego i jak najbardziej na miejscu. Za to kiedy Ela zainteresowała się, co on robił w niedzielę, opowiedział w skrócie, ale przemilczał wizytę w Silesii. Przemilczenie jest zwykłym kłamstwem, tak sądził. Skłamał, ale nie musiało to oznaczać, że Ela też łgała. Ustalili, że następne spotkanie umówią w poniedziałek albo we wtorek, kiedy obojgu wyklaruje się grafik na najbliższy tydzień. Czy usłyszał w jej słowach albo głosie coś niepokojącego? Jakąkolwiek nutkę fałszu? Nie był pewien, a przecież pochlebiał sobie, że doskonale wyczuwa, kiedy ludzie ściemniają. Czy Ela coś kręci? – to pytanie raz po raz powracało do niego od samego rana.

Adam stanął przed działką Krola i rzucił niedopałek pod nogi. Pchnął furtkę, która tym razem była otwarta. Ścieżka do domku została tak samo świeżo odśnieżona czy właściwie oczyszczona z pośniegowej brei. Pomyślał, że z Krola musi być kawał twardego sukinsyna, żonę mu zabili, a on spokojnie macha sobie łopata. Albo powodowała nim zwyczajna siła przyzwyczajenia – przez lata po przyjsciu na laubę odśnieżał, jeśli zaszła taka potrzeba, odgarnął więc śnieg i tego dnia. Zapukał do drzwi, Krol otworzył mu bez słowa. Na zewnątrz nie było zbyt jasno, bo nad Katowicami zalegały, niczym węgiel na hołdach, zwały chmur, więc w środku, mimo otwartych okiennic, panował półmrok, rozświetlany jedynie ogniem z kominka i ognikiem cigareta, którego ćmił Krol.

– Kiedy? – spytał.

Adam wiedział, o co mu chodzi, ale przez chwilę milczał, zastanawiając się, jakiego użyć słowa. W takich sytuacjach zawsze miał problem. Ciało? Zwłoki? Każde zdawało mu się niewłaściwe, więc je zgrabnie pominął i powiedział jak najkrócej:

– Jest już po sekcji – choć wcale nie był tego pewien.

– No to kiedy?

– Naprawdę nie wiem, panie Krol. To nie ode mnie zależy. Mam nadzieję, że jeszcze w tym tygodniu pochowa pan żonę.

Nic nie obiecywać, jednak dać nadzieję, wybrał w swoim mniemaniu najlepszą odpowiedź.

Krol westchnął i zgasił cigareta w przepelnionej popielniczce.

– Jak nie muszę łątwić pogrzebu, obalę browara – sięgnął do małej lodówki po butelkę piwa. – Pan się też napijesz?

Tyszka usiadł przy stole, położył przed sobą paczkę papierosów i zapalniczkę.

– Na służbie jestem.

Krol jedynie zamamrotał pod nosem i sięgnął po drugą butelkę. Syknęło, mężczyzna stuknął o butelkę Adama i pociągnął długi łyk. Adam uznał, że lepiej będzie się rozmawiało, jeśli też się napije. Chociaż trochę. Przecież Mundka, który zawsze zżymał się na łamanie regulaminu, tutaj nie było, a czego oczy nie widzą...

– Nie wiem, czy w tej sytuacji powinien pan pić – jego wątpliwości były szczere. – Ma się pan kim opiekować. Córka, wnuczka...

– Nikomu nie jestem potrzebny – uciał Krol, sięgając po kolejnego cigareta.

Tyszka też sięgnął po fajkę, wcześniej podając ogień Krolowi. Nie chciał, żeby mężczyzna skupił się na wylewaniu gorzkich żalów na świat i ludzi, więc przeszedł do konkretów:

– Mówił pan ostatnio, że żona darła koty z zięciem. Dlaczego? Chodziło o córkę i rozwód?

Krol wbił w niego spojrzenie i zapytał z zadziwiającą przenikliwością:

– Synek miał coś wspólnego z wypadkiem żony?

– Sprawdzamy to – w pierwszej chwili odpowiedział standardowo, ale uznał, że zagra z wdowcem w otwarte karty. – To jeszcze nic pewnego, ale ustaliliśmy, że samochód, którym jeździł Jakub, najprawdopodobniej brał udział w tym wypadku.

– Ale że Kuba?

Adam nie wiedział, o co Krol dokładnie pyta.

– Ale że on moją...

– Panie Krol, ustalamy to, sprawdzamy. W tej chwili to jeszcze nic nie musi oznaczać. Wróćmy do początku. Klócili się? Jakub z pana żoną?

– Aaa, panie, żarli się, odkąd go poznała.

– Dlaczego?

– Nie podpasował jej. No i ta ciąża.

– Co było z ciążą nie tak?

Krol pociągnął długi łyk piwa, po którym w butelce nie zostało za wiele.

– Bo Anka panienką była, jak zaciążyła.
– To przecież nic takiego, w średniowieczu nie żyjemy.
– Powiedziałbyś to pan mojej! Podejrzywałem, że tak to się skończy, ale kto mnie tam słuchał – w głosie mężczyzny brzmiała gorycz.
– Po kolei, bo się trochę pogubiłem – Adam wstrzymał rozmowę gestem dłoni. – Podejrzywał pan, że żona zginie, czy że córka zaliczy wpadkę?
– Że wpadnie, przecież o tym teraz gadamy, nie? – upewnił się Krol, a Tyszka potwierdził skinieniem głowy. – Wiesz pan, długo na drugie dziecko z żoną czekaliśmy, prawie siedem lat. Zdziśka tak się z Anki cieszyła, jakby to była pierworodna.
– Zdziśka?
– No żona moja przecież.
Dopiero w tym momencie Adam przypomniał sobie, że ofiara nosiła rzadkie imię Zdzisława.
– Chuchała na Ankę i dmuchała – kontynuował Krol – pozwalała na wszystko, rozpieszczała. Aż czasami ją opieprzałem, że dziecko rozpaskudza, ale kto mnie tam słuchał.
Adam był już pewien, jak brzmi refren życiowego żalu Krola.
– Anka uczyć się nie chciała, w głowie miała tylko ciuchy i makijaże, koleżanki i dyskoteki. Chodziła na te dyskoteki, chodziła, aż zaszła.
– Rozumiem, że z Jakubem Zawojkim, tak? – dopytał dla jasności.
– A z kim innym, pewnie, że z nim.
Krol dopił piwo i sięgnął po następną butelkę. Gestem spytał, czy Adam też chce drugie. Ten wskazał prawie pełną butelkę, która przed nim stała.
– No i tak. Nawet pomyślałem sobie, że nie najgorzej się stało, choć moja szalała. Anka przestanie myśleć o głupotach, przestanie latać Bóg wie gdzie, tak kombinowałem. Że niby szczęście w nieszczęściu. Bo i Kuba mi się widział. Młody, ale poważny, chałupę miał, warsztat samochodowy. Rodzice go szybko odumarli, musiał sobie synek sam radzić, i sobie poradził. No i zachował się jak trzeba. Nie migał się, do dziecka się od razu przyznał, przyszedł prosić o rękę Anki. Tłumaczyłem żonie, że bez znaczenia, że bajtel nieślubny, jak wszystko i tak skończyło się ślubem. Ale moja i tak ciągle krzywo na Kubę patrzyła, nic jej się w nim nie podobało. Że chłopak bez rodziców, jakby to jego była wina. Że tylko po zawodówce. Wielka mi pani księgowa! Jak za mnie szła, technikum tylko miałem, a nie kręciła nosem. No mówię, o wszystko się Kuby czepiała. A to, że coś źle powiedział, a to, że coś źle zrobił. I tak w koło Macieju. On to nawet na początku miał cierpliwość do Zdziśki, ale później zaczął się jej odgryzać. I robiło się piekło. Jak w niedzielę młodzi przychodzili do nas na obiad, zawsze była awantura. Aż mi się tych obiadków odechciewało.

– A córka stawiała po stronie męża czy matki?

– Ano pewnie, że matki. Razem po nim jechały jak po łysej kobyle, bo przecież Anka zawsze była córeczką mamusi.

Adam pomyślał, że Krol musiał mieć w życiu ciężko. Sam z trzema kobietami, teraz właściwie nawet czterema, bo była jeszcze wnuczka. Choć przecież już nie czterema, bo żona zginęła. Na moment pogubił się w obliczeniach.

– Jasne, mniej więcej już widzę, co się w waszej rodzinie działo – powiedział i zmienił temat. – A dlaczego pana córka rozwiodła się z Jakubem?

– Jak dlaczego? – spytał Krol zmęczonym głosem. – Moja żona była wszystkiemu winna.

– Żona? – Adam się zdziwił. – Z tego, co już wiem, Jakub zdradził Ankę.

Krol tylko machnął ręką i stwierdził:

– Ja tam nikomu do wyrka nie zaglądałem.

– To dlaczego wini pan żonę za rozpad małżeństwa córki?

– A pan byś wytrzymał, jakby złośliwa i wredna teściowa nagle się panu zwała na głowę?

Nie miał teściowej i na razie nie zapowiadało się, że kiedykolwiek będzie mieć, więc nie był w tej kwestii ekspertem. Uznał pytanie za retoryczne.

– Panie Krol, nie za bardzo rozumiem. Proszę wyjaśnić.

– Kiedy urodziło się moje słoneczko, to znaczy Roksanka, wnuczka moja jedyna, żona prawie zamieszkała w domu Anki i Jakuba.

– A po co?

– Żeby Ance po porodzie pomagać przy dziecku. Że niby córka słaba, dziecko ma pierwsze, więc jeszcze się na obowiązkach matki nie wyznaje. Po części może i rację moja miała, bo Anka do wszystkiego ma dwie lewe ręce. Ojcem jestem, widzę i szczerze mogę powiedzieć. Ale tak po prawdzie to sobie myślę, że żona tam pomieszkiwała, żeby mieć Jakuba na oku. I podburzać Ankę przeciwko niemu.

– A pana żona już wtedy nie pracowała?

– Wcześniej trochę na emeryturę poszła za wysługę lat.

– Gdzie pracowała?

– Mówiłem, księgową była w różnych firmach.

– Zostawmy to – Adam przerzucił kilka stron notatnika.

– Było u was, na ulicy Ciemały, sporo interwencji policji. Co się dokładnie działo?

Krol wstał, wykonał ruch, jakby chciał sięgnąć po kolejną butelkę piwa, ale zrezygnował. Z następnego papierosa jednak już nie.

– Ja tam, panie, do końca nie wiem. Wołałem tego wszystkiego nie oglądać, bo tylko z nerw wychodziłem.

– Jak to? – Tyszka nie był pewien, czy mężczyzna nie chce się wymigać od odpowiedzi, zasłaniając się niewiedzą. – Musiał pan przecież zdawać sobie sprawę, co się dzieje w pana domu.

– Wiedzieć wiedziałem, ale jak już panu mówiłem, nie chciałem na to wszystko patrzeć, bo to tylko jedna wielka gańba przed sąsiadami była. Tu – zatoczył ręką dokoła – sobie siedziałem. Mówiłem mojej i Ance, że z tej walki o Roksankę nic dobrego nie będzie. No ale przecież nikt mnie nie słuchał, nie?

– Walki?

– Tak to po mojemu wyglądało – potwierdził Krol. – Zaraz po rozwodzie to nawet spokój był, ale potem sobie umyśliły, żeby Jakub się z Roksanką nie spotykał. Niby dla dobra bajtla. I się zaczęło.

– Był tego jakiś powód? Jakub źle się córką opiekował?

– Panie, on by Roksance nieba przychylił. Ale one uznały, że jak on chłop, to może dzieciaka zmarnować, że popije i dziecku się krzywda stanie.

– Jakub wtedy pił?

– A kto by w takiej sytuacji nie pił?! Ale on wtedy popijał tak zwyczajnie, jak każdy, nie tak jak teraz. I na pewno nie przy dziecku. A przynajmniej jak odprowadzał Roksankę do domu, nie było od niego czuć. No bo teraz, nie ma co kryć, chła jak dziki.

– I o to były te awantury?

– A o co innego? Jemu tylko o córkę chodziło, na Ankę to nawet patrzeć nie chciał. Jak dzieciaka do niego nie puszczały, podał je do sądu rodzinnego czy gdzieś tam, nie pamiętam dokładnie. To one go też, że niby dziecko kiedyś od niego posiniaczone wróciło.

Adam się zaniepokoił. W przepychankach rodziców o dziecko zwykle najbardziej cierpiało to ostatnie, najczęściej psychicznie, ale bywało, że i fizycznie.

– Faktycznie tak było? Jakub mógł uderzyć córkę?

– Gdzie tam! Zmyśliły to, a właściwie moja zmyśliła, bo to ona całą tą aferą kręciła.

Tyszka znowu zajrzał do notatnika.

– Ponoć bywało, że Jakub stał pod waszym domem i wykrzykiwał groźby.

– A mogło się tak zdarzyć, bo później napity przychodził, żal w nim wzbierał, to i sobie pokrzyczał.

– Poza tym był agresywny?

– Jak dla mnie, to nie. Zawsze ręce trzymał przy sobie. Zresztą tak powiem panu szczerze, może teraz za bardzo nie wygląda, ale z Jakuba jest naprawdę

łbski synek. Przecież zdawał sobie sprawę, że jakby się tylko zamachnął na Ankę albo moją, od razu wsadziłyby go za kraty. Bez mrugnięcia okiem. A wtedy mógłby już zupełnie o Roksance zapomnieć.

Adam pociągnął łyk piwa, zapalił papierosa. Stary Krol ewidentnie trzymał stronę Jakuba, zdaje się też, że od dawna nie był w najlepszych relacjach z kobietami ze swojej rodziny. Czy przemawiały przez niego gorycz i żal? Bez wątplenia. Czy to w jakiś sposób zniekształcało jego perspektywę oglądu relacji rodzinnych? Może tak, może nie. Poza tym trudno było o obiektywizm w sytuacji, w której jest się w samym środku rodzinnego zamętu. Adam jednak wierzył Krolowi. Chyba.

– Jeszcze jedno – przypomniało mu się po tym, jak zerknął do notesu. – Byliśmy już raz i drugi w pana domu, a nie spotkaliśmy pana starszej córki. Nie mieszka na Ciemały?

Krol westchnął ciężko, potarł palcami policzki, aż zachrząścił dawno niegolony zarost, i powiedział cicho, niemal szeptem:

- Nie udała się ta nasza rodzina.
- Panie Krol, nie bardzo rozumiem.
- Jadzia z nami od dawna nie mieszka, bo ją Zdziśka przegnała.
- Jak to wyгнаła? Matka rodzoną córkę? – Adam zrobił wielkie oczy.
- Normalnie, kazała iść won. A tak to się zaczęło...

*

Już od progu Renata czuła, że z tym mieszkaniem jest coś nie tak. Jednak nie potrafiła zamienić tych przeczuć w słowa. Na pierwszy rzut oka była to zwyczajna kawalerka, skromnie, ale funkcjonalnie umeblowana, czysta aż do przesady. Renata była pewna, że gdyby przejechała palcem po najtrudniej dostępnych kątach, nie zostałaby na nim nawet drobinka kurzu. Nadmierna, wręcz obsesyjna schludność? Raczej nie o to szło. Jeszcze raz omiotła wzrokiem pokój, w którym usadziła ich gospodyni. Bardziej chyba chodziło o to, że mimo maksymalnie rozkręconego kaloryfera wewnątrz sprawiało wrażenie zimnego. Aż poczuła chęć, by zapiąć kurtkę po samą szyję. Zimno i... pustka. Albo coś w tym rodzaju.

– Właściwie, o co chodzi? Co takiego się stało? – głos Jadwigi Krol wyrwał Renatę z rozmyślań.

– Przychodzimy w sprawie śmierci pani matki – wyjaśniła podkomisarz.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia – Mateja wtrącił się z frazą, którą Renata uznała za niepotrzebną, przynajmniej w tym momencie, kiedy po powitaniu zdecydowanie minął czas na kondolencje.

– Ach, tak...

Renata czekała na ciąg dalszy. Daremnie. Krol powoli pogładziła ostrzyżone na kilka milimetrów i ufarbowane na czerwono włosy. Łukowska przez chwilę zastanawiała się, czy wybór takiej fryzury coś znaczy. Mógł, ale nie musiał. Siedząca przed nią kobieta nie wyglądała jak typowa nauczycielka z podstawówki. Z drugiej jednak strony nie każda nauczycielka musiała mieć grzeczną fryzurę, niedobre okulary i szarobure ciuchy, wyglądające jak zdjęte z nielubianej ciotki. Zresztą co ona wiedziała o nauczycielkach? Może akurat teraz panuje wśród nich moda na zbyt obszerne flanelowe koszule w kratę i powypychane na kolanach dzinsy. A może flanela zwyczajnie miała chronić przed zimnem panującym w tym pokoju.

Nijaka reakcja Krol zbiła ją z tropu.

– Ale wie pani, że pani matka nie żyje? – wołała się upewnić.

– Oczywiście, ojciec do mnie dzwonił.

– Dzwonił? Nie spotkała się pani od piątku z rodziną?

– Ale po co? – Krol wyglądała na autentycznie zdziwioną.

– Żeby być razem z bliskimi w tym trudnym momencie? – podpowiedziała Renata.

– Z rodziną dobrze wychodzi się tylko na zdjęciu – odparła kobieta głosem wypranym z emocji, niezbyt precyzyjnie odpowiadając na zadane pytanie.

Co z tobą jest nie tak, dziewczyno? – myślała Łukowska. Może Krol wciąż była w szoku po nagłej stracie matki. Może ugrzęzła na mulistym dnie żałoby. Jednak wcale nie sprawiała wrażenia pogrążonej w rozpacz.

– Właśnie chcemy porozmawiać o pani rodzinie.

– Ale w jakim celu? Ojciec mówił, że to był wypadek. Nie ma co drażnić. Tak myślę.

– O tym my decydujemy – rzuciła ostrzej Łukowska. – Sprawdzamy okoliczności tego... – zawiesiła na sekundę głos – wypadku. Mam kilka pytań.

– To niech pani pyta – Krol sięgnęła po stojący na niskiej ławie kubek z herbatą ruchem, który wydał się Renacie niezgrabny, kanciasty. – Tylko od razu powiem, że wiele nie wiem.

– Dlaczego? – wyrwał się z pytaniem Krzysiek.

Kobieta upiła łyk i trzymała kubek w dwóch dłoniach, jakby chciała je ogrzać.

– Normalna sprawa. Dawno temu wyprowadziłam się z domu, jeszcze na początku studiów. Mam swoje życie i problemy, oni mają swoje. Spotykamy się najczęściej przy świętach, a i to nie każdych. Gadka szmatka, stół zastawiony jak na małe wesele i zwykle kłótnia na koniec, żeby wszystkim przypadkiem nie było za miło.

– No właśnie nie wydaje mi się to do końca normalne – skwitowała Renata. – Mieszkacie w tym samym mieście, a z tego, co pani mówi, wynika, że prawie nie utrzymujecie kontaktów.

– Naprawdę będziemy rozmawiać o kategorii normalności w relacjach rodzinnych? – nauczycielka skrzywiła usta.

– Nie o to nam chodzi – włączył się Krzysiek, bo zobaczył, że Łukowska zaczyna się jeżyć. – Chyba jednak stało się coś poważnego, co spowodowało, że pani więzy z rodziną trochę się rozluźniły?

Krol odstawiła kubek i znowu przejechała dłonią po włosach. Do Renaty dotarło, co jest nietypowego w tym gościu. Był typowo męski. Chyba. A może tak robili wszyscy, którzy mieli włosy ostrzyżone na jeża? Nie wiedziała, wcześniej nie zwracała na takie gesty uwagi.

– W sumie – nauczycielka zawiesiła głos, jakby zastanawiała się, ile chce albo może powiedzieć policjantom – żadna tajemnica. Anka, moja młodsza siostra, się stała. Kiedy pojawiła się na świecie, rodzice całą uwagę skupili na niej. Ja poszłam w odstawkę. Na początku mnie to... – kolejne zawieszenie głosu. – Doskwierało mi to. Później się z tym pogodziłam. Okazało się, że nie potrzebuję za wielu ludzi wokół siebie. Także tych z rodziny. Mam pracę, uczniów. I kilkoro znajomych, dzięki którym nie czuję się aspołeczna.

Łukowską zastanowiło użycie ostatniego słowa. Czyżby Krol była socjopatką świadomą własnych deficytów? Zbyt daleko idący wniosek.

– I w ogóle nie orientuje się pani, co ostatnio się działo z pani siostrą i rodzicami? – spytała Renata.

– A o co pani pyta tak konkretnie?

Łukowska zaczęła żałować, że trafiła im się matematyczka, czyli w założeniu umysł ścisły i precyzyjny. Gdyby jeszcze miała pewność, w którą stronę ma drążyć...

– Zacznijmy od problemów pani siostry z byłym mężem, Jakubem Zawojkim. Wie pani, jaki był powód rozwodu? I jak przebiegał spór o dziecko?

– Jadzia... To ona przez to wszystko najbardziej cierpi.

– Jaka znowu Jadzia? – Renata była zdezorientowana.

– Roksana ma na drugie Jadwiga. Nie lubię jej pierwszego imienia, więc używam drugiego. To był pomysł mojego ojca, żeby dać jej moje imię, przynajmniej na drugie. Taki rodzaj gałązki oliwnej, chęć scalenia rodziny. Piękny gest, nawet go doceniłam, ale jak dla mnie jednak pusty i mocno spóźniony. Naciskał, żebym została matką chrzestną, ale mnie z Kościołem nie jest po drodze.

– Okej, jasne. Wróćmy do kwestii rozwodu.

– Problemem była i jest Anka. Wszystko stało się przez jej niedojrzałość i niesamodzielność.

– Ale to podobno pani siostra odeszła od męża? – dopytał Krzysiek.

– O ile ucieczkę pod ciepłe skrzydełka mamusi nazwiemy rzuceniem Jakuba, to tak. Ja się w ogóle Jakubowi dziwiłam, że tak długo z młodą wytrzymał. Pewnie tylko dlatego, że bardzo kocha Jadzię.

– Czy napięcia między Zawojkim a pani rodziną wynikały tylko ze sporów o Roksanę? – powiedziała Renata odruchowo, ale zaraz sprostowała: – W sensie Jadzię?

– Oczywiście, ale nie z rodziną w ogóle, tylko głównie z moją matką.

– Dlaczego tak pani sądzi?

– Bo to matka zawsze rządziła w domu. Wszystkimi chciała zarządzać, wszystkim próbowała układać życie. Ja na to nie pozwoliłam i dlatego moje związki z rodziną, jak pan słusznie zauważył – skinęła głową w stronę Matei – się rozluźniły. A myślicie, że dlaczego ojciec właściwie mieszka na działce? Więc ta cała afera z odcinaniem Jadzi od ojca na pewno była pomysłem matki. Chciała obie, Ankę i Jadzię, mieć tylko dla siebie. I zarządzać nimi po swojemu.

– Matka pani o tym mówiła? – dopytała Renata.

– A skąd! My właściwie ze sobą nie rozmawiamy. Czasami tylko wymieniamy się praktycznymi informacjami, tak bym to określiła. Jakub mi mówił, że walczy głównie z moją matką, bo Anka robi wszystko, co jej matka każe. Zresztą młoda jest zwyczajnie za głupia na intrygi czy nakręcanie jakichś sądowych afer, gadanie z adwokatami.

– Dobrze zna pani Jakuba Zawojkiego? – drążyła podkomisarz.

– A co to w ogóle znaczy: dobrze kogoś znać? – Krol zmarszczyła czoło, jakby zamierzała skupić się nad rozważaniem filozoficznego problemu z teorii poznania. – Poznałam go jakiś czas temu, kiedy ni stąd, ni zowąd objawił się jako ojciec Jadzi, a potem mąż Anki. Był przyszywanym członkiem rodziny, do której ja też byłam ledwo co przyszyta słabym ścięciem, na granicy zerwania. Kilka razy widziałam go podczas świąt, wiedziałam, kim jest i co robi. Ale za czasów jego małżeństwa z Anką wymieniliśmy w rozmowie pewnie z kilkanaście, najwyżej kilkadziesiąt zdań. Nie więcej. Po rozwodzie Jakub szukał kontaktu ze mną, kilka razy rozmawialiśmy dłużej. Tylko że nie lubię, jak mi się ludzie wypłakują w rękaw. A już do niańczenia facetów poharatanych przez życie i inne kobiety zupełnie się nie nadaję, więc zaczęłam go unikać.

– Kiedy ostatni raz spotkała się pani z Jakubem?

– Jakiś miesiąc temu.

– Nie pamięta pani dokładniejszej daty?

– Nie prowadzę rejestru spotkań. Na pewno po Nowym Roku, gdzieś na początku stycznia. – I później już się z panią nie kontaktował?

– Raz czy dwa zadzwonił.

– Czy podczas spotkania i rozmów telefonicznych Jakub robił wrażenie zdesperowanego albo wściekłego?

– Głównie pijanego. I załamanego, bo upijał się na smutno i w kółko jęczał, że mu się świat, cytuję jego słowa, rozpiardolił w drobny mak. Akurat miał rację i powód do chlania. Trochę go rozumiałam, trochę żałowałam. Nic poza tym.

– Zawojskiemu chodziło o to, że stracił żonę i właściwie też córkę? – Mateja chciał się upewnić.

– Przede wszystkim, ale nie tylko – Krol znowu upiła łyk herbaty i zaraz odstawiła kubek na ławę. – Po rozwodzie został goły i wesoły. Chciał, żeby rozwód przeszedł bez komplikacji i złości, godził się na wszystko. Nie zdawał sobie jednak sprawy, jak twardą zawodniczką jest moja matka. I że bardzo dobrze umie liczyć. Połowa majątku przypadła młodej, Jakub zgodził się szybko na spłatę. Musiał sprzedać dom, a później stracił też warsztat samochodowy. Rachunki od adwokata go dobiły. I alimenty. Podejrzewam, że matka nie odpuściła mu choćby dnia spóźnienia z przelewem.

– I pewnie alkohol – wtrąciła Renata.

– Bez wątpienia nie pomógł. Jakub mówił ostatnio, że wynajmuje mieszkanie gdzieś w Gliwicach i zarabia parę groszy u kumpla. W sumie biedny facet. Powiedziałabym nawet, że to tragiczna postać.

– Dlaczego?

– Zależy mu tylko na dobru córki, ale już wie, że przegrał i niewiele będzie mógł dla Jadzi zrobić.

– Bo?

– Jadzia zostanie przy młodej. Jakub, a w sumie ja też, jest zdania, że Anka źle wychowuje córkę. Zresztą jak może być inaczej w tak toksycznej rodzinie. Tyle że on, jak mówiłam, nic nie może na to poradzić. Jest za słaby. Albo inaczej, stał się słaby.

– Czyli Jakub był zdesperowany? – spytał Mateja.

– To na pewno. Od dawna.

– Czy desperacja mogła go pchnąć do gwałtownych zachowań? – Renata postanowiła przejść do konkretów.

Krol wbiła w nią wzrok. Renata znowu odniosła wrażenie, że Jadwiga kalkuluje, ile informacji może ujawnić. W końcu nauczycielka zaczęła mówić, powoli, wyraźnie ważąc słowa:

– Był zdesperowany, ale przy tym słaby. Taka kombinacja bardziej paraliżuje działania, niż skłania do akcji. Przynajmniej w jego przypadku. A czy mógł

komuś zrobić krzywdę? Nie wiem. Może. Słaba ze mnie psycholożka. Mogłam nie odczytać pewnych sygnałów, które wysyłał.

– Jakich?

– Gdybym wiedziała, pewnie bym je odczytała.

Logiczne. Renata zastanawiała się, czy Krol celowo nie powiedziała, że Jakub był zdolny do zrobienia krzywdy jej matce. Nie chciała go bezpodstawnie oczernić? A może jej mózg ścisłowca miał za mało danych, by pozwolić na wyciągnięcie takiego wniosku.

Krol, nie kryjąc się z tym gestem, spojrzała na duży zegarek na przegubie lewej dłoni. Renacie przeleciało przez głowę, że w dobie telefonów komórkowych coraz rzadziej widuje u kobiet ręczne zegarki.

– Śpieszy się pani gdzieś? – Krzysiek też zauważył spojrzenie nauczycielki.

– Niedługo przyjdzie do mnie uczennica na korepetycje, więc jeśli mają państwo jeszcze jakieś pytania... – urwała zdanie.

– Czy Jakub bywał agresywny? – zapytała Renata.

– Nic na ten temat nie wiem. Przy mnie na pewno nie. Matka wprowadziła nazywała go, cytuję, wściekłym knurem, ale ona różne bzdury wygadywała. Mówiła też, że się go boi, ale to nie musiało nic znaczyć.

– Pani zdaniem Jakub nie stanowił zagrożenia dla waszej matki?

– Matka, jeśli postanowiła komuś dokopać, nie przejmowała się faktami. Powtórzę, zwykle mówiła to, co było jej akurat potrzebne lub wygodne. Tyle tylko. Zresztą pytajcie ojca, on mordował się z nią na co dzień.

– Mordował? – wtrącił się Mateja.

– Tak się tylko mówi. Proszę nie łapać mnie za słówka.

– Jasne – powiedziała Renata spokojnym głosem. – Wie pani, co było przyczyną rozvodu pani siostry z Jakubem?

– Stawiałabym na niezgodność charakterów.

– Bardzo to ogólne...

– Chcecie jaśniej? – w głosie Krol zadźwięczała irytacja. – Może Jakub po prostu zorientował się, że jego żona, matka jego dziecka jest bezdennie głupia. A wtedy coś w nim bez wątpienia pękło.

Łukowską na moment zamurowało. Coś w tym, co powiedziała Jadwiga, nie grało, ale co dokładnie? Treść ostatniego zdania była pełna jawnej agresji, ale kobieta wypowiedziała je tak beznamietnym tonem, jakby podawała wynik niespecjalnie skomplikowanego równania.

– Dobrze, to na razie tyle, dziękujemy – powiedziała podkomisarz i wstała. –

Aha, może zna pani Huberta Szmatlocha?

– A kto to taki?

– Obecny pracodawca Jakuba. Nie wspominał o nim?

– Pewnie tak, ale nie pamiętam tego nazwiska.

Ściemniała czy zwyczajnie nie pamiętała? Jak w rzeczywistości blisko Jadwiga była z Jakubem? Ile jej opowiedział, ile zdradził? Renata nie była w stanie tego rozstrzygnąć.

– Poza tym Szmatloch udziela się w fundacji, która pomaga ojcom starającym się o opiekę nad dziećmi. Jakub o tym pani nie opowiadał?

– O fundacji? Mówił, pewnie.

– Co dokładnie?

– Niewiele.

Łukowska odniosła wrażenie, że Krol się zamyka, nie chce już odpowiadać na kolejne pytania. Próbowwała coś ukryć czy chciała się jak najszybciej pozbyć z mieszkania policjantów przed lekcją z uczennicą?

– Proszę opowiedzieć o tym niewiele – zachęciła.

– Naprawdę nie ma o czym. Znalazł w tej fundacji wsparcie, zapalił się do ich działalności. Ale nie chciałam o tym wszystkim słuchać.

– Był jakiś konkretny powód?

– Oczywiście – potwierdziła Jadwiga i westchnęła. Jakby zmuszała się do wypowiedzenia kolejnego zdania. – Moim zdaniem takie problemy, jak te Jakuba z małą Jadzią, można rozwiązać jedynie indywidualnie. Na nic tu się nie przyda wsparcie grupy. Jakiegokolwiek.

*

Dopiero kiedy Mateja gwałtownie skręcił w ulicę Dziewięciu z Wujka, żeby zdążyć przed zbliżającym się autobusem, Łukowska ocknęła się z zamyślenia.

– To o tę kopalnię chodzi? – spytała.

– Jeśli masz na myśli kopalnię, którą spacyfikowali w stanie wojennym, to tak.

– Aha.

– Widzę, że zaczynasz się interesować historią Śląska – uśmiechnął się, ale zaraz mina mu zrzędała, bo po skręceniu w Ligocką znaleźli się w korku, który ciągnął się do dużego skrzyżowania z Brynowską, Mikołowską i Gallusa. –

Kopalnia Wujek jest tu niedaleko – wskazał głową za siebie. – Możemy tam kiedyś podjechać w wolnej chwili. Ta pacyfikacja była straszna, czołgi, strzaky z broni długiej... Kutz zrobił o tym świetny film i...

– Może trochę interesuję się regionem, w którym przyszło mi mieszkać, ale nie na tyle, by teraz wysłuchiwać pogadanek o historii – przerwała mu.

Dotoczyli się do skrzyżowania, a on skręcił w ulicę Mikołowską. Równie zapchaną, jak zawsze w godzinach powrotów z pracy. Renata miała ochotę

zapalić, ale wiedziała, że nie pozwoli jej kurzyć w aucie. Wyjęła papierosa z paczki i powoli, metodycznie obracała go w palcach, ugniatając tytoń. Mateja tylko spojrział na fajkę, nie skomentował, ale najwyraźniej chciał sobie pogadać, bo powiedział:

- Ci Krolowie z Zawojkim na dokładkę to prawdziwa rodzina Addamsów.
- Co to za Adamsowie? Znasz ich?
- Naprawdę nie widziałas tego filmu o prawdziwie potwornej rodzinie?
- Wiesz, że oglądam tylko dokumenty. A i to rzadko.
- Miałem na myśli, że ta familia Krolów jest straszna – objaśnił.

Renata odgarnęła pasma kręconych włosów z boku głowy i włożyła papierosa za ucho.

– Tak sądzisz? – zadała pytanie retoryczne. – A mnie się wydaje, że takich rodzin jest całkiem sporo.

– Weź przestań – Krzysiek nacisnął klakson, bo czarny SUV wbił mu się tuż przed maskę z ulicy podporządkowanej. – Te ich układy rodzinne ocierają się o patologię. Moim zdaniem nie jest normalne, że starsza córka i Krol nienawidzą Krolowej. Bo na to mi wygląda. Mnie się wydaje, że Jadwidze wcale nie jest żal, że jej matka zginęła. Krolowi też nie bardzo, a przynajmniej tego po sobie nie pokazuje.

– Mnie interesuje raczej odpowiedź na pytania, jak długo z tą nienawiścią żyli i jak w rzeczywistości była mocna. Może być tak, że dopiero po śmierci Krolowej coś w nich pękło i zaczęli otwarcie mówić o złych emocjach. A wcześniej dusili to wszystko w sobie.

– Dusili, nie dusili, to jedynie psychologiczne spekulacje. A fakty są takie, że mamy Zawojkiego, który jest najbardziej podpadnięty.

- Ale nie mamy twardych dowodów.
- Na razie – powiedział Krzysiek, unosząc palec wskazujący.
- Mimo wszystko dokładnie sprawdziłabym alibi Krola i tej Jadwigi.
- Krol najprawdopodobniej nie ma, bo w piątek siedział na działce.

Sprawdzić możemy, ale na razie to nic pilnego. Pewnie już jest info od techników, może Zawojski się przyznał. Zobaczymy, co zarządzi Polański.

- Ciekawe, że nie dzwoni i nie sprawdza, co ustaliliśmy.
- Zarobiony pewnie jest.

Przez kilka minut jechali spacerowym tempem, milcząc.

- Poważnie mówiłaś, że takich porąbanych rodzin jest bardzo dużo?

Tylko skinęła głową.

- A w ogóle miałaś takie doświadczenia? Z roboty czy prywatnie?
- Mateja, za dużo pytań naraz – próbowała go zbyć.

– Właściwie – zawiesił na moment głos – nigdy nie opowiadałaś o swoich bliskich.

– A pytałeś?

– Nie, czekałem, aż sama mi powiesz.

– To sobie jeszcze poczekasz.

– Daj spokój – uderzył otwartymi dłońmi w kierownicę. Czyżby zaczynał tracić do niej cierpliwość? – Znowu niby jakieś mroczne tajemnice jak ta twoja historia z Ramoną i gangiem Zawiasa, tak? Tak myślisz? Jak dla mnie, to są zwyczajne historie i nie ma sensu się z nimi tajniaczyć. Przynajmniej nie przede mną.

– Nie bierzesz pod uwagę, że mogę po prostu nie mieć ochoty gadać o mojej rodzinie? Do czego jest ci potrzeba ta wiedza?

– Wyobraź sobie, że do niczego. Tyle że ludzie, którzy są razem, zwykle rozmawiają o takich sprawach.

– Zwykle czy nie. Jeśli potrzebujesz zwykłej laski, to poszukaj sobie innej.

Mateja tylko pokręcił głową, zaciskając usta. Nie zdecydował się na ripostę. Skręcił gwałtownie w boczną ulicę. Renata rozejrzała się wokoło, mniej więcej kojarzyła, gdzie są. I nie była pewna, czy ten skrót sprawi, że szybciej znajdą się w fabryce. Milczała. Nie chciała jeszcze bardziej go denerwować. Poza tym zawsze stosowała zasadę, że ten, kto trzyma kierownicę, wybiera trasę i nie należy mu się wtrącać z dobrymi radami. O ile nie poprosi.

Chrząknęła i wyrzuciła z siebie prawie na jednym oddechu:

– Mam matkę, ojciec zginął w wypadku samochodowym sześć lat temu, mam też starszą siostrę, prawdziwą matkę Polkę z trójką dzieci, której nie widziałam już ze dwa lata. Powiedziałyby, że średnio się dogadujemy i za bardzo za sobą nie tęsknimy – zrobiła wdech. – Zadowolony?

Mateja milczał.

Nie musiała mu mówić o swojej rodzinie, ale powiedziała. Czy to coś znaczyło?

*

Minęła kolejna godzina, a adwokat Zawojskiego wciąż nie zjawił się w fabryce. W sumie Polański mógł się tego spodziewać, przecież stwierdzenie papugi, że „przyjedzie najszybciej, jak się da”, nie należało do precyzyjnych. Prawnik jednak zadzwonił drugi raz, żeby potwierdzić, że na pewno będzie, tylko ma problemy z dotarciem. Polański myślał, że zachowanie adwokata jest trochę dziwne, a przynajmniej nietypowe. Czy grał w coś do spółki z Zawojskim? Tylko co mógł ugrać, odwlekając przesłuchanie swojego klienta? Sprawić, że

wypuszczą pijaka, bo nie zdołają postawić mu na czas dobrze uzasadnionych zarzutów? Jasne, prokurator Krok zapowiedział, że sam motyw nie wystarczy, żeby klepnął przedłużenie aresztu, że potrzebuje konkretnych dowodów, które łączą Zawojskiego ze zdarzeniem na ulicy Gliwickiej. Od spotkania z Krokiem Mundek jednak nie próżnował, więc nie czuł niepokoju, gdy czekał na opieszalego adwokata.

Po zebraniu swojego zespołu chwycił za telefon i zaczął popychać sprawę najszybciej, jak się da. Zadzwoił do techników, żeby im przypomnieć, że czeka na wyniki badań krwi zabezpieczonej na masce golfa. Tłumaczyli się, że nie wiedzieli, że badania mają być na cito, ale wystarczył lekki opieprz i obiecali, że będą jeszcze dzisiaj. Nadkomisarz nie lubił robić awantur, ale czasami musiał, bo najzwyczajniej w świecie okazywały się skuteczne, zwłaszcza w ich robocie, gdzie ludzi wciąż było za mało, za to pracy nie ubywało nigdy. Później złapał doktora Biedrzyckiego, mimo że zajęło mu to sporo czasu, bo ten akurat miał wolny dzień, a wtedy zwykł nie odbierać telefonów. Mundek świetnie rozumiał podejście Biedrzyckiego do kwestii świętości czasu wolnego od pracy, ale tym razem nie zamierzał jej uszanować. Znał zwyczaj lekarza, ale również telefon do jego sąsiada – podobna sytuacja nie była przecież pierwszą – którego rzadko, bo rzadko, ale czasami jednak wykorzystywał jako kogoś w rodzaju posłańca. Biedrzycki wreszcie zadzwonił, pojojczył, ponarzekał, ale przeszedł do rzeczy, pewnie tylko po to, żeby jak najszybciej mieć Polańskiego z głowy i spokojnie wrócić do tego, co zwykle robił dla relaksu. Co by to było? Mundek nie miał bladego pojęcia.

Biedrzycki zrobił sekcję zwłok Krol, choć nawet jeszcze nie pomyślał o zabraniu się do spisywania protokołu. Typowa zasada: jeśli masz zająć się papierologią, najlepiej odłóż ją na później. Krol była, jak to zwykle po poważnym, śmiertelnym wypadku komunikacyjnym, poważnie poobijana i połamana, miała pękniętą kość udową lewej nogi, mniejsze lub większe urazy lewej strony miednicy, lewej ręki i ranę w okolicach prawej skroni, która doprowadziła do terminalnego uszkodzenia mózgu. Miała też niemal zmiądzoną kostkę lewej nogi. Wysoko poleciała, z impetem spadła, Biedrzycki skomentował w swoim niepowtarzalnym stylu. Mundek spytał, czy któreś z obrażeń może wskazywać, że auto najechało drugi raz na leżącą na jezdni kobietę. Medyk zastanawiał się chwilę i w końcu powiedział ostrożnie, że ta zmiądzona kostka nie do końca mu pasowała do całościowego przebiegu zdarzenia, więc tak, mogło się tak zdarzyć, ale zastrzegł, że musi się jeszcze temu dokładniej przyjrzeć. Cały Biedrzycki, który nigdy nie rwał się do wyciągania pochopnych wniosków. Na razie tyle musiało Polańskiemu wystarczyć.

Wreszcie dyżurny zadzwonił, zapowiadając adwokata Zawojkiego. Mundek schował do teczek nieliczne dokumenty sprawy, bardziej po to, żeby udawać, że coś w niej ma, niż z nich korzystać. Tego rodzaju drobne gierki czasami sprawdzały się podczas przesłuchań.

Nadkomisarz wszedł do pokoju przesłuchań. Zawojki siedział na krześle ze spuszczoną głową i wyglądał, jakby drzemał. Adwokat się poderwał i wyciągając dłoń na powitanie, mówił:

– Dzień dobry, Patrycjusz Drewnowski, jestem adwokatem pana Zawojkiego. Przepraszam, że musiał pan nadkomisarz...

Mundek uściskał dłoń prawnika. Nie słuchał, co tamten mówił dalej, za to uważnie mu się przyglądał. Wcześniej nigdy nie spotkał Drewnowskiego, co więcej, nawet nie słyszał o tym adwokacie. Poza tym mężczyzna o rzadkim imieniu Patrycjusz w ogóle nie wyglądał jak adwokat. Miał długie jasnoblonde włosy spięte w kucyk, pociągłą twarz, którą jeszcze bardziej wydłużała hiszpańska bródka, dla odmiany ruda, i bardzo bladą cerę człowieka, który unika słońca, bo nie lubi się opalać albo ma problemy dermatologiczne. Włożył czarne dżinsy i szarą bluzę z kapturem, na której widniało logo w postaci dwóch pięści, graficznie uproszczonych, ułożonych w „żółwika” oraz napis „Niepokonany Tato”. Czyli kolejny po Szmatlochu działacz fundacji wspierającej ojców. Mundek pomyślał, że ich logo bardziej by się nadawało jako znak graficzny jakiejś bojówki albo klubu sportów walki. Niekoniecznie tylko walczących ojców.

– Nie ma problemu, dobrze, że pan mecenas wreszcie jest – rzucił na czuja, kiedy Drewnowski skończył mówić.

Usiedli, Mundek włączył magnetofon i wypowiedział stosowne formułki. Otworzył teczkę i udawał, że uważnie studiuje dokumenty. Drewnowski nie należał do cierpliwych, bo szybko przerwał ciszę, pytając:

– Jakie są zarzuty wobec mojego klienta?

Nadkomisarz spojrzał na adwokata i powoli odłożył teczkę na stół.

– Podejrzewamy, że pan Zawojki kierował samochodem, który uczestniczył w zdarzeniu drogowym na ulicy Gliwickiej w Katowicach. W wyniku zdarzenia zginęła teściowa pana Jakuba, Zdzisława Krol.

– Była teściowa – doprecyzował adwokat.

– Zgadza się – potwierdził Mundek.

– Macie dowody, że to było auto pana Jakuba?

– Ślady zabezpieczone na miejscu zdarzenia i na samochodzie to potwierdzają, badamy jeszcze krew z maski golfa.

– Jak dla mnie, mało tych dowodów. I są słabe.

– To się okaże – Polański nie tracił cierpliwości. – Najpewniej bardzo szybko. Chcieliśmy jednak jak najszybciej porozmawiać z pana klientem, ustalić kwestię jego ewentualnego alibi. Tyle że pan Jakub nie był skłonny do współpracy.

Zawojski uniósł głowę i spojrzał na nadkomisarza. Milczał. Sięgnął po stojącą przed nim butelkę wody. Musiał już czuć się trochę lepiej, bo ręce prawie mu nie drżały. Wziął łyk, odstawił ją na stół i rzucił:

– Wszystko już powiedziałem.

– Mimo to proszę powiedzieć raz jeszcze. Gdzie pan był w ostatni piątek po godzinie siedemnastej trzydzieści?

– Pewnie w mieszkaniu.

– Pewnie czy na pewno?

Zawojski westchnął. Drewnowski zachęcił go gestem ręki, by odpowiedział.

– W piątek zacząłem pić o drugiej, może trzeciej, w knajpie. Mówiłem. Potem poszedłem do siebie i szybko doprawiłem się wodą. Po siedemnastej musiałem być już zrobiony.

– Pamięta pan coś z piątkowego wieczoru?

– Nic. Czarna dziura aż do soboty.

Mundek potarł dłonią brodę. Zawojski uparcie trzymał się pierwotnej wersji: pijany byłem, nic nie pamiętam. Czy mówił prawdę? Czy w ogóle można wierzyć w cokolwiek, co mówi alkoholik?

– Czy jest możliwe, że ktoś pana jednak widział w piątkowy wieczór?

– Nie wiem, nie sądzę. Raczej nie wychodziłem z mieszkania, bo zwykle po pijaku się z niego nie ruszam. Naprawdę nic nie pamiętam – w głosie przesłuchiwanego brzmiały zmęczenie i rezygnacja. – Może sąsiad się do mnie dobijał, bo tak robi, kiedy głośno słucham muzyki. Po pijaku mi się to zdarza. Może mu nawet otworzyłem. Kurwa, nie wiem...

– Dobrze, zostawmy to. Na razie wygląda, że nie ma pan alibi.

– To, że pan Zawojski nie pamięta, co robił, nie znaczy, że nie był wtedy w mieszkaniu. A tym bardziej że w piątek wieczorem kierował samochodem – skomentował Drewnowski.

– Jak powiedziałem, najpewniej jeszcze dzisiaj wszystko ustalimy, potwierdzimy albo wykluczemy – Mundek nie zamierzał wdawać się w dyskusje z prawnikiem. – Jeszcze jedno. Czy ktoś oprócz pana korzystał z samochodu? Może miał do niego zapasowe kluczyki?

– Nie – powiedział Zawojski.

– Dobrze, odłóżmy na bok kwestię alibi – nadkomisarz znowu zajrzał do teczki. – Z tego, co już wiemy, pana relacje ze Zdzisławą Krol były ostatnio napięte. Podobno groził pan byłej teściowej śmiercią, czy tak?

– Ona łąze, ciągle kłamie, ciągle, chce mnie zniszczyć! – wyrzucił Zawojcki na jednym oddechu, pryskając kroplami śliny.

– Akurat nie od niej o tym wiemy.

Przesłuchiwany opuścił głowę i powiedział cicho:

– Mogło się tak zdarzyć po pijaku, że jej nawrzucałem.

– Pan Zawojcki mógł w złości wypowiedzieć takie słowa, ale to nie znaczy, że faktycznie chciał śmierci pani Krol – wtrącił się prawnik.

– Ale to już podpada pod groźby karalne – odparł Mundek. – A tak przy okazji, pozwoli mi pan spokojnie porozmawiać z panem Zawojckim, czy będziemy się spierać o szczegóły?

Prawniki nie odpowiedział, co Mundek uznał za potwierdzenie.

– Dobrze, panie Zawojcki. Wiemy już, że nie żył pan w zgodzie z byłą teściową. O co poszło?

Mężczyzna odchrząknął, jakby szykował się do długiej przemowy.

– Głównie o Roksankę, moją córkę. Po tym rozwodzie stara robiła wszystko, żebym zniknął z życia córki. Ja, jej ojciec, wyobraża pan sobie? – Mundek nie mógł tego pojąć. Jego układom z teściową na pewno daleko było do idealnych, ale matka Beaty nigdy nie postąpiłaby w tak okrutny sposób. –

Najpierw tylko utrudniała mi kontakty z Roksanką. Sąd ustalił mi widzenia z córką co dwa tygodnie, a bywało, że nie widywałem jej przez miesiąc albo i dłużej. Stara ciągle zmyślała jakieś choroby, pilne wyjazdy, wizyty u lekarzy. Podałem je do sądu, który przyznał mi rację. To wymyśliła kolejną intrygę, niby że pobiłem córeczkę i że w ogóle nękam byłą i teściową. Sprawa jest w toku, pewnie w końcu ją wygram, jak poprzednią. Tylko to trwa, a błoto się do mnie przylepia.

– Dokładnie to wszystko sprawdzimy. Sami – powiedział Polański, rzucając spojrzenie w stronę prawnika.

– Już teraz mogę potwierdzić słowa pana Zawojckiego – wtrącił się Drewnowski. – Od prawie roku reprezentuję go przed sądem i doradzam we wszelkich kwestiach prawnych. Chciałem jeszcze nadmienić...

– Pan mecenas pozwoli, że będziemy działać wedle naszych procedur – rzucił cierpko nadkomisarz i nie czekając na ripostę, której się spodziewał, spytał przesłuchiwanego: – Wciąż mówi pan, że to teściowa utrudniała panu kontakty z córką. A co z byłą żoną? Też nie chciała, żeby widywał się pan z córką?

– Ona... Anka nigdy nie miała za wiele do gadania. Nawet jak do niej dzwoniłem na komórkę, często zdarzało się, że i tak po chwili stara wyrywała jej telefon. I tyle wynikało z gadania z moją byłą. Czyli prawie nic. Poza tym szybko zorientowałem się, że rozmowy z Anką nie mają zbytniego sensu. Ona i tak słuchała tylko matki, robiła wszystko, co stara jej kazała. Kurwa, wcale nie

myślała o tym, żeby nasza córeczka miała w życiu dobrze. Przynajmniej na tyle, na ile się dało w tym chorym układzie. Ance zależało tylko, by dobrze żyć z matką. Tak to wyglądało. Popieprzona córeczka mamusi.

– Czyli miał pan żal do teściowej, a nie do byłej żony?

– Żal, nie żal... Nie o to mi chodziło. Chciałem jak najlepiej dla Roksanki, to przede wszystkim. Chciałem wyrwać córkę ze szponów starej, żeby mojego słońeczka nie skrzywiła psychicznie tak jak Anki, nie zatrąła swoją nienawiścią do świata i facetów. Bo ona nienawidziła ludzi, ona toczyła jad jak jakaś zmija.

– To mocne słowa.

– Pytał pan, to mówię, jak było. Nie będę ściemniał, bo nie muszę. Prawda i tak wyjdzie na jaw, bo...

– Jakub! – Drewnowski położył dłoń na ramieniu klienta. – Wystarczy.

– I żeby uratować córkę przed Krolową, był pan gotowy zrobić wszystko?

Zawojski zbierał się do odpowiedzi, ale adwokat znowu zainterweniował:

– Jakub, ostrożnie.

– Panie mecenasie, naprawdę? – sarknął Mundek.

Zawojski znowu odchrząknął.

– Byłem w stanie zrobić wiele. Ale na pewno starej nie chciałem zabić. I nie zabiłem. Nawet jej nie tknąłem.

– Kto pana zdaniem mógł jeszcze mieć pretensje do Krolowej? Na tyle duże, by ją skrzywdzić.

– Po nazwiskach nie powiem, ale lista pewnie jest długa. Pogrzebicie, pewnie znajdziecie.

– Dlaczego nie chce pan mi powiedzieć?

– Zwyczajnie nie wiem. Ze starą gadałem tylko wtedy, kiedy musiałem. Ani ona mi się nie zwierzała, ani ja jej. Ale często słyszałem, jak kogoś obgaduje i krytykuje. Dla niej prawie wszyscy wokoło to byli debile, nieudacznicy albo podejrzanе typy, które Boga w sercu nie miały. A za kratami nie siedzieli tylko dlatego, że ich nie złapali. Stara była przekonana, że ona jest wspaniała, no po prostu chodząca dobroć, no i może jeszcze Anka, a wszyscy poza nimi są przeżarci złem do szpiku kości.

Czy Krolowa faktycznie była aż tak toksyczną kobietą, czy to nienawiść Zawojskiego kazała mu malować jej portret wyłącznie czarną farbą? Polański nie był pewien.

– Jeszcze jedna kwestia... – zaczął. – Co było przyczyną pana rozwodu?

– Nie rozumiem, do czego pan nadkomisarz zmierza – znowu wtrącił się Drewnowski. – W jaki sposób szczegóły z życia prywatnego pana Zawojskiego mają pomóc w rozwiązaniu sprawy śmierci pani Krol? Panie Jakubie, nie musi pan odpowiadać.

– Próbuję poznać kontekst, obraz relacji rodzinnych, nic więcej – wyjaśnił Mundek.

– Dobra, dobra – przesłuchiwany odkaszlnął. – Nie mam nic do ukrycia. Od narodzin Roksanki nie układało nam się z żoną. Anka całą uwagę skupiła na córeczce. Nawet na początku myślałem, że to dobrze, że tak powinno być. I że Anka będzie dobrą matką. Mnie odsunęła na bok. Trochę mi to nie pasowało, ale uznałem, że tak ma być, trudno, dla mojego słońeczka mogłem znieść naprawdę wiele. Szybko jednak zauważyłem, że odgradza mnie od Roksanki. O kąpieniu czy przewijaniu córeczki mogłem tylko pomarzyć. Gdy brałem ją na ręce, Anka zaraz mi ją wrywała, krzycząc, żebym nie dotykał, bo zrobię jej krzywdę. A jak już stara z nami zamieszkała, mogłem sobie na Roksankę jedynie popatrzeć. I to raczej z daleka.

– Królowa z wami zamieszkała? Kiedy?

– Niby nie na stałe – Zawojcki upił łyk wody. – Ale przesiadywała u nas po całych dniach i często nocowała. Więc praktycznie mieszkała. To się zaczęło niedługo po narodzinach Roksanki.

– I to się przyczyniło do rozpadu pana małżeństwa?

– Pośrednio – przesłuchiwany skrzywił się i zamilkł.

– Jaka była bezpośrednia przyczyna?

Zawojcki zamamrotał pod nosem. Mundek podejrzewał, że kłął.

– Przypominam, że nie musisz odpowiadać – powiedział Drewnowski.

– Dobra, no, dobra. Pracowałem, ile tylko się dało, wracałem do domu, w którym nie było dla mnie miejsca i w którym tak naprawdę nikt na mnie nie czekał ani mnie nie chciał. W moim własnym domu! Zacząłem się szwendać, popijając po knajpach i szukać towarzystwa, no i z tego wszystkiego tak się podziało, że wylądowałem w wyrze u sąsiadki. Po pijaku. Wiem, żadne wytłumaczenie. Ktoś wypucował o tym Annie. Przepraszałem, obiecywałem, że to się nie powtórzy, prosiłem, żeby dała mi szansę, żebyśmy zaczęli nasze życie od nowa. Tylko my we troje, bez starej, która we wszystko się wpięprzała, choć nikt jej nie prosił ani o rady, ani o pomoc. Inaczej i lepiej. A ona się spakowała, zabrała Roksankę i spyliła do mamusi. Jakby tylko czekała na pretekst. Tak to teraz widzę.

Ze świstem wypuścił powietrze, pochylił głowę i zgarbił ramiona. Wyglądał tak, jakby dłuższa przemowa pozbawiła go sił, których na kacu i tak nie miał zbyt wiele.

Ci ludzie, myślał Polański, przecież bliscy sobie, połączeni rodzinnymi więzami, które teoretycznie niełatwo zerwać, zgotowali sobie istne piekło na ziemi. Nie oni jedni. Nie tylko w robocie poznał wiele rodzin, w których bliscy latami zatruwali sobie życie. Albo wręcz je niszczyli. Skutecznie. Był niemal

pewien, że tajemnica gwałtownej śmierci Krol kryje się w splątanych w ciasny supeł, chorych relacjach rodzinnych. Na razie dopiero je poznawali, rozplątywali wątek po wątku. Miał nadzieję, że jeszcze dzisiaj jego ludzie dostarczą mu nowych informacji.

– To na razie tyle – oznajmił koniec przesłuchania.

– Co będzie z moim klientem? – zapytał Drewnowski. – Przypominam, że niedługo mija czas czterdziestu ośmiu godzin od zatrzymania.

– Niepotrzebnie – Mundek się skrzywił. – Prokurator Krok niedługo podejmie decyzję.

Polański zadzwonił po mundurowego, żeby odprowadził Zawojskiego do aresztu, i wyszedł z pokoju przesłuchań.

Mecenas Drewnowski dogonił go na korytarzu.

– Panie nadkomisarzu, można na słówko?

Mundek uniósł brew. Zazwyczaj adwokaci, niezależnie od wagi toczącej się sprawy, ograniczali kontakty z policjantami do niezbędnego minimum. Chciał pójść na układ? Ale jaki i po co? Był tego więcej niż ciekawy, zaprosił więc Drewnowskiego do swojego gabinetu.

– Słucham pana mecenasa.

– Chciałem poręczyć za Jakuba Zawojskiego – wypalił adwokat bez wstępów.

Gdyby Mundek w tym momencie pił kawę, na pewno by się zakrztusił. Zaczął mówić powoli, starając się ukryć rozbawienie:

– Przyznam szczerze, że nie rozumiem, ani w jakim trybie, ani w jakim celu chciałby pan udzielić takiego poręczenia.

– W trybie najnormalniej ludzkim, jak mężczyzna za mężczyzną.

Polańskiemu przeszło przez myśl, że w narzekaniach Łukowskiej na męską solidarność, która zaciemnia albo nawet zupełnie wypacza obraz rzeczy, mogła się kryć odrobina prawdy. Z drugiej strony istniała przecież nadmiarowa lojalność między kobietami. Istnieje ponoć solidarność jajników – słyszał gdzieś to określenie, ale nie pamiętał od kogo i w jakich okolicznościach, może więc także funkcjonować solidarność jąder. Uśmiechnął się w duchu, bo brzmiało to wyjątkowo kretyńsko.

– Bo chyba nie wierzy pan nadkomisarz – adwokat nie wytrzymał milczenia Mundka i zaczął tłumaczyć – że Zawojski zabił Krol.

– To nie jest kwestia mojej wiary, tylko dowodów.

– Których nie macie za wiele.

Drewnowski trafił celnie, ale Polański nie dał tego po sobie poznać.

– Pracujemy nad tym i na pewno coś znajdziemy.

– Ale tutaj chodzi o właściwe nastawienie do sprawy.

Zrozumiał, do czego adwokat zmierza. Chciał zwyczajnie, a przy tym niezbyt delikatnie urobić nadkomisarza. Nie on pierwszy.

– Oświadczam – Mundek mówił powoli – że moje nastawienie zarówno w tej, jak i w innych sprawach jest jak najbardziej profesjonalne. To wszystko? – skończył, trochę podnosząc głos.

– Bez urazy – Drewnowski próbował załagodzić sytuację. – Nie miałem zamiaru podważać kompetencji pana nadkomisarza.

– Cieszy mnie to niezmiernie – rzucił Mundek cierpko i wstał z fotela.

– Naprawdę jeszcze tylko jedna sprawa.

Polański westchnął. Miał ochotę wyrzucić prawnika za drzwi, ale kolejny raz zwyciężyła ciekawość.

– Wystawia pan mecenas moją cierpliwość na próbę. Maksymalnie pięć minut.

– Wystarczy. Znam Jakuba od prawie roku, wiele razy z nim rozmawiałem. Wiem, że nie jest zdolny do morderstwa.

Tym razem Mundek nie powstrzymał wybuchu śmiechu.

– Naprawdę, darujmy sobie takie naiwności. Wystarczą właściwe okoliczności, sposobność i jak się często okazuje, każdy jest zdolny. Albo bywa.

– Chodziło mi o coś innego, konkretniejszego. W ramach działań fundacji Niepokonany Tato prowadzimy, tak to ogólnie nazwę, szkolenia dla naszych podopiecznych. Wbijamy im do głowy, co mogą, a czego nie mogą robić w kontaktach z osobami, z którymi są w sporze, nawet uczulamy, co mogą, a czego nie mogą powiedzieć. Jakub był pojętny, doskonale wiedział, gdzie są granice, których pod żadnym pozorem nie może przekroczyć.

– Co nie przeszkadzało mu je przekraczać. Przypominam o scysjach pod domem Krolów.

– Ma pan nadkomisarz na myśli wyzwiska i groźby? – Polański skinął głową.
– Jasne, Jakub powinien bardziej trzymać nerwy na wodzy. Jego wina. Wiedział, że zawalił, i okazywał skruchę. Na pewno jednak nie przekroczyłby granicy, poza którą jest przemoc fizyczna. I jeszcze jedna kwestia, tak dla jasności. Wprawdzie w toczącej się sprawie o domniemane stosowanie przemocy przez Jakuba wobec córki już na etapie postępowania przygotowawczego orzeczono zakaz zbliżania się Jakuba do żony i córki, ale moim zdaniem był to środek zastosowany pochopnie. Bez przekonujących dowodów. Jakub zarzeka się, że nie skrzywdził dziecka – Drewnowski chyba zauważył, że Polański chce coś powiedzieć, bo zaraz dodał: – Ani nikogo z rodziny Krolów.

Nadkomisarz tylko pokręcił głową.

- Tyle że ani pewność pana mecenasa co do intencji Zawojskiego, ani wiedza na temat tego, jak się zwykle zachowuje, nie mają żadnej wartości dowodowej.
- Oczywiście, chciałem jednak, żeby pan nadkomisarz trochę więcej dowiedział się o Jakubie. Tylko tyle.
- I tyle wystarczy.

*

U Sztygara. Tyszka zachodził w głowę, dlaczego tak wiele barów w całym regionie ma w nazwie imię lub były zawód właściciela. Jakby posiadanie zapyziałej speluny było wielkim życiowym osiągnięciem. Może naprawdę było, w końcu nie każdy miał szczęście pracować na swoim, choćby nawet robota polegała na nalewaniu dzień w dzień kiepskiego piwa, którego walorami smakowymi klienci i tak się nie przejmowali. Oraz użeraniu się z ożyrokami. Kwestia priorytetów. O których Adam nie miał pojęcia, ponieważ nigdy nie robił na swoim. I nic nie wskazywało, aby kiedykolwiek dorobił się własnej firmy.

Bar piwny znajdował się, jak wiele podobnych w okolicy, w parterowym kompleksie pawilonów, wybudowanych, jak sądził Adam, jeszcze w PRL-u. Z jednej strony apteka, jak znalazł, gdyby zaszła potrzeba nabycia specyfiku na kaca. Z drugiej spożywcza z prostymi, gotowymi daniami, które szybko koją głód pojawiający się po obaleniu kilku piw albo halby. Naprzeciwko baru warzywniak z dykty, który najpewniej świetnie sprawdzał się w roli niepodważalnego alibi. „To ja ci przyniosę te warzywa na zupę”... A wtedy można było po drodze spokojnie wypić piwo, nawet dwa, w końcu pozostawało tłumaczenie, że „kolejka była”.

Adam pchnął drzwi i wszedł do niezbyt dużego pomieszczenia, w którym śmierdziało starym, przypalonym tłuszczem i fajkami. Właściciel baru kreatywnie obszedł zakaz palenia w knajpach – główna sala była dla palących, a nad wejściem do korytarza prowadzącego do ubikacji, w którym stał mały stolik z dwoma krzesłami, widniała tabliczka z napisem „Sala dla niepalących” i przekreślonym papierosem na dokładkę. Obrazek był pewnie dla tych klientów, którzy z trudem składali litery w słowa. Niekoniecznie tylko po pijaku.

Tyszka podszedł do baru i usiadł na chybotliwym stołku. Najpewniej niejeden pijaczek z niego zleciał, lądując na poszarzałych kachlach, porysowanych nogami krzesel. Po drugiej stronie stał, oparty o niespecjalnie czysty zlewozmywak, starszy mężczyzna, który miał tak wielki brzuch, że mógłby stawiać na nim pokale z piwem. Gdyby tylko chciał. Nie zwrócił uwagi na Adama, patrzył w ekran zawieszzonego u sufitu telewizora, na którym dwóch elegantów w białych koszulach i muszkach grało w snookera. Zaiste pasjonujące.

- Dobry – rzucił Tyszka, aby zwrócić na siebie uwagę.
- Powitał – odparł barman, nie odrywając wzroku od telewizora.

Bila wylądowała w łuzie, co gracz przyjął bez okazywania jakichkolwiek emocji. Podobnie jak brzuchacz.

Adam po jednym, do tego niedopitym, piwie u Krola miał ochotę na kolejne, ale z bólem serca zrezygnował. Mundek najpewniej będzie chciał jeszcze dzisiaj porozmawiać z nim i resztą ekipy, więc lepiej, żeby nie zionął mu w twarz alkoholem.

- Kawę poproszę – zarządził.

Barman chyba bardziej zainteresował się rodzajem zamówienia niż nowym klientem.

- Może być i kawa, tylko od razu uprzedzę, że dobrej nie mam. Rozpuszczalna pasuje?

Rzadko zdarzali się barmani, którzy zniechęcali chętnych do zamówień, ale raz na jakiś czas się trafiali. Zwłaszcza w knajpach tego sortu jak U Szttygara.

- To mineralną, gazowaną.

– A mogę i kranówę, wedle woli – powiedział barman pod nosem, ale tak, żeby Adam usłyszał.

Tyszkę rozdrażniło to przekomarzanie się. Nie czekając, aż barman poda mu wodę, położył na barze zdjęcie Zawojskiego.

- Znasz go?

Mężczyzna powoli postawił butelkę obok zdjęcia, nawet na nie nie spojrzawszy.

- A kto pyta?

Adam pokazał blachę.

- Ma problemy? – barman postanowił wejść w rolę przesłuchującego.

- Jeśli nie odpowiesz na... A zaraz, jak ty się w ogóle nazywasz?

Komisarz zauważył, że barman lekko się spiął. Nie każdy był skłonny z miejsca podawać personalia policjantowi. Nawet jeśli był niewinny jak dziecko tuż po chrzcie.

- Rudolf Zięba.

– Słuchaj więc, Rudolfie, jeśli nie odpowiesz na proste pytania, to na pewno kolega będzie miał większe problemy.

Barman splótł ręce na brzuchu, uciekł wzrokiem w bok, zahaczając na chwilę o ekran telewizora. Chyba naprawdę pasjonował się snookerem.

- To żaden mój kolega. A w ogóle nie wiem, czy coś wiem.

Adam powoli nabrał powietrza, a potem równie wolno je wypuścił.

- Powiem ci coś, panie sztygar...

– To nie ja, po poprzednim właścicielu zostało. Nie było sensu zmieniać. Kwestia wyrobionej przez lata marki.

Rudolf Zięba fascynował Adama z minuty na minutę coraz bardziej. Marka baru U Sztygara. Postanowił, że sobie to zapamięta.

– Mniejsza. Mówiąc szczerze, cały dzień ganiam za zbójami, pogoda jest paskudna, a ja bez obiadu, więc i niecierpliwy. A to może się źle skończyć i dla ciebie, i dla tej knajpy. Markowej.

– Bez urazy, ale my tutaj z policją za bardzo się nie kochamy.

Tyszka prychnął.

– A ze strażą miejską?

– To żadni strażnicy, tylko ciency, nieśmieszni kabareciarze. Nadają się jedynie do pędzenia ciulików z ulic i wlepiania mandatów za złe parkowanie. Wiszą nam ciężkim kalafiorem.

– Dobra, pogadaliśmy, poznaliśmy się trochę lepiej, ale wystarczy. Do rzeczy. Znasz Zawojskiego?

– U nas wołają go Kubeczek. Taka, wiesz, gra słów.

– Zorientowałem się.

Trafił się Adamowi nie tylko fan snookera, ale i knajpiany lingwista.

– Był tutaj w piątek wieczorem?

– Pewnie tak, zwykle w weekendy tu przesiaduje. A często i w tygodniu.

– Pewnie czy na pewno?

– Nie wiem, miałem wtedy wolne.

– A ktoś to może potwierdzić?

Facet lekko pochylił się nad barem i krzyknął:

– Zdzisiek, cho no tu, potrzebny jesteś.

Od stolika podniósł się siwawy mężczyzna o rozczochranych włosach i kilkudniowym zarostcie, ale – o dziwno – w bardzo porządnym ciuchu. Bez szemrania podszedł do baru. Wiadomo, jak wielka jest moc kreski u barmana. Nawet jeśli zaraz przy nalewaku stoi tabliczka z napisem: „Za darmo umarło”.

– O co biega?

– Kubeczek był tu w piątek?

– Oczywiście oczywiście.

– Do której? – spytał Adam.

Siwawy bez słowa spojrział najpierw na Tyszkę, a później na brzuchacza.

– Powiedz panu – zachęcił barman.

– Ciemno było, jak wychodził. Ale jakoś długo nie siedział.

– A tak mniej więcej, która mogła być godzina?

– Szczęśliwi czasu nie liczą – odparł siwawy i wrócił do stolika.

– Dobra, za wiele się nie dowiedziałem. Dzwonź do tego, który tu w piątek stał za barem, i spytaj, kiedy Zawojski wyszedł.

– Ale czy to konieczne? Kolega ma dzisiaj prywatne sprawy. Ważne.

– Dzwonź, ładnie proszę.

Brzuchacz zniknął na zapleczu. Długo tam nie zabawił.

– Kosma mówił...

– A co to w ogóle za imię? – Adam się zaśmiał.

– Szczerze katolickie – powiedział barman z pełną powagą. – Więc mówił, że Kubeczek był w piątek i wyszedł tak jakoś koło piątej. Dokładnie to nie wie – uprzedził pytanie Adama.

Komisarz wziął do ręki butelkę, odczytał z nalepki, że to „Kropla bez kitu”, badziewie z dyskontu, do tego już wygazowane, więc odstawił.

– Rozmawiałaś z Zawojskim?

– Jak z każdym, kto tu przychodzi.

– I co możesz o nim powiedzieć? Jaki to człowiek?

– Nieszczęśliwy.

Adam miał już skomentować niczym echo, że jak każdy, kto tu przychodzi, ale powstrzymał się w ostatniej chwili.

– Rudolf, czy wyglądam na twoją starą? Naprawdę muszę z ciebie każde słowo wyciągać? – zapytał z lekką przyganą w głosie.

– Żona go kantem puściła, córkę zabrała. A on bardzo za córką był. W kółko o niej gadał, aż ludzie mieli go dosyć i unikali.

– Mówił, że to żona zostawiła jego? – upewnił się.

– Tak to pamiętam.

– O jakichś innych problemach nie wspominał?

– Chyba nie, ale po prawdzie za bardzo go nie słuchołem, bo klepał ciągle to samo.

– O teściowej coś mówił?

– Że to zła kobieta jest. I że zło wraca.

Było to pomieszanie znanej wszystkim frazy z *Psów* z jakimś tekstem o karmie, którego Tyszka w tym momencie nie mógł sobie przypomnieć.

– Czy Zawojski bywał agresywny?

– Ani trochę. To jeden z tych ozyroków, którzy piją na smutno i jedyne, co robią, to płaczą, jakie mają życie do rzyci. Nawet jak go ktoś szturchnął, bo miał dosyć jego gadek i marudzenia, nie reagował.

Tyszka uznał, że dowiedział się w barze tyle, ile się dało.

– Dobrze, dzięki za rozmowę. Szerokości.

– A co ja, kierowca? – odparł Zięba.

– Raczej kierownik tego zamieszania.

Tyszka zeskoczył i ruszył do wyjścia. Usłyszał za sobą okrzyk barmana:

– Zaraz, mineralna została!

– Sam sobie wypij. Na zdrowie – odkrzyknął, nie odwracając się.

Idąc wzdłuż długiego bloku przy ulicy Klonowej, Adam postanowił, że rozpytania ograniczy do mieszkańców czwartej klatki, w której znajdowało się mieszkanie Zawojskiego. Uznał, że życie sąsiedzkie tutaj, tak samo jak w większości podobnych osiedli, raczej nie jest w rozkwicie, więc ludzie w ogóle nie interesują się mieszkańcami sąsiednich klatek. A sam Zawojski na pewno nie szukał nowych znajomości, bo już dawno znalazł swoją najlepszą przyjaciółkę. Flaszkę.

Jeszcze nie doszedł do klatki Zawojskiego, kiedy jak za pociągnięciem sznurka głowa odwróciła mu się w stronę oświetlonych okien. Czasami tak miał, dostrzegał coś kątem oka i reagował, zanim uświadomił sobie, że cokolwiek widzi. Zwykle było to coś nietypowego, tak jak tym razem. W oknie na pierwszym piętrze, w połowie odsłoniętym, oparta łokciami na poduszce tkwiła tęga kobieta. Obok niej siedział w pozie sfinksa czarno-biały kot. I to właśnie on zdziwił Adama bardziej od kobiety, która po zmroku siedziała w jasnym pokoju i wypatrywała nie wiadomo czego w ciemnościach przełamanych światłem latarń. Zwykle osobom wysiadującym w oknach, których na Śląsku wciąż było niemało, towarzyszyły psy. Zatrzymał się i patrzył na kobietę, a ona na niego. Kot jak kot, nie wiadomo, w co ślipił.

– Ludzie nie wiedzą, co robić z wolnym czasem – mruknął pod nosem.

Potem chodził od mieszkania do mieszkania, dowiadując się wciąż mniej więcej tego samego. Że Zawojski to pijak łamane przez menel. Ale że jest grzeczny, „dzień dobry” nawet powie, jeśli tylko jest w stanie. Że nikt go w piątek nie spotkał ani na klatce, ani pod blokiem. Że może był w mieszkaniu, a może nawet i nie był, trudno powiedzieć, bo nikogo to nie interesowało. Że czasami, fakt, za głośno puszcza muzykę, ale pod tym względem studenci wynajmujący mieszkanie na drugim piętrze są gorsi. Czy naprawdę studenci byli głośniejsi i skłonni się do tego przyznać, nie dowiedział się, bo nikt nie otworzył mu tam drzwi.

Na koniec zostawił sobie sąsiada z piętra Zawojskiego, z którym podejrzany ponoć nie żył w zgodzie. Zadzwoił do drzwi, zza których dobiegała rzewna muzyka. Ślunskie szlagry? Po chwili drzwi się uchyliły i buchnął zza nich refren, wyśpiewywany pod nieskomplikowany podkład keyboardu:

Śląski dom

Piękny dom

Stary kachlok
Ciepły kąt.

Nie zamierzał przekrzykiwać muzyki, więc pokazał blachę, pochylił się i nakazał:

– Niech pan najpierw wyłączy muzykę.

Ku zdziwieniu Tyszki drzwi zatrzasnęły mu się tuż przed nosem. Zanim zdecydował, czy dalej się dobijać, muzyka się urwała, a zaraz potem w otwartych drzwiach stanął niewysoki chudy staruszek z rodzaju dziarskich. Pewnie zamiast jeździć komunikacją miejską, wolał spacerować, a na laubę pomykał rowerem nawet w deszcz i zawieruchę.

– Chciałem porozmawiać o pana sąsiedzie, Zawojkim. Mogę wejść?

– Aaa... To musiało się tak skończyć. Pan władza wchodzi.

Przepuścił Adama i wskazał mu pierwsze drzwi po lewej. Duży pokój z wyjściem na balkon był zastawiony meblami pewnie jeszcze z PRL-u. Z wielką meblościanką zasłaniającą jedną ze ścian prawie pod sufit. Staruszek wskazał mu podniszczony fotel, a sam usadowił się w drugim. Adam się przedstawił.

– Karol Kotwa, emeryt – zrewanżował się gospodarz.

Tyszka nie miał pojęcia, dlaczego Kotwa dodał, że jest emerytem. Wydawało mu się, że staruszek jest spięty albo może najzwyczajniej nie ufał obcym, nawet policjantom. Postanowił trochę ocieplić atmosferę.

– Całkiem niezłe kawałki ten Mirek Szoltysek śpiewa.

– To pan go kojarzy? Myślałem, że wy, młodzi, nie lubicie takiej swojskiej muzyki. Że dla was to tylko wyjce albo jakieś baby z cyckami na wierzchu, co to nawet głosu nie mają.

– Pewnie, że kojarzę. Ale to głównie przez łojca. Czasami słucha *Listy Śląskich Szlagierów*.

– Wie, co dobre – Kotwa chrząknął. – Ale co z tym Zawojkim?

Staruszek był konkretny, co bardzo komisarzowi odpowiadało.

– Może wie pan, czy Zawojki był w ostatni piątek, tak mniej więcej od siedemnastej, u siebie w mieszkaniu?

– Trudno powiedzieć. W piątki zawsze chodzę na spotkania do klubu seniora.

– O której pan wrócił do domu?

– A co to pana władzę interesuje? – zaperzył się mężczyzna.

Adam uniósł otwarte dłonie w uspokajającym geście i odparł:

– Chodzi mi tylko o ustalenia, czy tego wieczora Zawojki był w mieszkaniu.

– A co ten faron zaś nawywijał?

– Dojdziemy i do tego, czy to drań, czy nie. Proszę opowiedzieć o piątku – przypomniał.

Kotwa posapał, pokręcił się na fotelu, ale zdecydował się mówić:

– Wróciłem koło dwudziestej, bo zwykle tak w piątki wracam. On musiał być już w domu, bo muzyka dudniła. Choć ja bym tego muzyką nie nazwał.

– Zapukał pan do niego?

– Nie. Niby po co? – staruszek zrobił wielkie oczy.

– Żeby ściszył.

– Panie władza, ile już razy próbowałem mu przemówić do rozsądku. Do tego ożyrocka nic nie dociera. Raz to mu nawet wtłukłem, ale i to nie pomogło.

Tyszka z trudem powstrzymał się, by nie parsknąć śmiechem.

– Uderzył pan Zawojkiego?

– A co?! Pan władza myśli, że jak ja stary, to dam sobą pomiatać. Niedoczekanie. Ale jakby kto pytał, wszystkiego się wyprę.

Adam wierzył, że Kotwa był zdolny do rzucenia się na Zawojkiego z pięściami. Tym bardziej że wlanie pijakowi pewnie nie było żadną sztuką nawet dla staruszki chodzącej o lasce.

– Spokojnie. Co się właściwie stało? – spytał z czystej ciekawości.

– Naszczał mi na wycieraczkę, więc z nerw wyszedłem. Przydybałem go, jak wracał z knajpy, chciałem pogadać. Nie zwracał na mnie uwagi. To i mu stuknąłem. Raz, żeby nie było, że ze mnie jakiś zakapior i się nad kimś znęcam.

– I co było potem?

– No właśnie nic. Limo miał pod okiem, ale sprawiał wrażenie, że nic się nie stało. I tak to jest z ożyrockami! Pewnie nawet na drugi dzień nie pamiętał, kto mu to zrobił. Pomyślałem, że szkoda nerw i fatygi. I że go zwyczajnie przeczekam.

– Co to znaczy?

– Prędzej czy później, raczej prędzej na moje oko, ten cały Zawojski się zapije na śmierć. Albo go wywalą z mieszkania, bo pewnie czynszu nie płaci. Cierpliwy jestem, poczekam. Komuchów przeczekałem, to co mi tam taki ciul.

Adam uznał, że Kotwa wybrał nietypową strategię radzenia sobie z sąsiedzkim konfliktem. Jemu z pewnością nie wystarczyłoby na taką cierpliwości.

– Co pan może powiedzieć o Zawojkim oprócz tego, że pije i głośno słucha muzyki?

– A czy ja go znam? Nie ma kogo. Ożyrok jak to ożyrok. Nic dobrego i tyle.

W sumie Tyszka zapytał jedynie dla porządku, bo nie sądził, by Kotwa szukał kontaktu z sąsiadem.

– Zawojski mieszkał sam?

– Tak.

– A może ktoś go odwiedzał?

– Panie władza, ja nie spędzam czasu przy Judaszu – Kotwa szczerze się oburzył.

– Wcale tak nie twierdę, ale może przypadkiem pan coś zauważył albo usłyszał.

– No tyle dobrego, że on to sam chlał. Jakby jeszcze koleżków do kieliszka zaczął sobie sprowadzać, pewnie bym nie zdzierzył i w końcu do was zadzwonił. Choć ja nie donosiciel.

Tak, stara szkoła, myślał komisarz, facet, który swoje problemy rozwiązuje na własną rękę.

– Ale jak pan władza teraz zapytał...

Kotwa zamyślił się przez chwilę.

– Proszę mówić, każdy szczegół może okazać się ważny – zachęcił go Adam.

– Raz to ten cały Zawojski stał przed klatką z takim jednym babochłopem.

– Babochłopem?

– Panie władza, w tych czasach, co teraz są, to moje stare oczy nie wszystko już rozróżniają, a i ludzie jacyś inni, niektórzy tacy bardziej niewyraźni. Na pierwszy rzut oka to dla mnie był chłop, taki masywniejszy, krótko ostrzyżony. Ale jak się tak przyjrzałem... chyba cycki miał.

Kolejny raz Tyszka ledwo powstrzymał się od wybuchu śmiechu. I w duchu dziękował losowi i Polańskiemu, że nie postawił przed obliczem Karola Kotwy, emeryta, Łukowskiej. Petarda na pewno nie pozostawiłaby „babochłopa” i „cycków” bez komentarza.

– Kogoś jeszcze pan widział z Zawojkim?

– A całkiem niedawno to znowu taki jeden od niego wychodził. To już na pewno chłop był, szpakowaty, taki większy. Nawet grzeczny, bo się nie pchał przede mnie, tylko puścił na schody przodem.

– W jakim sensie większy?

– Jak te chłystki, co niby Piastowi kibicują. Ale co to za kibice, kiedyś to się kibicowało. Nieważne. Taki raczej bez karku.

– Dziękuję, bardzo nam pan pomógł – powiedział Tyszka, wstając z fotela.

Staruszek też poderwał się na równe nogi i spytał:

– A w ogóle, co ten Zawojski nawywijał?

– Nic dobrego, panie Kotwa, nic dobrego.

Schodząc do wyjścia z klatki, jeszcze raz zapukał do mieszkania na parterze, w którym wcześniej nikogo nie zastał. Drzwi, zabezpieczone masywnym łańcuchem, uchyliły się, zobaczył pół poznanej głębokimi zmarszczkami twarzy i rzadkie loki w jasnioletowym kolorze. A myślał, że dawno minęła

moda na takie fryzury u starszych kobiet. Przedstawił się, a kobieta, której czarny strój przełamывała tylko biała bluzka z dużym kołnierzem wykończonym haftem, zaprowadziła go do pokoju. Znowu zobaczył meblościankę, choć chyba nowszą, podniszczony komplet wypoczynkowy i ławę z płyt drewnopodobnych. Niemal kopia pokoju Kotwy. Nic dziwnego, że starych bloków na starych osiedlach młodzi się wyprowadzali, jeśli tylko mieli możliwości, a zostawiali głównie dawni mieszkańcy. Ze starym garniturem mebli i wspomnień. Nie inaczej było na jego osiedlu w Mysłowicach.

Znowu nie poszczyściło mu się z potwierdzeniem piątkowego alibi Zawojkiego, bo Barbara Kowalik powiedziała, że jak każdego dnia była na wieczornej mszy, z której wróciła dopiero grubo po dziewiętnastej.

– Za mojego chłopca się modłę, świeć Panie nad jego duszą. Grzeszył, ile wlezie, to i modlitwy potrzebuje. Przecież nie będę duszy mojego chłopca żałować.

Ta argumentacja wydała się Tyszcze na swój sposób rozczulająca. Nie licząc na wiele, spytał, czy Kowalik choć trochę bliżej znała Zawojkiego.

– Znać to nie bardzo. Raz mi się po pijaku wypłakiwał, że mu się życie rozwaliło i stracił rodzinę.

– Naprawdę?

Zawojki nie wyglądał Adamowi na takiego, który wypłakuje się w mankiet sąsiadkom.

– Przysiadłam sobie kiedyś na ławeczce pod blokiem, bo u mnie z chodzeniem już słabo. Wie pan, starość jest naprawdę paskudna. Jakub przytoczył się pijany jak nieboskie stworzenie, usiadł obok i zaczął opowiadać.

– O czym?

– Tak dokładnie to nie powiem. Bełkotał coś o niewdzięcznej żonie i ukochanej córce. Trudno go było zrozumieć. W sumie biedny chłopak, pogubiony, choć pijak.

– Później pani jeszcze z nim rozmawiała?

– I tak, i nie. Zależy, o co się panu rozchodzi.

– Czy opowiadał coś więcej o sobie.

– Wie pan, to naprawdę dobry chłopak. Czasami mi zakupy pomoże przynieść, jak się trzyma na nogach. Ja mu talerz zupy dam. Kobiety nie ma, to kto mu co ciepłego ugotuje. Pewnie, że nie on sam, jak to chłop. Z wdzięcznością bierze, zawsze podziękuje. Z odnośnieniem naczyń to już mu słabo idzie, ale jak mu przypomnę, przyniesie. Nawet jako tako opłukane.

– O swojej byłej teściowej coś wspominał?

– Nie, raczej nie.

Adam podziękował za rozmowę. Nie sądził, aby mógł wyciągnąć od Kowalik więcej przydatnych informacji na temat podejrzanego. Zanim zamknęły się za nim drzwi, usłyszał jeszcze, jak staruszka mówi, nie wiadomo, czy do siebie, czy do niego:

– Chłop bez żony się zmarnuje. Ale bywa, że żona chłopca zmarnuje do cna.

Wyciągając papierosy, szedł do samochodu i myślał, że w tych słowach jest coś na rzeczy. „Chłop bez żony się zmarnuje”... Czy on czuł, że się marnuje? Nie rozstrzygnął tego dylematu, bo rozdzwoniła się komórka. Dzwonił Polański, informując, że przekłada odprawę ekipy na jutro rano.

Adam schował telefon, zapalił i zaciągnął się raz i drugi.

– Mogłem spokojnie wypić drugie piwo.

Ciągle mógł, ale przeszła mu ochota.

wtorek, 11 lutego 2013

„Się nie da, szefowa, się nie da”. Noż do kurwy wynędzniałej! Renata nie znosiła, kiedy ktoś zwracał się do niej per szefowo, nienawidziła, kiedy ktoś próbował ją kantować tylko dlatego, że była kobietą. Niedoczekanie!

Skręciła na lewy pas i mocniej wcisnęła pedał gazu. Silnik auta zamruczał głęboko, jakby z zadowolenia. *Niech się wyhasa*, pomyślała, i jeszcze zwiększyła prędkość.

Z samego rana pojechała taksówką do warsztatu odebrać swoje audi. I zaczęły się korowody, co było do przewidzenia, ale i tak sytuacja wyprowadziła ją z równowagi. Chwiejnej. Zbyt cwany mechanik chciał jej policzyć wymianę wszystkich opon jak za usługę ekspresową, poza tym jęczał, że gumy są nietypowe, więc się nastarał, nakombinował ponad miarę. Fakt, po przeróbkach, jeszcze w starych, dobrych warszawskich czasach, miała w swoim audi niefabryczne koła, ale nie jakieś wyjątkowo niedostępne. Mogła mu za fatygę dorzucić kilka złotych ekstra, ale już na pewno nie za ekspres, który trwał dwa dni. „Się nie da taniej, szefowa, się nie da”, mechanik powtarzał zwykłą mantrę wszystkich fachowców tego świata. Dlaczego, do cholery, naprawa najmniejszej pierdoły zawsze zaczyna się, a często i kończy tak samo?! Hydraulik przychodzi wymienić głupią uszczelkę i zaraz wyśpiewuje rzewny refren, że „się nie da”, bo uszczelka nietypowa czy gwint zabezpieczony. Dopiero banknot o odpowiednim nominale powoduje cudowną przemianę „się nie da” w „może coś poradzimy”.

Mechanik był jednak z tych nieustępliwych, olał jej dobrą wolę, kiedy chciała się z nim spotkać w pół drogi. I nieustępliwość mu się nie opłaciła, bo doprowadzona do furii, zamachała mu szmatą przed oczami i zapowiedziała, że naśle na niego kolegów, którzy sprawdzą, czy ma fakturę na najmniejszą śrubkę znajdującą się w warsztacie. Szybko się okazało, że naprawa nie była jednak ekspresowa. Cwaniak wziął kasę i zapowiedział, żeby lepiej się już u niego nie pokazywała. Puściła niezbyt zawołowaną groźbę mimo uszu, dosyć miała adrenaliny jak na jeden poranek. I tak przy następnej okazji będzie musiała szukać innego mechanika, pewnie nawet poza Gliwicami, bo fama o wściekłej policjantce w czarnej audicy na pewno rozniesie się po mieście.

Dojechała do fabryki przed czasem, ale nie spieszyło jej się, by zobaczyć kolegów. Oparła się o maskę, zapaliła. Wydmuchnęła dym i spojrzała w niebo.

Dla odmiany nie padał śnieg, ale pewnie niedługo sypnie, bo nad jej głową wisiały ciemne cielska chmur, wyglądające tak, jakby zaraz miały na nią spaść i pogrzebać w szarości. Na zawsze. Paliła powoli, patrząc, jak ludzie wchodzą do budynku komendy i z niego wychodzą w zwykłej, codziennej krzątaniu.

– Życie – powiedziała cicho i uświadomiła sobie, że to słowo wypowiedziała z intonacją charakterystyczną dla jej matki.

„Życie”. Słowo, którym matka komentowała zarówno dobre, jak i złe chwile. „Życie”. Wyraz rezygnacji, bo czegoż by innego, deklaracja poddania się. Słowo jak biała flaga.

– Jakiegokolwiek by było, ale jednak życie – pocieszyła samą siebie i cisnęła kiepa na ziemię.

Na zebranie u Polańskiego dotarła ostatnia, ale nikt nie robił jej wyrzutów. Nadkomisarz z Tyszką pili kawę, Mateja siorbał coś, co wyglądało jak zielony glut, a było pewnie bardzo zdrowym szejkiem warzywnym. Wyciągnęła z kieszeni puszkę coli. Jak najbardziej z cukrem. Syknęło. Wszyscy na nią spojrzeli. Uniosła puszkę w geście toastu.

– Jeśli już zebraliśmy się wszyscy w tym zacnym gronie... – zaczął Polański.

Wczoraj Renata dziwiła się, że szef przeniósł wieczorną odprawę na następny dzień, ale teraz wiedziała już dlaczego. Czekał na konkrety, informacje potrzebne do zweryfikowania wcześniejszych hipotez. Laboratorium potwierdziło, że na masce golfa, którym jeździł Zawojski, znajdują się ślady krwi Zdzisławy Krol. Doktor Biedrzycki, który z samego rana ponownie obejrzał zwłoki, poinformował, że obrażenia nogi wskazują, że po potrąceniu samochód jeszcze raz najechał na kobietę.

– Przecież od razu mówiłem, że to nie był wypadek. I że Zawojski jest winny jak jasna cholera – wyrwał się Tyszka.

– A właśnie, co z nim? – spytał Mateja.

– Prokurator Krok załatwił, że możemy go jeszcze potrzymać – wyjaśnił Mundeck.

– Pomocny człowiek – skomentował Adam.

– Pomocny czy nie, wiele nie ryzykuje – rzuciła Renata.

Polański dodał jeszcze, że w środku golfa zabezpieczono odciski palców Zawojskiego i czterech innych osób, których nie mają w systemie.

– No to go mamy. Prawie – powiedział Tyszka. – Ale rozumiem, że się nie przyznał?

– Nie – krótko odpowiedział Polański. – Trzyma się swojej wersji. Pewnie był w mieszkaniu, ale nic nie pamięta.

– Taaa... – Adam pokręcił głową.

– I tu mamy problem – wtrąciła Łukowska.

– Właśnie – powiedział nadkomisarz. – Jak udowodnić, że to Zawojki kierował w piątek golfem na Gliwickiej?

– No weź – skrzywił się Tysza. – A niby kto inny? Islamski terrorysta?

– Po kolei – zarządził Polański. – Krzysiek, sprawdziłeś, jak cię wczoraj wieczorem prosiłem, czy wyszło coś z monitoringu?

Mateja, nim odpowiedział, najpierw ożywił ekran tabletu. Renata zastanawiała się, czy to jedynie odruch, czy Krzysiek zwyczajnie nie potrafił zreferować najprostszej sprawy bez patrzenia w notatki. Skaza pamięci?

– Nic – odparł krótko, ale nie byłby sobą, gdyby nie zaczął objaśniać: – Tam jest w ogóle kiepsko z kamerami. Są w hurtowni i takim drugim sklepie, ale nie obejmują interesującej nas części Gliwickiej.

– Czyli na razie mamy tylko jednego świadka, który widział za kierownicą golfa kogoś w bejsbolówce – Polański mówił bardziej do siebie niż do podwładnych. – I żadnego innego świadka zdarzenia?

Mateja rozłożył ręce i wyjaśnił:

– Pozostali, którzy stali na przystanku, odjechali tramwajem, zanim zjawili się nasi. Może dać ogłoszenie do prasy, że poszukujemy świadków zdarzenia?

– Nie zaszkodzi, zajmij się tym – polecił nadkomisarz.

– Zaraz, zaraz – wtrącił się Tysza. – W okolicy przejścia dla pieszych z jednej strony jest ciąg domów, które stoją w miarę blisko ulicy. Może któryś z mieszkańców widział całą akcję.

– To by był nadmiar szczęścia, ale sprawdź dla spokoju sumienia – zarządził Polański. – Co wyszło z twoich pogaduszek z sąsiadami Zawojkiego?

Adam zaczął pokrótce streszczać, czego się dowiedział w barze U Szygara i w bloku Zawojkiego. Właśnie opowiadał o spotkaniu z Karolem Kotwą, emerytem, kiedy w głowie Renaty zaczęły migać czerwone lampki. Tak gwałtownie odstawiła puszkę z colą na biurko, że brunatne krople prysnęły na porozkładane dokumenty, znacząc je niczym rozbryzg krwi.

– Poczekaj – przerwała Tysza. – Mówisz, że Zawojkiego odwiedzał szpakowaty, przypakowany koleś?

Adam potwierdził skinieniem głowy.

– Ten opis pasuje do Szmatlocha, nie, Mateja?

– Tak jakby – odparł tamten powoli. – Kumplowali się, więc mógł go odwiedzać. Co w tym dziwnego?

Renata intensywnie myślała o drobnych faktach, na pozór niewiele znaczących słowach i zdaniach, które usłyszała podczas rozpytań, ale nie zwróciła na nie uwagi, bo na samym początku nudziło ją śledztwo, które wyglądało na oczywiste, a przez to nieciekawe.

– Szmatoch mówił, że oni sobie w fundacji Waleczny Ojciec, czy jak jej tam, wzajemnie pomagają.

– Niepokonany Tato – doprecyzował Polański.

– Niech będzie i niezłomny – wzruszyła ramionami.

– No i? – rzucił Mateja, wyraźnie zaintrygowany.

– Być może faktycznie nie Zawojski stuknął swoją teściową – powiedziała powoli i powiodła wzrokiem po kolegach.

– Zaś wymyśliła – prychnął Tyszka.

Polański złożył dłonie w piramidkę i zaczął mówić:

– Obawiam się, Renato, że nikt tu nie nadąza za twoim tokiem rozumowania.

Wyjaśnisz?

Potargała rude pukle, starając się poskładać w zrozumiałą całość przecucia i ledwie rodzące się hipotezy.

– Widzę to tak – zaczęła powoli. – Zawojski chciał ubić teściową. Pewnie miał z tym problem, nawet techniczny, bo pił i przez nietrzeźwość mógł coś schrząnąć. Poprosił więc Szmatocha, żeby on przejechał Krol. Idealna sytuacja, bo Zawojski ma alibi, a Szmatoch jest poza kręgiem podejrzanych.

Polański lekko się skrzywił, a potem odezwał, odginając kolejne palce lewej dłoni:

– Raz, gdyby faktycznie tak było, nasz podejrzany nie szedłby teraz w legendę, że nic nie pamięta, bo był pijany. Po prostu powiedziałby, że był w mieszkaniu. Dwa, golf był zarejestrowany na Szmatocha, więc i tak byśmy do niego dotarli. Twoja teoria ma luki.

– Może najzwyczajniej w świecie nie są wybitnymi strategami – broniła swojego pomysłu.

– Daj spokój – włączył się Tyszka. – A w ogóle dlaczego Szmatoch miałby się zgodzić na taką akcję? Tu nie chodzi o pożyczanie kilku stów do pierwszego, tylko o zabójstwo!

– Nie mam pojęcia – przyznała szczerze. – Może z męskiej solidarności. Może był Zawojskiemu winien przysługę. Może chodziło o wspólne emocje ojców pokrzywdzonych przez kobiety. Ten wątek ciągle się przecież przewija, nie? – nikt ani nie zaprzeczył, ani nie potwierdził, więc ciągnęła dalej: – Nie zastanawia was, że Szmatoch zaraz po naszej wizycie gdzieś się zmył i nikt nie ma pojęcia, gdzie przebywa? Że nie odbiera telefonów? Przypadek? Nie sądzę.

– Wstrzymaj konie, Petarda, bo mi się wydaje...

Mateja nie dał dokończyć Adamowi:

– Ale wcześniej uważałaś, że Szmatoch ukrył się przez tę niby nieletnią.

– Jaką niby? – zaperzyła się. – Ona jest nieletnia. Znam się.

Twarz Matei zmiał nieprzyjemny grymas.

– Ciekawe, skąd jesteś taka oblatana w ustalaniu wieku dziewczyn.

– Cisza! – Mundek podniósł głos. – O kim w ogóle mowa?

Mateja opowiedział o pannicy, którą zastali w domu Szmatlocha.

– Dlaczego o tej dziewczynie dowiaduję się dopiero teraz? – spytał Mundek, siląc się na spokój.

– Wydawało mi się to nieistotne – odpowiedziała szczerze Renata.

Polański powoli dopił resztkę kawy.

– Przypominam – zaczął, siląc się na spokój – że macie mnie informować o wszystkich wątkach dotyczących tego śledztwa. Nawet tych, które wydają się wam nieistotne. A wracając, Renato, do twojej hipotezy, jest ciekawa, ale...

– Noż, Mundek, chyba siebie nie słyszysz – wciął się Tyszka.

Nadkomisarz uciszył go gestem dłoni.

– Kolega pomaga koledze pozbyć się problemu. Tak się zdarza. Tak się mogło zdarzyć i w tym przypadku. Teoretycznie. Zastanówmy się jednak. Tylko czy faktycznie wraz ze zniknięciem teściowej problem Zawojkiego został rozwiązany? Czy jego sytuacja w sporze o córkę zmieniła się na lepsze? Wczoraj odbyłem pouczającą pogawędkę z mecenasem Drewnowskim, który też współpracuje z fundacją Niepokonany Tato. Twierdzi, że oni szkolą ojców, jak się powinni zachowywać wobec osób, z którymi są w sporze, a nawet co mogą mówić. I że podobno Zawojki był pojętym uczniem, więc wiedział, że powinien łagodzić konflikt z byłą i teściową, a nie zabijać tę drugą. Więc jak to się ma do ewentualnego motywu? Inaczej: moim zdaniem on na śmierci Krolowej więcej stracił, niż zyskał.

Renata zerwała się z krzesła i zaczęła krążyć między drzwiami a biurkiem. Często lepiej myślało jej się w ruchu. Drażniło ją tylko, że w gabinecie Polańskiego jest tak mało miejsca.

– Emocje – wypaliła. – Mówię wam, że działali emocjonalnie. Stało się coś, co spowodowało, że Zawojki nie zdzierzył. Działali emocjonalnie, wcale nie kalkulowali. Tak to widzę.

– A ja widzę, że naginasz fakty pod swoją wzruszającą historyjkę o męskiej przyjaźni – skomentował Adam. – Poza tym to raczej kobiety kierują się w życiu emocjami...

– A stuknąć ci, Tyszka? – nachyliła się nad kolegą.

Adam spojrział na nią z politowaniem. Zanim zebrał się, by jej się odgryźć, odezwał się Polański:

– Argument burzy emocji zupełnie mnie nie przekonuje.

Renata tak niespodziewanie, jak wcześniej zerwała się na równe nogi, teraz usiadła na krześle. Wycelowała palec wskazujący w Polańskiego i spytała:

– A co by szef zrobił, gdyby żona się wyprowadziła i zabrała ze sobą dzieci?

Nadkomisarz zmarszczył brwi, pokręcił głową i przez długą chwilę milczał, zbierając się do odpowiedzi.

– A dlaczego Beata miałyby zabierać moje dzieci? – w jego głosie wyraźnie wyczuwało się zdumienie.

– Ha! – Renata aż klasnęła w dłonie. – „Moje” dzieci – te dwa słowa wypowiedziała bardzo powoli. – Już nie „nasze”. O tym właśnie mówię, o tego rodzaju emocjach, nad którymi ludzie zupełnie nie panują.

Polański znowu pokręcił głową, jakby w zadumie.

– Nie mówię, że twoje argumenty, Renato, mnie przekonują, ale...

– Ale? – Łukowska się niecierpliwiła.

– Tak czy siak, trzeba sprawdzić, dlaczego i gdzie zniknął Szmatoch. Zajmiesz się tym z Krzyśkiem. Jeśli go nie namierzycie, przycisnę Zawojckiego, popytam o kumpla. Ale to nam nie ucieknie. Najpierw pojedźcie do fundacji Niepokonany Tato, bo za często nam się ona przewija w śledztwie. Popytajcie tam o Szmatocha i w ogóle wybadajcie, co to za organizacja, czym oni się właściwie zajmują.

Renata z Krzyśkiem podnieśli się bez słowa.

– Dobra, a ja jadę na Gliwicką – oznajmił Tyszka, dopijając szybko resztkę kawy.

– Poczekaj, najpierw wybierzesz się gdzieś ze mną – zarządził Polański.

*

Ze Zwycięstwa, głównej ulicy centrum Gliwic, skręcili w prawo przed kwartałem kamienic przylegającym do Rynku. Powoli toczyli się w korku, objeżdżając niemal całą okolicę starej części miasta. Mateja patrzył na zwalistą wieżę z poczerńiałego kamienia. Wyglądała jak wyciosana z gigantycznej bryły węgla. Wiedział, że jest kościelna, ale jemu bardziej przypominała baśniowe zamczysko. Mętnie kojarzył, że kościół jest pod wezwaniem Ducha Świętego. Może jednak Wszystkich Świętych? Nie orientował się w tych świętościach, w końcu był ateistą. Nawet bez chrztu.

W sumie był wdzięczny rodzicom, że swego czasu nie zdecydowali za niego.

Nie patrząc na Renatę, spytał:

– Nie można było podejść od innej strony?

Przez chwilę milczała. Słyszał tylko szybki rytm, który wybijała kciukami o kierownicę. Czy to oznaczało, że jest zirytowana, czy wręcz przeciwnie?

– Raciborska jest jednokierunkowa. Można było stanąć gdzieś koło zamku, ale wtedy trzeba by dawać z buta. Chcesz łązić w taką kijową pogodę? –

powiedziała głosem wypranym z emocji.

Czyli była spokojna. Chyba.

Zaparkowała na Raciborskiej przed jednopiętrową kamienicą, która nie wyglądała na przesadnie reprezentacyjną, choć jedno z wejść na parterze prowadziło do odpicowanej galerii sztuki. Pomyślał, że temat jest raczej dla Tyszki, przecież ten prowadzi się z kuratorką. Prawdę powiedziawszy, nie miał pojęcia, jak się dogadywali, skoro Adam znał się tak na malarstwie czy rzeźbie, jak on na przygotowywaniu karkówki na grilla. Ale w sumie to nie jego problem.

Uznał, że powinni wbijać do drugich drzwi, do których prowadziły cztery schodki, choć na froncie budynku nie zobaczył tabliczki z nazwą Niepokonany Tato. W ogóle nie dostrzegł niczego poza niebieską blaszaną tabliczką z numerem domu.

– To na pewno tu? – spytała Renata, wyciągając papierosy z kieszeni kurtki.

– Taki adres ich siedziby znalazłem w necie.

– Wiesz, adres adresem, ale mogą działać w zupełnie innym miejscu. Dzwoniłeś?

Wydał policzki. Renata czasami zachowywała się tak, jakby tylko ona wiedziała, o co chodzi w policyjnej robocie. Co bywało irytujące.

– Nikt nie odbierał.

– Walnę sobie w płuco, a ty obczaj, czy faktycznie – wskazała niezapalonym papierosem na kamienicę – tu się gnieźdzą.

Miał do wyboru: marznąć na chodniku albo wykonać jej polecenie. Wybrał to drugie. Zobaczył domofon, ale nie musiał z niego korzystać, bo stare, masywne drzwi wejściowe do kamienicy były niedomknięte. W niewielkim korytarzu pachniało grzybem i czymś jeszcze. Wcale jednak nie moczem. Może stara kamienica zwyczajnie pachniała zatęchłą starością. Na piętro prowadziły podniszczone drewniane schody. Uznał, że najpierw sprawdzi podwórko, na które wchodziło się przez drzwi ozdobione u góry kolorowymi szybkami, częściowo, bo z pięciu pozostały tylko dwie, żółta i niebieska. Po prawej stały pojemniki na śmieci. Niewielką przestrzeń zamykała parterowa oficyna z jednospadowym dachem. Na ukos przez podwórko szedł czarny kot, nie zwracając na niego uwagi. Zły omen?

Na ścianie oficyny dostrzegł tabliczkę z nazwą i logo fundacji, której szukali. Czyli jednak miał rację... Nie chciało mu się wracać na ulicę, wydzwonił więc Renatę.

Weszła na podwórko, szybko dopalając papierosa.

– A to co, klub bokserski? – spytała, wskazując na logo ukazujące dwie stykające się pięści.

– Polański wspominał, że mają dracze logo.

– No raczej – skomentowała i zgasiła niedopałek w popielniczce stojącej na parapecie okna.

Z dworu wchodziło się od razu do sporego pokoju, w którym były dwa biurka i kilka stojących półek. W oknie tkwiły szczątki paprotki. Ustawiona w kącie drukarka szemrała, wypluwając kartki. Uchyliły się drzwi prowadzące do kolejnego pomieszczenia i stanął w nich mężczyzna nijaki i szary jak ściany siedziby fundacji. Zamiast „dzień dobry” jedynie uniósł brwi.

– Podkomisarz Łukowska i aspirant Mateja, Komenda Miejska Policji w Katowicach – powiedział Krzysiek.

Mężczyzna zaplótł ręce na piersi i powiedział:

– Nie gadam z pałami.

– Uważaj, synku, oskarżenie o znieważenie funkcjonariusza na służbie jest blisko – rzuciła Renata i zrobiła krok w stronę mężczyzny. – Nazwisko! – huknęła.

Mężczyzna chyba się nie przestraszył, wyrzucał z siebie kolejne zdania tak szybko, że Krzysiek ledwie go rozumiał:

– Aresztowaliście Jakuba! Ciekawe za co? Wy i te śmieszne sądy, jeden gang. Wszyscy wysługujecie się kobietom. Wszyscy gnębicie ojców...

Krzysiek zauważył, że Renata zbiera się, by chwycić mężczyznę za fraki, więc zrobił dwa długie kroki i wbił się między nich.

– Spokój! – warknął do mężczyzny. – Siad! – wskazał na krzesło stojące obok biurka.

Drukarka skończyła pracę. W pokoju zaległa cisza. Zdziwił się gwałtownością swojej reakcji. Może to wynik zbyt częstego przebywania z Renatą, może przeszły na niego jej napięcie i nerwowość. W końcu kto z kim przestaje... Ale przynajmniej podziałało. Mężczyzna zamknął się i grzecznie usiadł.

– Pan się nazywa? – spytał Mateja spokojnym głosem, przysiadając na krześle odwróconym oparciem do przodu.

Łukowska oparła się o drugie biurko, z dala od mężczyzny. Tyle dobrego.

Tamten głośno przełknął ślinę.

– Roman Kowalski.

– Pięknie. I nie można było, panie Romanie, tak od razu? – zganił go.

Facet nie odpowiedział.

– Słyszę, że wiadomość o aresztowaniu Jakuba Zawojskiego już do was dotarła.

– W naszej fundacji jest jak w rodzinie. Dbamy o siebie nawzajem, więc wiemy wszystko o wszystkich.

– To się świetnie składa – wyciągnął z torby tablet i uruchomił. – Bo nie przychodzimy w niczym imieniu i na pewno nie chcemy nikogo gnębić. Za to potrzebujemy informacji.

– No nie wiem... – Kowalski wciąż udawał niezłomnego.

– Hubert Szmatoch jest członkiem waszej fundacji. Chcemy z nim porozmawiać, a nie możemy go złapać ani w domu, ani w pracy. Gdzie jeszcze może być?

– Hubert? A myślałem, że wzięliście na celownik Jakuba?

– To źle, synku, myślałeś – wycedziła Renata.

Kowalski zmierzył ją złym wzrokiem. Krzysiek chciał zdusić w zarodku wiszącą w powietrzu sprzeczkę, więc spokojnie drążył, ignorując pytanie mężczyzny:

– Powtórzę, gdzie może być Szmatoch?

– Nie będę sypał kumpla. Nie wiadomo, co mu zrobicie. Pewnie nic dobrego – zaperzył się Kowalski.

Krzysiek spojrzał na Renatę, dając znak, by ciągnęli zwyczajową zabawę w dobrego i złego policjanta. Wiedział, że kobieta doskonale poradzi sobie z drugą rolą, i się nie zawiódł.

– Możesz nie sypać, twoje prawo, ale konsekwencje spadną także na ciebie – wskazała na niego palcem. – Zastanów się, jak będzie wyglądało, jeśli za jednym z ludzi z waszej... Jak to określiłeś? Aha, z waszej rodziny, wystawimy list gończy. Kiepska reklama dla Niezwycięzonego Taty.

– Niepokonanego... – poprawił ją odruchowo.

– Zrobi się z tego afera i tatuś okaże się nie aż tak bardzo niezłomny.

Krzysiek zdawał sobie sprawę, że Renata rzuca groźby bez pokrycia, ale Kowalski już niekoniecznie. Milczał, spuścił głowę.

Mateja już chciał go popędzić, ale mężczyzna spojrzał na niego i wyskoczył z kolejnymi pytaniami:

– A co się dzieje z Hubertem? Czego od niego chcecie?

– Na razie nic się nie dzieje – odparł szybko, żeby przez przypadek Renata nie wyrwała się z odpowiedzią. – Szmatoch może mieć informacje, których potrzebujemy. Więc?

Mężczyzna podszedł do biurka i zaczął grzebać w szufladach, jednocześnie mówiąc, jakby chciał zagadać własne wątpliwości:

– Jak nie ma Huberta w domu... To nic pewnego, ale... Ma jeszcze domek letniskowy na górze Żar... Piękne miejsce, z widokiem na jezioro... Gdzie jest ten notatnik?... Kilka razy robiliśmy tam fundacyjnego grilla...

– Czyli chlaliśmy jak świnię, jak to między facetami z jednej rodziny – cicho skomentował Łukowska.

Kowalski chyba nie dosłyszał, bo wciąż gadał do siebie:

– ...ale, jak mówię, nic pewnego. Może tam jest, a może nie... O, mam!

Zapisał na karteczce samoprzylepnej adres, podszedł do Krzyśka i mu podał.

– Daj, proszę, pani podkomisarz.

Mężczyzna zatrzymał się przed Renatą na wyciągnięcie ręki.

– Bolało? – rzuciła, odbierając od niego papier.

Wzruszył ramionami i spytał:

– To wszystko? Bo robotę mam.

– A właśnie – Mateja tak się ucieszył, że wydobyli adres innej miejscówki Szmatlocha, że byłby zapomniał o poleceniu Polańskiego, by popytać o szczegóły działalności fundacji. – Czym tak konkretnie zajmujecie się w Niepokonanym Tacie?

Pracownik fundacji – nie wiedzieć czemu – westchnął i usiadł za biurkiem, jakby miał zamiar zacząć poważne urzędowanie. Wiadomo, urzędnik za biurkiem zawsze wygląda na ważniejszą osobę.

– Wszystko jest na naszej stronie internetowej.

Krzysiek już wcześniej z ciekawości na nią zajrzał, jak również posprawdzał kilka linków prowadzących do stron innych tego rodzaju organizacji. Zdziwiło go, że jest ich tak dużo. Czyżby aż tak wielu mężczyzn miało problemy z wyegzekwowaniem swoich praw ojcowskich?

– Same ogólniki – podsumował Krzysiek, trochę ściemniając. Prawdę powiedziawszy, stronę fundacji przejrzał bardzo pobieżnie, przede wszystkim dlatego, że nie była czytelna dla odbiorcy. Pewnie postawił ją niezbyt biegły w informatyce wolontariusz. – Powstałście kilka lat temu. Właściwie po co, skoro już działa na przykład – zerknął do tabletu – Centrum Praw Ojca i Dziecka?

– Bo stawiamy na działania lokalne i bliski kontakt z członkami fundacji. Jeśli pan myśli, że siedząc na dupie w warszawce, można ogarniać wszystko, co się dzieje w kraju, myli się pan. Każdy region ma trochę inną specyfikę relacji w rodzinie, prawo jest niby wszędzie takie samo, ale już praktyka działania sądów i instytucji z nimi powiązanych bywa odmienna. My wiemy, co i jak funkcjonuje na Śląsku, na tym się znamy i tylko tu działamy.

Brzmiało rozsądnie.

– A tak konkretniej, w jaki sposób pomagacie ojcom w potrzebie? Możesz mówić na przykładzie Zawojskiego.

Kowalski spojrział na niego spode łba.

– Czyli to jednak o Jakuba chodzi...

– Bardziej chodziło mi o przykład.

– Jakubowi pomagaliśmy i pomagamy chyba na wszystkie sposoby, jakie mamy do dyspozycji – mężczyzna przerwał na chwilę. Pewnie zastanawiał się, ile może wyjawiać. – Chyba powinienem zadzwonić po mecenasa Drewnowskiego...

– Dobra, zostawmy Zawojkiego – Krzysiek postanowił trochę odpuścić. – To jak pomagacie, jeśli w ogóle pomagacie w konkretny sposób?

Kowalski się zjeżył, ale tylko na moment.

– Dobra. Zapewniamy naszym kolegom...

– Członkom... – Renata rzuciła słabym żartem.

– ...naszym kolegom pomoc prawną. Na każdym etapie ich zmagani o prawo do uczestniczenia w wychowaniu dzieci. Najczęściej chodzi o zupełnie podstawowy poziom, czyli mediacje między rodzicami, aby ustanowić sensowne i sprawiedliwe zasady opieki naprzemiennej. W taki sposób, aby matka nie była w pozycji uprzywilejowanej, co jest niestety normą. Bywa jednak, że mediacje nie przynoszą efektów.

– Jak w przypadku Zawojkiego – rzuciła Łukowska.

– Tak – Kowalski uciął temat. – Współpracujący z nami prawnicy udzielają porad, jeśli trzeba reprezentują naszych kolegów przed sądem. Poza tym dla potrzebujących organizujemy wsparcie psychologiczne, terapie...

– Zawojki korzystał z pomocy psychologa?

– A taka informacja nie jest objęta tajemnicą medyczną?

Krzysiek nie drażył, bo odpowiedź pytaniem na pytanie w zupełności mu wystarczyła. Zawojki na pewno miał styczność z psychologiem, który – stan Jakuba potwierdzał to dobitnie – nie poradził sobie z problemem. Wątek terapeutów przypominał mu, że sam miał się umówić z policyjną psycholożką. Pomoże, nie pomoże, ale przynajmniej zwerbalizuje złe emocje, które od jakiegoś czasu go przepełniały.

– Co jeszcze wchodzi w zakres działalności fundacji?

– Tak już mniej oficjalnie to zwyczajnie, po ludzku sobie pomagamy. Wspieramy się, jak możemy. Jak to w rodzinie.

– Tak jak Szmatloch, który zatrudnił u siebie w komisie Zawojkiego? – dopytała Renata.

– Na przykład.

– I to wszystko, cała ta opieka prawna czy psychologiczna, jest za darmo? – Krzysiek zmienił temat.

– Oczywiście – odpowiedział Kowalski z pełnym przekonaniem. – To znaczy chłopaki płacą składki członkowskie, ale nic więcej.

– Słyszałem, że w niektórych fundacjach czy stowarzyszeniach waszego typu bywają spore przewały z tymi składkami – rzucił Krzysiek na rybkę. – I że

fachowa pomoc niekoniecznie jest koniec końców darmowa.

– Ale nie u nas – zaperzył się Kowalski.

Pewnie nie kłamał. Mateja był przekonany, że taki Zawojski, który jeśli nawet miał trochę wolnej kasy, pewnie przeznaczał ją na alkohol, na pewno nie dałby rady płacić ekstra za adwokata. O psychologa nie wspominając.

Przed wyjściem dał Kowalskiemu wizytówkę i poprosił o telefon, gdyby przypadkiem Szmatoch skontaktował się z fundacją. Mężczyzna tylko skinął głową.

Renata otworzyła pilotem centralny zamek, ale nie wsiadła do samochodu. Oparła się o maskę i zapaliła. Miał na końcu języka uwagę, że zdecydowanie za dużo pali. Ostatnio nawet jakby więcej. Choć może tylko mu się zdawało. Wypuściła nosem smużki dymu i rzuciła:

– Widzę, Mateja, że odrobiłeś lekcje w temacie fundacji.

Tylko wzruszył ramionami. Nic wielkiego, piętnaście minut szperania w necie wystarczyło, żeby zdobyć jako taką orientację.

Zawsze starał się podczas śledztwa zgłębiać nowe dla niego zagadnienia. W odróżnieniu od kolegów.

– Zresztą ten wątek z finansami, składkami wydaje mi się obiecujący – powiedziała.

– Nie sądzę – odparł. – Kończ jarać i jedziemy.

– Niby dokąd?

– Zrobimy sobie wycieczkę na górę Żar. Byłaś kiedyś w tej okolicy?

– W życiu.

– Nie lubisz chodzić po górkach?

– Nienawidzę.

– Czyli wolisz nadmorskie klimaty?

– Plażowania też nienawidzę.

Taaak, iście miastowa dziewczyna. Z dużego miasta na dodatek.

– Trzeba by dać znać Polańskiemu – Renacie nagle zebrало się na podążanie ścieżką służbową.

– I tak nie mamy teraz wiele do roboty. A to niedaleko, jakieś siedemdziesiąt kilometrów. Szybko obrócimy.

– Nie mamy pojęcia, czy Szmatoch tam jest. Chociaż dryndnę do fabryki.

Zdeptała niedopałek, sięgnęła po telefon i wybrała numer. Abonent był czasowo niedostępny, podobnie jak poprzedniego dnia.

– Niech będzie więc i Żar – rzuciła, otwierając drzwi audi.

*

Sypnęło śniegiem. Który to już raz w ciągu ostatnich dni? Duże mokre płatki lepiły się do szyb samochodu Tyszki. Krajobraz za nimi się rozmazał, stracił wyraźne kontury. Jadą jeszcze przez Chorzów czy może są już w Zabrze?

Adam był dziś wyjątkowo milczący. Wzrok miał wbity w drogę, ale zdawał się prowadzić nieuważnie, jakby od niechcienia, trzymając tylko jedną dłoń na kierownicy. Mundek przez chwilę się zastanawiał, co się dzieje z kumplem, co go gryzie od kilku dni. Milczenie Adama tym razem mu jednak odpowiadało, bo mógł rozmyślać nad tym, co z kolei jemu nie dawało spokoju od wyjazdu z fabryki.

„A co by szef zrobił, gdyby żona się wyprowadziła i zabrała ze sobą dzieci?” Ciągle wracał w myślach do pytania zadanego przez Łukowską. Cholernie dobrego pytania! W małżeństwie mieli lepsze i gorsze momenty, jak wszyscy, żył jednak w głębokim przekonaniu, że zarówno jego związek z Beatą, jak i cała rodzina, którą nie bez trudu budowali przez lata, są stabilne i trwałe. Nie do rozbicia. Gdyby jednak przez splot jakichś tragicznych przypadków musiał się rozstać z żoną, co by się stało? Logicznie rzecz biorąc, dzieci, „jego” dzieci, najprawdopodobniej zostałyby z nią. Czy faktycznie tak by musiało być? Był pewien, że nie dałby rady pracować w policji i opiekować się trójką, w tym małą Basieńką. Musiałby całkowicie zmienić swoje życie. Czy byłby gotowy na taki krok? Czy by podolał? A gdyby nawet się tego podjął, czy poradziłby sobie organizacyjnie i finansowo?

Na razie wolał o tym nie myśleć. Poza tym sąd rodzinny prawdopodobnie przyznałby opiekę nad dziećmi Beacie. Tak się zwykle dzieje w tym kraju, że małoletni zostają przy matce. A wtedy co? Widywanie dzieci raz na jakiś czas. Co tydzień? Miesiąc? Znoszenie krzywych spojrzeń Beaty i otwartej wrogości teściowej? Czy nie stałby się wtedy ojcem wyłącznie z nazwy? Albo ojcem weekendowym?

– Jesteśmy – burknął Adam.

Mundek nawet nie zauważył, kiedy dojechali pod blok Zawojskiego. Wysiadł bez słowa, a Adam ruszył za nim. Wyciągnął z kieszeni płaszcza klucze zatrzymanego, które zabrał z depozytu aresztu, i otworzył drzwi klatki schodowej.

Adam chrząknął i zapytał:

– Wytłumaczysz mi z łaski swojej, co my tu robimy?

– Muszę coś sprawdzić – odpowiedział na odczepnego.

Prawdę powiedziawszy, Mundek sam nie był pewien, dlaczego postanowił przeszukać lokum Zawojskiego. Zawsze bardzo istotne były dla niego oględziny miejsca zdarzenia, zwłaszcza tam, gdzie doszło do ciężkich przestępstw. Sam przed sobą niechętnie przyznawał się do tej, jak to nazywał, taniej mistyki, ale

miejsca zbrodni do niego... przemawiały. Nie zawsze, ale jednak. Albo inaczej: dawały mu znaki. Czasami namacalne, jak przedmioty czy ślady, które przeoczyli inni. Czasami ulotne i niejednoznaczne – jakieś wrażenie, przecucie. Bywało, że przydawały się w śledztwie, dostarczały mu impulsu, który pchał myśli na inne tory. Sam do końca nie wiedział, jak to działa. I na pewno nie zamierzał tego nikomu tłumaczyć. Tyle że w mieszkaniu Zawojskiego nie stało się nic złego. Chyba.

Włożyli rękawiczki, a Mundek otworzył i pchnął drzwi.

– Ale liche woniani – skrzywił się Tyszka i pognął w głąb mieszkania.

Od soboty smród w zamkniętych pomieszczeniach tak stęzał, że stał się prawie namacalny. Adam niemal poczuł, że swąd fajek lepi mu się do twarzy. Przejechał po policzkach dłonią. Nie pomogło. Szybko otworzył okno w kuchni i drzwi balkonowe, by przeciąg przerzedził ciężkie zapachy.

– Szukamy czegoś konkretnego? – spytał, rozglądając się po zasyfionym pokoju.

– Sam nie wiem.

– Mundek, nie wnerwiał mnie! Ciągniesz mnie aż do Gliwic i nie wiesz po kiego?

Polański powoli wypuścił powietrze.

– Właściwie chciałem się przekonać, kim ten cały Zawojski jest. Czy tylko upadłym, nieszczęśliwym ojcem? Czy może kimś jeszcze.

– Na pewno ożyrokiem – dodał Tyszka i lekko kopnął czubkiem buta pustą flaszkę po wódce, leżącą na brudnych panelach.

Potoczyła się z hurgotem aż pod kaloryfer.

– Przestań, bo zaraz sąsiad się będzie dobijał do drzwi – napomniął go Polański. – Szukamy czegoś, co nie pasuje do obrazka. Zdaj się na instynkt.

– To ja biorę kuchnię – powiedział Tyszka i wyszedł, mamrocząc pod nosem.

Polański zaczął od przedpokoju. Na rozpadającej się szafce na buty stała niewielka plastikowa miska, w której były dwa komplety jakichś kluczy, kluczyk do auta, śrubki, agrafka i zmięte w kulki rachunki z pizzerii. Przeszukał kieszenie wiszącej na wieszaku znoszonej, porwanej dżinsowej kurtki z podpinką ze sztucznego misia, znalazł złamanego papierosa i stary model komórki.

– Adam – zawołał, a kiedy ten stanął w przedpokoju, spytał z lekkim wyrzutem: – Dlaczego nikt nie zabezpieczył telefonu Zawojskiego?

– Mnie się pytasz?

Mundek pokręcił głową. Od początku śledztwa byli nieuważni, zrobili za wiele błędów. Na dokładkę dotarło do niego, że nie sprawdzili jeszcze telefonu Krolowej. Wprawdzie rozbił się w trakcie wypadku, ale to nie przeszkadzało

w wyciągnięciu billingów. Czego oczywiście nie zrobili. Powiedział o tym Adamowi.

– Nie ma czym się zamartwiać – Adam zbagatelizował sprawę. – Niby co spodziewasz się tam znaleźć? Numery do przyjaciółek, z którymi gra w brydża albo klepie zdrowaśki w zależności od tego, co lubiły robić?

Mógł mieć rację, ale nie musiał.

Bez większych nadziei Mundek zaczął metodycznie przeszukiwać pokój, odsuwając brudne łachy, śmieci i wszechobecne butelki. Nic. Z kuchni dochodziły wyklinania Tyszki na maras, jakiego świat nie widział. Rozeźmiał się, do tej pory nie zdawał sobie sprawy, że przyjaciel, w końcu stary kawaler od lat mieszkający tylko z ojcem, jest aż tak wrażliwy na brud i nieporządek. Zajrzał do skrzyni rozkładanej kanapy, ale znalazł tylko stary, przeпоcoony jasiek i kilka kapsli od piwa. Na koniec zostawił sobie dwudrzwiową szafę. Na wieszaku wisały dwie przejściowe kurtki, gumowana przeciwdeszczówka z logo firmy produkującej oleje silnikowe, garnitur zabezpieczony folią i wymięta biała koszula z zawiązanym krawatem. Pewnie komplet, którego od czasu do czasu używał, kiedy musiał się stawić w sądzie. Sam dbał o pozory, czy ktoś to robił za niego? Po prawej stronie szafy były cztery półki, na których kłębiły się rozmaite części garderoby. Mundek postanowił, że zrzuci łachy na podłogę, ale na górnej półce zobaczył grzbiety dwóch kartonowych teczek. Krzywiąc się, zsunął z nich kilka sztuk niespecjalnie czystej bielizny.

Wziął pierwszą teczkę opisaną mazakiem „Roksanka”. Rozwiązał troczki z materiału. Wewnątrz znajdował się gruby plik dokumentów, dotyczących – z tego, co stwierdził po pobieżnym przekartkowaniu – sporu o córkę. Głównie były to dokumenty sądowe, jakieś opinie, potwierdzenia wpłaty alimentów... Wszystko ułożone chronologicznie. Czy pijak Zawojski sam tak dbał o kwity? Może ktoś mu pomagał? Szmatloch? Mecenas Drewnowski? A może ktoś, kogo jeszcze nie namierzili?

Zawiązał teczkę i odłożył na ławę. Sięgnął po drugą. Ki czort? Zmarszczył brwi, wpatrując się w napis na okładce, zrobiony tym samym mazakiem i tym samym charakterem pisma. Otworzył, przeglądał kserówki i wycinki z gazet.

– W kuchni i łazience jeden syf. Nic poza tym – zameldował Adam, który stanął właśnie w drzwiach pokoju.

Mundek zastygł, wpatrzony w otwartą teczkę.

– Halo, tu ziemia, mówi się! – Tyszka się niecierpliwił. – Co tam masz?

Polański wyrównał przeglądane kartki, zawiązał teczkę i podał kumplowi. Ten odczytał kulfony namazane na okładce:

– „Krol. Afera węglowa” – wbił wzrok w szefa. – I co to niby ma być?

*

Wąska ścieżka schodziła stromo w dół tuż obok wysokiego podpiwniczenia wymurowanego z kamieni. Renata pośliznęła się i na pewno zjechałaby na tyłku dobrych kilkanaście metrów, gdyby nie złapała się ściany.

– Kurwa, lebiega na Żarze – skarciła się.

Chałupinę Szmatlocha znaleźli bez trudu, bo znajdowała się niedaleko od ulicy, jakżeby inaczej, Górskiej, nieco w dole zbocza. Trudno było powiedzieć, czy Szmatloch miał z niej ładny czy brzydki widok, bo szarówka i padający śnieg ograniczały widoczność. Ledwie widziała majaczącą w oddali ścianę lasu. Zdaje się sosnowego. W środku paliło się światło. Nie wiedzieli, co może kolesiowi strzelić do łba, więc zachowywali ostrożność. Mateja miał zapukać od frontu, a ona zabezpieczać tył parterowego drewnianego domku.

Ostrożnie stawiając kroki na mokrych schodach z kamienia, Renata weszła na taras zawieszony wysoko nad zboczem. Oparła się o ścianę tuż obok dwudrzwiowych, całkowicie przeszklonych drzwi. Wysłała wiadomość z krótkim *Jestem*. Po chwili usłyszała przytłumione walenie do drzwi. Cisza. Potem Mateja znowu zaczął się dobijać, a z wnętrza domku podniósł się rumor. Drzwi tarasowe otworzyły się z impetem i wypadł z nich mężczyzna w dresach. Wywrócił się na ośnieżonych płytkach, krzyknął i sunąc na plecach po tarasie jak wielki niezgrabny żuk, walnął w barierkę z giętych metalowych prętów. Gdyby nie ona, poleciałby w dół. Dobrze pięć albo i sześć metrów. Zajęczał.

Renata tylko pokręciła głową. Prawie zawsze ci, którzy próbowali ucieczki, kończyli właśnie tak. Albo podobnie. Takie brawurowe akcje udawały się tylko w filmach.

Wyjęła kajdanki i skuła wciąż jęczącego Szmatlocha. Nawet się nie rzucał.

W drzwiach stanął Mateja.

– A ten co?

– Wydawało mu się, że jest superbohaterem. Chciał polatać.

– A może supertatą – Mateja się zaśmiał.

Postawiła Szmatlocha do pionu, a ten zaraz zaczął pyskować:

– To jest napaść. I bezprawne pozbawienie wolności. Złożę skargę.

– Było nie zwiewać – rzuciła beznamiętnie.

Weszli wraz z mężczyzną do środka i usadzili go w drewnianym fotelu wyściełanym poduchami. Całe wnętrze było wykończony w drewnie, na bogato, ale w miarę gustownie. W dużym kominku buzował ogień. Usiedli na drewnianej, na oko starej ławie. Dali Szmatlochowi czas, żeby się wysapał i ochłonął.

– Nie zrobisz już nic głupiego? – spytał Mateja.

– Nie – odparł tamten cicho.

Renata zdjęła mu kajdanki. Skrzywił się i roztarł nadgarstki, jakby wyrządziła mu nie wiadomo jaką krzywdę. Mięczak. Jak wielu pakerów mocnych tylko w gębie.

– I po co było się przed nami ukrywać? – rzuciła.

– Czemu zniknąłeś z Gliwic? – doprecyzował Mateja.

Szmatloch lekko opuścił głowę.

– Ja... – zaczął, ale nagle się zawiesił.

– Posłuchaj! – podniosła głos. – Już teraz możemy ci przypiąć jakieś zarzuty. Daruj więc sobie ściemy. Tak będzie lepiej dla ciebie, a i my stracimy mniej czasu.

– Czy to przez Zawojskiego postanowiłeś zrobić sobie zimowe wakacje w górach?

– Przez Jakubka? – na twarzy Zawojskiego malowało się zdziwienie.

– Chyba za mocno uderzyłeś się w głowę – skomentowała. – Przecież o nim rozmawialiśmy ostatnio.

– Tak, ale... – znowu nie dokończył.

– Chyba z powrotem cię skuję i zabiorę na wycieczkę do Katowic – Renata zaczęła tracić cierpliwość.

Szmatloch podniósł ręce w uspokajającym geście.

– To przez Agnieszkę.

– W sensie tę nieletnią, którą pukasz? – dopytała.

– Jaka tam znowu nieletnia – zachnął się. – Może brakuje jej kilku miesięcy do siedemnastki, ale to nadal nie jest nieletnia. Zresztą nie powiedziała mi prawdy, twierdziła, że ma dwadzieścia, a ja nie miałem podstaw, by jej nie wierzyć – zaznaczył. – Nie popełniłbym przestępstwa.

– To dlaczego nas unikałeś? – Renata nie pojmowała motywacji jego działań.

– Zaczęliście drążyć temat Agnieszki, a wtedy ją zapytałem i... – znowu zawiesił głos. – Dobra, spanikowałem. Pasuje wam? Bałem się, że moja była się dowie, że sypiam z nastolatką, i zacznie nakręcać aferę. Ona jest zdolna do wszystkiego, żeby tylko utrudnić mi kontakt z synem. Jak to...

– Baba – dopowiedziała, a on jedynie się skrzywił.

– To było się związać z dorosłą kobietą. Mniej byś miał problemów – poradził Mateja.

– Moja sprawa, z kim idę do łóżka – odpowiedział cicho.

– I naprawdę chodziło ci tylko o ten nieszczęsny romansik? Nie zwiewałeś przez Jakuba? – Renata spojrzała na niego spod zmrużonych powiek.

– Co wy w koło Macieju z tym Jakubkiem?

Postanowiła zagrać z nim w otwarte karty. Jak sądziła, wiele nie ryzykuje. W razie czego wystarczyło go postraszyć, że jeśli nie będzie trzymał języka za zębami, opowiedzą komu trzeba o uroczu nastoletniej Agnieszce.

– Wszystko wskazuje, że Zawojski w piątek przejechał swoją teściową – powiedziała powoli, wpatrując się z uwagą w mężczyznę.

– Ożeż, kurwa mać...

– W dodatku samochodem, który jest zarejestrowany na ciebie. Widzisz więc, że słabo to wygląda.

Szmatloch przejechał dłonią po krótko ostrzyżonych włosach.

– Nie wierzę – wypalił.

– A tak dokładniej to w co? – spytał Mateja.

– Jakubek na pewno tego nie zrobił.

– Skąd ta pewność?

– Raz: co miałyby zyskać na śmierci starej?

Ani Renata, ani Mateja nie odpowiedzieli. Prawdę powiedziawszy, ewentualny motyw Zawojskiego wydawał się z każdym dniem coraz bardziej wątpliwy. Komu innemu mogła jednak dokuczyć na tyle, by chciał się jej pozbyć? Nie mieli na oku innych podejrzanych.

– Dwa: Jakubek w ogóle nie jest agresywny.

– Z tego, co wiemy, jednak bywał – uściśliła.

Szmatloch tylko machnął ręką i powiedział:

– Eee tam, może zdarzyło mu się starej albo byłej nawrzucać coś po pijaku, zwyzywać. Ale z łapami się nigdy nie wyrywał. Przynajmniej nic na ten temat nie wiem – zastrzegł.

– Załóżmy, że to nie był Zawojski – Renata cedziła słowa. – Może pomógł mu więc któryś z kolegów, co?

Mężczyzna wbił w nią wzrok. Wyraźnie dostrzegła, że powstrzymuje się ostatkiem sił, żeby nie wybuchnąć.

– Nie podobają mi się te sugestie – wysyczał.

– Ponoć w tej fundacji jesteście jak rodzina. A członkowie rodziny sobie pomagają. Uwalniają od kłopotów, jeśli mogą i chcą.

– Żeby było jasne, powtórzę, że w piątek wieczorem byłem z Agnieszką w knajpie. Mam świadków.

– Pewnie samych znajomych.

– A co? Znajomy nie może być świadkiem?

– Sprawdźmy – wtrącił się Mateja.

Poprosiła, żeby podał nazwiska osób, które były wtedy w pubie, i kontakty do nich. Zrobił to bez szemrania. Mateja wszystko zapisał.

Szmatloch brzmiał przekonująco. Renata nie czuła, że kłamie. Może jednak trochę wygłupiła się z hipotezą o jego możliwym udziale w zbrodni. Nie przekalkulowała wszystkiego do końca. Żeby trochę uspokoić wyrzuty sumienia, postanowiła postąpić zgodnie z poleceniami Polańskiego i sumiennie sprawdzić uzyskane informacje.

– Podobno często odwiedzałeś Zawojkiego w jego mieszkaniu? – spytała.

– Ten stary dziad coś na Jakubka i na mnie nagadał? – obruszył się Szmatloch.

– Dlaczego miałyby to robić?

– Bo raz czy dwa się z Jakubkiem pożarli o jakieś pierdoły. Dziad się czepiał byle czego.

– Jak na zupełnie, twoim zdaniem, nieagresywnego faceta, Zawojki miał podejrzenie dużo konfliktów z ludźmi – skomentował Mateja.

– Bo ludziom się wydaje, że jak ktoś popija, to mogą po nim jechać jak po łysej kobyle. Kurwa, sami współczujący katole miłujący bliźniego – mężczyzna uniósł głos.

Renata nie za bardzo wiedziała, jaki związek może mieć wiara czy niewiara sąsiada z piciem Zawojkiego czy relacjami z innymi, więc zignorowała ten wątek i ponowiła pytanie:

– Czyli często bywałeś u Zawojkiego, tak?

– Często, nieczęsto. Czasami do niego wpadałem.

– Po co?

– Noż, kurwa, co to ma do rzeczy?

– Grzeczniej – syknęła. – Więc?

– Tak bardziej to starałem się go kontrolować. Na ile mogłem. Jak wpadał w ciąg i znikał na dzień czy dwa, podjeżdżałem do niego, żeby sprawdzić, czy coś mu się nie stało. Albo przywoziłem mu żarcie, żeby nie leciał na samych płynach.

– Tylko tyle?

– A co niby miało być więcej? Nie mogłem cały czas trzymać go za rączkę, pilnować. Mam swoje życie.

– Kiedy ostatnio u niego byłeś?

– Ja wiem? Nie pamiętam dokładnie. Kilkanaście dni temu.

– O czym ostatnio gadaliście? Zawojki nie opowiadał o jakichś nowych problemach?

Szmatloch znowu przejechał dłonią po głowie. Renata pomyślała, że ten natrętnie powtarzany gest może go szybko pozbawić włosów, których i tak nie miał za wiele.

– Pytasz, czy mi opowiadał, że chce stuknąć teściową? Nie!

Prychnęła.

– Na pewno? – zawiesiła głos. – Bo odnoszę wrażenie, że nie zawsze mówisz nam wszystko, co wiesz. Tak jak ostatnio, kiedy twierdziłeś, że nie wiesz, dlaczego Zawojcki rozstał się z żoną. Nie kupuję tego.

Szmatloch nie wyglądał na przejętego.

– Takich rzeczy powinniście się dowiadywać od niego. Sam kumpla nie będę sypał.

– Ty nam nie mów, co powinniśmy – z miejsca skoczyło jej ciśnienie.

Mateja wstał z ławy.

– Wystarczy – uciął rozkręcającą się wymianę zdań. – I naprawdę nie musisz się przed nami ukrywać. Tak będzie dla ciebie lepiej – ruszył do drzwi.

Renata odczekała chwilę, aż zniknął w przedpokoju, podeszła do Szmatlocha i nachyliła się nad nim.

– A jak cię zobaczę w Gliwicach czy gdziekolwiek indziej z bardzo młodą laską, nie będę sprawdzała, czy są na to jakieś paragrafy. Po prostu urwę ci jaja przy samej dupie. Zrozumiałeś?

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Szmatloch pierwszy odwrócił głowę.

*

Dla odmiany mogłoby popadać coś innego. Choćby nawet grad wielki jak piłeczki golfowe. Tyszka nie miał pojęcia, dlaczego akurat one przyszły mu na myśl.

Wbijał wzrok w tumany śniegu, które nagle porywy wiatru przeganiały przez szosę. Zwolnił, choć i tak już włókł się niczym starzik na sumę. Jeszcze tego by brakowało, żeby wjechał do rowu. Nie spieszyło mu się do domu. Na ten wieczór łojciec z panią Basią i jedną z jej cór na dokładkę zaplanowali u niego w mieszkaniu ostateczną naradę przed zbliżającym się wielkimi krokami weselem. Wielkim śląskim weselem. Ponoć mieli dogrywać ostatnie szczegóły. Jakie? Ani tego nie wiedział, ani nie był ich ciekaw. Poza tym było dla niego więcej niż pewne, że jeśli chodzi o ślub i wesele, nie zdołałby doradzić niczego sensownego. Nie znał się. I tyle.

Wieczór zapowiadał się nudny, całkowicie bez sensu. Podobnie jak cały ten dzień. Bo co właściwie działał? Był z Mundkiem na przeszukaniu chaty Zawojckiego. Potem odwiózł do fabryki kumpla, który w spokoju chciał przejrzeć zawartość znalezionych tam teczek, a sam pojechał na ulicę Gliwicką, by odhaczyć robotę głupiego. Na co właściwie liczyli? Że po ćmoku, przy padającym śniegu ktoś widział szczegóły wypadku? Oczywiście, że nikt taki się nie trafił.

Jeszcze przed dużym skrzyżowaniem w Wilhelminie raz i drugi odbił w prawo. Właściwie odruchowo. Trochę. Sunął ulicą Szopienicką. I tędy, jadąc przez Janów, mógł się dostać do swojego bloku przy Wielkiej Skotnicy w Mysłowicach. Nawet nie nadkładał za wiele drogi. Potem skręcił w lewo w Oswobodzenia. I tego manewru za odruchowy już nie mógł uznać. Zresztą po co miałyby się oszukiwać.

Zaparkował przed Szybem Wilsona, na chodniku po drugiej stronie ulicy, pod salą jehowitów, która znajdowała się w pokopalnianym parterowym budynku. Chyba pokopalnianym, nie wiedział tego dokładnie, ale przynajmniej na taki wyglądał. Nie był pewien, dlaczego się zatrzymał. Z Elą był umówiony dopiero na czwartkowy wieczór. Mówiła mu przez telefon, że wcześniej nie da rady, bo ma dużo pracy. Przygotowuje właśnie nową wystawę w galerii czy coś takiego. Nie dopytywał, choć pewnie powinien. Żeby pokazać, że interesuje go to, co ona robi na co dzień. Żeby okazać troskę, jeśli takowej w ogóle potrzebowała. Opuścił szybę, zaciągnęło chłodem, do środka auta dostało się kilka śnieżynek. Jedna roztopiła się na jego policzku. Zapalił.

Najsensowniej by zrobił, gdyby po prostu wylazł ze śmierdzącego fajkami samochodu i poszedł do Eli. Żeby razem z nią wypić kawę albo chociaż zamienić kilka zdań. Potrzebował tego, a przynajmniej tak mu się wydawało. Ale czy w ten sposób by się jej nie narzucał? Czy nie przekroczyłby granicy, której wprawdzie nigdy wyraźnie nie omówili, ale która wyznaczała ich wspólne bycie? Do tej pory spotykali się jedynie wtedy, gdy wcześniej się umówili. Na pozór było to racjonalne rozwiązanie, korzystne i dla niego, i dla Eli. Oboje mieli nienormowany czas pracy, więc niezapowiedziane wizyty mogły się skończyć pocałowaniem klamki. Tylko czy tak naprawdę mu to odpowiadało? Może w ten sposób unikał bliskości, której, niewykluczone, się obawiał. Długo był singlem albo, jak mawiał łojciec, pewnie trafniej, starym kawalerem. Ela też długo nie była z nikim w stałym związku. Choć nie śmiałyby myśleć, że jest starą panną. Parsknął śmiechem. To określenie zupełnie do niej nie pasowało.

W kontaktach z kobietami niemal od zawsze czuł niepewność i nieśmiałość. Zamiast działać, tracił czas na próżne rozważania: wypada czy nie wypada, a jak ona zareaguje, a co on ma zrobić, co i jak powiedzieć? Wybierze dobrze czy źle? Czy nie robi, nie powie czegoś niestosownego? Czuł się wtedy jak sparaliżowany. Jednak nie dzisiaj. Odpalił od niedopałka kolejnego cigareta i w przyпіływie zdecydowania postanowił, że spokojnie dopali i pójdzie do galerii. Przynajmniej przywita się z Elą, przytuli ją na chwilę. A jeśli będzie zajęta, pojedzie do domu. Proste? Proste.

Zaciągnął się dwa, może trzy razy, kiedy w bramie galerii zobaczył znajomą sylwetkę. Ela szybkim krokiem wyszła na chodnik. Zatrzymała się, spojrzała

w górę, jakby spodziewała się zobaczyć tam coś innego niż tumany śniegu wirujące w słabym świetle ulicznej latarni. Narzuciła na głowę kaptur kurtki, poprawiła trzymaną pod pachą teczkę i poszła w stronę ulicy Szopienickiej.

Rzucił niedopałek przez okno. Odpalił silnik. Nie był pewien, po co to zrobił.

Po kilkudziesięciu krokach Ela zawróciła i podeszła do swojego samochodu. Adam wcześniej w ogóle go nie zauważył. Dupa z niego, nie wywiadowca. Zanim ruszyła, zmiotką odgarnęła śnieg z przedniej i tylnej szyby. Pojechała w stronę Szopienickiej. Wykręcił na raz, najeżdżając prawym kołem na krawężnik. Podwozie paskudnie zazgrzytało. Zaklął. Nie chciał stracić z oczu jej auta. Zauważył, że wrzuciła lewy kierunkowskaz. Przyspieszył. Specjalnie się nie krył, bo przy tej pogodzie było mało prawdopodobne, że rozpozna jego wóz.

Chwilę jechali Szopienicką, potem Ela skręciła w lewo, w ulicę Nałkowskiej, ciągnącą się wzdłuż jednego z krańców Nikiszowca. Zaparkowała przed budynkiem lodowiska i weszła w otwartą bramę w przewiązce łączącej dwa familoki. Na szczęście szybko znalazł miejsce do parkowania, stanął byle jak i pobiegł za nią. Zaraz ją zauważył, bo chodniki na ulicy Rymarskiej były oblodzone, więc szła powoli. Pochylił głowę, utrzymywał dystans. Najwyraźniej kierowała się w stronę głównego placu Nikisza. Minęli dawny magiel, w którym teraz znajdowało się muzeum. Przypomniawszy sobie o sprawie byłego portiera z tego muzeum, który został zabity w wymyślny sposób. Ta sprawa dała im swego czasu w kość. Ela skręciła za róg budynku poczty. Przyspieszył kroku. Poszedł za nią w lewo.

W pierwszej chwili stanął jak wryty. Ela zniknęła. Gdzie, pierona, się podziała?! Weszła do klatki schodowej któregoś z familoków? Z tego, co wiedział, nie miała tutaj znajomych. A przynajmniej takich, o których by mu mówiła. Po chwili go oświeciło. Kawiarnia Zillmann, klimatyczna knajpka, do której od czasu do czasu wpadała na kawę i domowe ciasto. Kilka razy był tam z nią. Podeszedł do okna, z którego biła przytłumiona jasność. Szyba była lekko zaparowana, ale nie na tyle, żeby nie mógł zobaczyć, co dzieje się w środku. Obok jednego z boksów, który przypominał przedział w starym wagonie kolejowym, stała Ela. Zdjęła kurtkę, w niepowtarzalny, a dla niego uroczo rozczulający sposób potrząsnęła głową, żeby odsunąć wpadającą w oczy grzywkę. Mówiła coś szybko, z lekkim półuśmiechem. Spojrzał trochę w bok i...

Zanim zrozumiał, co i dlaczego robi, odwrócił się i zaczął biec do samochodu. Raz po raz ślizgał się na oblodzonej kostce. O mało nie potracił staruszki, która wracała ze sklepu objuczona siatami. Posłała za nim ciężką wiązanekę, którą porwał wiatr. Dopadł do auta, przez chwilę zmagając się z zamkiem, którego nie mógł otworzyć. Wsiadł, odpalił silnik i ruszył tak

szybko, aż zarzuciło tył samochodu. Pognał ulicą Nałkowskiej, wpadł na skraj placu Wyzwolenia. Śnieg ograniczał mu widoczność nie mniej niż mroczki tańczące przed oczami. Dodał gazu, samochód podskakiwał na nierównym bruku. Zaryczała syrena. Odruchowo wcisnął hamulec tak mocno, że wóz stanął w poprzek ulicy.

Starął się uspokoić oddech. Tuż obok jego auta przetoczyła się z łoskotem spalinówka ciągnąca kilka wagonów. Dostrzegł, że z okienka lokomotywy wychyla się maszynista i stuka palcem w czoło. Wcale nie chciał skończyć na tym przejeździe. Zwyczajnie nie pamiętał, że po tych torach od czasu do czasu jeżdżą kopalniane składy. Walnął otwartymi dłońmi w kierownicę, odchylił się do tyłu i oparł o zagłówek. Co on najlepszego robi! Przecież nigdy, ale naprawdę nigdy nie reagował aż tak mocno, nie pozwalał ponieść się emocjom. Usłyszał dźwięk klaksonu dochodzący z tyłu. Odruchowo uniósł dłoń w przeproszającym geście, choć pewnie nikt nie mógł tego zobaczyć. Wycofał trochę i powoli pojechał ulicą Zamkową, pozwalając się wyprzedzać kolejnym autom.

Musiał ochłonać.

Ale niby jak miał zachować spokój?! Ela spotkała się ze szpakowatym, długowłosym ciulem. Kolejny raz. I nic mu o tych spotkaniach nie powiedziała, nie wspomniała choćby słowem. To była jej praca? Dlatego nie miała dla niego czasu?

środa, 12 lutego 2013

Ta myśl była niczym uciążliwa zadra tkwiąca w palcu. Ani jej wyciągnąć, ani przestać drażnić paznokciem. Miał świadomość, że w mieszkaniu Zawojskiego coś widział, ale jednak nie dostrzegł. Co to było? Na co nie zwrócił dostatecznej uwagi? Nawet spytał Tyszkę, czy nie zauważył tam czegoś podejrzanego albo nietypowego, ale Adam tylko wzruszył ramionami.

Polański od dłuższego czasu maszerował po swoim gabinecie niczym skazaniec w celi, od drzwi do okna i z powrotem. Wreszcie się zatrzymał. Tylko marnował czas i energię, której miał mało. Podszedł do ekspresu i zrobił już trzecią tego poranka kawę.

Nie pospał w nocy. Barbarka kilka razy się budziła, marudziła i popłakiwała. Okazało się, że ma temperaturę, którą jako tako udało im się zbić syropkiem ze środkiem przeciwgorączkowym. Z samego rana razem z Beatą zabrali córkę do przychodni. Na szczęście miała jedynie zapalenie gardła. Odetchnął z ulgą. Choroby dzieciaków, nawet najłżejsze, zawsze wywoływały w nim ataki paniki. Nic nie umiał na to poradzić, nie panował wtedy nad emocjami. Może dlatego że w robocie kilka razy widział zwłoki dzieci. Był przekonany, że po latach służby można się do wszystkiego przyzwyczaić albo znieczulić, jak zwał, tak zwał. Prawie do wszystkiego, bo jednak nawet najwięksi twardziele wymiękali, kiedy na miejscu zdarzenia znajdowali ciała dzieciaków. A on przecież wcale nie uważał się za twardziela.

Odwiózł żonę i córkę do domu, bez kawy i śniadania pojechał do fabryki. Po drodze kupił drożdżówkę z serem, którą teraz wyjął z kieszeni płaszcza. Upił łyk kawy, przepysznej, i przyjrzał się krytycznie bułce. Była sownie polukrowana i obsypana kandyzowaną skórką pomarańczy. Nie znosił kandyzowanych owoców, więc zeszkrobał skórki łyżeczką. Ugryzł, skrzywił się, z trudem przełknął. Smakowała paskudnie. A może jedynie on, rozpuszczony przez teściową, która była, jaka była, ale domowe ciasta robiła wręcz boskie, odzwyczaił się od fabrycznych wypieków robionych bez serca. Bo, jak twierdziła teściowa, aby ciasta udawały się pyszne i bez zakalców, należało robić je z miłością. Najprawdopodobniej miała rację.

Rozłożył na biurku teczki, które znalazł w szafie Zawojskiego, i kolejny raz zaczął je przeglądać. Tę opisaną jako „Roksanka” tylko pobieżnie. Znajdowały

się w niej dokumenty stanowiące formalne potwierdzenie tego, czego w większości już się dowiedzieli. Etapy bezpardonowych zmaganiań o dziecko ujęte w beznamiętne, sędowo-urzędnicze formułki. Smutna lektura. Urzędowy zapis walki, którą Zawojski najpewniej przegrał albo definitywnie przegra już niedługo. W dużej części z własnej winy. Czy jemu, jako ojcu mocno przywiązanemu do swoich dzieci, było szkoda Zawojskiego? Tak po ludzku, ojcowsku? Nie był pewien, nie chciał oceniać i wydawać wyroków, które inni ferowali z zadziwiającą łatwością. Nie chciał być wobec podejrzanego i zatrzymanego w jakikolwiek sposób uprzedzony.

Zaplótnął dłonie na karku i przeciągnął się, prostując grzbiet. Nie był w najlepszej formie, miał problemy ze skupieniem się na robocie. Jak zawsze, kiedy był niewyspany. Myśli uciekały mu w niespodziewane strony. Ni stąd, ni zowąd pomyślał o matce. Czuł lekkie wyrzuty sumienia. Może w sobotę potraktował ją nazbyt szorstko? Wprawdzie ani nie chciał, ani nie miał możliwości, by pomóc jej w sprawdzaniu przyszłego partnera biznesowego, mimo to mógł odmówić delikatniej. Wybrał w komórce jej numer. Miała wyłączony telefon. Dziwne. Zwykle kontakt z nią był możliwy o każdej porze dnia i nocy. Przekreślił do siedziby firmy, odebrała sekretarka, chyba nowa, bo nie rozpoznawał jej głosu. Dowiedział się, że szefowa jest w Hiszpanii, w podróży służbowej. Tak szybko? Czy w ciągu ledwie trzech dni matce udało się solidnie sprawdzić przyszłego wspólnika i dowiedzieć się, czy przypadkiem nie pakuje się na minę? Czy poszła na żywioł? Jak sądził, wybrała drugie rozwiązanie.

Matka miała żyłkę hazardzistki, a do tego zdarzało jej się podejmować kluczowe, trudne decyzje pod wpływem impulsu. Jak w pierwszych latach działania jej firmy turystycznej. Namówiona przez znajomka, zainwestowała w podniszczony hotel w Chorwacji, wybudowany jeszcze za czasów Jugosławii. Szybko okazało się, że budynek jest w zdecydowanie gorszym stanie, niż wskazywały pierwsze ekspertyzy techniczne. Pewnie pobieżne. Do tego jeszcze doszły problemy z miejscowymi urzędnikami, załatwianiem niezbędnych pozwoleń na przebudowę. Matka twierdziła, że domagali się łapówek, których nie zamierzała płacić. Wycofała się z inwestycji, ale straciła przy tym sporo kasy. Z trudem utrzymała firmę na powierzchni. Jak sądził, nie wyciągnęła jednak z tego żadnej nauki. Jak to ona. Czasami odnosił wrażenie, że on bardziej martwi się o tę firmę.

Westchnął ciężko. W sumie myślał o działaniach matki zupełnie bez sensu. I tak zawsze robiła, co chciała. Nie miał na nią żadnego wpływu.

Sięgnął po drugą z teczek. Znalazł w niej głównie wycinki z gazet, kserówki rozmaitych artykułów. Dlaczego Zawojskiego, drobnego pijaczka, którego

zdawała się zajmować wyłącznie córeczka, zainteresowała mafia węglowa? Mundek słabo znał temat. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że do przekrętów związanych z handlem węglem i w ogóle z kopalniami dochodziło od zawsze. Czasami teść, który wiele lat przepracował w kopalni, opowiadał mu o tych przewalach. Choćby o tym, jak za Gierka z łatwością przekraczano normy wydobywania węgla, dosypując do wyciągniętego na powierzchnię surowca kamieni czy dodając mułów z osadników przy szybach kopalnianych. I wszyscy byli zadowoleni. Może poza tymi, którzy podrasowanym węglem później palili w piecach. Wiedział, że po 1989 roku w regionie prowadzono wiele śledztw w sprawie nieprawidłowości w handlu węglem, w których zyski z przestępstw liczone w grubych milionach. I że w te sprawy było uwikłanych wiele wpływowych osób, w tym polityków, przez co trudno je było zakończyć postawieniem zarzutów. Tyle że nigdy przesadnie nie interesował się przestępczością gospodarczą, a co za tym idzie, niewiele o niej wiedział.

Czasami tylko współczuł kolegom, którzy zajmowali się tego rodzaju sprawami. Miesiącami grzebali w papierzyskach, umowach, fakturach i innych dokumentach handlowych. Odkrywali łańcuszki firm wydmuszek, przez które przepływała nielegalnie zarobiona kasa. Tropili pieniądze znikające w systemie bankowym. Niezwykle żmudna robota, z której najczęściej niewiele wynikało, bo mistrzowie finansowych przekrętów zawsze byli kilka kroków przed policjantami. A nawet jeśli udało się postawić ich przed sądem, najczęściej jakimś cudem unikali odpowiedzialności. Przypomniawszy sobie o „śląskiej Alexis”, czyli Barbarze Kmiecik, także zamieszanej w przekręty na węglu, którą różni prokuratorzy i policjanci próbowali przyszpilić od prawie dwudziestu lat. Bezskutecznie.

Kolejny raz wpatrzył się w zapisaną odręcznie kartkę, próbując złożyć bazgroły w całość. „Stara?” „Agencja Handlowa Hanna Konic (Rybnik)”. Ciąg cyfr, który był pewnie numerem telefonu komórkowego. „Lewe faktury?” „Czy z tą działką pod Żywcem to prawda?” Kilka słów tak dokładnie zamazanych długopisem, że nic nie mógł odczytać. Ciąg zapisanych rozchybotanym pismem „kurw”, który wyglądał jak szlaczek w zeszycie niegrzecznego pierwszoklasisty. Co to wszystko znaczyło? Czy „stara” oznaczało teściową Zawojskiego? Pewnie tak, skoro na teczce widniało jej nazwisko. Czy Krolowa była zamieszana w sprawę mafii węglowej? Nie miał bladego pojęcia. A jeśli założyć, że w jakiś sposób tak, po co jej zięć gromadził te materiały? Myślał, że przydadzą mu się w zmaganiach przed sądem rodzinnym? Chyba aż tak głupi nie był. A może planował ją szantażować? Albo kogoś innego, żeby za wszelką cenę zdobyć kasę, której mu brakowało? Cholera wie.

Zastanawiał się, co począć z teczką. Pójść tym tropem? Prawdę powiedziawszy, lepszego w tym momencie nie mieli po tym, jak z hukiem padła hipoteza o współudziale Szmatlocha w zbrodni. Zdaniem Mundka od początku słabo rokująca, którą polecił sprawdzić dla świętego spokoju. Jeszcze wczoraj wieczorem Mateja przekazał mu, że kumpel Zawojkiego ukrywał się przed policją, bo związał się z nieletnią. Poza tym sprawdzili alibi Szmatlocha na czas zabójstwa Krolowej i trzy osoby potwierdziły, że piątkowy wieczór przesiedział w knajpie.

Zorientował się, że od dłuższego czasu miarowo postukuje długopisem w blat biurka. Poczul irytację. Nie było sensu za długo się zastanawiać. Postanowił, że pociągną wątek mafii węglowej. Najprościej było zapytać Zawojkiego o teczkę. Tyle że zatrzymany nie był przesadnie skłonny do współpracy, więc wypadało się przygotować do tego przesłuchania. Wezwał Mateję, dał mu teczkę i nakazał poszperać w policyjnych bazach i internecie w poszukiwaniu jakichkolwiek możliwych związków Krolowej ze sprawą mafii węglowej. Tyszkę z Łukowską wysłał do Krola, bo kto, jeśli nie mąż, mógł wiedzieć o problemach ślubnej, jej tajemnicach, które zapewne próbował odkryć Zawojski.

Zaburczało mu w brzuchu. Za dużo kawy, za mało jedzenia. Nie był jednak aż tak głodny, by powlec się do kantyny. Zresztą nie lubił tam jadać. Prawie zawsze dosiadał się ktoś znajomy i zawracał mu głowę. Wyciągnął akta sprawy, którą zamknęli w zeszłym tygodniu. Drobnym diler skatował klienta prawie na śmierć. Świat się kończy. Ale właściwie czemu się dziwić? Ledwie dwudziestoletni diler był tak naspidowany, że po wszystkim nawet nie wiedział, o co dokładnie poszło. Poszkodowany także nie. Chciał przejrzeć dokumenty, ewentualnie uzupełnić braki i potem przekazać prorokowi.

Rozdzwonił się wewnętrzny telefon, Mundek odebrał po kilku sygnałach.

– Polański, widzę cię u siebie za chwilę – usłyszał głos Pietruchy.

– Tak jest, obywatelu dowódcu – odpowiedział, uśmiechając się pod nosem.

Bezpośredni przełożony Mundka, podinspektor Pietrusiński, chyba nie był w nastroju do żartów, bo bez słowa się rozłączył. Dopiero teraz Polański uświadomił sobie, że przez kilka ostatnich dni Pietrucha się z nim nie kontaktował. A przecież na pewno wiedział o sprawie Krol, bo Mundek codziennie wysyłał mu raport. Prawie codziennie.

Co więc nagle się stało? Z pewnością nic, co by go uradowało.

*

Renata z piskiem zahamowała przed domem Krolów. Gdyby Adam nie zapiął pasów, na pewno walnęłyby łbem w szybę.

– Kiedyś się zabijesz. I przy okazji skasujesz któregoś z nas – powiedział Tyszka, nie patrząc na nią.

– Spokojna twoja rozczochrana – odparła, szczerząc się do niego w uśmiechu. – Choć właściwie to raczej wyłysiała.

Fuknął tylko. Nie miał ochoty na żarciki. I nie miał też pojęcia, dlaczego Łukowska jest w szampańskim nastroju. Coś się poprawiło w jej układzie z Krzyśkiem? Ostatnie, o czym chciał w tej chwili myśleć, to związki. Czyjekolwiek.

Rozmawiając wcześniej przez telefon z Krolem, zdziwił się, że stary zaprosił ich do domu, a nie na laubę, na której zwykł przesiadywać. Może wreszcie dojrzał do decyzji, by mimo wszystko zaopiekować się córką i wnuczką, nawet jeśli córka opieki nie chciała. Krol musiał ich wyglądać, bo drzwi uchyliły się, zanim weszli na ganek. Gospodarz wymamrotał pod nosem słowa powitania i poprowadził ich do salonu. Adam rozglądał się po domu. Z każdą kolejną wizytą dostrzegał coraz większy bałagan i brud. Maras, który wypełzał z kątów i zagarniał kolejne pomieszczenia. Jasne było, kto w tym domu trzymał wzorowy porządek. I na pewno nie był to Krol do spółki z córką.

– Bardzo dziękuję, to było dla mnie ważne – wypalił Krol, zwracając się do Adama.

– A niby za co?

– Dzisiaj odbieram ciało mojej z... – albo nie pamiętał słowa „prosektorium”, albo nie przechodziło mu ono przez gardło. – Jak się uda wszystko załatwić, pogrzebię Zdziśkę w piątek.

Adam tylko skinął głową. Całkiem zapomniał o obietnicy, którą kilka dni temu złożył Krolowi. Nie zrobił nic a nic, aby przyspieszyć wydanie mu ciała żony. Wszystko potoczyło się zwykłym trybem, tyle dobrego, że bez niepotrzebnych opóźnień. Nie zamierzał tłumaczyć się Krolowi, nie był to najlepszy moment na przyznanie się do zaniechań.

– Wiecie już, kto zabił mi żonę?

Widząc, że Adam nie pali się do odpowiedzi, Renata włączyła się do rozpytania:

– Pracujemy nad tym. My w trochę innej sprawie.

– A co się znowu stało? – Krol się zaniepokoił.

– Nic takiego – uspokoiła go. – Pana żona była księgową?

– No była. Ale już od kilku lat na emeryturze.

– A czy pracowała w firmach handlujących węglem albo w kopalni?

Krol zmarszczył brwi. Adam podejrzewał, że gospodarz nie za bardzo wie, do czego zmierzają, ale boi się spytać wprost.

– Na grubie to akurat nie...

Widząc niepewną minę Renaty, Adam wyjaśnił:

– W sensie w kopalni.

– Ale moja w wielu firmach robiła. Mówiłem już – Krol skinął głową w stronę Adama. – Żona nie była łatwa w obyciu. O zmarłych niby nie powinno się źle gadać, ale dla mnie prawda jest najważniejsza. Szkoda, że nie dla wszystkich...

– Panie Krol... – Adam napomniął go łagodnie.

– A tak. Moja nerwowa była i konfliktowa. Jak jej coś nie pasowało, zaraz się wyklócała. A często jej nie pasowało. Taka natura. Więc i często zmieniała robotę. Albo sama się zwalniała, albo kazali jej iść precz.

– Jasne – podsumowała Renata. – Nam chodzi tylko o firmy handlujące węglem. Pracowała w takich?

Krol potarł palcami siwą szczecinę na brodzie.

– Chodźmy do kotłowni. Muszę zakurzyć, a córa mi tu nie pozwala.

Zeszli do piwnicy. W sporej kotłowni cicho pomrukiwał piec olejowy. W kącie stał stary fotel na drewnianych nogach, przykryty poprzecieranym kocem w kratę. Mebel mógł mieć ze trzydzieści lat albo więcej. Tak samo jak i koc. Podobny fotel stał kiedyś w mieszkaniu Adama. Ten sam PRL-owski dizajn. Do kompletu była wielka aluminiowa popielnica na jednej nodze, z rodzaju tych, które kiedyś ustawiano w każdym urzędzie. A bywało że i w przychodniach czy szpitalach. Izba pamięci czy kąpiel, w którym stary Krol chował się przed bliskimi?

Zapalili wszyscy, kotłownię szybko zasnuł dym. Bez pytania Krol zaczął mówić:

– A co do węgla, było coś takiego. Tak jakoś pod koniec lat dziewięćdziesiątych, ale nie pytajcie kiedy, bo nie pamiętam dokładnie. Moja robiła w takiej jednej firmie handlowej w Rybniku.

– Jak się ten biznes nazywał? – wtrąciła się Renata.

– Za cholere nie wiem. Te firmy tak ponazywali po głupiemu albo zagranicznemu, że nie szło zapamiętać. Wiem, że w nazwie było nazwisko, takie bardziej nietypowe. Koniec, nie Koniec, albo coś na podobę. Mam! – Krol zaciągnął się głęboko. – Konic. Chyba.

– I co z tą firmą? – spytał Adam.

– Oni tam wszystkim handlowali, na czym tylko dało się geld zarobić. Wiecie, tanio kupić, drogo sprzedać. No i handlowali też węglem. Wiecie, co to klasówka?

– Sprawdzian w szkole – wypaliła Łukowska.

Adam syknął na nią, by się nie odzywała. On akurat wiedział, co to takiego, kiedyś ojciec mu opowiadał.

– Pan wytłumaczy koleżance, ona nietutejsza – zwrócił się do Krola.

– Prosta i skuteczna maszynka do zarabiania. Na grubie robiłem, wszystko widziałem i wiedziałem. Zresztą nie tylko ja, ale każdy głowę odwracał dla świętego spokoju. Albo miał w tym własny biznes. Z grubego węgla wyjeżdżał z kwitami, że niby jest niskiej jakości. Trafiał do pośrednika, gdzie zmieniano klasyfikację na prima sort. I oczywiście cena robiła się całkiem inna. Węgiel trafiał do jakiejś ciepłowni czy elektrowni. A po drodze każdy tam coś uskubał dla siebie. Niektórzy naprawdę niemało.

– Przecież taki przekręt łatwo było wykryć – skomentowała Renata. – Wystarczyło drugi raz zbadać jakość węgla.

– Niekoniecznie – Krol zdusił niedopałek i zaraz odpalił kolejnego cigareta. Pewnie przyjmował nikotynę na zapas. – Kombinowali z kwitami, opóźniali ich oficjalne wydanie, a węgiel znikał w piecach. I koniec pieśni.

– No dobra, dzięki za pogadankę – ucięła. – I pana żona brała udział w tych wałkach?

– Żeby od razu brała, to nie – zastrzegł szybko. – Jak tylko się zorientowała, co się dzieje w tej firmie w Rybniku i że prokuraturą to wonia na odległość, zrobiła awanturę i się zwolniła. Nawet się odgrażała, że na nich doniesie, ale jej odradziłem. Chociaż raz się posłuchała.

Adam nie był przekonany, czy akurat w tym przypadku nieboszczka zrobiła słusznie.

– Ale potem i tak ją na świadka ciągnęli – dodał Krol.

– Do sądu? – dopytał Adam.

– A nie, na komendę gdzieś. Nie pamiętam dokładnie na którą.

– I co dalej w tej sprawie?

– Moja powiedziała, co wiedziała, i tyle.

– I to był koniec? Później nie występowała w jakichś sprawach związanych z mafią węglową?

– Nie wiem, czy na pewno koniec – Krol milczał przez dłuższą chwilę. – Miesiąc czy dwa po tych zeznaniach żony spalił mi się stary domek na laubie. Może jakieś ciuliki ogień zaproszyły, bo tam się kręcą różne ozyroki, do chałupek włamują. A może to była zemsta tych z Rybnika. Nie wiem. Moja mówiła wtedy, że wydaje jej się, że ktoś za nią łązi, śledzi niby. Ale jej się wiele różnych rzeczy wydawało. Nie drażyłem sprawy. A potem był już spokój. Przynajmniej żona przez lata o tej firmie nie wspominała – Krol podrapał się po głowie. – Tyle było z tego dobrego, że sobie ładniejszy domek postawiłem.

Czy dowiedzieli się czegoś ważnego? Adam nie był pewien. Nie sądził, żeby nagle po kilkunastu latach ktoś z domniemanej mafii węglowej chciał się mścić na Krolowej.

Zbierali się do wyjścia. Renata szybko poszła do samochodu. Adam zatrzymał się w drzwiach, bo przypomniało mu się, że miał jeszcze o coś spytać. Zawojskiej z córką nie było w domu. Ciekawe dlaczego?

– A poszła z wnusią na spacer i spotkać się z koleżanką.

– To już chyba lepiej się czuje?

– Bo ja tam wiem – z twarzy i tonu głosu Krola bił smutek. – Ciągłe jest załamana, taka jakby, wiesz pan, nieobecna. Popłakuje cicho po nocach. Ale ja wszystko słyszę, wszystko wiem. No nie wszystko, bo nie wiem, jak jej pomóc.

Adam też by nie wiedział, zawsze słabo radził sobie z gwałtownymi emocjami innych ludzi.

– I jeszcze raz dziękuję, że tak szybko poszło z... – Krol odchrząknął. – Że żonę mogę złożyć w poświęconej ziemi.

Adam bez słowa uścisnął jego wyciągniętą dłoń.

*

Zanim nadkomisarz Polański wszedł do gabinetu szefa, spytał jego sekretarkę, w jakim Pietrucha jest nastroju. Usłyszał, że w normalnym. Co wcale nie musiało oznaczać, że był pozytywnie nastawiony do świata.

Zapukał do drzwi i usłyszał basowe „Wlazł!”. Skinął głową na powitanie i usiadł na krześle przed biurkiem szefa. Pietrusiński obracał w palcach paczkę cameli. Od dobrych trzech lat podinspektor regularnie rzucał palenie i po kilku dniach czy tygodniach znowu zaczynał kurzyć. Wszystkim dawno znudziło się podśmiewywanie z tej beznadziejnej walki. Pietrucha chyba właśnie był na etapie zmagania z samym sobą, które zakończą się w jeden możliwy sposób. Jak zawsze.

Odłożył papierosy, milczał. Mundek uznał, że dosyć marnowania czasu, i odezwał się pierwszy:

– A myślałem, że o nas całkiem zapomniałeś. Co się dzieje?

– Właśnie nic. I to mnie niepokoi. Od dwóch dni nie widziałem raportu ze sprawy tej tam...

– Krol.

– Przecież mówię.

– Zakładałem, że nie masz czasu zajmować się tą sprawą, więc nie spieszyłem się z kwitami.

– Wiesz, prokurator Mrozowska mnie nie ciśnie, więc chwilowo odpuściłem przypomnienie ci o obowiązkach. Ale to nie znaczy, że mam o tej Krol nic nie wiedzieć.

Pietrusiński nie był wyjątkowym służbistą, dawał Mundkowi i jego zespołowi dużo swobody. Jednak lubił mieć porządek w papierach. I czasami wpadał w furję z byle powodu. Choć w tym przypadku, jak sądził Mundek, nie chodziło tylko o zaległe kwity.

– A tak przy okazji... wiesz może, co się podziało z szanowną prokuratorką Mrozowską? – spytał nadkomisarz.

– Nie za bardzo się interesowałem. Ponoć matkę ma chorą.

Mundkowi też coś podobnego obito się o uszy, jednak nie pamiętał, kto mu o tym wspominał.

– A ten nowy prokurator jaki jest? – spytał Pietrucha.

– Młody i lekko wypłoszony. Nie sprawia problemów. Na razie.

– Pożyjemy, zobaczymy. Mów, co ustaliłeś w sprawie tej... Krol.

Mundek zreferował pokrótce, co do tej pory zrobili i jakie wątki sprawdzili. Pietrucha słuchał uważnie, nie przerywając.

– Czyli mamy zbója pod kluczem – podsumował, kiedy Mundek skończył mówić.

– Nie jestem tak do końca pewien, czy to zbój – zastrzegł nadkomisarz. – Na początku się na nim zafiksowałem, ale im dłużej w tej sprawie grzebiemy, tym większe mam wątpliwości.

– Mundek, nie chcę wysłuchiwać twojej samokrytyki. Oczekuję od ciebie efektów. Konkretnych, a nie mnożenia niewiadomych.

– Działamy – rzucił Mundek mało konkretnie.

– To zagęszczajcie ruchy! – Pietrucha użył jednego ze swoich ulubionych powiedzonek. – Bo kolejne dni mijają, a sprawa, z tego, co mówisz, rozgrzebana i końca nie widać.

– Wiem, rozumiem – Mundek nie chciał drażnić szefa. – Teraz sprawdzamy kolejny wątek, mafii węglowej, ale to całkiem świeży temat.

– To ta Krol ma z tym coś wspólnego?

– Na razie nie wiem. Moi ludzie to sprawdzają.

– Poczekaj, poczekaj... – podinspektor znowu wziął do ręki paczkę fajek. – Chyba na dniach ma się odbyć proces apelacyjny w sprawie naszej śląskiej Alexis.

– Tak? – Mundek się zdziwił. – Nie miałem pojęcia.

– A ty w ogóle oglądasz czasami wiadomości czy tylko zbóje i rodzinę?

Polański puścił uszczypliwy komentarz mimo uszu, chociaż kusiło go, by się odwinąć, że ma dużo roboty, więc mało czasu na pierdoły.

– Może ten niby-wypadek Krol ma z tym związek – Pietrucha na szybko tworzył nową hipotezę.

Zdaniem Mundka bardzo wątpliwą.

– Nie mamy na to choćby cienia dowodu – zaznaczył.
– To by nie było takie złe rozwiązanie – Pietrucha zdawał się nie słuchać. –
Wtedy pewnie ktoś inny przejąłby sprawę Krol...
– To moja sprawa – Mundek przerwał szefowi.
– Ty się tak do niej nie przywiązuj. Gdyby się okazało, że ta sprawa to zbuk,
lepiej, żeby wziął ją od nas ktoś inny. Statystyki będziemy mieć lepsze. A ty
będziesz mniej zarobiony.
– Pietrucha – nadkomisarz był coraz bardziej zirytowany. – Działamy.
I naprawdę nic jeszcze nie jest przesądzone.
– Działajcie. Informujesz mnie natychmiast o każdym nowym ustaleniu.
Wychodząc z gabinetu Pietruchy, Mundek zatrzaskał drzwi głośniej, niż
wypadało.

*

Mateja zapisał ostatnie zmiany na tablicy i pognął w stronę pokoju przesłuchań.
Jeszcze przed rozpoczęciem kolejnego przesłuchania Zawojkiego chciał
przekazać Polańskiemu, co udało mu się znaleźć na temat domniemych
powiązań Krolowej z przekrętami na węglu.

Bez pukania wszedł do sąsiedniego pomieszczenia. W niewielkiej kanciapie
przed lustrem weneckim siedział nadkomisarz z resztą ekipy. Po drugiej stronie
szkła czekali zatrzymany ze swoim adwokatem. Jak ten papuga się nazywał? Jak
zwykle nie zapamiętał.

– A co wy wszyscy zlecieliście się tu jak na imprezę? Nie macie nic do
roboty? – Polański wystartował z pretensjami.

– Zluzuj, Mundek – powiedział Tyszka i poklepał kumpla po ramieniu. –
Lewą nogą wstałeś czy co?

– A żebyś wiedział. A do tego wszystkim się nagle dzisiaj przypomniało
o naszym śledztwie i zwracają mi głowę od rana. Najpierw Pietrucha, a potem
jeszcze dzwonił prokurator. Chcą wyników – Polański parsknął śmiechem. – Ja
też chcę, tylko co z tego? Nie wyczaruję im czegoś z niczego.

Krzysiek rozumiał szefa. Moment, w którym wszystkie wątki na pozór
prostego śledztwa rozłaziły się im w palcach, dla każdego był frustrujący. Tym
bardziej dla nadkomisarza, który bardzo dbał o reputację – tak swoją, jak i całej
ekipy. Ale nie czuł się w jakikolwiek sposób winny, że sprawa nie idzie po ich
myśli. Robił swoje na tyle, na ile mógł. Zaczął więc zdawać raport z ostatnich
działań:

– Posprawałem wszystko, o co szef prosił. I to, co przekazali mi Renata
z Adamem. W aktach spraw dotyczących mafii węglowej nie natrafiłem na

nazwisko Krolowej, ale... – zawiesił głos i ożywił ekran tabletu. – Zresztą nie miałem czasu, żeby się w nie zagłębiać...

– Nie buduj napięcia, tylko mów – popędził go Tyszka.

– Popytałem znajomego, który zajmował się tematem kilkanaście lat temu.

– A skąd ty znasz starych gliniarzy? – zdziwiła się Renata.

– To właściwie znajomek mojego starego. Polują razem – wyjaśnił, choć nie musiał. – Nie kojarzył Krol, ale firmę z Mikołowa już tak. Agencja Handlowa Hanna Konic. Krol dobrze zapamiętał nazwisko właścicielki. Gdzieś pod koniec lat dziewięćdziesiątych zaczęli dochodzenie w sprawie nieprawidłowości w obrocie węglem w tej firmie. Nie udało się im zebrać mocnych dowodów, więc dochodzenie zdechło. Napuścili na nich skarbówkę i skończyło się tylko na grzywnie. Tak jak się działo w wielu podobnych sprawach.

– Znalazłeś jakieś powiązania Krol z Barbarą Kmiecik? Cokolwiek.

– Zero. Nul.

– A ta enigmatyczna wzmianka o działce pod Żywcem w zapiskach Zawojkiego? Masz coś? – drążył Polański.

– Tu akurat tak, udało mi się do tego dokopać. W dwa tysiące drugim Krol kupił działkę budowlaną pod Żywcem. Dokładniej to we wsi... Zaraz sprawdzę...

– Krzysiek, nieważne – powstrzymał go nadkomisarz. – Na pewno to był Krol, a nie jego żona?

– Pewności nie ma, ale działka jest zapisana na niego.

– Adam, przedzwoń do Krola i spytaj, kto właściwie kupił działkę. I skąd wzięli na nią kasę.

Tyszka bez słowa wyjął komórkę z kieszeni dzinsowej kurtki i wyszedł na korytarz.

– Czyli wszystko wskazuje, że to jedno wielkie nic, jedynie kolejny urywający się trop – Krzysiek nie wiedział, czy Polański mówi do nich, czy głośno myśli. – Więc właściwie po co Zawojki interesował się sprawą mafii węglowej?

– Jak mawiała moja babka, koniec języka za przewodnika – rzuciła Renata. –

Szef go spyta, najprostsze rozwiązanie – dodała, wskazując palcem na zatrzymanego.

Krzysiek spojrzał na Zawojkiego, który wyglądał lepiej niż zaraz po zatrzymaniu. Ale tylko trochę.

Tyszka wrócił do kanciapy.

– Krol kupił działkę. Za własne. Miał ekstrakasę, bo jak odchodził z gruby na wcześniejszą emeryturę, dostał sporą odprawę. Działka miała być dla młodszej córki, jeśli zdecydowałyby się budować. Teraz to raczej nieaktualne.

– Że niby rozwódka z dzieckiem nie może wybudować chaty, co? – od razu zaperzyła się Renata.

– Wstrzymaj konie, Petarda. A skąd niby weźmie na to kasę, przecież nie pracuje. Z alimentów albo emerytury łojca? Weź mnie nie osłabiaj.

– Wystarczy – przerwał im Polański. – Adam, idziemy pogadać z Zawojkim. A wy bierzcie się do roboty.

Kiedy wyszli, Krzysiek wymienił z Renatą porozumiewawcze spojrzenia. Nie mieli nic konkretnego do zrobienia. I nadkomisarz najprawdopodobniej zdawał sobie z tego sprawę. Żadne z nich nie ruszyło się z miejsca.

Przesłuchanie przebiegało gładko, przede wszystkim dlatego, że Zawojki był bardziej skłonny do współpracy niż poprzednio, choć wciąż nie mówił zbyt wiele. Może zwyczajnie należał do tych z natury milczących facetów, którym gadanie włączało się dopiero po alkoholu. Do tego czujny adwokat, Patrycjusz Drewnowski, dbał, żeby jego klient nie powiedział więcej, niż było konieczne, żeby ograniczał się do krótkich odpowiedzi na pytania i unikał dygresji. Jak na prawnika ponoć pracującego *pro publico bono* był dobry i zaangażowany w sprawę. Zawojki potwierdził, że szukał informacji na temat związków teściowej z przekrętami mafii węglowej. Lata temu teść wspomniał, że jego żona miała styczność z bandyterką zarabiającą na węglu. Teściowa z miejsca kazała mu się zamknąć, więc wiele się nie dowiedział. Po rozwodzie, kiedy zaczęły się problemy z naprzemienną opieką nad córką, Zawojki przypomniał sobie o sprawie. Próbował pociągnąć Krola za język, ale ten nie chciał opowiadać o – jak sam określił – starych historiach z mchu i paproci. Co do węgla ma mech? Krzysiek nie miał bladego pojęcia.

Zawojki zaczął prywatne śledztwo, które, jak sam powiedział, słabo mu szło. Drewnowski wtrącił, że odradzał klientowi grzebanie w temacie mafii węglowej, bo mogło przynieść więcej problemów niż korzyści. Bardzo wątpliwych korzyści. Zawojki przyznał, że początkowo myślał o szantażowaniu teściowej, aby przestała się wtrącać w jego relacje z córką i byłą żoną. Uznał jednak, w czym utwierdzili go Drewnowski oraz kumple z fundacji, że to wyjątkowo kiepska strategia. I do tego niebezpieczna, bo jego nieoficjalne, prywatne śledztwo mogłoby zostać uznane przez sąd rodzinny za przejaw obsesji na punkcie osób, z którymi pozostaje w konflikcie. A od obsesji do niepełnej poczytalności jest jedynie krok. Na koniec Zawojki stwierdził, że od dawna nie zajmował się historiami związanymi z mafią węglową, a o teczce leżącej w szafie zwyczajnie zapomniał. Mówił prawdę? Zdaniem Krzyśka brzmiał wiarygodnie.

Polański zaczął pytać o znajomych, którzy odwiedzali go w mieszkaniu. Początkowo przesłuchiwany rzucał się, że to nie jest sprawa policji, z kim

i dlaczego ostatnio się spotykał, że zbyt ingerują w jego życie. Krzysiek nie miał pojęcia, dlaczego Zawojcki miałby aż tak chronić własną prywatność. I nie sądził, aby w jego życiu działo się cokolwiek, co wymagałoby zachowania w tajemnicy. Tym razem nawet adwokat przekonywał go, żeby odpowiedział. Jak łatwo było przewidzieć, zatrzymany potwierdził, że czasami wpadał do niego Szmatoch, żeby wypić po piwku i pogadać o życiu, które daje im w dupę, choć nie zasłużyli. Ich zdaniem.

– Czyli Szmatoch nie jest takim znowu gierojem – skomentował Renata. – Nie tylko się nim niby opiekował, ale też przy okazji go jeszcze rozpijał. Bo na pewno nie kończyli na jednym piwku.

– Szmatoch już nie musiał Jakubka rozpijać.

– Co nie znaczy, że musiał z nim chlać.

– Mówisz, jakbyś sama nie piła – obruszył się.

– Ale ja nie mam problemów z alko.

Krzysiek wcale nie był tego taki pewien. Do tego zaprzeczanie było tak mocno związane z chłaniem jak kaszel palacza z kurzeniem.

Doskonale jednak zdawał sobie sprawę, co by się stało, gdyby pociągnął temat domniemanego alkoholizmu Renaty. Pokłóciliby się, więc odpuścił.

Polański spytał jeszcze o innych znajomków, którzy odwiedzali Zawojckiego. Przesłuchiwany z miejsca odparł, że nie prowadzi bujnego życia towarzyskiego. Zdaniem Krzyśka nie ściemniał, wystarczały mu pełna flaszka i kompani z pubu, od których nawet nie oczekiwał, że będą słuchać z uwagą. Pewnie zadowalało go, że ktoś obok niego siedział. Nadkomisarz naciskał, żeby zatrzymany przypomniał sobie, czy ktoś poza Szmatochem odwiedzał go w ostatnim czasie.

Zawojcki najpierw pocierał palcami skronie, jakby próbował pozbyć się bólu głowy albo pobudzić do działania resztki szarych komórek, które przetrwały alkoholową apokalipsę. Wreszcie powiedział, że dwa tygodnie temu, może trochę wcześniej, odwiedziła go siostra żony, Jadwiga. Na pytanie Adama, czy utrzymywał z nią bliższe relacje, z miejsca się obruszył, że nie, a później dodał, że czasami się spotykali, raczej rzadko, żeby pogadać, a niekiedy dzwonili do siebie. A tak właściwie to on dzwonił do Jadwigi, zwykle po pijaku, żeby od czasu do czasu wyżalić się komuś innemu niż kumplom z fundacji.

Zauważył, że Renata się skrzywiła.

– Co jest? – spytał.

– Coś mi tu nie styka z tym, co sprzedawała nam starsza siostra Krol.

– Ale co? Przecież też mówiła, że Zawojcki jej się wypłakiwał przez telefon.

– Nie o to biega. Powiedziała, że ostatni raz widziała się z nim na początku stycznia, zaraz po Nowym Roku. A on twierdzi, że to było dwa tygodnie temu.

– Albo wcześniej. Wiesz, moim zdaniem nie ma się czego czepiać. Zawojkiemu najprawdopodobniej już od dawna czas płynie inaczej, dni znikają, a tygodnie się zlewają w trudną do ogarnięcia magmę.

Renata tylko pokręciła głową.

Przesłuchanie powoli dobiegało końca. Wszystko wskazywało na to, że znowu nie dowiedzieli się niczego, co miałyby znaczenie dla śledztwa.

– Zbieramy się – zarządził. – Nie mam ochoty znowu wysłuchiwać od Polańskiego, że się objamamy.

– A co ty się nagle taki wrażliwy zrobiłeś? Delikatne ego cierpi? – Łukowska się roześmiała. – A wracając do Jadwigi, ja bym jeszcze raz z nią pogadała. Zrobiła na mnie dziwne wrażenie.

– Coś dokładniej?

– Takie jakieś mam przeczucie... – i zaraz dodała, widząc jego niepewną minę: – Niejasne.

– W sumie – zaczął po chwili zastanowienia – możemy się z nią umówić. I tak na razie nie mamy nic lepszego do roboty.

– Ale nie teraz. Na dzisiaj mam już dosyć. No to cześć.

Poszła do drzwi. Zostawiła go z półotwartymi ustami. Chciał za nią zawołać, zapytać, czy nie zjadłaby z nim kolacji w jakiejś przyjemnej restauracji, niekoniecznie wegetariańskiej, albo czy nie skoczyliby do kina. Czy nie zrobiłaby z nim tego wieczoru czegokolwiek, byle razem. Opuścił. Kolejny raz. Uświadomił sobie, że nie chce mu się starać. I wcale nie czuł się z tym źle.

*

Po raz pierwszy od kilku dni chmury zniknęły znad Katowic, zdmuchnięte przez front wyżowy. Renata spojrzała w górę, jakby zdziwiona, że nie sypie się na nią biały puch, który szybko zmieni się w brudną breję pod stopami. Po zmroku, wciąż jeszcze wczesnym, chwycił mróz. Ledwie kilka stopni, ale dotkliwie odczuwała ochłodzenie. Maskę audi ziębiła ją w tyłek. Oderwała się od niej i pstryknęła przed siebie papierosem, którego ledwie co odpaliła. Nie chciała ani marznąć, ani zasmradzać auta, w którym po Nowym Roku wyczyściła tapicerkę. Za niemałe pieniądze. Mogła oszczędzać na żarciu, ale nie na samochodzie.

Była znudzona i znużona, choć tego dnia się nie przepracowała. Podobnie jak wczoraj i przedwczoraj. Może właśnie dlatego. Dzień w robocie ciągnął się w nieskończoność, więc nie została tam nawet minuty dłużej, niż musiała. Marzyła o gorącym prysznicu. Planowała, że obłoży się poduszkami, schowa pod grubą kołdrę i odpali na laptopie film, obojętnie jaki. Pozwoli się ukołysać obrazom, zaśnie i obudzi się kolejnego dnia, który może będzie chociaż odrobinę

lepsy i dostarczy jej nieco więcej energii. Choć niekoniecznie musiało się tak stać. Była na to przygotowana. Czy to już rezygnacja, czy zwyczajne wahnięcie nastroju?

Cisnęła pedał gazu, nie przejmując się ograniczeniami prędkości, i szybko dojechała do Gliwic. Jak nie idzie, to po całości. Ulica Świętej Cecylii była zastawiona autami tak, że nie dałoby się zaparkować nawet skutera. Zaklęła, skręciła w ulicę Błogosławionego Czesława i po kilkudziesięciu metrach wreszcie znalazła kawałek wolnego miejsca. Powoli wtoczyła się na wysoki krawężnik, modląc się w duchu, by niczego nie urwać. Wysiadła z auta, piknął centralny zamek. Dmuchało lodowatym wiatrem. Dociągnęła zamek kurtki aż pod brodę, postawiła kołnierz. Przez chwilę żałowała, że nie wzięła czapki, ale nie lubiła nosić niczego na głowie, bardzo rzadko zmuszał ją do włożenia czapki kilkunastostopniowy mróz, który ostatnimi laty nie pojawiał się każdej zimy. Globalne ocieplenie przedstawiano w mediach jako samo zło i przedsionek globalnej katastrofy. Ona w tym przedsionku mogłaby się całkiem wygodnie urządzić. Wbiła dłonie w kieszenie kurtki i ruszyła ku swojej kamienicy.

Drzwi prowadzące do otwartego korytarza, przez który wychodziło się na podwórko i do oficyny poznaczonej plackami odpadającego tynku tak, że wyglądała, jakby dotknął ją trąd, były uchylone. Jak zwykle. Pchnęła je stopą, uchylły się ze zgrzytem. W mroku u wylotu korytarza najpierw dostrzegła ogniki papierosów, a potem sylwetki dwóch mężczyzn. Też normalka. Ciągłe wystawiali tam lokalsi, którzy nie mieli nic lepszego do roboty niż stanie w przeciągu, popalanie fajek, popijanie najtańszych browarów, popluwanie i wyrzekanie grubymi słowami na wyniki Piasta i życie, które kopie mocniej niż spiryt z przemytu. Lekko się spięła, kiedy faceci rzucili fajki i ruszyli w jej stronę. Może szukali sponsora kolejnej małpki? To się zdarzało. A chciała tylko w spokoju dotrzeć do mieszkania. Do drzwi prowadzących na jej klatkę schodową miała ledwie kilka kroków. Skrzypnęły drzwi za nią. Stała i rzuciła okiem za siebie. Zbliżało się do niej dwóch kolejnych typów. Naprawdę, to musiało się zdarzyć akurat dzisiaj? Chwyciła za uchwyty zamka, by sięgnąć po broń tkwiącą w kaburze pod pachą. Zaciął się. Już dawno miała go wymienić.

Ustawiała się tak, aby mieć po bokach zarówno napastników z przodu, jak i tyłu.

– Zatańczymy, suko.

Któryś z mężczyzn się zaśmiał, co zabrzmiało niczym gruzliczy charkot. W świetle słabej żarówki błysnęło ostrze motylka.

Część II. W imię matki

czwartek, 13 lutego 2013

Czarne, spore coś, jakby pakunek, unosiło się na powierzchni stawu, której nie poruszał nawet najmniejszy podmuch wiatru. Na granicy trzciniowiska. Na tyle blisko krańca cypla, na którym stał komisarz Tyszka, by pobudzić wyobraźnię. Na tyle daleko, że nie dało się podejść bliżej i sprawdzić, co to takiego. Przecież nikt nie będzie brodził w lodowatej wodzie, a już na pewno nie on. Mocniej naciągnął na uszy wełnianą czapkę, ostatni prezent od pani Basi. Bez okazji. Materialny wyraz jej troski, której nie potrzebował. I na który należało odpowiedzieć, bo samo „dziękuję” raczej na dłuższą metę nie wystarczało i powinien się zrewanżować. Tylko czym? Nie miał głowy, by się nad tym zastanawiać!

Było dobrze przed siódmą rano, słońce jeszcze nie wzeszło, ledwo rozjaśniło nieśmiałym blaskiem niebo na wschodzie. Nocny mrozek nie odpuszczał. Adam zapalił papierosa i znowu wbił wzrok w czarne coś. Mężczyzna, który owo coś odkrył i jak na praworządnego obywatela przystało zawiadomił odpowiednie służby, zaklinał się, że dostrzegł w czarnym czymś głowę, a może nawet twarz. Tak jakby. Tyle że to było dobrą godzinę temu, kiedy mrok był jeszcze gęstszy, a mężczyzna miał okulary ze szklami grubymi jak denka butelek. Czarny kształt mógł być topielcem, ale równie dobrze workiem ze śmieciami, który zamiast do hasioka ktoś ciepnął w wodę. Mało to takich cwaniaczków, którzy mają wysprzątane na glanc mieszkania, domy i posesje, a cały syf wywalają za płot albo wywożą do lasu? Bo co za płotem, to nie ich, więc mogą tam marasić. Adamowi nie pozostało nic innego, jak poczekać na strażaków z pontonem. Spojrzał na godzinę w komórce. Mieli dojechać nad staw Maroko dziesięć minut temu, ale ponieważ się nie paliło, raczej się nie spieszyli.

– Nie Maroko, ale raczej Sajgon – rozdeptał niedopałek na zamrożonym bloku. – Gdyby przypadkiem ktoś z Maroka tu trafił, spierniczałby w podskokach.

Ziewnął. Jeśli gadał sam do siebie, musiał być w kiepskiej formie. Na wszelki wypadek, gdyby jednak czarny kształt okazał się przejrzalym wodnikiem, postanowił ściągnąć nad staw kogoś z zespołu. Wybrał numer Renaty. Abonent niedostępny. Pewnie jeszcze śpi snem sprawiedliwego, w sensie – sprawiedliwej. Albo sobie chlapnęła wieczorem. Wiedział, że Łukowska popija, w końcu pozna swój swego. Wydzwonił Krzyśka, który odbierał zawsze, nawet w środku nocy, nigdy nie marudząc i nie narzekając, że ktoś go budzi. Tak było i tym razem. Miał się pojawić za pół godziny. Przez chwilę rozważał, czy od razu zawiadomić o sprawie Mundka. A jeśli to nie żadna sprawa, tylko zwykły wór śmieci? Uznał, że poczeka z tym, aż fojermani sprawdzą, co unosi się na wodzie.

Ruszył ku początkowi cypla, gdzie w radiowozie czekał mężczyzna, przez którego on odmrażał sobie teraz tyłek. Chciał mieć jak najszybciej z głowy rozpytanie. Chociaż zamiast zastanawiać się nad pytaniami, które powinien zadać, myślał, jak i gdzie skombinować kubek gorącej kawy. Jak największy.

*

Na pewno nie zmrużyłaby oka, gdyby nie zastosowała najprostszego i – w jej przypadku – najskuteczniejszego środka nasennego, czyli butelki czerwonego winna podlanej dwoma drinkami na czystej wódce. Ze zdecydowaną przewagą wódki. Choć i tak obudziła się z ciężkiego, nerwowego snu grubo przed świtem, o dziwo bez bólu głowy, ale za to z istnym piekłem palaczy i pijaków w ustach. Powoli wypięła kilka łyków mineralnej, wsłuchując się w swój organizm. Tu i ówdzie coś ją kłuło i bolało, ale nie zanosiło się, żeby wymierzono jej najwyższy wymiar kary. Nie tylko za chłanie. W lustro na razie wołała nie patrzeć, bo tępe kłucie w okolicach kości policzkowej upewniało ją, że wygląda raczej gorzej niż lepiej. Nastawiła wodę na kawę, zapaliła papierosa i wróciła do pokoju. Stała przy oknie. Było ciemno, pusto, za wcześnie nawet na przechadzki z psem przed robotą. I wyjątkowo cicho jak na środek miasta. Nic to, że noc jeszcze nie całkiem zamieniła się w dzień. Cisza przed burzą? Nie miała wątpliwości. Gównoburza jej nie ominie.

Jeszcze przed zaśnięciem Renata kilka razy odtwarzała w pamięci akcję z poprzedniego wieczora. Zastanawiała się, co zrobiła źle i dlaczego. Siorbiąc kawę tak gorącą, że parzyła w usta, i paląc następnego papierosa, znowu ją analizowała, niemal scena po scenie.

Trzech na jednego to banda łysego, przeleciała jej przez głowę bzdurna odzywka z czasów podstawówki, zanim na nią ruszyli. Tyle że napastników było czterech, a jeden z nich miał nóż. Darowali sobie zwykłe zagajenia, nie usłyszała

żadnego „wyskakuj z portfela i komórki”, nie pytali, kim jest. Bo najpewniej to wiedzieli. I raczej nie byli z jej dzielnicy. Zanim zdążyła rozpiąć kurtkę, by sięgnąć po kłamekę, zobaczyła stopę nadlatującą w kierunku jej głowy. Kolesi musiał niezbyt uważnie oglądać filmy o karate czy kung-fu, bo wykonując obszerne kopnięcie, przyjął niestabilną pozycję. Schyliła się i powaliła go kopniakiem pod kolano. Ledwie zdołała uniknąć ostrza noża, które błysnęło gdzieś w okolicach jej barku. Dwóch kolejnych natarło na nią jednocześnie. Prawy prosty zablokowała przedramionami, ale mocny sierp wylądował gdzieś za jej uchem, na szczęście tylko ocierając się o czaszkę. W głowie rozdzwoniły się dzwonki, brzmiące niczym te, którymi ministranci potrząsali na mszy.

Zachwiała się, cofnęła o krok i zanim przyjęła pozycję obronną, musiała się opędnąć od kolejnych ciosów. Myślała tylko o jednym, że nie może pozwolić, by powalili ją na glebę. To będzie koniec. *Game over* z utratą wszelkich bonusów. Już się wtedy nie podniesie albo stanie na nogi dopiero po długich tygodniach spędzonych w szpitalu. O ile wcześniej typ z motylkiem nie rozorze jej tętnicy. Parowała ciosy, jak mogła, próbując się od czasu do czasu odgryzać. Bardziej na postrach niż z nadzieją wyeliminowania na dobre któregoś z nich. Dostała kopa w udo, aż ugięły się pod nią nogi. Kolejne ciosy wylądowały na jej ramieniu i na twarzy. Ten ostatni zablokowała, na ile się dało. Próbowała jeszcze się cofnąć, ale trafiła plecami na ścianę. Było źle. Bardzo. To, że jeszcze znajdowała się w pionie, zawdzięczała jedynie nieporadności napastników, którzy nie byli biegli w sztuce ulicznych bójek i w dodatku przeszkadzali sobie, atakując równocześnie. Mogli nastukać przerażonym nastolatkom, by potem zabrać im fanty, ale z kibolami, którzy regularnie ćwiczą mordobicie, nie miałoby większych szans. Z nią też żaden nie miałby startu w pojedynkę. W sumie cieniasy. Do tego byli napici. Im bardziej się pocili, tym wyraźniej czuła smród przetrawionego alkoholu. Marna pociecha, bo wiedziała, że prędzej czy później któryś z chaotycznie zadawanych ciosów dojdzie do jej głowy na tyle czysto, że odłączy jej zasilanie. Raczej prędzej.

Nagle drzwi do jej klatki schodowej otworzyły się z takim impetem, że walnęły w ścianę, aż posypał się tynk. Wypadł z nich krępy bysior ze sporym brzuchem opiętym dressem. Zaryczał, zaczął wywijać bejsbolem sprawnie i skutecznie niczym zawodowiec z amerykańskiej Major League, zarabiający rocznie tyle, ile małe państwo afrykańskie. Walnął jednego z napastników w łeb tak, że ten opadł na kolana. Jego kumpel, niewiele myśląc, chwycił go pod pachy i wywlókł za bramę kamienicy. Bejsbolista próbował zdobyć punkty na kolejnym typie, ale gość uskokzył i kij gruchnął o ścianę. Bojowy ryk zamienił się w potok przekleństw. Poprawka na żebra i biodro była skuteczna, trafiony poleciał na ścianę i zjechał po niej w dół. Renata wykorzystała moment

zawahania czwartego napastnika, który nie dość szybko rozstrzygnął odwieczny dylemat świata natury: walczyć czy uciekać, i kopnęła go z prostego podbicia prosto w klejnoty. Soczyste uderzenie, którego nie powstydziliby się Lewandowski. Typ ni to jęknął, ni to westchnął i zaraz zwinął się na posadzce.

Bysior, wciąż trzymając kij w pogotowiu, uspokajał oddech. Kiedy się wysapał, zapytał Renatę:

– Kończymy ich?

Bez dwóch zdań, miała na to wielką ochotę, chciała bez opamiętania flekować i leżącego, i tego, który siedział pod ścianą. By wyładować złość i frustrację. By odegrać się na nich za swój błąd, bo dała się podejść jak nowicjuszka. I chyba to najbardziej ją wkurwiało. Nie zachowała czujności, poczuła się zbyt pewna siebie. A za to najczęściej się płaci. Dużo i bez szansy na rozłożenie na raty. Miała szczęście, że wykpiła się drobnymi.

– Na chuj rozkminiać temat, jebnę mu – bejsbolista zrobił zamach.

Powstrzymała go gestem dłoni, odchrząknęła i wychrypięła:

– Chwila.

Próbowała się skupić, by na szybko przeanalizować sytuację. Rozpraszało ją irytujące dzwonięcie w uszach. W pierwszym odruchu chciała dzwonić po miejscowych gliniarzy. Zawinęliby tych dwóch cieniasów, bo pewnie pozostali już rozpułnili się w wieczornym mroku. I byłoby po sprawie. Tyle że wtedy w papierach pojawiłaby się informacja, że została napadnięta i pobita. I na pewno, prędzej czy później, dowiedziałby się o tym Polański. A tego nie chciała. Wcale nie dlatego, że ucierpiałaby jej duma. Była więcej niż pewna, że atak na nią miał związek z esemesowymi groźbami, które dostawała od jakiegoś czasu. Polański o nich nie wiedział. Jak sądziła, lepiej by było, żeby najpierw dowiedział się o problemie, który beztrąsko zbagatelizowała, od niej, a nie od kolegów, którzy nie powstrzymaliby się przed złośliwymi komentarzami, że ludzie z ekipy nadkomisarza pozwalają, żeby drobni pijaczkowie klepali im miskę. Żeby dać sobie jeszcze trochę czasu na podjęcie decyzji, zagadnęła bysiora, który ją wybawił:

– A ty to w ogóle kto?

– Straż sąsiedzka – zarechotał. – To jak? Jebnąć mu?

Zdecydowała, co dalej. Nie było to najlepsze rozwiązanie z możliwych, ale zawsze jakieś.

– Jednego puszczamy, a z tym – wskazała na leżącego w pozycji embrionalnej i wyjęła kajdanki – pogadam sobie od serca.

Pomocny sąsiad szturchnął siedzącego kijem. Mężczyzna zaczął powoli się podnosić.

– Może mu jednak stuknę? W imię zasad.

Renata tylko pokręciła głową, co i tak nie do końca powstrzymało bejsbolistę, bo wypłacił mężczyźnie solidnego liścia, zanim powiedział:

– Spadaj w podskokach. I lepiej, żebym cię więcej nie zobaczył. Ani tu, ani nigdzie.

Ze spadaniem w podskokach było u napastnika słabo, bo mocno utykał na lewą nogę, ale pokuśtykał za bramę tak szybko, jak tylko mógł.

Renata skuła leżącego i bez ceregieli podciągnęła go do pionu. Zajęczał, otulił dłońmi przyrodzenie jak cenne i delikatne jajo Fabergé.

– Poradzisz se z nim? – upewnił się bysior.

– Spokojnie – na wszelki wypadek założyła zatrzymanemu chwyt na ramię, przyginając go do ziemi. Jęk przeszedł w szloch. Facet był gotowy. – I dzięki za... Wiesz.

– Luz. Nikt nie będzie pod moją chawirą klepał mojego psa.

Ostatniego zdania wołała nie komentować.

Sąsiad przyjrzał się swojemu kijowi. Był pęknięty na czubku.

– No i mój ulubiony sprzęt poszedł w pizdu. Wisisz mi nowego bejsbola. I przysługę.

Miała jak w banku, że kiedyś zwróci się do niej, żeby odebrać dług wdzięczności. Na razie jednak nie było czasu o tym myśleć.

Bejsbolista, zanim zniknął za drzwiami mieszkania na parterze, jeszcze raz upewnił się, czy Renata na pewno sobie poradzi. Niedowiarek jeden. Potwierdziła krótkim „tak”. Skojarzyła wreszcie, że już wcześniej widywała go, jak wystawał z kolegami w bramie albo przed kamienicą. I robił to, co zawsze robią tacy goście, czyli popijał browara, palił fajki i popluwał pod nogi. Nie zwracała na nich uwagi, a oni jej nie zaczepiali. Swoje jednak wiedzieli. A na pewno kojarzyli, kim ona jest.

Działała już w trybie „skupienie i ostrożność”, więc nie zaprowadziła chłopaka do swojego mieszkania, tylko zawlokła na strych, który pełnił funkcję suszarni i graciarni, cmentarza przedmiotów, które rozpadały się w kurzu i wilgoci. Włączyła światło, słaba żarówka ledwie oświetliła środek dużego pomieszczenia. Zamajaczyły zjawy rozwieszanej pościeli. Doskonała sceneria, niczym z amerykańskiego thrillera klasy B o psychopacie, który morduje, bo jest psychopata. Kazała napastnikowi usiąść po turecku na podłodze. Pojęczał trochę, ale wykonał polecenie. W jego oczach czaił się strach. Właściwie nie musiała go dodatkowo straszyć, ale zwyczajnie chciała. Zapowiedziała, rozsuwając suwak kurtki i wyjmując kłamek, że jeśli nie będzie współpracował i grzecznie odpowiadał na wszystkie pytania, po prostu go odstrzeli, a jego ciało ukryje w ciemnym kącie strychu, gdzie nikt nigdy nie zagląda, by tam zgniło albo by pożarły je szczury, których tu nie brakuje. W razie czego chłopak nie ma więc co

liczyć na łzy matki nad własnym grobem, bo żadnego grobu nie będzie. Chyba że symboliczny, pusty. I żeby nie myślał, że ktoś go uratuje, ktoś dowie się o jego losie, bo ona jest z policji i wie, co i jak zrobić, aby człowiek zniknął bez śladu. Żywy lub martwy. Jej to rybka.

Tamten zaczął kiwać się nieporadnie, próbując wstać, ale postawiła stopę na jego złączonych nogach, by go unieruchomić. Wycelowała mu broń w twarz. Oddychał tak szybko, że poczuła strach, że przez hiperwentylację zaraz odpłynie. Skierowała broń w bok i rzuciła rozkaz:

- Siedź! A właściwie, robaczku, jak ty masz na imię?
- Stefan – wydyszał.
- Też pięknie.

Zaszła go od tyłu i przeszukała. Znalazła portfel, a w nim dowód. Prawdziwy zawodowiec, mistrz zbrodni, który na robotę poszedł z dokumentami. Stefan Kosowski, mieszkaniec pięknych i dumnych Gliwic.

Stefanek śpiewał chętnie, choć cienko, niczym uczestnik *Szansy na sukces*. Dowiedziała się, czego chciała, ale nie była zadowolona. Czy tam kontenta, przypomniała sobie kolejne ulubione słówko babki. Wręcz przeciwnie, jej niepokój wzrósł, a czerwone lampki w głowie migąły coraz wyraźniej. Kosowski pruł się, że wynajął ich koleś, którego wcześniej nie znali. Wynajął – to może za wiele powiedziane. Zjawił się w knajpie, w której przesiadywali jak co dzień, powiedział, że jest waflem Lokatego, drobnego dilerka z Obrońców Pokoju. Mimo że widzieli gościa pierwszy raz na oczy, nie wnikali, kto to taki. Wystarczyło im, że znał Lokatego i płacił po stówie na łeb z góry oraz po drugiej już po akcji za oklepanie jednej laski. Nie za mocne, nie za słabe, takie, by czuła je przynajmniej z tydzień. Zleceniodawca, wedle Stefanka, wyglądał jak nikt szczególny: ogolony łeb, wysoki, przypakowany, ale bez przesady, znaków szczególnych brak, może poza przestawionym nosem, ale taki defekt ma co drugi w tym światku. On się nie przedstawił, oni nie pytali ani o nazwisko, ani o ksywę. I nie mieli pojęcia, że dostali zlecenie pobicia policjantki. Była pewna, że Kosowski nie kłamie.

Schowała dowód do kieszeni spodni i rozkuła chłopaka. Zanim kazała mu wypierdalać, zapowiedziała, że jeśli pójdzie na policję, w co, prawdę powiedziawszy, nie wierzyła, i opowie o spotkaniu z nią, ona go znajdzie. Jeśli komukolwiek choćby piśnie o tym, co się stało w jej kamienicy, ona go znajdzie. Jeśli przyjdzie mu do głupiego łba, żeby zebrać znajomków spod nocnego i się na niej mścić, ona go znajdzie. A jak już go znajdzie, na pewno nie skończy się na spuchniętych jajach.

Teraz dopiła drugą kawę, dopaliła kolejnego papierosa. Rozdzwoniła się komórka, spojrzała na wyświetlacz. Tyszka. – Nie teraz – powiedziała na głos,

nie odbierając połączenia. Skonfrontowała się z odbiciem w lustrze. Mogło być gorzej. Zamaskowała nabierającego kolorów siniaka na policzku grubą warstwą pudru, dodała jeszcze plaster na rany, żeby niepotrzebnie nie straszyć ludzi. I nim zdążyła rozważyć wszystkie za i przeciw, rozmyślić się definitywnie, wybrała numer Polańskiego. Pokrótce opowiedziała o swojej przygodzie. Nie chciał wysłuchiwać szczegółowej relacji przez telefon, kazał jej jak najszybciej przyjechać do fabryki. Czy był zły albo wściekły? Nie miała pojęcia. Spokój i opanowanie Polańskiego czasami doprowadzały ją do szewskiej pasji.

Otworzyła lodówkę, ale zaraz zamknęła ją z trzaskiem. I tak raczej nic by nie przełknęła. Ubrała się i wyszła na klatkę schodową. W drzwiach naprzeciwko stał pan Rysio, jakby na nią czekał.

– A dzień dobry pani ładnej. Jak... – wyraźnie szukał właściwego słowa czy frazy – ...jak dzionek?

– Do dupy – postawiła na szczerość.

– Nic się nie stało? Znaczą się poważnego, bo...

Skrzywiła usta, próbując się uśmiechnąć, niepotrzebnie, bo poczuła ból w policzku.

– To tylko otarcia.

– To dobrze, bardzo dobrze. Szczęście, że Marek był w chałupie, i do tego nie za bardzo napity.

– Marek? Ten z bejsbolem? – upewniła się.

– Może i z bejsbolem. Sąsiad z parteru.

W końcu dokładnie wiedziała, komu zawdzięcza cudowne ocalenie.

– To pan, panie Rysiu, posłał go wieczorem do bramy?

– Ja czy nie ja, trzeba sobie pomagać.

Staruszek wyciągnął z kieszeni flanelowej piżamy papierosa i zaczął go ugniatać palcami.

– Jak pan się w ogóle zorientował, że coś się dzieje?

– Na początek to żona głądziła, że jakieś obce typy kręcą się pod kamienicą i na podwórku. Wie pani ładna przecież, żona w oknie siedzi, wszystko widzi. To taka jej rozrywka.

Zaśmiał się, a ona mu zawtórowała.

– Najpierw to nawet ją opieprzyłem z góry na dół. Żona ślepawa, do tego ćmok, bo chuligany znowu zbiły żarówkę w latarni, więc jak niby miała zobaczyć, że to jakieś obce typy. No ale jak wyszedłem zakurzyć, usłyszałem hałasy, więc zszedłem zobaczyć, co to za larmo. A tu bitka jak za moich kawalerskich czasów po zabawie. To zapukałem do Marka, bo przecież nie będą jakieś ciule tu mi pod nosem robić poruty.

– Dziękuję, panie Rysiu.

– Nie ma za co. Jak nie będziemy sobie nawzajem pomagać, nikt nam nie pomoże.

– Święta racja, panie Rysiu.

Staruszek wyciągnął zapalniczki, chwilę pogmerał w pudełku w poszukiwaniu niespalonej, wreszcie potarł draszkę, zapalił i się zaciągnął. Błogość rozlała się po twarzy pociętej głębokimi zmarszczkami.

Drzwi jego mieszkania otworzyły się szerzej i stanęła w nich w całej swej obłej okazałości żona staruszka.

– Dzień dobry – rzuciła Renata. – Lecę do roboty.

– Dla kogo dobry, dla tego dobry – kobieta się skrzywiła i poprawiła wałek, który ledwo trzymał się na cienkim pasemku siwych włosów.

– Aha. I pani też dziękuję za czujność i pomoc. Bardzo dziękuję.

– Tu nie ma co dziękować, tylko pomyśleć o życiu. Jak to wygląda, żeby taka ładna młoda kobieta chodziła z poobijaną gębą. Pracę by pani zmieniła na jakąś spokojniejszą, bardziej kobiecą. Na takiej poczcie na przykład.

– Zastanowię się – powiedziała Renata i z tupotem zbiegła po schodach.

Oczywiście kłamała. Nie zamierzała rzucać roboty, nawet gdyby połamali jej rękę i nogi. Odpukać! Za bardzo ją lubiła.

*

– Że też złe mnie podkusiło, żeby wyłazić z chałupy. Było starej słuhać.

Włodzimierz Bączkowski co chwila poprawiał zsuwające się okulary. Pewnie lepiej i wygodniej byłoby, gdyby wymienił zauszuki polepione taśmą klejącą, ale przecież wiadomo, że prowizorki trzymają się najdłużej. Poza tym wydatek na optyka nie znajdował się na czele listy zakupowych priorytetów emeryta.

– Problemy ze snem? Po co właściwie pan łąził nad staw po nocy? – spytał Tyszka.

– A bo ja to, wie pan porucznik, zapalony wędkarz jestem.

– Jestem komisarzem – sprostował Adam odruchowo. – Ale co ma piernik do wiatraka?

– Ckni mi się za łowieniem rybek. Kiedyś, jak zimy były po normalności, człowiek mógł połowić sobie pod lodem. Świetna zabawa i jednocześnie odpoczynek. I na zdrowie dobrze robi, bo zimno konserwuje. Próbował pan?

– Nie mam do takich rzeczy cierpliwości.

– Młodzi, wiadomo... Tylko by gdzieś gnali.

– Nie o tym mowa. Staw przecież nie zamarzł i pewnie w tym roku nie zamarznie. Po co się pan tu plątał?

– No przecież mówię, że z tęsknoty. Budzę się wcześniej, o piątej, a bywa, że o czwartej. Nie chcę się po chałupie tłuc, żeby starej nie budzić, to zwykle leżę sobie w łóżku. Ale tej nocy byłem niespokojny, myśli goniły po głowie, więc nie dałem rady wyleżeć. Pomyślałem, że pójdę nad Maroko, chociaż na wodę popatrzę. Woda uspokaja, wie pan? Na czorta mi to było?! Bo przecież...

– Jasne, jasne – przerwał mu Adam. – Widział pan może kogoś w okolicy stawu?

– A gdzie tam, kto by tu po nocy łąził?

– No pan, na przykład.

– Nikogo nie widziałem, tylko tego tam, topielca znaczy.

– Jeszcze nie wiemy, czy to topielec.

– Panie, od smarkatego nad rzekami, jeziorami czy stawami wystaję, zdarzało mi się utopionych widzieć. Nie raz. Wspomni pan moje słowa, po Maroku pływa topielec.

– Raczej powinien pójść na dno, no chyba że już dojrzał. Nieważne. A widział pan cokolwiek nietypowego? Może jakiś samochód tu gdzieś przejeżdżał? Albo wcześniej parkował nad stawem?

– Nie no, sam tu byłem jak palec. Oprócz tego tam – wskazał w stronę stawu.

Po chwili zaczął marudzić, że pora mu wracać do chałupy, bo jak się stara zorientuje, że go długo w mieszkaniu nie było, zrobi mu awanturę, jeszcze zanim on otworzy usta, żeby się wytłumaczyć. Adam uznał, że nie ma potrzeby zatrzymywać staruszka. Wziął namiary i go puścił.

Mundurowy przywiózł mu ze stacji benzynowej kawę, była słaba, ale przynajmniej ciepła. Zapalił i popijał kawę małymi łyчками. Odstawił tekturowy kubek na dach samochodu i spojrzał na komórkę. Gdzie podziewa się Krzysiek? Dawno powinien tu być. Wybrał numer Renaty, tym razem miała wyłączoną komórkę. Co się z tą babą dzieje?

Telefon zadzwonił, zanim schował go do kieszeni. Fojermani, gdy już raczyli zjawić się nad Marokiem, działali szybko. Ich dowódca poprosił go, żeby przyszedł nad brzeg po prawej stronie cypla. Nie musiał więcej tłumaczyć.

– Szlag, stary wędkarz miał rację.

Mimo chmur, które przykrywały niemal całe niebo, robiło się coraz jaśniej. Z daleka zauważył kilku strażaków kręcących się przy wyciągniętym na brzeg pontonie i ciele, obok którego powiewał na lekkim wietrze czarny plastikowy worek. Trup chyba nie był w najgorszym stanie, bo inaczej strażacy trzymaliby się od niego na odległość. Nikt nie lubił słodkawego, mdlącego smrodu rozkładających się zwłok, nawet jeśli do niego przywykł.

Powitał fojermanów podniesieniem dłoni i przykucnął przy zwłokach. W pierwszej chwili przeleciało mu przez myśl, że to niemożliwe. Że to nie dzieje

się naprawdę. Naciągnął na dłoń lateksową rękawiczkę, odgarnął z twarzy kobiety mokre pasma niedokładnie pofarbowanych blond włosów.

– Kurwa, tylko nie to – jęknął i zerwał się na równe nogi.

– Znajoma? – spytał dowódca strażaków.

– Nie, ale to chyba nawet gorzej – rzucił, wyciągając telefon i odchodząc od brzegu.

*

Przez całą przemowę Renaty – czy raczej spowiedź, bo opowiadała o wszystkim, nie pomijając najdrobniejszych szczegółów, jej zdaniem zupełnie pozbawionych znaczenia – Polański nawet nie drgnął. Siedział w fotelu, łokcie opierał o biurko, a dłońmi podpierał brodę. Nie przerywał jej choćby słowem. Odniosła wrażenie, że nawet nie mrugał, choć może miała przywidzenia. Z nerwów.

Skończyła i czekała, żeby nadkomisarz coś powiedział. Cokolwiek. Opieprzył ją albo wydał wyrok. Cisza dokuczała dużo bardziej niż swędzenie skóry pod plastrem na policzku.

Polański odchylił się i odepchnął stopami. Razem z fotelem, hurgoczącym wyrobionymi plastikowymi kółkami, odjechał aż pod okno. Jakby chciał znaleźć się jak najdalej od niej. Jakby była zadzumiona.

Czyli zapowiadał się soczysty opierdol. Tego jeszcze z Polańskim nie grała, choć wcześniej zdarzało się nie raz, nie dwa, że ją łajał. Jak dobry tatuś ulubioną córeczkę, której i tak, koniec końców, wybaczy wszelkie psoty i na zgodę kupi lody. Tak chciała o tym myśleć. Nic więc dziwnego, że kiedy odezwał się nieludzko spokojnym głosem, zamarła. Spodziewała się wszystkiego. Wywali ją?

– Powiedzieć, że się na tobie zawiodłem, to nic nie powiedzieć.

Miała na tyle instynktu samozachowawczego, że milczała, na wszelki wypadek mocno zaciskając usta, by nie wymknęło się przez nie nawet jedno słowo. By nawet nie pisnąć.

– Kiedy do nas przychodziłaś, wiedziałem, że możesz mieć pewne problemy – chrząknął – adaptacyjne. Lata pracy pod przykrywką, w pojedynkę, robią swoje. Od początku wbijałem ci do głowy, że u nas najbardziej liczy się praca w zespole. Jeśli ktoś z nas nie wykonuje swoich obowiązków, traci na tym zespół. Jeśli komuś się wydaje, że jest szeryfem, który sam da sobie radę ze wszystkim, prędzej czy później cierpi na tym zespół. Jeśli ktoś ma problemy, ma je cały zespół. Dałem ci sporo czasu na dotarcie się, zrozumienie, w jaki sposób i w jakim celu działamy. Myślałem, że zaakceptowałaś nasze zasady. I się pomyliłem.

Nagle, niczym starożytny ebonitowy aparat ze słuchawką na kablu, zaterkotała jego komórka. Renacie przeleciało przez głowę, że szef dawno powinien zmienić ten absurdalny dzwonek. Nie miała pojęcia, czemu akurat w tym momencie myślała o dźwięku przychodzącego połączenia. Polański spojrzął na aparat i nacisnął czerwoną słuchawkę.

Zaplótnął ręce na piersi i wbił wzrok w podwładną.

– Nie wiem, czy mogę ci jeszcze zaufać. Kiedykolwiek.

Przełknęła ślinę. Wydało jej się, że zrobiła to tak głośno, że na pewno usłyszał.

– Mogę coś powiedzieć? – spytała.

– Jestem pewien, że nawet musisz.

– Wiem, że dałam ciała.

– To naprawdę wielki eufemizm.

Zawrzała w środku, ale się opanowała. Nigdy nie była dobra w kajaniu się, zwyczajnie brakowało jej do tego pokory i cierpliwości, ale zdawała sobie sprawę, że jest to najgorszy moment na pyskówkę.

– Byłam przekonana, a i wciąż jestem, że esemesowe groźby i – mocniej zaakcentowała kolejne słowo – próba pobicia wiążą się z moją służbą w stolicy. Założyłam, że ta sprawa was nie dotyczy, nic o wcześniejszych moich śledztwach nie wiecie i wiedzieć nie musicie.

Polański jedynie pokręcił głową i skomentował:

– Złe założenie.

– Teraz już wiem. Strategia, co było w Wa-wie, zostaje w Wa-wie, totalnie się nie sprawdziła.

Nadkomisarz podniósł się z fotela i podszedł do ekspresu.

– Przez ciebie nie zdążyłem wypić kawy – powiedział głosem, w którym pobrzmiwało zmęczenie.

Wszystko wskazywało na to, że zeszło z niego największe napięcie. Renata powoli wypuściła powietrze. Chyba nie spotka ją najgorsze, nie tym razem. Jeszcze. Na wszelki wypadek powtórzyła:

– Przepraszam, popełniłam błąd.

– Wystarczy – rzucił, nie odwracając się do niej.

Zrobił sobie kawę i wrócił za biurko. Jej nie zaproponował. Może dlatego, że zazwyczaj nie pijała kawy w fabryce, bo wystarczająco się nią nasączała rano, albo wciąż był na nią zły.

– Zanim przejdziemy do konkretów – upił łyk – zadam ci parę pytań. I dobrze się zastanów, nim udzielisz odpowiedzi. Nie chcę, żebyś na odczepnego powiedziała mi to, co teraz chcę usłyszeć. Musisz mieć przekonanie, głębokie, bo inaczej nasza dalsza współpraca zwyczajnie nie ma sensu. Czy będziesz się

stosowała do naszych niepisanych reguł? Czy jesteś w stanie grać zespołowo, tak, żebyśmy my ufali tobie, a ty nam?

Oczywiście, mogła to obiecać. Czy szczerze? To się okaże.

– Tak, wiem, co zrobiłam źle, i wiem, jak to naprawić. I będę działała tak, jak trzeba. Jak wy wszyscy.

– Dobrze. Tylko pamiętaj, że będę ci się uważnie przyglądał. Jeden błąd, jedna samowolka i wylatujesz bez zbędnego gadania i wyjaśnień. Raz na zawsze. A jak mnie ktoś spyta, co o tobie myślę, powiem bardzo szczerze. Dotarło?

Straszył ją wilczym biletem? Byłby do tego zdolny, żeby nasrać jej w papierach? Podejrzewała, że jak najbardziej. A wtedy skończyłaby na wioskowym posterunku, gdzie można łapać co najwyżej złodziei włamujących się do jedynego tam sklepu po flachę.

– Tak.

– Wróćmy do początku twojej opowieści. Naprawdę nie masz pomysłu, kto cię wziął na celownik?

– Szczerze? Nie bardzo. Nawet zastanawiałam się nad tym z Mateją, ale...

– Krzysiek wiedział o tych groźbach? – przerwał jej Polański. – Od kiedy?

– No, od niedzieli.

Zmełała w ustach przekleństwo. Nie zamierzała wkopywać Matei. Naprawdę.

– Z nim sobie jeszcze oddzielnie porozmawiam. Właściwie powinienem porozmawiać z wami obojgiem, ale to już jak zamkniemy śledztwo w sprawie Krol. Doszłicie do jakichś wniosków?

– Nie. Nikt konkretny nie przychodzi mi do głowy, nawet nie mam pomysłu, o jaką sprawę może chodzić.

– Raczej nie o drobiazg.

– Cholera wie, jeden spokojnie przyjmie na klątę piętnastaka albo dwudziestaka odsiadki, drugi się będzie pienił, bo dostał trzy lata w zawiasach.

– Fakt.

– Wykombinowałam tak na szybko, że wieczorem podzwonię po starych kumplach z Warszawy. Może coś im się obiło o uszy. Poproszę też, żeby odpytali ucho, czy ktoś ostatnio się nie pruć, że ma ze mną kosę.

– To na pewno nie zaszkodzi. Jedno mnie zastanawia. Sposób działania tego kogoś, kto ci... No właśnie... Do czego on właściwie zmierza? Co chce osiągnąć?

Chciała odpowiedzieć, ale Polański dorzucił kolejne pytanie:

– Kiedy dokładnie zaczęła się ta cała akcja?

– Pierwszy esemes z wyzwiskami przyszedł krótko przed Wigilią. Zapamiętałam, bo początkowo nawet mnie rozbawił, że to niby taki prezent świąteczny.

– Moim zdaniem to w ogóle nie było i wciąż nie jest śmieszne. A potem co się działo?

– Aż do ostatniej niedzieli poprzestawał na wysyłaniu wiadomości. Podobnych w treści. Dużo o jebaniu czy odjebywaniu. Co kilka albo kilkanaście dni. Zawsze z tego samego numeru.

– Sprawdziłaś ten telefon?

– Na razie nie, ale to pewnie numer na kartę.

– Też tak podejrzewam.

– No a w niedzielę, czy może raczej w nocy z soboty na niedzielę, przebił mi wszystkie opony w aucie. Nawet zapas.

– On albo ktoś, komu za to zapłacił.

– Mogło tak być.

– Wielka szkoda, że się tym nie zajęliśmy na poważnie zaraz po fakcie. Można by wtedy zebrać odciski z twojego samochodu.

– Pewnie był w rękawiczkach.

– Tego nie wiemy. Wydaje mi się, że twój dręczyciel działa obsesyjnie, nakręca się, więc mógł popełnić błąd. Tak czy siak, trzeba obejrzeć samochód. Po robocie zostaw go w fabryce, pogadam z technikami, żeby mu się przyjrzeni i zabezpieczyli, co się da.

Tylko skinęła głową.

– Reasumując – kontynuował – cała historia ciągnie się już prawie kwartał. Esemesy można uznać za czcze pogróżki, zagrywkę obliczoną tylko na to, żeby wytrącić cię z równowagi. Bo jak cię znam, chyba się nie przestraszyłaś?

– Nie bardzo, dlatego nie zawracałam tym szefowi głowy.

– Ale zniszczenia w aucie i pobicie wskazują na eskalację.

– Tylko nie za bardzo rozumiem, czemu tak się za mnie zabiera jak za jeża. Mógł się od razu zacząć, zaatakować z zaskoczenia.

Dopiero kiedy wypowiadała ostatnie słowa, dotarła do niej jakże bolesna prawda, że ostatnio zachowywała się nieodpowiedzialnie, lekkomyślnie. I absolutnie nieprofesjonalnie. Przecież już po tym, jak zaczęła dostawać wiadomości z groźbami, zdarzało jej się wracać do mieszkania po kilku głębszych. Wieczorem i samotnie. Była wtedy bardzo łatwym celem. Dlaczego jej prześladowca nie skorzystał z takich okazji?

– Nie jestem pewien – Polański jak zwykle nie spieszył się z wyciąganiem wniosków – ale wydaje mi się, że on chce, żebyś poczuła lęk. Może cieszy go, że się denerwujesz lub boisz. Albo po prostu stopniuje napięcie przed wielkim finałem, który moim zdaniem się zbliża.

– No, na pewno akcja przyśpieszyła.

– Właśnie, więc musimy zareagować. Posłuchaj uważnie, co ci powiem. I potraktuj moje słowa jako rozkaz, a nie napomnienie Wujka Dobra Rada. Na razie nie uruchamiamy ścieżki oficjalnej, nie zgłaszamy tych – szukał słowa – incydentów, nie prosimy o przydzielenie ci ochrony. Sami się tym zajmiemy. Podkreślam liczbę mnogą. Ale nigdzie, wbij to sobie do głowy, nigdzie nie chodzisz sama. W drodze do i z pracy ktoś ma ci zawsze towarzyszyć. Dogadaj się z Krzyśkiem i Adamem. Jak chcesz iść na zakupy, dzwoń do nich. Chcesz iść do knajpy, żeby się wyluzować, zabierasz któregoś z nich.

– Do łazienki też? – nie wytrzymała.

– Renata, ty naprawdę... – nie dokończył, bo znowu zaterkotała jego komórka.

Tym razem odebrał, słuchał przez chwilę, zakończył niewiele mówiącym „tak” i wstał.

– Zbieraj się – zarządził.

– Co się stało?

– Nic dobrego.

*

Polański stał przy brzegu, na tyle daleko od linii wody, by nie uwaląć sobie sztybletów. Zza pleców dochodziły do niego przytłumione głosy krzątającej się ekipy. Patrzył, jak trzciny miarowo poruszają się na wietrze, odchylają w lewo, by znowu wrócić do pionu. Normalny rytm natury, rytm życia obojętnego na śmierć i rozkład. Po cholere o tym myślał? Przez moment żałował, że nie pali. Wciągałby w płuca dym, wytłumił myśli. Może by to coś dało, może nie.

Wiedział, co go niedługo czeka, i chciał odwlec obowiązek, który nazywano przykrym, a na którego nazwanie on sam nie miał dobrego słowa. Usłyszał, że ktoś go woła. Zignorował to.

Czy było mu szkoda Anny Zawojskiej, młodej kobiety i matki, której ciało wyciągnięto ze stawu Maroko? Zwyczajnie po ludzku najpewniej tak, choć w tym momencie chyba jeszcze bardziej było mu żal starego Krola. W ciągu kilku dni stracił żonę i córkę. Czy po czymś takim można się podnieść i normalnie żyć? Cokolwiek taka normalność miałyby oznaczać. Wprawdzie miał jeszcze drugą córkę i wnuczkę, miał dla kogo żyć. Ale czy to jakakolwiek pociecha? Jeśli nawet, to raczej marna. Wiedział tylko tyle, że życie nie jest równaniem, które zawsze daje jeden wynik.

Zanim przyjechali z Łukowską na miejsce zdarzenia, Tyszka z Mateją zajęli się wszystkim, co trzeba. Adam narzekał, że nie mógł się dodzwonić do nikogo poza Krzyśkiem, ale nadkomisarz nie tłumaczył, co go zatrzymało. Postanowił,

że o aferze z Renatą opowie wszystkim później. Na razie miał pilniejsze sprawy na głowie.

Tyszka powiedział, co udało mu się ustalić. Zwłoki Zawojskiej zauważył emeryt, którego już przepytał. Kobieta zginęła kilka albo kilkanaście godzin wcześniej, na jej ciele, które przeleżało jakiś czas w zimnej wodzie, prawie nie było widać zmian pośmiertnych. Polański sam to widział. Dowódca strażaków wyjaśnił, że wiatr zniósł zwłoki w trzciny, zaplątały się w korzenie i dlatego nie poszły na dno. Karol Biedrzycki, zimny chirurg, który nigdy nie mówił za wiele, tym razem był jeszcze mniej skłonny do udzielania konkretnych informacji. Czas zgonu? Trudno powiedzieć, bo mróz i na dodatek zimna woda. Przyczyna śmierci? Prawdopodobnie utonięcie. Możliwy udział innych osób? Po sekcji będę mądrzejszy. I tyle.

Na pytanie Polańskiego, czy zabezpieczono jakieś istotne ślady na brzegu, Adam tylko pokręcił głową. W nocy padał śnieg, nie wiadomo dokładnie, kiedy Zawojska zginęła oraz kto i po co tu się kręcił oprócz emeryta. Może wielbicieli nocnych przechadzek nad Maroko było więcej. Technicy zabezpieczyli trochę śladów obuwia, ale Tyszka nie sądził, by na cokolwiek im się przydały.

Nadkomisarz poczuł ciężar czyjejś ręki na ramieniu.

– Co ty, ogłuchłeś? Czy myślisz o wędkarstwie podlodowym? – spytał Adam zmęczonym głosem.

– Że niby co?

– Nic, prokurator przyjechał.

Ruszył za Tyszką w stronę prokuratora Kroka, który stał nad czarnym workiem ze zwłokami Zawojskiej. Prawnik trzymał pod pachą skórzaną teczkę, wiatr rozwiewał połę jego płaszcza, odsłaniając szary garnitur. Polański pomyślał, że Krok wygląda tak, jakby spał w korporacyjnym mundurku i na sygnał telefonu od razu zerwał się do akcji, nawet nie czesząc się ani nie goląc. *Wsięga gatow*, przeleciała mu przez myśl fraza, którą zapamiętał, nie wiadomo dlaczego, z lekcji rosyjskiego w podstawówce. Ucisnęli sobie ręce, pomijając powitalne formułki.

– Nie jest dobrze – rzucił prokurator.

Polański nie był w nastroju na dociekanie, co kryje się za niejasnym stwierdzeniem, więc spytał:

– A tak dokładniej, co pan ma na myśli?

– Ta sama rodzina, druga kobieta zabita.

– Jeszcze nie wiemy na sto procent, jak zginęła Zawojska.

– To mi nie wygląda na przypadek.

– Ale też niekoniecznie od razu na zabójstwo. Zawojska była w kiepskim stanie psychicznym. Sam to widziałem, opowiadał mi też Adam, który częściej

kontaktował się z rodziną Krolów.

– Jaki Adam? – Krok wyglądał na zdezorientowanego.

– Podkomisarz Tyszka.

– Aha, tak.

Nadkomisarza nie zdziwiło, że nowy prokurator nie zadał sobie trudu, żeby zapamiętać, z kim przyszło mu pracować. Może kilka dni temu zbyt pochopnie uznał, że Krok będzie bardziej zaangażowany w pracę i uważny niż reszta jego kolegów z prokuratury.

– Czyli obstawia pan nadkomisarz samobójstwo?

Polański prychnął. Naprawdę, czy od samego rana wszyscy muszą go denerwować?

– To nie zakłady bukmacherskie. Potrzebuję więcej faktów.

Nad brzeg stawu, tak blisko, jak tylko się dało, podjechał karawan. Dwaj pracownicy zakładu pogrzebowego ułożyli zwłoki Zawojskiej na noszach i zanieśli do auta.

– Doktor Biedrzycki obiecał, że zrobi sekcję w pierwszej kolejności – wyjaśnił Polański, by zamknąć temat.

– Tak, no tak.

Krok zaczął go drażnić. Prawnik sprawiał wrażenie rozkojarzonego albo myślami był zupełnie gdzie indziej. Bardzo daleko od Maroka.

– I trzeba wreszcie postanowić, co dalej robić z Zawojskim – powiedział prokurator.

– Na pewno nie miał nic wspólnego z tym – Polański ruchem głowy wskazał na odjeżdżający karawan.

– Na pewno? Z raportów, które od pana dostałem, wynika, że badaliście trop związany z ewentualnym pomocnictwem Zawojskiemu.

– Ślepa uliczka.

– Słabo to wszystko wygląda.

Polański zacisnął szczęki. Nie chciał powiedzieć czegoś, czego by później żałował.

– I wciąż nie znaleźliście dowodów potwierdzających, że to Zawojski prowadził w piątek auto?

– Pracujemy nad tym – nadkomisarz chciał uciąć ten wątek.

– Nie możemy go trzymać w nieskończoność bez postawienia dobrze udokumentowanych zarzutów. Tym bardziej że ma całkiem łebskiego adwokata. Nie odpuści nam, uczepli się każdego drobiazgu.

– To niech pan prokurator przejrzy jeszcze raz akta sprawy i się zastanowi. Może pan dostrzeże coś, co nam wciąż umyka.

Krok milczał. Zdaje się, że nie odczytał zawołanej złośliwości albo nie umiał szybko zripostować. Robił dokładnie to, co robili inni prokuratorzy, z którymi wcześniej współpracował Polański. Domagał się od policjantów efektów, konkretów. Już, zaraz, na dzisiaj, a najlepiej na wczoraj, tylko po to, by zamknąć dochodzenie jednym nabazgranym koślawo podpisem i zająć się następnym. Taśma, wciąż ta cholerna taśma, myślał Mundek, przy której końcu znajduje się wyświetlacz pokazujący statystyki wykrywalności.

Prawnik przełożył teczkę do drugiej ręki, prawą dłonią przecesał zmierzwioną grzywkę. Z niewielkim efektem.

– No nie wiem... – zaczął niepewnie.

Polański odwrócił głowę i znowu zapatrzył się na staw. Wiatr się wzmacniał, na wodzie pojawiły się niewielkie fale. Nie spodziewał się, że Krok zaskoczy go jakąś rewelacją. Tym razem się pomylił.

– Nie wiem – Krok brzmiał jak własne echo. – Może warto uważniej przyjrzeć się temu wątkowi mafii węglowej. Przez kolejny proces Alexis sprawa znowu odżyła, więc...

– Brakuje panu wywiadów, występów przed kamerami? – Polański nie wytrzymał.

– Nie za bardzo rozumiem.

– Mniejsza – nadkomisarz machnął ręką. – Jaki niby związek widzi pan między mafią węglową a śmiercią Zawojskiej?

– Przeczytałem w pana raporcie, że Krol pracowała...

– Wiem, co jest w raporcie – przerwał mu bezceremonialnie Mundek. – To jest tylko hipoteza. Nic więcej. Słaba hipoteza. Na razie nic nie wskazuje, że Krol podpadła komuś robiącemu przekręty na węglu. A nawet gdyby, załóżmy na chwilę, jaki sens byłby w mordowaniu jej córki. Logika, panie prokuratorze.

– W tej sprawie mało co jest logiczne.

– A z tym się akurat nie zgodzę. Do tej pory jedynie to, co zdawało się oczywiste, przestało takie być. A logika to już inna bajka...

Rozdzwoniła się komórka prokuratora, który odszedł na bok, by odebrać. Mundek postanowił, że pora kończyć pogaduszki, które do niczego nie prowadziły, jednak kończyć nie musiał, bo Krok, wróciwszy do niego, powiedział:

– Muszę jechać do prokuratury. Do poniedziałku czekam na przełom w śledztwie i...

Znowu usłyszeli dźwięk jego komórki.

– Do widzenia – rzucił i poszedł w stronę auta.

– To nie jest robota na czas – skomentował Polański, mimo że prawnik już nie miał szans go usłyszeć.

Zauważył, że Tyszka znacząco puka palcem w nadgarstek, na którym już od dawna nie nosił zegarka. Nie było sensu dłużej zwlekać. Będzie nieprzyjemnie. Cóż, nie pierwszy raz i nie ostatni.

*

Wiatr, wzmagający się od samego rana, szarpał poszarzałymi tujami, a chmury zgęstniały. Sypało się z nich coś nieokreślonego, zamarznęty śnieg albo nadtopiony grad. Pewnie specjaliści od pogody mieli na ten rodzaj opadu zgrabną nazwę, której Tyszka nie znał. Nie był też jej ciekaw. Powoli wypuścił powietrze i po raz kolejny nacisnął dzwonek przy drzwiach domu na ulicy Ciemały. Ktoś był w środku, bo w jednym z pomieszczeń na parterze paliło się światło, jednak nikt nie otwierał. Stojący obok Polański przestępował z nogi na nogę. Nosił go, nic dziwnego. Najpierw usłyszał przytłumione popłakiwanie dziecka, a potem drzwi się otworzyły i stanął w nich Krol, trzymający wnuczkę na rękach.

– Zaś wy – powiedział zmęczonym głosem.

Dziewczynka na widok obcych zaniósł się głośniejszym płaczem.

– Cicho, no prosza cie – próbował uspokoić dziecko, kanciastym ruchem gładząc je po główce. – To nie jest dobra chwila – dodał, nie ruszając się z progu.

– Panie Krol – zaczął Mundek – musimy porozmawiać, musimy coś panu powiedzieć.

– Byle wartko – rzucił Krol, odwrócił się i poszedł korytarzem w stronę salonu.

W powietrzu unosił się zapach przypalonego jedzenia, w przegrzanym domu było duszno, co – zdaje się – nie przeszkadzało gospodarzowi, ale Adamowi, który spędził kilka godzin na mrozie, już tak. Gwałtowna zmiana temperatury na chwilę odebrała mu oddech.

Krol wciąż nie był w stanie uspokoić wnuczki, nawet kiedy usiadł w fotelu i zaczął ją kołysać. Najwyraźniej nie radził sobie z dziećmi. Do Adama wróciła myśl, którą nad Marokiem podzielił się z Mundkiem. Dlaczego stary Krol nie zawiadomił wcześniej, późnym wieczorem albo w nocy, że jego córki nie ma w domu? Nie wiedział? Wymknęła się, kiedy spał?

– Panie Krol – powoli zaczął Polański – pana córka... znaleźliśmy... – już dawno nie miał takich problemów ze sformułowaniem zdania. – Pana córka nie żyje. Bardzo nam przykro.

Krol przestał kołysać wnuczkę, zamarł. Wpatrywał się w policjantów szeroko otwartymi oczyma. Dziewczynka chyba wyczuła, że dzieje się coś niepokojącego albo złego, bo nagle zamilkła i wczepiła się w dziadka.

– Jaka znowu córka? – mężczyzna ledwo artykułował słowa, wbijając wzrok w Adama.

Tyszka chrząknął, by poradzić sobie z gulą rosnącą w gardle. Niewiele pomogło. Jak zwykle w takich sytuacjach postawił na konkrety.

– Anna. Znaleźliśmy jej ciało w stawie Maroko.

– Ania... – powtórzył Krol jak echo. – To niemożliwe, to jakaś pomyłka. Ania jest przecież u koleżanki.

Czyli jedna zagadka mniej więcej się wyjaśniła.

– Do jakiej koleżanki poszła córka? – spytał nadkomisarz.

– Mundek... – Adam próbował go powstrzymać.

– Nie mam pojęcia – głos Krola brzmiał metalicznie, grdyka chodziła mu szybko. Chyba walczył z nadciągającym płaczem. – Nie mówiła... Tyle że do koleżanki idzie. I że wróci późno albo i rano. Czasami tak robiła. No tak raczej rzadko, ale bywało.

Wnuczka zaczęła wiercić się na jego kolanach. Pochlipywała cicho.

– A do której koleżanki Anna zwykle chodziła? – drążył Polański.

Adam odwrócił się do przyjaciela i powiedział cicho:

– Mundek, pozwól na chwilę.

Zostawili Krola, który wciąż tkwił w fotelu jak skamieniały, i wyszli do kuchni. Adam mówił półgłosem, chciał mieć pewność, że Krol go nie usłyszy.

– Mundek, odpuść mu teraz.

– Wiem, że moment jest trudny, ale...

– Po prostu tak zrób – był stanowczy jak rzadko kiedy. – Może nie wygląda, ale jest na skraju załamania. Trochę go już poznałem, wiem, jak reaguje.

– Albo wydaje ci się, że wiesz.

– A daj spokój! Co ci przyjdzie z tego, że go teraz pociśniesz?! Jutro chowa żonę, a dzisiaj dowiaduje się, że będzie musiał chować też córkę. To twarde, ale i twarde pękają. Niepotrzebny nam teraz Krol w rozsypce. A tym bardziej tej małej.

Mundek przez chwilę wpatrywał się w Adama. Potem tylko skinął głową. Wrócili do salonu.

Krol dalej tkwił sztywno w fotelu, ale wnuczka już siedziała na dywanie, obejmując rączkami szyję sporej żyrafy. Pewnie ulubionego pluszaka. Adam z powrotem usadowił się na kanapie, Mundek stał obok niego. Ciszę, która aż dzwoniła w uszach, przerwał Polański:

– Panie Krol, czy ktoś z bliskich mógłby teraz tutaj przyjechać?

Adam odetchnął. Mundek z trybu „wzorowy policjant” przeszedł w tryb „człowiek empatyczny”. Mniej więcej empatyczny.

Mężczyzna przez dłuższą chwilę milczał, aż wreszcie zaczął mówić powoli:

- No nie wiem... Ale tak... Pewnie tak... Pewnie Jadzia by mogła...
- Pana starsza córka? – upewnił się Adam.
- Ona... Tak...
- Pan mi da numer do niej, zadzwonię.

Krol stęknął, podniósł się z fotela i szurając kapciami, poszedł do kuchni.

– Zadzwonź też do fabryki, niech tu przyślą psychologa. Jak najszybciej. Na pewno się przyda – zarządził Polański.

– Dobra.

Krol podał Adamowi komórkę z wyświetlonym numerem córki. Zanim wrócił na fotel, pochylił się nad wnuczką i pogłodził ją po główce.

– Mogę zobaczyć pokój Anny? – spytał Polański.

– Na piętrze... po lewo...

W pierwszej chwili Adam chciał zaprotestować. Jego zdaniem to nie był dobry czas na podejmowanie jakichkolwiek czynności. W końcu jednak się odezwał. Uznał, że najważniejsze jest, żeby Polański o nic więcej starego Krola nie pytał.

*

Renata stała nad brzegiem stawu z dłońmi wbitymi w kieszenie skórzanej kurtki. Chłód był dojmujący, gwałtowne porywy wiatru targały jej włosy. Rude loki przesuwwały się po policzkach. Drażniąco. Odwróciła się twarzą do wiatru. I – jak się okazało – do Matei.

– I co o tym wszystkim myślisz? – spytał, kiedy tylko przed nią stanął. Nagle się spiął, pokazał palcem na jej twarz. – A w ogóle, co ci się stało?

– Przepraszam – powiedziała cicho.

Na jego twarzy odmalowało się czyste zdziwienie.

– A niby za co?

– Niechcący przypucowałam cię przed Polańskim.

– Zaraz, zaraz, po kolei, bo nic nie kumam.

Nie było sensu zwlekać. Wiedziała, że musi odbyć tę rozmowę. Im prędzej, tym lepiej. Liczyła się z tym, że Mateja się wścieknie, może nawet na nią obrazi. Czy to dobrze, czy źle? Się zobaczy.

Opowiedziała, co wydarzyło się wieczorem w bramie jej kamienicy. Najkrócej, jak się dało, bez zbędnych szczegółów. Mateja milczał i tylko wbijał w nią wzrok. Streściła też poranną rozmowę z Polańskim. I jeszcze raz przeprosiła za to, że zupełnie niepotrzebnie wspomniała, że Krzysiek od kilku dni wiedział o jej problemie. Po prostu jej się wymysknęło. Co z kolei mogło ściągnąć kłopoty na niego. W przeproszaniu nigdy nie była dobra. Kajanie się

zawsze uważała za zbędne. Człowiek coś robi, nieważne, dobrze czy źle, a potem ponosi konsekwencje. Samo słowo „przepraszam” nic, jej zdaniem, nie zmieniało. Ważne było zadośćuczynienie. Czyn, nie słowo.

Zauważyła, że Mateja zacisnął pięści. Zrobił ruch, jakby chciał odejść i zostawić ją z tym wypowiedzianym przez zęby „przepraszam”. Podwójnym. Koniec końców jednak został.

– Miałaś do mnie dzwonić, gdyby pojawił się Czarny Lud. Tak się przecież umawialiśmy – wycedził.

Wydawał się nad wyraz spokojny. Przejął to zachowanie od Polańskiego czy taki po prostu był? Kurde, ona go prawie nie знаła. Prawdę powiedziawszy, wolałaby, gdyby na nią nawrzeszczał.

– No wiesz, trudno jednocześnie napażać się z czterema oprychami i dzwonić.

– Kurwa, mogłaś zadzwonić później.

Jak na harcerzyka przystało, Mateja zwykle nie przeklinał. Czyli jednak go ruszyło. Oczywiście, że mogła dryndnąć, ale tego nie zrobiła. Nawet jej to nie przeszło przez myśl.

Mateja milczał. Ona też nie wiedziała, co powiedzieć. Trzecie „przepraszam” było w tym momencie zupełnie bez sensu. Już nawet na nią nie patrzył, błędził wzrokiem gdzieś po stawie, jakby spodziewał się zobaczyć kolejnego topielca. W końcu wzdrygnął się, jakby ktoś go wybudził ze snu. Wykonał gest, który mógł być wzruszeniem ramion. Ale wcale nie musiał.

– Widzimy się w fabryce – oznajmił chyba tylko po to, by przerwać ciszę, odwrócił się na pięcie i poszedł w stronę swojego nissana.

Odprowadziła go wzrokiem. Miała świadomość, że nie pograła najlepiej. Ale trudno. Czyny i ich konsekwencje. Nic mniej, nic więcej. Najlepsze, co mogła zrobić, to skupić się na sprawie.

Znowu odwróciła się w stronę wody. Zapaliła papierosa, osłaniając go, jak się dało, od wiatru. Zimno szczypało ją w palce. Najwyższy czas przeprosić się z rękawiczkami. Ale czy miała jakieś w domu? Nie pamiętała, czy wrzuciła je do niewielkiej torby z ciuchami, które pół roku temu zabrała z Warszawy. Trudno, najwyżej kupi dzisiaj po robocie. Albo kiedyś.

Zrobiło się już jasno. O tyle o ile, bo chmury wciąż przesłaniały niebo. Miasto obudziło się do życia. Właściwie, które miasto? Czy ten cały staw o draczej nazwie znajdował się w Katowicach, czy może jednak w Chorzowie? Granice między miastami aglomeracji śląskiej wciąż były dla niej nieostre, trudne do ogarnięcia. Ale jeśli pierwszy zjawiał się tu Tyszka, musiał to być jednak ich rewir. Czyli Katowice. Kato, jak mówili koledzy. Tak, koledzy, tak już o nich myślała, tak mówiła. Pewnie się trochę z nimi oswoiła.

Od niedopałka odpaliła drugą fajkę. Patrzyła na przeciwległy brzeg stawu. Za ruchliwą ulicą stały wieżowce. Dosyć daleko. Na pewno nie było sensu chodzić po tych blokach i rozpytywać, czy ktoś przypadkiem czegoś nie widział. Zwłaszcza nocą. Na ścieżce ciągnącej się wzdłuż brzegu pojawiali się i znikali ludzie. Psiarze ze swoimi pupilami, jakaś grupka młodziaków w dresach i puchówkach, jedna czy dwie kobiety, które na chwilę przystawały i patrzyły w stronę wody. W jej stronę. Na oko postawny mężczyzna, który tak jak ona stał dłużej nad brzegiem i palił.

Normalny ruch nad stawem czy może wiadomość o wyłowieniu wodnika już się rozeszła po okolicy? Przez moment zastanawiała się, czy nie pójść tam i nie popytać gapiów. Że niby sprawca wraca na miejsce zdarzenia? Na razie nie wiedzieli, co właściwie stało się nieszczęsnej Zawojskiej. A już ona najmniej. Do tej pory dowiedziała się o niej tyle, ile powiedzieli jej koledzy. I co usłyszała od jej równie nieszczęsnego byłego męża. A ten do obiektywnych na pewno nie należał. Że była bardzo związana z matką, może nawet za bardzo. Że śmierć Krol mogła nią wstrząsnąć. Miała powód, by się zabić. Ale czy matka mogłaby zrobić coś takiego małej córeczce? A co ona niby wiedziała o matkach, ich emocjach? Tyle co nic.

Pstryknęła petem w stronę wody. Czy dobrze zrobiła, że pozwoliła, aby Mateja zostawił ją nad stawem samą? Do kurwy wynędzniałej, nie mogła skupić się na robocie. I doskonale zdawała sobie sprawę, że będzie rozkojarzona, dopóki nie uporządkuje swoich spraw, nie rozwiąże problemu prześladowcy. Zaczęła rozważać, czy Polański nie ochrzani ją za to, że została tu sama. Podczas porannej rozmowy wyraźnie powiedział, że od tej pory zawsze ktoś ma jej towarzyszyć. Jakby była nieogarniętą panienką, potrzebującą przyzwoitki. Jasne. Ale to była gadka w cztery oczy, z Mateją i Tyszką szef jeszcze nie rozmawiał o jej przygodzie.

– Przygodzie – prychnęła. – Czy ty siebie, Łukowska, słyszysz?

Jadąc do fabryki, włączyła radio, choć bardzo rzadko to robiła. Wolą słuchać muzyki silnika. Chciała jednak zagłuszyć myśli. Popowa łupanina i nawijki prezenterów, rzucających nieśmieszne, wymuszone żarty, z których sami się śmiali, szybko ją zirytowały. Wyłączyła. Najprawdopodobniej była spóźniona, więc uznała, że nie będzie miała czasu na spokojne wypalenie papierosa przed komendą. Zapaliła w aucie. Chrzanić tapicerkę!

I fakt, ledwie weszła do gabinetu Polańskiego, usłyszała cierpkie słowa nadkomisarza:

– Gdzie ty się podziewasz?

– Korki – rzuciła na odczepnego.

Całe szczęście nie wnikał, dlaczego przyjechała do fabryki sama.

Zaczęli odprawę w sprawie Zawojskiej. Dwie nagłe śmierci w jednej rodzinie w ciągu kilku dni. Nie wyglądało to na przypadek. Krolową ktoś przejechał, ale okoliczności śmierci jej młodszej córki nie były na razie jasne. Mogła ze sobą skończyć, miała ku temu powody, pewnie nie gorsze niż inni samobójcy. Ale mógł też jej ktoś pomóc. Koleżanka, do której poszła? Jaka niby koleżanka miałyby coś takiego zrobić i z jakiego powodu? Na razie nie wiedzieli, co to za osoba i czy Zawojska w ogóle do niej dotarła.

Tyszka chrząknął i powiedział:

– W ogóle mało o niej wiemy.

Co racja, to racja. Bo czegoż do tej pory dowiedzieli się o Annie Zawojskiej? Miała dwadzieścia cztery lata i trzyletnią córkę. Była rozwiedziona i toczyła wojenkę z byłym mężem. Choć może to głównie jej matka z nim wojowała. Tego już nie wyjaśnią do końca, bo przecież Krolowa nie żyje. Wiele więcej nie wiedzieli, bo interesowali się Zawojską w stopniu mocno ograniczonym.

Polański miał nadzieję, że po sekcji zwłok dowiedzą się czegoś więcej o okolicznościach jej śmierci. Adam, który tego dnia nie tryskał optymizmem, stwierdził, że mogą się zdziwić. Raczej nieprzyjemnie. Nadkomisarz nie skomentował.

– Nie będziemy czekać z założonymi rękami nie wiadomo na co – powiedział Mundek dobitnie. – Aha, zajrzałem do pokoju Zawojskiej i rozejrzałem się trochę po ich domu. Nie znalazłem listu pożegnalnego, ale to nie musi o niczym przesądzać.

Polecił, by dowiedzieli się jak najwięcej o Zawojskiej. Jak się da i od kogo się da. Byle nie rozpytywali Krola, przynajmniej do czasu pogrzebu. Renata uważała, że to zbytnia ostrożność, przez którą tylko tracą czas, ale zachowała tę myśl dla siebie.

Zapadła cisza. Jak zwykle pierwszy zniecierpliwił się Tyszka.

– To co, zbieramy się, bo robota stygnie, nie? – spytał, podnosząc się z krzesła.

– Jest jeszcze jedna sprawa – zatrzymał ich Polański.

Opowiedział o napaści na Renatę. Mateja prychnął raz i drugi, ale nie komentował. Adam cały czas się na nią gapił, jakby widział ją pierwszy raz w życiu. Albo jakby była nie wiadomo jakim cudem świata. Też coś.

– A ja nie pytałem, co się stało w ryło, bo założyłem, że to jakaś przygoda po alko – rzucił.

– Że niby ja chlam, tak? – najeżyła się.

– Uspokójcie się – wtrącił się Polański. – Od teraz Renata nigdzie po mieście nie porusza się sama. Zawsze ma z nią być któryś z was. Nawet jak będziesz

chciała iść na zakupy czy do pubu, dzwonił po któregoś z nas. W ostateczności ja też pobawię się w niańkę.

W niańkę, zabrzmiało echem w jej myślach. Na co jej przyszło!

– I wszyscy mają oczy dookoła głowy, bo nie wiemy, z kim mamy do czynienia – dorzucił.

– Mundek – zaczął niepewnie Tysza – może lepiej będzie jednak pogadać z Pietruchą.

– Jakoś ogarniemy temat – oznajmił Mateja pewnym głosem.

Chyba więc nie był na nią śmiertelnie obrażony.

– Na razie postaramy się to załatwić na własną rękę. Może Renata dowie się czegoś konkretnego od kolegów z Warszawy. Bo obstawiamy, że chodzi o jakieś dawne historie.

– Ty tu rządzisz – skwitował Adam.

– Dobra, to bierzemy się do roboty. Aha, kto dzisiaj odstawia Renatę do domu?

– Ja – zgłosił się od razu Mateja.

– Nie musisz się tak wyrywać – rzuciła.

Znowu prychnął. Co on dzisiaj prychnął jak koń dorożkarza?

– Naprawdę, lepiej nic już nie mów – zgasił ją.

Więc nie powiedziała.

*

– To się porobiło – Adam kolejny raz powtórzył tę samą frazę, kręcąc głową.

Bardzo powoli jechał w kierunku Piotrowic-Ochojca, na nic zdało się omijanie korków skrótami. Jak każdego dnia ludziska w zwartej masie wracali na Manhattan z roboty. W sumie niespecjalnie mu się spieszyło, do spotkania z Elą miał jeszcze trochę czasu, więc nawet się zirytował.

Znowu wrócił myślami do afery z Renatą. Kiedy tylko zobaczył ją po raz pierwszy, wiedział, że będą z nią kłopoty. Wyglądała mu na taki typ, do którego problemy przyczepiają się jak muchy do lepu. Jednak nie podejrzewał, że aż tak wielkie. Ktoś chciał ją zastraszyć? Zabić? To ostatnie nie mieściło mu się w głowie, bo przecież dawno już minęły niesławne lata dziewięćdziesiąte, kiedy policja była w rozsypce, a bandziom zdarzało się polować na psy. Ale pieron wie, co Petarda nawywijała w Warszawie i okolicach. Nie chciała o tym opowiadać, zasłaniała się tajemnicą służbową. Dobrze sobie! Jakby gliniarze nie gadali ze sobą o większych i mniejszych tajemnicach różnorodnych śledztw. Przy alkoholu albo i bez procentów. Mniejsza, co zrobiła, czy naprawdę zasłużyła sobie na zemstę. Miała problemy, a oni musieli jej pomóc.

Koniec końców uznał, że Polański dobrze zrobił, na razie nie decydując się nadawać sprawie oficjalnego biegu. W sumie w tym momencie nie wiedzieli zbyt wiele, jedynymi konkretami były przebite opony i próba pobicia. Spróbuj sobie poradzić z aferą sami, a nawet, czego był pewien, na pewno sobie poradzą. Tyle że będą mieli więcej roboty, chroniąc Petardę.

Pierwszy do tego zadania wyrwał się Krzysiek. Trudno, żeby było inaczej, przecież Renata jest jego dziewczyną. Adamowi było to na rękę, akurat na czwartkowy wieczór był umówiony z Elą. Krzysiek chciał towarzyszyć Renacie, choć nie była tym zachwycona. Ale przynajmniej wiedziała, że ktoś będzie obok. A on, Adam, ostatnio towarzyszył Eli, choć jego frela wcale o tym nie wiedziała, a gdyby wiedziała, pewnie zrobiłaby mu awanturę, mimo że wcześniej nie kłócili się ani razu. No, może raz czy dwa, ale bliżej było wtedy do zwykłej sprzeczki niż kłótni. Zwyczajna różnica poglądów, nic więcej. Było mu wstyd, że śledził Elę. Tak, musiał nazwać rzeczy po imieniu. Śledził ją. Śledził swoją kobietę. Chciał zapomnieć o wtorkowym wieczorze na Nikiszu, wyrzucić go z pamięci, ale nie potrafił. Rozwiązanie problemu, w który na własne życzenie wmanewrował się przez chorą podejrzliwość, było właściwie jedno: szczerza rozmowa, przyznanie się. Ale w sumie do czego? Że ją widział z długowłosym ciulem? Że ją śledził?

Nim rozstrzygnął wątpliwości, ułożył sobie w głowie plan rozmowy z Elą, dojechał do osiedla Odrodzenia, zwanego Manhattanem. Ogromna miejska sypialnia, którą zaczęto wznosić u schyłku PRL-u, składała się z boczysk z wielkiej płyty ustawionych w esy-floresy, tak dracznie i nielogicznie ponumerowanych, że gubili się tam nawet miejscowi. Kiedy był u Eli po raz pierwszy, też nie mógł odnaleźć jej klatki schodowej. Musiała po niego wyjść. Trochę było mu wtedy wstyd. Jak zwykle stracił kilka dobrych minut, jeżdżąc po okolicy i szukając miejsca do zaparkowania. Na szczęście ktoś wyjeżdżał, więc od razu wbił się za nim. Jego leciwe auto zaprotestowało zgrzytem, kiedy zbyt szybko pokonał krawężnik. Tylko mi się tu nie rozwał, poprosił. Wysiadając z samochodu, uświadomił sobie, że znowu nie pomyślał o prezencie, nawet najdrobniejszym upominku. A przecież jego starzik zawsze kładł mu do łba, żeby bez gyszynku nie iść w gości. Czy faktycznie jednak szedł w gości? Czy tak jakby do siebie? Przecież Ela od dawna nie traktowała go w swoim mieszkaniu jak obcego czy nawet zwykłego znajomego czy przyjaciela. W kubku w łazience tkwiła jego szczoteczka do zębów, miał tam półeczkę z niezbędnymi kosmetykami, a w komodzie w sypialni – szufladę na ubrania. Plus trzy wieszaki w ściennej szafie w przedpokoju. Jaki z niego był więc gość? Był u Eli jako tako zadomowiony, co jednak nie wykluczało, żeby przyjść z prezentem. Żeby było miło. Żeby odpokutować za grzechy, o których jeszcze

nie wiedziała. Poszedł do pobliskiej kwiaciarni, która na szczęście była otwarta. Kupił pięć czerwonych goździków z dyskretnym przybraniem, kwiatów, które znowu powoli wracały do łask. Nie miał pojęcia, dlaczego kilkanaście lat wcześniej prawie zupełnie zniknęły z kwiaciarni. Jemu zawsze się podobały.

Eli chyba też, bo powitała go uśmiechem i zaraz zaczęła kobiecie czary-mary z przycinaniem końcówek kwiatów i precyzyjnym umieszczaniem ich w wazonie, który wylądował na stole. Zastawionym. Kiedy tylko Adam wszedł do mieszkania, poczuł cudowny zapach i uświadomił sobie, jak jest głodny. Rano zjadł tylko kanapkę z pasztetem, później w ogóle zapomniał o jedzeniu.

Nie spodziewał się kolacji, nie tego dnia, ale Ela czasami go w ten sposób zaskakiwała. Twierdziła, że nie przepada za gotowaniem, jednak od czasu do czasu przygotowywała mniej lub bardziej fikuśne potrawy. Tym razem postawiła na klasykę, czyli pieczoną pierś kaczki, opiekane ziemniaki oraz podrasowaną wersję modrej kapusty z dużą ilością rodzynek i suszonych śliwek. Smakowało tak, jak pachniało. Jedli niespiesznie, popijając czerwonym winem i rozmawiając o tym, co robili przez ostatnie dni. Było zarazem odświeżnie i zwyczajnie. I było mu dobrze na tyle, że zapomniał o własnych rozterkach, o rozmowie, którą miał odbyć z Elą. I niemal zapomniał o długowłosym ciulu.

Od stołu płynnie i naturalnie przeszli do łóżka. Pozwolił się prowadzić Eli, dosłownie i w przenośni, bo niemal od początku ich bliskości ona była stroną dominującą, co mu odpowiadało. Więcej, kochał to tak, jak kochał Elę. Był obok niej, był w niej, był w miejscu poza myślą.

Ela zasnęła pierwsza. Słyszał jej równy, spokojny oddech. Lubił, kiedy zasypiała pierwsza, wtedy opierał się na łokciu i na nią patrzył. Kiedyś go na tym przyłapała i spytała, co robi. Czuwam nad tobą, odparł. Uznała to za rozczulające, choć trochę dziwne, i zaraz ponownie zasnęła, wtulając się w jego bok. Powieki mu opadały. Przez głowę przeleciała myśl, że przecież miał się z nią rozmówić. Postanowił, że równie dobrze może to zrobić podczas śniadania. Powie prawdę, powie o wszystkim, co myślał i co robił. Ale czy początek dnia jest dobrym momentem na wyznania? Czy nie zepsuje Eli całego dnia?

Z tymi pytaniami zasnął.

piątek, 14 lutego 2013

Renata była ledwie przytomna, mimo dwóch wypitych kaw i długiego prysznic. Emocje, a do tego jedna noc prawie nieprzespana, a druga przespana o tyle o ile, zrobiły swoje. Mogła znieść wiele, ale brak snu zawsze ją na dłuższą metę rozwaliał. Zapaliła. Nawet nie liczyła, która to fajka tego poranka. Bo i po co się niepotrzebnie stresować.

Wczoraj szybko ukołysały ją dwa kieliszki wina wypite na pusty żołądek. W czwartek nic nie jadła, nie miała ochoty. Nawet pan Rysio, dobra dusza, jej nie skusił. Zapukał do niej z wieczora, proponując ciepłą zupę. Żona uwarzyła, a warzy dobrze, zachwalał, co było trochę podejrzane, bo nigdy nie chwalił ślubnej. Z zasady. Podziękowała, jak tylko usłyszała, że to kapuśniak. Od dziecka nie cierpiała kapusty. Pod żadną postacią. Odrzucało ją na widok bigosu czy zasmażanej. Kapuśniak zwyczajnie jej śmierdział. Tropiła kawałki kapusty w każdej sałatce, nieważne – włoskiej czy pekińskiej, czerwonej czy białej. Pan Rysio był wyraźnie zawiedziony.

Zapadła w głęboki sen, z którego wyrwał ją sygnał komórki. Z trudem rozkleiła powieki. Było ciemno, bardzo ciemno, więc pewnie środek nocy. Byle nie kolejny trup, przeleciało jej przez głowę. Tego by już nie zniosła, za wiele wątpliwych atrakcji w krótkim czasie. Wymacała telefon na krześle, które w jej mieszkaniu robiło za szafkę nocną, spojrzała na wyświetlacz.

Tamaryna.

Ki czort?

Godzina trzecia siedemnaście to nie był dobry czas na pogaduszki z Tamaryną. Oczekała, aż komórka zamilknie, zamknęła oczy. Wyrównała oddech, odliczała do dziesięciu, stu, dwustu... Sen nie nadchodził. Usiadła na łóżku, klnąc pod nosem. Zapaliła, nawet nie dlatego, że chciało jej się palić, tylko zupełnie odruchowo.

Tamaryna. Człowiek z jej poprzedniego, warszawskiego życia. Robiła z nim w jednym zespole w CBS prawie dwa lata. Ona była wtedy Petardą, on – Tamaryną. Od początku znajomości bawiło ją pseudo kolegi. Spytała go wprost, jak to ona, czemu akurat Tamaryna. Zbył ją, wyraźnie zirytowany. Popytała znajomków, chętnie objaśnili. Konstancy, bo takim imieniem rodzice uszczęśliwili na chrzcie Tamarynę, swego czasu zabujał się w dekoracyjnej

brunetce, która całkowicie zawróciła mu w głowie. Nieustannie zamęczał kolegów opowieściami o tym prawdziwym cudzie świata, kobiecie zarazem inteligentnej, pięknej i odcytanej. Nikt nie miał pojęcia, dlaczego akurat odcytanie w tym przypadku było dla niego istotne. A każdą opowieść o brunetce zaczynał w ten sam sposób: „bo ta Maryna to”, „bo ta Maryna tamto”. Nic więc dziwnego, że z miejsca został Tamaryną. Na początku jeżył się na dźwięk przezwiska. W końcu przywykł albo zaakceptował nieuniknione. W sumie lepiej być Tamaryną niż Konstantym.

Uznała, że jeśli ze snu i tak nici, spokojnie może się dowiedzieć, czego chciał dawny kumpel. Oddzwoniła. Zaczął z nią gadkę tak, jakby widzieli się ledwie wczoraj. Tak miał i była mu wdzięczna, że pominął wstępne pogaduszki typu: co tam u ciebie, czy w rodzinie wszyscy zdrowi, a pieniędzy nie brakuje. Dowiedział się, trochę przypadkiem, od ich dawnego kumpla z fabryki, Zibiego, że Petarda wczoraj dzwoniła i rozpytywała, czy ktoś przypadkiem nie odgrażał się na mieście, że ma z nią kosę. No i przypomniało mu się, że parę tygodni wcześniej ktoś mu sprzedał newsa – nie pytaj, bo nie pamiętam kto – że Laska pyszczył, że jak tylko Petarda znajdzie się na wyciągnięcie jego ręki, to ją zajebie. Ale że niby Laska? Renata była zdumiona. Tamaryna powiedział, że więcej nie wie, ale może popytać, jeśli potrzeba. Powiedziała, że będzie wdzięczna. W słuchawce rozległ się tubalny śmiech. Petarda będzie wdzięczna, świat się kończy, no chyba że te Katowice tak cię zmieniły. Kazała mu się walić z czubka drzewa na beton, co wywołało kolejny napad śmiechu. Na szczęście nie wnikał, o co dokładnie chodzi, rzucił tylko, że w robocie jest i musi już spadać z druta. Lubiła jego powiedzonka. Życzył szczęścia w życiu rodzinnym i w ogóle. Na pewno to „w ogóle” się przyda.

Kim był Laska? No właśnie nikim. I to ją, prawdę powiedziawszy, zaniepokoiło.

Przegryzła kabanosa, zaparzyła kawę. Zapaliła, wydmuchując kółka dymu pod sufit. Pierwszy wychynął z pamięci obrazek. Trochę śmieszny, trochę żałosny. Błady świt, oczywiście o tej porze robili realizację, zabałaganiony pokój, rozbebeszone łóżko z pościelą drugiej świeżości. Skuty Laska leżakuje na podłodze. Obowiązkowo ogolony łeb, nienaturalnie rozrośnięte ramiona, białe slipy ze sporą dziurą, cienkawe nóżki. Na siłce nie tracił czasu na robienie nóg. Nie on jeden. Laska w całej krasie.

Laskowski, więc wiadomo, że innego pseudo po prostu mieć nie mógł. Imienia nie pamiętała, bo i po co. Sprawa sprzed czterech, może pięciu lat. Laska był trzeciorzędnym gangusem, choć to i tak określenie mocno na wyrost. Jemu i paru jego kumplom z podwórka z Nowego Dworu Mazowieckiego ubzdurało się, że jeśli puścili na ulice trochę towaru i ostukali jednego typa bejsbolami, to

są wielkimi mafiosami, a miasto należy do nich. Zresztą wielkie tam miasto! Zawinęli ich przy okazji innej, dużo większej sprawy. Brała udział w zatrzymaniu Laski, nic poza tym. Nawet słuchał go ktoś inny.

Wdusiła peta w popielniczkę. Zrobiła kilka rundek od kuchni do pokoju i z powrotem.

Gdyby każdy, którego zatrzymała, chciał się na niej mścić, nie opędziłaby się od tych popaprańców. No do kurwy wynędzniałej, czego Laska od niej chce?!

*

Ostre promienie niskiego lutowego słońca poraziły mu oczy. Słońce wreszcie zaświeciło nad Katowicami, niekoniecznie jednak nad nim. Krzysiek zwolnił, sięgnął do schowka po ray-bany, ale ich nie znalazł.

– Kuuurwa.

Zaparkował nissana na pierwszym wolnym miejscu, wysiadł i zaczął przeszukiwać auto, coraz bardziej zły. Nie wiedział, co go bardziej wkurzyło, zniknięcie ulubionych okularów przeciwsłonecznych czy przekleństwo, które mu się wyrwało. Z zasady, trochę także wbrew kolegom z fabryki, nie klął. Uważał przeklinanie za wyraz słabości charakteru. Uświadomił sobie, że ostatnio rzuca grubymi słowami jakby częściej. Przez Renatę? Niewykluczone.

Ray-bany znalazł pod fotelem pasażera. Co tam robiły? Nie wnikał. Wrócił za kółko i ruszył w stronę centrum handlowego 3 Stawy znajdującego się na katowickim Muchowcu.

Od wczorajszej odprawy u Polańskiego tropił osoby, które bliżej znały Zawojską, co okazało się trudnym zadaniem. Nie mieli jej komórki, najbardziej oczywistego źródła namiarów na znajomych. Telefonu nie było przy zwłokach, Polański nie znalazł go też w jej domu. Pewnie leżał na dnie stawu Maroko. Ustalił operatora sieci komórkowej, wystąpił o billingi, ale to miało potrwać i niekoniecznie przyniesie efekty. Zmarła od lat nie była nigdzie zatrudniona, bo zajmowała się córką, więc znajomkowie z pracy odpadali. Poza tym z tego, czego się do tej pory dowiedzieli, wynikało, że od dłuższego czasu żyła wyłącznie w kręgu rodziny. Bardzo niewielkim. Krzysiek jednak nie należał do ludzi, którzy szybko się poddają. Wpadł na pomysł, żeby pójść śladem edukacji Zawojskiej. Trochę mu to zajęło, ale po kilku godzinach przeszukiwania internetu i kilkunastu telefonach namierzył byłą wychowawczynię zmarłej, a ta podrzuciła mu wreszcie w miarę konkretny trop. Wychowawczyni kilka miesięcy wcześniej, podczas zakupów w 3 Stawach, natknęła się w butiku na byłą wychowanekę, która, jak nauczycielce się zdawało, była przyjaciółką Zawojskiej,

a przynajmniej w szkole trzymały się razem. Uznał, że to lepsze niż nic, może złapie początek nitki, która zaprowadzi go do kolejnych osób. Oby.

Zaparkował na parkingu podziemnym, prawie pustym wczesną porą, i błąkał się dobre dwadzieścia minut po wielkim centrum handlowym, w którym wcześniej nie był, nim znalazł sklep z damskimi ciuchami, gdzie pracowała Maja Klesner – szczupła, ewidentnie farbowana blondynka, jakby odbita ze sztancy typowej blondyny. Wypłoszyła się, kiedy usłyszała, że to policjant chce z nią rozmawiać. Szybko uspokoił, że ma tylko kilka pytań o jej przyjaciółkę. Wyszła z nim z butiku, odprowadzana zaciekawionym spojrzeniem koleżanki, usiedli na ławce ustawionej w szerokiej alejce.

Na wieść o śmierci Zawojskiej Klesner tylko opuściła głowę. Bez słowa, bez okrzyku niedowierzania, nawet – zdaje się – bez jednej łzy. Nie była skora do okazywania emocji? A może wcale z Anną aż tak bardzo się nie przyjaźniły?

– Przykro mi – rzucił Krzysiek.

– No mi też – powiedziała, podnosząc wzrok i patrząc na witrynę sklepu oklejoną plakatami zachęcającymi do kupna butów w promocji, jakiej jeszcze nie było.

Akurat.

– Wiem, że się przyjaźniłyście – darował sobie mówienie na „pani”, żeby skrócić dystans.

– Tak. Nie. To znaczy nie do końca.

Obróciła twarz ku niemu. Co w niej dostrzegał? Niepewność, może zagubienie.

– Spokojnie, proszę mówić, mam czas.

Za to chyba ona nie miała, bo spojrzała na zegarek.

– Kumplowałyśmy się w szkole. Bardzo – zamilkła na dłuższą chwilę. – No, imprezy, łożenie po sklepach, pogaduchy. Normalnie. O wszystkim sobie mówiłyśmy. Więc tak, na pewno, to była przyjaźń. Ale... – zawiesiła głos.

– Coś się stało? Pokłóciłyście się?

Pokręciła głową.

– Właściwie nie. Wszystko się zmieniło, gdy Anka zaszła w ciążę. No i potem za Kubę wyszła. Jakoś tak się między nami zaczęło rozmywać.

Jasna sprawa, skończyło się beztrudnie imprezowanie i zakupy traktowane jako forma rozrywki, ale to nie był powód, żeby zrywać przyjaźń. Przynajmniej on tak myślał.

– Co masz właściwie na myśli?

– Ja to rozumiem, dzieciak to obowiązek. I uwiązanie do chałupy. Sama jeszcze nie mam, ale parę koleżanek tak, więc kojarzę temat. Mnie to nie rusza

ani nie wkurza, że wkoło o tych dzieciakach gadają, że zarobione są. Kiedyś im przejdzie.

Albo i nie, przemknęło mu przez myśl.

– Tyle że Anka bardzo w nową rodzinę się wkręciła – kontynuowała Klesner.
– Na nic czasu ani ochoty nie miała. Ciągłe była zmęczona. Taka bardziej udręczona, no nie. Chociaż w sumie, jak tak myślę...

– To? – zachęcił ją do zwierzeń.

– Jak mieszkała z Kubą w Gliwicach, jeszcze źle nie było. Rzadko, ale w miarę regularnie się z nią spotykałam. Kilka razy nawet tam u nich byłam.

– Jakie wrażenie zrobił na tobie Jakub?

– Sympatyczny był, no i nawet nie za brzydki. Poza tym facet jak facet. Ance i dzieciakowi niczego nie brakowało. A potem się okazało, że to jednak kawał złamasa. Takie są chłopy.

Krzysiek wolał nie komentować.

– Czy Anna zwierzała się, że się nad nią znęcał, bił?

– Nadawać na niego to nadawała. Ciągłe. No ale która nie narzeka na swojego faceta – lekko się uśmiechnęła. – Ale o biciu nie było mowy. A na pewno o takiej akcji by mi powiedziała.

– Dobrze, wracając, to kiedy kontakt między wami się – przez moment szukał odpowiedniego słowa – rozluźnił?

Klesner znowu wbiła wzrok w wystawę z butami.

– To pewnie się zaczęło, jak do matki wróciła i zaczęła się rozwodzić.

– A co konkretnie się zmieniło?

– No mówiłam – czyżby w jej głosie zabrzmiała nuta irytacji? – Wcześniej spotykałyśmy się mniej więcej regularnie. Nie na jakieś imprezy od razu, tylko winka się napić, pogadać. Wiadomo, takie tam babskie spotkania. Ja mówiłam, co u mnie, ona – co u niej. Normalnie tak. Jak już na Załęże wróciła, w ogóle trudno ją było z chałupy wyciągnąć. Niby że dziecko, samotna matka, takie tam. Ale przecież to jej stara głównie przy małej chodziła. A nawet jak już ją gdzieś wyciągnęłam, była jakaś taka... spięta. W ogóle pić nie chciała, nawet kieliszka wina. Jak się z niej podśmiewałam, że pewnie ślubowała Maryi w Piekarach Śląskich abstynencję, obrażała się. No normalnie trudno było z nią gadać, zażartować to już w ogóle.

Niby jasna sprawa, kombinował Krzysiek, Zawojka nie chciała pić i gadać o pierdołach, więc przyjaźń się skończyła.

– Spotykałyście się może w ostatnich tygodniach czy miesiącach?

– Nie bardzo.

– A pamiętasz, kiedy ostatnio się z nią widziałaś?

– Jakoś w grudniu, przed świętami. Tak na szybko, życzenia sobie złożyć.

– O czym rozmawiałyście? Może o Jakubie?

– No chciała o nim nawijać. Wystartowała, że to złamas, alimentów nie płaci, że pijak, że taki owaki. Nie ciągnęłam tematu, bo ona ciągle na niego nadawała. To już nudne było.

– A w jakim była nastroju?

– A bo ja tam wiem? Zmęczona jak zawsze. Taka jakaś zrezygnowana. To bardziej z wyglądu. Zanedbana była, i tyle.

Nic dziwnego, że akurat na wygląd zwróciła uwagę. Sama miała starannie ułożone włosy, makijaż, którego zrobienie najpewniej – na ile Krzysiek się w tym orientował – zajęło jej z godzinę, i tipy tak długie, że pewnie przeszkadzały w pracy. Jak ona z takimi pazurami obsługuje kasę albo układa ciuchy na półkach? Wyższa szkoła jazdy.

– Czy twoim zdaniem Anna mogła mieć depresję?

– A co ja, psycholog?!

Czuł coraz mocniej, że dziewczyna ma już dosyć rozmowy.

– Wiesz może, z kim jeszcze się przyjaźniła, spotykała?

– No raczej teraz to z nikim. Tak myślę.

– Nikt ci nie przychodzi do głowy?

– Nie bardzo. Przynajmniej nie mówiła, że widziała kogoś ze starej ekipy – zastanawiała się przez chwilę. – Może z Zuzką Krychalską. Też z Załęża.

– Masz na nią namiar?

Popukała w telefon. Spisał numer z wyświetlacza.

– Wracam do robola – oznajmiła.

Wstali z ławki.

– A wiesz, że kilka dni temu zginęła matka Anny?

– Że jej stara? Matka z córką tak w jednym czasie?

– Tak.

– O Matko Boska!

*

– Trzymasz się blisko mnie, nie dalej niż metr, jasne – Tyszka się zaśmiał.

– A co, może jeszcze szelkami mnie do siebie przywiążesz? – odwinęła się Łukowska.

– Nie noszę szelek – wyjaśnił, a potem się zaniepokoił: – Sugerujesz, że jestem za gruby?

Poklepał się po brzuchu, fakt, może trochę wystającym, ale znowu nie aż tak bardzo. Przecież Ela nie narzekała na jego wygląd, a tylko jej zdanie było dla

niego istotne. Tak czy siak, warto pomyśleć o siłowni. Może wróci do treningów bokserskich, bo przecież biegał nie będzie. Joggingi nie dla niego.

– Przestań paplać jak potłuczony, Adam, wchodzimy na cmentarz.

A tej co znowu się stało, że się zrobiła świętsza od farorza? Stres nie tłumaczył wszystkiego.

Zdzisławę Krol grzebano na katowickim cmentarzu komunalnym przy ulicy Gospodarczej, bardzo rozległej nekropolii. Było słonecznie, ale od rana trzymał lekki mróz, więc żeby nie błakać się za długo na zimnie, najpierw sprawdzili w administracji, gdzie znajduje się kwatery. Skręcili za dużym domem pogrzebowym w prawo, mieli do przejścia spory kawałek.

Adam nie był pewien, czy ich obecność na pogrzebie ma większy sens, ale Mundek się uparł, że muszą tam być. Pan każe, służa musi. W sumie Adamowi było wszystko jedno, co tego dnia robił. Po nocy spędzonej z Elą czuł przyjemną lekkość życia i bycia. Nie był to jego naturalny stan, więc tym bardziej go doceniał i pielęgnował. Trochę tylko uwierało, że podczas śniadania nie zdążył rozmówić się ze swoją panią. Swoją panią? Tak, czasami tak właśnie o niej myślał, choć nie zdradzał się z tym przed nią. Nie sądził, by jej się to spodobało. Obudzili się nie dość wcześnie, Ela była spóźniona, więc śniadanie jedli prawie na stojąco. Kiepski moment na poważne dyskusje. Trudno, zrobił, co zrobił, nie był z tego dumny, wciąż czuł niepewność pomieszana z wyrzutami sumienia, ale przynajmniej podjął decyzję. Prędzej czy później rozmówi się z Elą, wyczyści sytuację. I szlus.

Gdyby nie znali numeru kwatery, mogliby przeoczyć miejsce, w którym odbywał się pochówek. Głos księdza nie niósł się daleko, a otwarty grób otaczała niewielka grupka żałobników. Oszacował, że w ostatniej drodze towarzyszyło Krol ledwie kilkanaście osób. Fakt, z tego, co mówił jej mąż, Zdzisława była trudnym człowiekiem, mogła więc nie stworzyć wokół siebie wianuszka bliskich i przyjaciół, ale żeby aż do tego stopnia? Pewnie przyszła tylko najbliższa rodzina. Dziwne. Na tego rodzaju pogrzebach zwykle zjawiali się dawni znajomi z pracy, sąsiedzi, w końcu długo mieszkała na Załężu. Do tego Krolowa zginęła tragicznie, a nie ma nic bardziej pociągającego, wyzwalającego chwilowe zainteresowanie innych, nawet całkiem obcych, jak tragedia. Adam przekonywał się o tym wielokrotnie. Co z tą pierońską rodziną jest nie tak?

Dał znać Renacie, żeby się zatrzymali. Nie było sensu pchać się za blisko, w tak niewielkim gronie mogli wywołać niepotrzebną sensację. Stanęli kilkadziesiąt metrów od grobu, w którym miała spocząć Krol, schowani za sporym grobowcem rodzinnym. Renata przestępowała z nogi na nogę. Wiedział już, co to oznacza. Chciało jej się palić. Jemu też, ale nie aż tak.

– To trochę dziwne – odezwała się.

– Co?

– Widzisz małą Zawojskiej?

Wychylił się zza wysokiej marmurowej płyty, na której wyryto imiona i nazwiska całego zastępu Struzików z rodzinnymi przyległościami. Przy trumnie ustawionej nad otwartym grobem stał Krol z pochyloną głową. Obok niego ustawili się ksiądz z ministrantem. Reszta uczestników pogrzebu stała kilka metrów od nich, po drugiej stronie grobowca, jakby irracjonalnie lękali się zarażenia nieszczęściem i rozpaczą.

– W ogóle nie ma tam żadnych dzieci – stwierdził.

– Właśnie. I to mnie zastanawia.

– Dlaczego?

– Zwykle przy takich okazjach jednak ciągnie się dzieci ze sobą. Tak mi się zdaje, więc Jadwiga powinna tu być.

– Jaka znowu Jadwiga?

– Roksana ma tak na drugie.

– Aha. No nie jestem pewien, czy to takie wyjątkowe. Zimnica, może dlatego Krol nie chciał zabierać ze sobą dzieciaka.

– To kto z nią jest?

Adam wzruszył ramionami, dociekliwość Renaty zaczynała go irytować.

– A skąd ja mam wiedzieć? Może jakaś opiekunka, może ta druga córka.

– Taaa, już to widzę. Starsza córka, która wcześniej rodzinę miała absolutnie w dupie.

– Jak i oni ją.

– Niewykluczone. Ale właściwie Jadwigi też tu nie ma.

– Oczadziałaś, Petarda – Adam tracił do niej cierpliwość. – Chwilę temu już to mówiłaś.

– Nie mów do mnie Petarda – powiedziała bez złości, jakby automatycznie. – Starsza córka Krolów ma na imię Jadwiga. O niej teraz mówię.

– Istna parada Jadwig – pokręcił głową. – Dla mnie jest jasne jak słońce dzisiaj, że starsza została w domu z siostrzenicą.

– Jakoś to mi się nie składa.

– A weź, szukasz dziury w całym.

Nie skomentowała. Patrzyli na koniec ceremonii. Ksiądz z ministrantem zawodzili żałobną pieśń. Żaden z nich nie miał głosu. Grabarze opuścili trumnę do grobu. Krol pierwszy rzucił grudkę ziemi, potem stanął z boku i znowu opuścił głowę. Kolejne osoby podchodziły do grobu, powtarzały ceremoniał, składały kwiaty, a później kondolencje Krolowi. Nie minęło wiele czasu, a przy grobie pozostał tylko wdowiec i jeszcze jeden starszy mężczyzna. Adam

zauważył pewne, choć znowu nie tak wielkie, podobieństwo do Krola. Brat? Ktoś inny z rodziny?

– Chyba nam wystarczy, nie? – Renata pierwsza przerwała ciszę. – Dupsko mi już odmarza.

– Było się ubrać jak trzeba.

– Tatusiu, wyluzuj z dobrymi radami.

Adam nie zripostował. Patrzył na Krola, który przeżegnał się nieporadnym, jakby niedokończonym gestem, a potem odszedł od grobu razem z drugim mężczyzną. Już teraz wyglądał tak, jakby za chwilę miał się rozpaść na kawałki. Albo zalec na ziemi i tak zostać do końca. A co będzie po pogrzebie córki? Tyszka nie umiał sobie tego wyobrazić.

*

– Bez adwokata nie gadam.

– Jasne, graliśmy już to kilka razy, ale po co sobie niepotrzebnie utrudniać życie? – Polański nadał głosowi spokojne brzmienie. – Tym razem to nie przesłuchanie, a rozpytanie.

Jakub Zawojski przekrzywił głowę i wgapił się w stół.

– Jeden pies. Bez urazy – wymamrotał pod nosem.

Mundek przyglądał mu się przez chwilę. Zawojski wyglądał lepiej niż w sobotę. Kilka dni bez alkoholu zrobiły swoje. Wciąż jednak sprawiał wrażenie człowieka, który funkcjonuje na zwolnionych obrotach. Choć może zwyczajnie taką miał naturę i nigdy nie był gejerem energii, emocji.

Nadkomisarz postanowił zagrać z nim w otwarte karty. W końcu i tak prędzej czy później musieli go powiadomić o śmierci żony. Byłej.

– Jakubie, mam złą wiadomość...

Zawojski z miejsca się spiął i prawie krzyknął:

– Coś się stało Roksance?!

– Nie, z twoją córką wszystko w porządku. Anna nie żyje – zawiesił głos i po chwili dodał, choć, jak mu się zdawało, raczej niepotrzebnie: – Przykro mi.

Jakub opuścił głowę i powiedział cicho, metalicznie brzmiącym głosem:

– Ale że jak... Nie wierzę...

– Niestety, to prawda i...

Zawojski wbił się Mundkowi w zdanie:

– A myślałem, że złego nic nie weźmie... Jak?

– O co pytasz?

– Jak umarła?

– Najprawdopodobniej się utopiła, ale dopiero badamy okoliczności jej śmierci.

– Przecież dobrze pływała – Jakub wciąż przemawiał do podłogi. – A na pewno lepiej ode mnie.

– Mówiłem, że dopiero...

Nagle Zawojski wyprostował się na krześle, podniósł głowę i zaczął mówić tak, jakby był w pokoju przesłuchań sam albo rozmawiał z kimś zupełnie innym niż policjant:

– Anka nie żyje... Wiesz, że to, co czuję... Się rozchodzi, że chyba nic nie czuję... Kiedyś kochałem Ankę, choć początki mieliśmy, jakie mieliśmy... Seks, wpadka... Nie zaczęło się od miłości... Potem Ankę pokochałem... Ale chyba bardziej jako matkę Roksanki, a nie...

– Jakub – Mundek postanowił przerwać ten monolog.

– A nie jak kobietę... My tam zawsze niedopasowani byliśmy. Ona o tym wiedziała, ja też. Ale Roksanka, wiadomo, więc...

– Jakub, wystarczy! – nadkomisarz podniósł głos.

Zatrzymany zamilkł i wreszcie na niego spojrział.

– Co z moją córką? – zaniepokoił się.

– Dojdziemy i do tego, ale wcześniej muszę ci zadać kilka pytań o Annę.

– Ale...

– Powiedziałem – uciął Polański. – Miejmy to już za sobą.

Zawojski powoli skinął głową.

– Czy kojarzy ci się z czymś staw Maroko? – zapytał Mundek.

– Nie bardzo.

– Znasz koleżanki Anny? Wiesz, z kim się spotykała?

Jakub najpierw sięgnął dłonią głowy, zdrapał niewielki strup i pstryknął nim na podłogę. Nie wiedzieć czemu, Mundkowi wydało się to obrzydliwe.

– Kiedyś tak, teraz to nie wiem.

– Pamiętasz jakieś nazwiska?

– No nie wiem, jak to powiedzieć.

Mundek westchnął ciężko. Czy Jakub znowu chciał grać w grę „nic nie pamiętam”? Po co?

– To przecież wcale nie jest trudne pytanie – rzucił, siłąc się na spokój.

– Ale trudna odpowiedź – odparł Zawojski nadspodziewanie trzeźwo. – Jak poznałem Ankę, to miała całą grupę kumpel. Taki niby wianuszek. Tak się mówi, nie? Nazwisk już nie kojarzę. Jednak po ślubie zniknęły. Albo Anka przestała się nimi interesować. Nie mam pojęcia, jak było, nie wnikałem. Jej koleżanki, jej sprawa. Zresztą po urodzeniu się Roksanki i tak teściowa prawie stale była obok niej, to jak miała się spotykać z koleżaneczkami?

Mundek uznał pytanie za retoryczne, zachęcił Zawojskiego gestem dłoni, by mówił dalej.

– Ooo, wiem... Maja!

– Co to za Maja!

– No, Maja, nazwiska to nie pamiętam. Z nią się Anka przyjaźniła. To koleżanka ze szkoły średniej. Nawet była u nas w domu w Gliwicach kilka razy. Jak jeszcze mieliśmy dom... Taka bardziej sympatyczna, choć chyba za dziećmi nie przepadała.

– Dobrze, Maja. Ktoś jeszcze?

– Tak do końca to nie wiem. Anka, jak ze mną była, w ogóle rzadko wychodziła, żeby się z kimś spotkać. Nawet ją zachęcałem, żeby się poszła przewietrzyć, zająć czymś innym głowę. A nie tylko matka i Roksanka, Roksanka i matka.

– Skarżyła się na to?

– Nie bardzo, tylko mówiła, że jest ciągle zmęczona.

W to Mundek nie wątpił, doskonale widział i wiedział, co działo się z Beatą po urodzeniu kolejnych dzieci. Jak ją to wyczerpywało, mimo że nigdy się nie skarżyła. Prawie nigdy.

– Pamiętasz jeszcze jakąś koleżankę Anny?

– Była jakaś Kaśka, z Siemianowic, zdaje się. Dzwoniły do siebie. Więcej nie pamiętam – widząc, że nadkomisarz chce coś powiedzieć, dodał: – Naprawdę.

– Wiem, że to trudne pytanie, ale spróbuj na nie szczerze odpowiedzieć. Czy Anna miała myśli samobójcze?

– Anka... – powiedział tak, że Mundek nie wiedział, czy to pytanie, czy początek stwierdzenia. – Ja w ogóle miałem problemy, żeby wycząć, o czym ona myśli. Nawet jak z nią byłem.

– Aż tak?

Polański wiedział, że ludzie są w stanie przeżyć razem całe życie, zupełnie nie znając tej drugiej osoby. Wydawało mu się jednak, że Zawojski powinien wiedzieć, co i w jaki sposób myślała jego była żona, skoro toczył z nią wojnę. Właśnie... chyba tylko wydawało.

– Czasami to kombinowałem, że Anka w ogóle nie myśli.

Polański uniósł brwi.

– Że nie musi, by myśli za nią teściowa.

– A czy nie mogło być tak, że Anna po śmierci matki załamała się i targnęła na swoje życie?

Nadkomisarz wiedział, że nie powinien zadawać Zawojskiemu tego rodzaju pytań, sugerujących, chciał go jednak zmusić do mówienia.

– Anka miała wyjątkowo silny, choć chory związek z matką, ale jednak mocniejszy z Roksanką. Przynajmniej chcę tak myśleć. Nie wydaje mi się, żeby mogła tak... w taki sposób zostawić naszą córeczkę. Aż tak zła nie była.

Mundek zamknął notes, w którym nic nie zapisał. Nie było takiej potrzeby.

– Widzisz, obyło się bez adwokata – powiedział, wstając i ruszając w stronę drzwi. – Kończymy.

Zawojcki nie ruszył się z krzesła.

– To kiedy mnie wypuszczacie?

– Słucham? – Polański stanął jak wryty.

– Kiedy wyjdę?

– O tym jeszcze nie ma mowy.

– Ale przecież muszę się zająć córką.

– Ma opiekę. A ja pogadam o tobie z prokuratorem – uspokoił go.

– Noż, kurwa, przecież nie mam nic wspólnego ze śmiercią Anki – Zawojcki mówił coraz szybciej i głośniej. – Roksanka potrzebuje opieki. Stary nie umie zająć się dzieckiem.

– Nie martw się tym na razie...

– Musicie mnie wypuścić! Teraz! Zaraz!

– Uspokój się.

Zawojcki zerwał się z krzesła i podszedł do Mundka, zaciskając pięści.

– Wypuść mnie, kutasie!

– Pogarszasz swoją sytuację – Polański stał przed nim bez ruchu.

– Chuja tam! Nie ruszę się stąd, jeśli nie dostanę kwitu na wyjście. Jasne? – wrzasnął.

Wrzaski ściągnęły do pokoju przesłuchań mundurowego. Mundek kazał mu odprowadzić zatrzymanego do aresztu. Zawojcki zaczął się rzucać, wyrzaskiwać swoje żale do Mundka, całej policji i świata. Skuli go, nie bez trudu, i mundurowy wywlókł go z pokoju.

Polański przecesał palcami zmierzwiłone włosy. Nie był pewien, czy bardziej jest mu Zawojckiego szkoda, czy też budzi on w nim złość.

*

Za ścianą ledwie słyszalnie szemrał telewizor. Skrzypnęły drzwi. Beata już kilka dni temu prosiła Mundka, żeby je naoliwił. Obiecał, ale wypadło mu z głowy. Zawsze tak miał w trakcie intensywnego śledztwa, że zapominał o obowiązkach domowych, dokuczliwych drobiazgach. Powinien zająć się zawiasami teraz, póki pamięta, ale to nie był dobry moment, żeby szarpać się z drzwiami. Jeszcze

obudziłby Basieńkę. Trudno, jeśli później znowu zapomni, zajmie się tym teść. Jak to już nieraz bywało.

Poprawił kocyk okrywający Basieńkę, patrzył na jej twarzyczkę, na której błąkał się półśmiech. Już się coś córce śni? Wsłuchiwał się w jej spokojny oddech. Lubił chwile, nie tak znowu częste, kiedy usypiał małą. Czuwał przy niej. Dawał tyle ciepła i poczucia bezpieczeństwa, ile mógł. Czasami bolało go, że nie dość, że nie stara się tak, jak na kochającego ojca przystało. Kolejne skrzypnięcie drzwi, niczym sygnał przesłany do zwrotnicy, przestawiło bieg jego myśli.

Nieszczęsny Zawojski.

Choć tak naprawdę bardziej było mu żal córki zatrzymanego. Straciła matkę i babkę. Na razie tego nie pojmowała, może nawet zbyt mocno nie odczuwała. Był jednak pewien, że nieprzeżyte teraz doświadczenie naznaczy dziewczynkę na całe życie. A Zawojski? Było w jego miłości do Roksany coś bardzo mocnego, napędzanego instynktem. Coś, Mundek przez chwilę szukał właściwego słowa, czystego. Czy to jednak wystarczy, żeby dać w połowie osieroconej dziewczynce namiastkę rodziny? Nie był tego pewien. Na Zawojskim ciążyło podejrzenie, że przyczynił się do śmierci teściowej. Wciąż ciążyło, choć Mundek miał coraz większe wątpliwości w tej kwestii. Być może prawda kryła się gdzie indziej, w ukrytym w głębokim cieniu miejscu, którego nie dostrzegał. Nawet nie wiedział, gdzie ono się znajduje.

Miał niejasne poczucie, że w sprawie śmierci Krolowej coś mu nieustannie umyka. Że miał już rozwiązanie przed oczyma, ale go nie zobaczył, nie wyłowił z mnogości szczegółów, które koniec końców okazały się nieważne albo zwodnicze. Tyle że jeśli nawet Zawojski okaże się niewinny, nie oznacza to, że będzie mógł się zająć córką. Alkoholizm, zamieszanie w sprawę kryminalną – sąd rodzinny może uznać, że ktoś taki nie powinien opiekować się dzieckiem, że zwyczajnie nie będzie w stanie. I wcale, jak sądził, nie okaże się to przesadą. Kto wtedy zajmie się Roksaną? Złamany przez los dziadek? Nie wyglądał na takiego, który w pojedynkę może stworzyć wnuczce normalny dom pełen ciepła. Ciotka Jadwiga? Nie miał pojęcia, nie znał tej kobiety, wiedział o niej tyle, ile dowiedział się od podwładnych. A oni przecież rozmawiali z nią ledwie raz. Ale znowu – Jadwiga od lat żyła samotnie, czy nadaje się więc na zastępczą matkę? Wiele mówiło się o instynkcie macierzyńskim, jednak Mundek nie do końca wierzył w jego bezwarunkową, nieograniczoną moc. Zbyt dużo podczas służby widział matek, które go nie miały zupełnie albo prawie wcale.

Jego myśli znowu przeskoczyły na inne tory. Często, kiedy był zmęczony, nie potrafił skupić się na jednym temacie. Gonitwa myśli? Coś w tym rodzaju. Śmierć Anny Zawojskiej była jeszcze bardziej niejasna niż śmierć jej matki.

Biedrzycki, tak jak obiecał, szybko uwinął się z autopsją. Tyle dobrego. Dobrego w złym albo nie najlepszym, bo raport w gruncie rzeczy nic nie wyjaśniał. Sprawiał, że pytania mnożyły się jak bakterie w kałuży pełnej brudnej wody. Czemu myślał o bakteriach? Mniejsza. Zawojska zmarła na skutek utonięcia, co od początku wszyscy obstawiali. Zimny chirurg nie znalazł na jej ciele żadnych śladów, które mogły wskazywać, że przed śmiercią z kimś walczyła. Opisał tylko niewielkie, okrągłe podbiegnięcie krwawe na plecach, czyli po ludzku siniaka, pomiędzy łopatkami. Pozostawiał opis bez komentarza. Mundek nawet zadzwonił do niego z pytaniem, czy ma podejrzenia, kiedy i w jaki sposób powstał siniak. Lekarz szczerze odpowiedział, że nie ma pojęcia, że trudno ustalić, tym bardziej że ciało kilka godzin znajdowało się w zimnej wodzie. Mogła się posiniaczyć na dziesiątki sposobów, niekoniecznie bezpośrednio wiążących się z momentem śmierci.

Zastanawiające było, że kobieta w krwi miała prawie dwa promile alkoholu. A przecież jej koleżanka, którą rozpytał Mateja, twierdziła, że ostatnimi czasy Anna wcale nie piła. Co mogło coś przesądzać, lecz wcale nie musiało. Zawojska, która mocno przeżyła śmierć matki, mogła sobie popić, pójść nad staw i się utopić. Może był to wypadek, a może samobójstwo. Taka wersja wydarzeń wręcz sama się nasuwała, wydawała się logiczna, przekonująca i – by tak rzec – prosta. Ale już raz w tym śledztwie przejechali się na najprostszym rozwiązaniu. I mieli teraz w areszcie Zawojskiego, z którym już w poniedziałek trzeba będzie coś zrobić. To on, Mundek, pewnie będzie musiał podjąć decyzję. Na pomoc prokuratora Kroka przestał liczyć.

Poczuł w kieszeni spodni wibrowanie wyciszonego telefonu. Co znowu? Szybko wyszedł z pokoju, żeby brzęczenie aparatu nie obudziło Basieński.

Wyciągnął telefon. Matka?

Zatrzymał się na środku przedpokoju. Też jej się rychło w czas przypomniało, żeby oddzwonić do syna. Jedyne i ponoć ukochanego. Nie odbierając połączenia, ruszył w stronę schodów prowadzących do jego samotni. Wiedział, że matka będzie dzwoniła do skutku. Nigdy nie przyjmowała do wiadomości, że ktoś nie chce albo nie może rozmawiać z nią wtedy, kiedy ona akurat ma na to czas lub ochotę. Po drodze zajrzał do salonu. Zobaczył tył głowy Beaty, wystający znad oparcia kanapy, okolony poświatą z ekranu telewizora. Zajrzał do pokoju synów. Młodszy był już w łóżku, starszy wciąż łupał w jakąś grę strategiczną na komputerze. A niech gra, myślał, w końcu jutro nie ma szkoły.

Zasiadł w starym fotelu w piwnicznym pokoiku. Piwniczna izba, przeleciało mu przez głowę. Mebel był mocno podniszczony, ale bardzo wygodny, więc nie

pozwolił go wyrzucić. Choć Beata kilka razy naciskała. Telefon znowu zawibrował.

– No, czemu nie odbierasz, jak matka dzwoni? – Krystyna Polańska nie należała do osób cierpliwych.

– Dobry wieczór, mamó.

– Nie taki znowu dobry.

Głos Polańskiej wibrował od irytacji. Stało się coś poważnego czy to zwyczajne dla niej wkurzenie?

– Dzwoniłem ostatnio, bo chciałem się dowie...

– Wreszcie raczyłeś się zainteresować matką, bo tak to tylko śledztwa i śledztwa, jakby to w ogóle dla kogoś było ważne.

Dla mnie jest ważne – myślał – ważne jest też dla tych, którzy chcą sprawiedliwości. Jakkolwiek nierychliwa i ułomna by była.

– Więc tak, jeśli cię to choć trochę interesuje, ciągle jeszcze jestem w Hiszpanii, w Maladze utknęłam.

Po raz kolejny i najpewniej nie ostatni Mundek odniósł wrażenie, że w telefonicznych pogawędkach z matką jest zupełnie zbędny, że równie dobrze mógłby odłożyć aparat i zająć się czymś innym. Matka bez problemu poprowadziłaby rozmowę z najciekawszą osobą na świecie. Samą sobą.

– Miałam już wracać – ciągnęła – ale trochę mi się tutaj skomplikowały sprawy.

Poczuł ostre, krótkie ukłucie niepokoju.

– Masz problemy? – rzucił szybko, żeby nie dać jej szans na monolog. – To ma jakiś związek z tym twoim partnerem biznesowym?

– Partner biznesowy – prychnęła Polańska. – Widzę, że podłapałeś ode mnie słownictwo, a już myślałam, że wcale mnie nie słuchasz...

– Mamó! Jak on się w ogóle nazywa?

– Zainteresowałeś się rychło w czas! Nieważne, jak się nazywa. Z nim nie ma problemów, dogadujemy się nawet lepiej, niż się spodziewałam. Konkretny facet i do tego z pomysłami.

Niepokój Mundka rósł jak dobrze wyrobione ciasto drożdżowe.

– Ale sprawdziłaś go, tak? Wiesz, że jest wiarygodny?

– A pewnie, na tyle, na ile mogłam. Sama, bo mój jedyny syn nie chciał pomóc nawet w tak drobnej sprawie... – zawiesiła głos.

Pewnie oczekiwała, że będzie przeproszał albo w jakikolwiek inny sposób się kajał. Niedoczekanie.

– No nic, powiem ci tylko, że montujemy naprawdę obiecujący biznes.

Mundek nie pamiętał, czy matka ostatnio opowiadała o szczegółach hiszpańskiej inwestycji, więc wolał dopytać:

– A tak dokładniej, to o co w tym nowym biznesie chodzi?

– Nie będę traciła czasu na tłumaczenia, bo i tak pewnie nie załapiesz.

Oczywiście, jakżeby inaczej. Nie raz, nie dwa matka dawała mu odczuć, że uważa go za mężczyznę niezbyt zaradnego życiowo, który właściwie cudem utrzymuje się na powierzchni. Miał wielką ochotę rzucić do słuchawki krótkie „cześć” i się rozłączyć, zostawiając matkę samą z jej fascynującymi i niezwykle zyskownymi biznesami. Jednak przypomniał sobie, że na początku rozmowy wspomniała o jakichś komplikacjach, które przedłużyły jej pobyt w Hiszpanii.

– A te twoje problemy tam na miejscu z czym konkretnie są związane? – spytał ostrożnie, żeby jej nie spłoszyć.

– Nic, czego nie dałoby się załatwić. Musimy poskładać różne dokumenty w urzędach. Tu jest zagwozdka. Wiesz, biurokracja, jak wszędzie, że niby się nie da tak od razu. A jeszcze wyluzowane podejście południowców, że maniana, maniana.

Nie znał hiszpańskiego, ale kontekst akurat był zupełnie zrozumiały. Zdawał sobie sprawę, że nie powinien zadawać tego pytania, jednak porządniczy w nim zwyciężył:

– Ale mam nadzieję, że dokładnie przemyślałaś i przekalkulowałaś wszystkie swoje działania? W sensie tam, w Hiszpanii...

– Zrzedzisz jak moja księgowa. Pewnie, że wszystko jest jasne i na dobrej drodze. Co tam drodze, prawdziwej autostradzie.

W tym momencie Mundek był nie tyle zaniepokojony, ile zwyczajnie przestraszony.

– Ma...

– Dobra, wracam koło środy, to się odezwę. Ucałuj Barbarkę od babci.

I się rozłączyła.

Wiedział, jaka jest, znał jej zagrywki, mimo to wciąż go zaskakiwała. Odłożył komórkę, pokręcił głową. Miał dziwne, ale niemal bliskie pewności przecucie, że hiszpańska przygoda matki skończy się piramidalnym bajzlem. A on będzie musiał go posprzątać.

*

Renatę nurtowało, czy Mateja przyjechał bardziej z obowiązku, czy z chęci chronienia jej. Woląla jednak nie zaspokajać ciekawości, bo kiedy wsiadła do jego auta – swoje zostawiła pod fabryką, żeby obejrzał je technik – wyburczał:

– Nie myśl, że będę śmigał do Gliwic pięć razy dziennie codziennie.

Oczywiście, że nie myślała, ani tym bardziej nie oczekiwała od niego tego rodzaju poświęceń. Nadludzkich. Nie miała też zamiaru nadużywać pomocy

Matei. Tyle że złapała obiecujący trop, a już nie chciała kozaczyć i działać w pojedynkę.

Nie miała tego dnia wiele do roboty, więc wcześniej wróciła do domu, odwiedzona przez Mateję. Plątała się bez sensu i celu po mieszkaniu, paląc fajkę za fajką, aż wreszcie wybrała numer Tamaryny. Chciała zapytać, czy może udało mu się dowiedzieć czegoś więcej na temat gróźb. Tamaryna nieodmiennie tryskała entuzjazmem, jakby w ogóle się nie męczył, nie irytował. I jakby dobry humor był u niego czymś tak stałym jak wzorzec metra w Sevres. Do tego miał wieści, choć mocno niepotwierdzone. Ktoś słyszał od kogoś, że Laska obwiniął Petardę o śmierć matki. Tamarynę zaintrygowała ta rewelacja, bo co niby miał piernik do wiatraka. Posprawdzał, co się dało. Laskowska, samotnie wychowująca Laskę i jego młodszego brata, który jakimś cudem nie poszedł w bandyterkę, tylko przykładowie tyrał w fabryce środków czystości w Nowym Dworze Mazowieckim, była chora na serce. Po aresztowaniu Laski miała zawał, a kiedy ten z wyrokiem trafił za kraty, złapało ją drugi raz, śmiertelnie. Nieutulony w żalu syn szukał winnych i padło na Renatę. Tak to widział Tamaryna. Przyznała mu rację. Zdarzało się, że niektórzy przestępcy mieli bardzo czułe relacje z matkami. I fakt, chęć pomszczenia matki była zarazem zrozumiałym, jak i wystarczającym motywem zemsty. Podziękowała Tamarynie, mówiąc, że nie wie, jak mu się odwdzięczy. Odparł ze śmiechem, że ma w głowie kilka dobrych pomysłów rozpisanych w szczegółach.

Jedząc wyrafinowany obiad, czyli parówki polane sosem do spaghetti – tylko taki znalazła w szafce – zastanawiała się nad domniemanym prześladowcą. Dobrze, Laska mógł sobie wkręcić, że odpowiedzialność za śmierć jego matki spada na nią. Łysolom z mózgiami przerytymi przez sterydy nie takie filmy czasami wyświetlały się pod czaszką. I mógł zapalać chęcią zemsty. Ale to tylko hipoteza. Postanowiła, że podejdzie do własnej sprawy jak do każdej innej. W tym momencie należało sprawdzić, czy to rzeczywiście Laska wynajął cieniasów, którzy próbowali ją oklepać. Najpierw musiała zdobyć jego fotę, w domu nie miała dostępu do policyjnej bazy, więc nie namyślając się wiele, znowu wybrała numer Tamaryny. Kolejny raz się ucieszył, że ją słyszy. Powiedział, że nie ma problemu, podrzuci jej zdjętko, bo tkwi bez ruchu w fabryce niczym głąz polodowcowy pośrodku ugoru. Minęło kilka minut, piknęła jej komórka. Przesłał piękne zdjęcie Laski prosto z policyjnych kwitów. Złoty chłopak z tego Tamaryny. Przez chwilę zastanawiała się, dlaczego dawny kolega jest taki wesolutki i uczynny. Przypomniało jej się, że kiedyś do niej startował, proponując kolacyjki z ciągiem dalszym. A był już wtedy żonaty, ale nie z Maryną, która szybko odeszła w siną dal, choć była zarówno inteligentna, piękna, jak i ocytana. Widać ocytanie na nic się zdało. Zbyła go wtedy

stanowczo słowami, że w żonaty nie robi. Przyjął to nawet z godnością. Roześmiała się. Pewnie znowu mu się coś ubzdurało.

Miała fotę Laski i postanowiła pokazać ją Stefankowi. Szybko się okaże, czy to naprawdę Laska na nią poluje. Wieczorową porą Stefanek mógł siedzieć w chałupie albo gdzieś w knajpie. Na dwoje babka wróżyła. Typ mieszkał przy Obrońców Westerplatte. Zarechotała. Ani z niego był obrońca, ani napastnik. Musiała jak najszybciej się z nim zobaczyć, więc wydzwoniła Mateję.

Kiedy tylko zapięła pas, Krzysiek zapytał:

– To gdzie jaśnie pani sobie życzy?

Jakiś niecierpliwy i sarkastyczny. Nie zamierzała przejmować się jego humorami. Pokazała mu dowód Stefanka.

– Kosowski, a kto to?

– Jeden z tych, którzy próbowali mnie dopaść. No i im się nie udało. Stefanek pewnie do dzisiaj ma spuchnięte jaja.

Mateja spojrział na nią spode łba i tylko pokręcił głową. Zignorowała jego miny, wytłumaczyła, dlaczego chce się spotkać z Kosowskim. Dla odmiany kiwnął głową i uruchomił silnik.

Zajechali pod wieżowiec, który nawet nie wyglądał najgorzej. Stefanek mieszkał na szóstym piętrze, zapewne z pięknym widokiem na inne bloczyska. Stanęli pod drzwiami, nie wiedzieć czemu pomalowanymi na zielono, za którymi łomotało techno. Ktoś był w środku, dobre i tyle. Mateja wcisnął przycisk dzwonka i przytrzymał. Muzyka trochę przycichła, drzwi się otworzyły i stanęła w nich ufarbowana na kruczą czerń dziunia w kusej mini i topie z napisem „Love”, wyszytym cekinami, na sporych piersiach. Słodziutko.

– Stefanek jest? – Renata darowała sobie powitania.

Dziunia na chwilę zamarła z rozchyłonymi ustami, by wreszcie wydukać pytanie:

– A kim wy jesteście?

– Koledzy z wojska – rzuciła Renata i delikatnie odsunęła dziewczynę na bok.

Weszli do przedpokoju, słysząc, jak dziunia z trudem przetwarza dane:

– Ale Stefan przecież nie był w wojsku...

W drugich drzwiach po prawej stanął Stefanek, który na widok Renaty zrobił nagły w tył zwrot. Że też się nigdy nie nauczą, że też to musi wyglądać jak na tanich filmach, w których uciekający zawsze wybiera drogę na dach, z którego nie ma wyjścia. Nie mają szans, ale bez sensu próbują. Kosowski stał na środku dużego, całkiem przyjemnie urządzonego pokoju, pewnie zastanawiając się, czy znowu zbierze wpierdół.

– Czego? – próbował warknąć, ale jego głos bardziej przypominał pisk.

Mateja zatrzymał się w drzwiach, oparty ramieniem o futrynę. Renata wyciągnęła komórkę z kieszeni.

– Nie bój się, dzisiaj nic ci nie zrobię – zawiesiła głos, żeby po chwili dorzucić: – Chyba. Czy to ten gostek dał wam na mnie zlecenie?

Podetknęła mu pod nos telefon. Tylko raz rzucił okiem.

– Nie będę kolegów sy...

– Zastanów się, co naprawdę chcesz powiedzieć – wbiła mu się w zdanie.

– Ten – wyrzucił z siebie.

– Widzisz, nie bolało. Dzięki i do nie widzenia.

Odwróciła się. Mateja już zniknął w przedpokoju.

– Zaraz, zaraz, a mój dowód? – Kosowski zebrał się na odwagę.

Zatrzymała się i spojrzała na niego przez ramię.

– A co, chwilówkę chcesz wziąć?

– No nie, ale...

– Przyjdzie czas, dostaniesz go z powrotem.

Dziunia wciąż tkwiła przy drzwiach wejściowych. Minęli ją bez słowa.

Po chwili szybko jechali pustawymi ulicami Gliwic.

– Przynajmniej wiemy, kto ci zagraża – Mateja odezwał się pierwszy.

– Tylko co mi to teraz daje? Lata temu Laska był cieniem, którego wcale bym się nie obawiała. Ale może we więźniu zmeźniał, podszkolił się. Albo poznał bardziej rozgarniętych i bezwzględnych wafli. Zobaczymy, spróbuję się dowiedzieć więcej.

– Tylko bądź ostrożna.

– No będę.

Zajechali pod kamienicę Renaty. Zanim się zastanowiła, powiedziała:

– A może byś wszedł na chwilę?

Na dłużej zawiesił na niej wzrok.

– W sumie... – rzucił, sięgając do stacyjki.

Kiedy weszli do mieszkania, nie zaproponowała zwyczajowej herbaty. Zielonej, którą lubił i sam kiedyś przyniósł. Nie zaczęła też rozmowy o Lasce i jego zamiarach. Zwyczajnie nie zdążyła, bo pociągnął ją w stronę łóżka i zaczął rozbierać tak szybko, jak nigdy jeszcze tego nie robił.

Po trzech intensywnych kwadransach zasnął. Ona siedziała oparta o wezłowie łóżka i paliła. Spojrzała na niego z ukosa. Może się nie rozumieli, może z tygodnia na tydzień dogadywali się coraz gorzej, ale za to w seksie odnajdywali się jak mało kto. Tym bardziej kiedy złość podkreślała emocje. Złość Matei, bo jej do gwałtowniejszych odczuć było jeszcze daleko. Ale czy to zdrowe podejście? Zdaje się, że psycholożka Matei będzie miała sporo roboty.

Zgasiła fajkę, przeciągnęła się tak mocno, aż zatrzeszczały kręgi szyjne. Zepchnęła Mateję na skraj łóżka. Pomruczał, ale się nie obudził. Zwinęła się w kłębek i zasnęła chwilę po tym, jak zamknęła oczy.

sobota, 15 lutego 2013

– Księciuniu, nie ma miętkiej gry. Spacer!

Buldożek stał tuż przed drzwiami do klatki schodowej. Jedną przednią łapę miał uniesioną, jakby chciał ograniczyć do minimum kontakt z podłożem. Przekrzywił łebek na bok i patrzył na Krzyśka bezgranicznie smutnym wzrokiem, w ten sposób dając mu do zrozumienia, że taki dobry pies ma takiego złego pana. Nawet specjalnie nie dziwił się psiakowi. Przez całą noc temperatura utrzymywała się w okolicach zera, na chodniku zalegała pośniewowa breja, której nikomu nie chciało się sprzątać. Do tego mżyło. Krzysiek przynajmniej miał na głowie kaptur, Księżę – tylko sierść. Może powinien mu kupić jakieś psie wdzianko? Uznał, że to jednak przesada. Pies to pies, pięć minut spaceru w niepogodę nie powinno mu zaszkodzić. Pociągnął smycz, ale buldożek opierał się, jak mógł. Szarpnął mocniej, równie zły na psa, jak i na samego siebie.

– Zrobisz swoje i wracamy. Możesz sobie potem wleźć w moje bety.

Księżę zrozumiał albo nie, prawdopodobnie przemówił do niego argument siły. Zwiesił łeb i podreptał za panem na trawnik, poznaczony plackami zgniłozielonej trawy.

Krzysiek był podminowany od samego rana. I zniechęcony, zupełnie jak nie on. Był głodny, ale nie chciało mu się robić śniadania. Zjadł kilka kawałków brokuła ugotowanego na parze, które zostały z przedwczorajszej kolacji. Zupełnie nie czuł smaku. Popił zieloną herbatą. Myśl o tym, że będzie musiał pracować w sobotę, szczerze go mierzila. Tyszka wyłgał się jakimiś niecierpiącymi zwłoki sprawami rodzinnymi, że niby ślub ojca czy coś. Polański miał ogarniać papiery w fabryce. Na niego i Renatę spadł obowiązek przeprowadzenia rozmowy z Krolem. Tak wczoraj zarządził nadkomisarz. Renata zauważyła przytomnie, że wcześniej gadał z nim głównie Tyszka, więc powinien ciągnąć temat. Polański był jednak zdania, że potrzebują świeżego spojrzenia. Jakby to mogło pomóc w tym śledztwie, które jak dotąd nie zmierzało w żadnym konkretnym kierunku. Co tu kryć, błędzili we mgle zarówno w sprawie śmierci Krol, jak i jej córki. Zawojska wyszła w środowy wieczór z domu, a rankiem pływała w stawie. Co się z nią działo przez kilka godzin? Dokąd poszła? Czy się z kimś spotkała? Obawiał się, że trudno będzie to wyjaśnić. Może coś wyniknie z billingów jej telefonu. Polański wpadł na

pomysł, żeby przejrzeć miejski monitoring. Tyle że już wiedzieli, że w okolicy domu, w którym mieszkała Zawajska, z kamerami jest słabo. Podobnie jak nad stawem Maroko. Zdaniem Krzyśka było to jak szukanie igły w stogu siana. Albo nawet w wielkiej stodole pełnej siana.

Księżę zrobił swoje na trawniku i od razu ruszył w stronę klatki schodowej.

– Stój!

Krzysiek znowu szarpnął smycz. Niepotrzebnie i zdecydowanie za mocno. Schylił się i chwycił mały bobek w foliową torebkę. Wyrzucił do zwykłego kosza na śmieci, bo nikt na razie nie wpadł na pomysł, by na jego osiedlu ustawić specjalne kosze na psie odchody. Miał wyrzuty sumienia, że jak ostatni debil wyżywa się na psiaku. Wziął Księcia na ręce, mając gdzieś, że pobrudzi mu łapami kurtkę. Doczłapali do mieszkania. W ramach zmywania win nasypał mu do miski podwójną porcję ulubionej karmy. Księżę energicznie zamachał kikutem ogonka. Znowu go kochał bezgraniczną, bezwarunkową psią miłością. Żeby też z ludźmi było tak prosto!

Renata nie miała na razie swojego audi, więc znowu robił za szofera. Błędym świtem szybko obrócił do Sosnowca, żeby wyprowadzić i nakarmić Księcia, bo akurat w ten weekend, jak na złość, nie mógł liczyć na pomoc sąsiadki. Jadąc z powrotem do Gliwic, analizował, co właściwie stało się wczoraj wieczorem. Co go opętało, że zawlókł Renatę do łóżka. Należało nazywać rzeczy po imieniu. Ich związek – do cholery, co to niby za związek! – tonął w złych emocjach, a on zachowywał się jak napalony nastolatek. Dlaczego chciał się z nią bzykać? Bo tego potrzebował? Bo chciał ją ukarać brutalnym seksem, w którym ją zdominował. Co za głupota...

Renata już czekała na niego przed kamienicą. Jak zwykle paliła, obok niej stał pan Rysio. Uświadomił sobie, że pierwszy raz widzi staruszka w innym miejscu niż na klatce schodowej przy drzwiach mieszkania. Zamachała do niego i pstryknęła niedopałkiem na środek ulicy. Wsiadła do auta i niemal od razu zaczęła opowiadać, co wymyśliła w sprawie Laski. Była gadatliwa jak nie ona. Nie mógł się skupić na jej słowach. Zdaje się, że wczorajszy seks dobrze na nią podziałał. Pozazdrościć. Bo na niego niekoniecznie.

Ciągle coś nadawała, a on słuchał jej piąte przez dziesiąte.

– A dokąd ty jedziesz? – dotarło do niego pytanie, kiedy mijali ulicę Ciemały.

– Spotkać się z Krolem.

– To przejechałeś ulicę, robaczku.

– Tylko, kurde, nie robaczku – zirytował się. – Krol jest na działce.

– Z tą małą? – w jej głosie brzmiało zdziwienie.

– Nie mam pojęcia. Jak rano do niego dzwoniłem, nie pytałem. Mówił, że jest na działce, to tam jadę.

– Ciekawe...

Dojechali, przeszli główną alejką ogródków działkowych, wionących opuszczeniem i zimowym smutkiem. Furtka na posesyjkę Krola była otwarta, a ścieżka prowadząca do domku – jak zwykle świeżo oczyszczona. Pracowity gość albo obowiązkowy. Mężczyzna otworzył drzwi, ledwie w nie zapukali, jakby na nich czekał. Burknięciem odpowiedział na powitanie, gestem ręki zaprosił do stołu.

Krzysiek przyglądał mu się przez chwilę. Krol wyglądał fatalnie. Miał poszarzałą twarz, którą znaczyły kępki siwej szczeciny, znak nieudanego golenia. Pod oczami wisiały sine, nabrzmiałe wory. Poruszał się powoli, z wyraźnym trudem i ostrożnością człowieka, którego coś boli.

Renata na widok stojącej na stole popielniczki pełnej niedopałków ucieszyła się jak dziecko z kinder niespodzianki i zaraz sięgnęła do kieszeni kurtki po papierosa.

– Kawy chcą? – spytał gospodarz.

– Nie. Tak – odpowiedzieli niemal równocześnie.

– Ja poproszę – dodała. – Jeśli to nie problem.

– I tak sobie robię. W taki ranek bez bonkawy nie poradzisz – nie wiadomo, czy Krol mówił do siebie, czy do nich, krzątając się przy kuchence.

Po chwili postawił dwie sypane kawy w szklankach w metalowych uchwytach i opadł ciężko na krzesło. Podmuchał, upił łyk i sięgnął po papierosa.

Renata zdusiła niedopałek i spytała:

– A gdzie jest wnuczka, panie Krol?

– Z Jadzią.

Krzysiek nie do końca wiedział, czemu Renata tak bardzo interesuje się dziewczynką.

– Rozmawialiśmy z Jadwigą i twierdziła, że nie utrzymuje z wami kontaktów – wypaliła prosto z mostu.

Krzysiek nie był pewien, czy tak szczerą rozmowę dobrze zrobi Krolowi.

– Raczej z moją nie utrzymywała kontaktów.

– Z moją? – dopytała.

– Ze Zdziską, żoną moją. Ale Zdziśki już nie ma, świeć Panie nad jej duszą.

– Aha, czyli zadzwonił pan i poprosił, żeby córka zajęła się małą.

– A to nie. Jadzia sama do mnie przyjechała. Wczoraj z samego rana, jeszcze przed pogrzebem – Krol przerwał, mocno potarł dłonią brodę, aż zachrząścił zarost. – Powiedziała, że weźmie Roksankę do siebie, zajmie się nią. Byłem wdzięczny, bo sam bym sobie ze wszystkim nie poradził. Pogrzeb, no i tak dalej...

– Ale na pogrzeb córka nie przyszła. Dlaczego?

– A skąd wy...? – Krol machnął ręką. – Nie widziałem żadnego policjanta przy grobie.

– Nie było takiej potrzeby. To jak z Jadwigą?

– Nie przyszła, bo nie chciała, a ja jej nie zmuszałem. Niby po co. Nigdy się nie dogadywały, to i w ostatniej drodze nie musiała matce towarzyszyć.

– Dlaczego córka i pana żona nie żyły w zgodzie? – drążyła Renata.

– Stare dzieje. Nie chcę o tym mówić.

– Ale...

– Renata – syknął Krzysiek.

Nie chciał, żeby za mocno dociskała starego. Mundek wyraźnie zaznaczył, żeby starali się nie wyprowadzić Krola z równowagi. Zapewne chwiejnej. Poza tym już dowiedzieli się o specyfice relacji Jadwigi z matką od tej pierwszej. Nie sądził, żeby ojciec mógł powiedzieć na ten temat coś nowego, istotnego, tym bardziej że wszystko wskazywało, że z własnego wyboru od dawna trzymał się na uboczu rodzinnego życia. Właściwie ukrywał się na działce niczym w samotni. Emerytowany pustelnik.

Na wszelki wypadek jednak przejął pałeczkę:

– Panie Krol, wiem, że to trudne, ale musimy zadać kilka pytań o córkę.

– No jeśli mus...

Gospodarz podniósł szklanekę, która lekko, ale zauważalnie drżała w jego dłoni.

– O której Anna wyszła w środę z domu?

Krol odstawił kawę.

– Tak co do minuty? Nie wiem, kolację ledwo co zjedliśmy, więc pewnie było jakoś przed dziennikiem.

– Przed dziewiętnastą? – upewnił się.

Stary skinął głową.

– Czy wcześniej zapowiadała, że chce wyjść?

– Nie. To znaczy chyba. Nie pamiętam, żeby mówiła.

– I tak po prostu nagle powiedziała, że wychodzi? – wtrąciła się Renata.

– No nie. Jej telefon zadzwonił, poszła na górę pogadać, bo Roksanka dokazywała i było głośno. Potem wróciła, zaczęła się ubierać i powiedziała, że musi się z kimś spotkać i nie wiadomo, kiedy wróci. I spytała, czy zajmę się Roksanką. To i się zająłem, bo jakżebym miał się wnuczką nie zająć.

– Długo trwała ta rozmowa? – spytał Krzysiek.

– Nie zwracałem uwagi, ale chyba nie tak znowu długo.

– A czy córka przed wyjściem się przebrała? – dorzuciła Renata.

– No, mówiłem, że się ubrała.

– Ale czy zmieniła to ubranie, w którym wcześniej chodziła po domu? – doprecyzowała.

– A to chyba nie.

– I nie mówiła, z kim się spotyka? – Krzysiek chciał się upewnić.

– Nie, a ja nie pytałem.

– Właściwie dlaczego?

– Dorosła jest, to znaczy... – zawiesił się na moment. – Miała swoje życie przecież.

– Czy wcześniej często zdarzało się, że Anna wychodziła wieczorami z domu? Albo nocowała u koleżanek? – Renata rzuciła od razu dwa pytania.

– Wcześniej, pani pyta... – Krol wyjął z paczki papierosa i powoli go ugniatał. – Tak dokładnie to nie powiem. Ania w takich sprawach, no, żeby ktoś ją wyręczył w opiece nad Roksanką, to raczej z moją się dogadywała. Ale bywało, że gdzieś wychodziła sama. To pamiętam. Nawet moja ją czasami opieprzała, że nie ma co szlajać się po mieście, bo jeszcze na Kubę się natknie i będzie afera. Tyle że to chyba często nie było.

Zapalił zapałkę. Niemal w tej samej chwili Renata sięgnęła po papierosa. Podpalił najpierw jej, lekko unosząc się z krzesła. Stara szkoła.

– A zna pan może jakieś koleżanki córki? – Krzysiek postawił pytanie bez większej nadziei.

– A gdzie tam mnie, staremu dziadowi, takimi rzeczami się interesować. To były ich, młodych sprawy.

Krzyśkowi tego rodzaju podejście wydało się dziwne. Jednak z drugiej strony w pewnym stopniu wpisywało się w specyfikę rodzinnych relacji Krolów. Spojrzał pytająco na Renatę. Lekko pokręciła głową, sięgnęła po szklankę i upiła duży łyk kawy.

– To na razie tyle, panie Krol – powiedział, wstając.

Stary też podniósł się z krzesła i ruszył za nimi do drzwi. Zaczął mówić do ich pleców:

– Czy myślicie, że... że Anna...

Krzysiek wiedział, o co Krol chciał spytać. Odwrócił się i położył dłoń na jego ramieniu.

– Dopiero zaczynamy badać sprawę. Będziemy pana informować.

Do samochodu wracali w milczeniu. Dopiero kiedy wsiedli, spytał:

– I co o tym wszystkim myślisz?

– Myślę, że musimy porozmawiać z Jadwigą. Ona chyba więcej wie o swojej porypanej rodzinie, niż nam ostatnio sprzedała.

*

Polański zauważył, że Mateja nie ucieszył się na wieść, że ma wrócić do fabryki i dalej szukać znajomych Anny, kontaktu z nimi i informacji. Trudno, był jego podwładnym i musiał wykonać polecenie, czy mu się to podobało, czy nie. Krzysiek wsiadł do swojego nissana i odjechał z parkingu przy ogródkach działkowych, ruszając tak gwałtownie, że spod kół trysnęły fontanny podmarzniętego błota. Łukowska przesiadła się do auta szefa.

Kiedy zadzwoniła, żeby zraportować, że niewiele dowiedzieli się od starego i ją prosiła o rozmowę, od razu pomyślał, że musi być przy tej rozmowie. Choćby dlatego że starsza córka Krolów była jedyną osobą w jakiś sposób związaną ze śledztwem, której jeszcze nie widział na oczy. Poza tym chciał przy okazji ruszyć się z fabryki, żeby w końcu sprawdzić pewien drobiazg, który od pewnego czasu nie dawał mu spokoju. Kazał im poczekać na Załężu i zaraz tam pojechał.

Łukowska podała adres Jadwigi Krol. Mundek znał Brynów, więc nawet nie musiał włączać nawigacji. Jechali powoli, Renata zdawała relację z wczorajszych ustaleń w sprawie jej prześladowcy i opowiadała o Lasce. Grzeczna dziewczynka, najpewniej wzięła sobie do serca to, co jej ostatnio mówił i zapowiedział. Chociaż nie postawiłby nawet złamanego grosza na to, że jest to ostatni numer, który mu wycięła. Że za miesiąc, dwa lub pięć znowu czegoś nie wywinie. Nie był pewien, jak wtedy się zachowa. Powinien być konsekwentny i zrealizować własne groźby, ale... Matka często powtarzała, że nie ma sensu zamartwiać się na zapas. Akurat tę naukę wziął do siebie.

– A szef to nie mógłby sobie wziąć jakichś lekcji jazdy, w sensie doszkalających? – nagle zmieniła temat.

Roześmiał się szczerze. Zdawał sobie sprawę, że prowadzi jak stara pierdoła, trochę jak dziadek w czapce ze wzrokiem wbitym w drogę i rękami kurczowo zaciśniętymi na kierownicy. Jemu to nie przeszkadzało, a jeśli inni mieli z tym problem, trudno. Nigdy nie lubił się ścigać po ulicach czy autostradach.

Nie dzwonili wcześniej do Krol, założyli, że w sobotę rano będzie w domu. Tym bardziej że pogoda nie zachęcała do spacerów z małym dzieckiem. Nie pomylili się. Jadwiga wpuściła ich do mieszkania, chociaż niechętnie. Na pierwszy rzut oka nie sprawiała miłego ani dobrego wrażenia. Niechęć, dystans, chyba nawet dobrze skrywana złość – właśnie to od niej wyczuwał.

Roksana vel Jadwiga trzymała się blisko ciotki. Kiedy usadzili się w pokoju, od razu wskoczyła jej na kolana. Zdziwił się, bo słyszał, że Krolówna nie utrzymywała bliskich kontaktów z rodziną. Dziewczynka sprawiała wrażenie

zżytej z ciotką. A może zwyczajnie należała do przylep, które potrzebują dużo bliskości i tulą się do każdego, kto się nawinie.

Mundek przedstawił się i zaczął rozpytywanie. Spytał, co Jadwiga robiła w środowu wieczór.

– Czy ja jestem o coś podejrzana? – rzuciła.

– Ależ nie. To standardowe pytanie, które zadajemy wszystkim jako tako związanym ze sprawą.

– Do siedemnastej byłam w szkole, potem wróciłam prosto do domu. Uprzedzając kolejne pytanie, w domu cały czas byłam sama.

Szczerść czy wyrachowanie? Mundek nie znał Krol, więc nie potrafił rozstrzygnąć. W ogóle odnosił wrażenie, że nie wyczuwa tej ostrzyżonej na jeża kobiety, w której spokoju i opanowaniu było coś zastanawiającego, może nawet niepokojącego. Wprawdzie Renata i Krzysiek, którzy już z nią rozmawiali, napomknęli, że kobieta jest dosyć specyficzna, ale nie sądził, że aż tak. Coś mu się nie zgadzało, jakby ton głosu, wypowiedane słowa i mowa ciała Krol były zupełnie niesynchronizowane. Jakiś lekki deficyt psychiczny? Ale przecież w takim przypadku nikt by jej nie dopuścił do zawodu nauczycielki.

Łukowska wtrąciła się z pytaniem o koleżanki jej siostry. Co było do przewidzenia, Jadwiga oświadczyła, że nie ma pojęcia, z kim Anna spotykała się przez ostatnie lata.

– A czy Anna, pani zdaniem, mogła cierpieć na depresję? – spytał.

– Chodzi panu o to, czy mogła się zabić?

Nie ma co, Jadwiga była konkretna i bezpośrednia.

– Mniej więcej.

– Cóż... – zaczęła, patrząc mu prosto w oczy. Nagle odwróciła głowę i powiedziała do dziewczynki: – Jadziu, Zygmunt tam sam siedzi w kąciuku, może pobawisz się z nim chwilę, co?

– Tak.

Dziecko klasnęło w rączki, zeskoczyło z kolan ciotki i podreptało pod sporą szafę, obok której walały się zabawki. Zygmunt okazał się niebieskim pluszowym hipopotamem.

Krol chciała zyskać czas do namysłu czy wolała, żeby dziewczynka nie słyszała dokładnie, o czym mówią dorośli? Chyba chodziło o to drugie, bo dalej mówiła ściszym głosem:

– Na pewno od jakiegoś czasu życie Anki nie było bajką. Słabo odnajdowała się w roli matki. Sama mi o tym mówiła, jak jeszcze trochę częściej ze sobą rozmawiałyśmy. Na swój sposób przeżywała rozwód i walkę o dziecko – widząc uniesioną brew Mundka, dodała: – Bo to była walka. Bezwzględna. Moja matka była mistrzynią w takich akcjach. Na pewno też śmierć matki była dla niej

straszny ciosem. Były ze sobą blisko. Moim zdaniem nigdy nie zerwała pępownicy. I to był jej główny problem. Mogła być w rozpaczy. Bez wątpienia. Ale z pewnością się nie zabiła.

– Dlaczego pani tak sądzi? – Mundka zastanowiła pewność, z jaką Jadwiga wypowiedziała ostatnie zdanie.

– Aby coś takiego zrobić, trzeba podjąć decyzję. Do tego Anka nie była zdolna, bo całe życie decydowała za nią matka.

– To co się niby mogło stać? – w tonie głosu Renaty czuć było zniecierpliwienie.

– Mogę tylko spekulować. Wypadek? – dopiero po chwili dorzuciła, jakby się zorientowała, że takie słowo pasuje: – Nieszczęśliwy. Popiła, poszła nad staw i już.

I już, wybrzmiało echem w głowie Mundka. W tych słowach nie było za grosz współczucia, nawet odrobiny żalu po śmierci siostry.

– Siostra piła? – drążył temat.

– Z tego, co wiem, popijała.

Co nie za bardzo zgadzało się z relacjami koleżanek Anny. Dobrze, właściwie jednej byłej przyjaciółki.

– A skąd pani wie?

– Ojciec coś wspominał. A i na tych rzadkich imprezach rodzinnych, na których bywałam, nie wylewała za kołnierz.

W końcu, jak bliskie właściwie były relacje Jadwigi z resztą rodziny? Ile naprawdę wiedziała o bliskich, na ile uczestniczyła w ich życiu? Chciał o to zapytać, ale Renata się wyrwała:

– Pomysł, żeby zająć się dzieckiem, wyszedł od pani, tak?

– Oczywiście.

– Miała pani bardzo luźne związki z rodziną, więc to nie takie znowu oczywiste.

Krol przejechała dłonią po jeżu na głowie.

– Ktoś musiał się Jadzią zająć. Widzieliście mojego ojca. Ostatnie, z czym mógłby sobie poradzić, to opieka nad małym dzieckiem. O Jakubie nawet nie wspomnę, bo nie ma o czym.

Uznał, że trudno się nie zgodzić z takim podejściem do sprawy.

– A pani sobie poradzi? – wypaliła Renata.

Krol westchnęła. I to był jak dotąd jedyny przejaw żywszych emocji, jaki zauważył.

– Nie wiem, czy pani pamięta, więc przypomnę, że jestem nauczycielką. Skończyłam studia pedagogiczne. Od kilkunastu lat pracuję z dziećmi w różnym

wieku. Sądzi pani, że nie mam dość wiedzy i doświadczenia, aby dobrze zająć się Jadzią?

Łukowska uznała to za pytanie retoryczne. I słusznie.

– Wystarczy – uciął Mundek. – Chciałbym jeszcze, żeby pani nam powiedziała, co takiego się stało, że odsunęła się pani od rodziny?

– Nie rozumiem, jaki związek ze sprawą mają moje prywatne historie.

– Wbrew pozorom mają. Przyznam, że relacje w waszej rodzinie są dla mnie niezbyt czytelne. A przez to nie do końca rozumiem działania pani matki i siostry. W tego rodzaju sprawach istotne jest zrozumienie ofiar. To jedna z dróg dochodzenia do prawdy.

Odniosł wrażenie, że trochę przesadził, zabrzmiał zbyt patetycznie. Tyle że od początku rozmowy z Krol nie był w stanie uchwycić właściwego tonu.

– Nie zamierzam o tym mówić – powiedziała stanowczo.

– Dlaczego?

– Bo nie muszę?

Zamilkł na dłuższą chwilę.

– Prawdę powiedziawszy, nie – zaczął powoli – nie musi pani. Tyle że wtedy zacznę się zastanawiać, czy zależy pani na wyjaśnieniu okoliczności śmierci matki i siostry. Zacznę dociekać, dlaczego w tej kwestii jest pani aż tak obojętna.

Zamilkł, czekał. Krol też milczała. Słyszeli tylko cichy głos Roksanki vel Jadzi, która karciała za coś Zygmunta.

Krol utkwiała wzrok gdzieś pomiędzy nim a Renatą i zaczęła wypranym z emocji głosem:

– Jeśli tak pan stawia sprawę. Zaczęło się od...

*

– Mam tego po gwizdek! – huknął i cisnął komórkę na biurko.

Tyle szczęścia, że przed samą krawędzią zatrzymała się na kubku na ołówki i długopisy.

Kiedy tylko Krzysiek wyjaśnił, o co mu chodzi, kolejna osoba wyłgała się, że jest sobota, nie ma czasu, bo zakupy, sprzątanie albo rodzinne odwiedziny, więc najlepiej, jakby zadzwonił po niedzieli. Nie miał w sobie dosyć przekonania, aby mocniej naciskać, bo uważał, że sprawdzanie znajomych Anny Zawojskiej jest ślepą uliczką. Szansa, że trafi na kogoś, z kim spotkała się w środę wieczorem, była nikła, a właściwie żadna. Był coraz bardziej przekonany, że nie spotkała się z nikim. Z drugiej strony, ten telefon tuż przed jej nagłym wyjściem z domu... Może to nie była przyjaciółka czy znajoma, tylko jakiś dobrze ukryty gach,

o którym nie wiedział nikt z rodziny. Może jedynie matka, ale ona już nic im nie powie.

Znowu sięgnął po telefon. Zuzanna Krychalska, którą nadała mu dziewczyna z butik, okazała się lepsza niż biuro adresowe. I nawet, o dziwo, chciała z nim gadać. Chyba zwyczajnie była ciekawa ludzkiego nieszczęścia, więcej, nieszczęścia osoby, którą znała, bo próbowała wyciągnąć od niego jak najwięcej informacji. Nawet się z tym za bardzo nie kryła. Sama też chętnie dzieliła się tym, co wie. O tym, co obecnie działo się z Anną, nie miała za wiele pojęcia. Ostatni raz przypadkowo wpadła na nią latem, kiedy Zawojska była na spacerze z małą. Usiadły w kawiarni, pogadały o starych, nieodmiennie lepszych czasach, porozmawiały o dziecku. Pamiętała, że Anna wspominała o problemach z byłym mężem. Ponarzekały też na to, jakie z tych chłopów to jednak złamasy. Standard. I tyle. Potem się nie kontaktowały. Zuzanna miała notes z namiarami na rozliczne koleżanki, w tym wspólne z Zawojską, więc podała mu ich telefony. Obdzwaniał je bez większych nadziei i efektów.

Nie zdecydował się na następny telefon, odhaczenie kolejnego nazwiska z listy. Zaparzył sobie zieloną herbatę. Poczul głód. Przed wyjściem z domu nie przygotował, jak to zazwyczaj robił, pudełka z lunchem.

Wszystko przez Renatę. Te trzy słowa brzęczały mu w głowie niczym natrętny refren piosenki, od którego nie można się uwolnić przez cały dzień. Wszystko przez Renatę.

Chociaż akurat tego dnia zaczęło się od Polańskiego. Co strzeliło do głowy szefowi, że nagle postanowił ruszyć się z fabryki i wziąć udział w rozpytaniu Jadwigi Krol? Nie musiał tego robić, on z Renatą poradziliby sobie z tym bez problemu. Polański zazwyczaj działał spokojnie i metodycznie, ale czasami miał, jak Krzysiek określał, olśnienia. Coś jakby gwałtowne i niespodziewane włączenie się intuicji. Wtedy nie zwykł się nikomu tłumaczyć z własnych przeczuc, objaśniać, na jaki koncept w przyływie geniuszu albo przez przypadek wpadł. Tak było i tym razem. Kazał mu spadać na komendę, a sam pojechał z Renatą. Niby nic takiego, normalnie Krzysiek by się nie wkurzył, ale lubił planować i tego dnia miał plan. Zupełnie niezwiązany z prowadzonym śledztwem.

Zaplanował sobie, że w tę sobotę definitywnie rozmówi się z Renatą. Coraz bardziej dojmująco odczuwał, że Renata wciąga go w wir chaosu, który wytrąca go z równowagi i pozbawia spokoju. To nie był stan, w którym dobrze się odnajdywał. Rozpalała w nim gwałtowne emocje, nad którymi nie panował. Do tego, jak przekonywał się z każdym dniem coraz dobitniej, właściwie ich nie potrzebował. Chyba. Bo co stało się poprzedniego wieczora? Jasne, dziki seks miał w sobie coś fascynującego, w niemal pierwotnym sensie. Jednak rano

uświadomił sobie, że kilka godzin wcześniej w łóżku to nie był on, tylko ktoś, kto wlaźł w jego ciało, jego mózg. Nie pytając o pozwolenie. A może Renata wydobywała z niego coś, co było głęboko ukryte, jednak od zawsze w nim było? Cholera wie.

Wypił dwa łyki herbaty. Smakowała paskudnie, może za krótko ją parzył.

– Chrzanić to z góry na dół – powiedział na głos.

Spakował swoje rzeczy do plecaczka. Postanowił, że pojedzie do Złotego Ośła na porządny wegetariański obiad. Lubił tę knajpę, chaos wystroju, przyjemną obsługę. Do tego dobrze karmili, dania miały wyraziste smaki, co w wege restauracjach wcale nie było normą. Miał ochotę na polentę. Tak, polenta była dobrym rozwiązaniem.

A potem wróci do roboty. Albo i nie.

*

– Tego nie da się opowiedzieć krótko – zastrzegła Jadwiga Krol.

– Noż, dziewczyno, wyduś to z siebie. Wiem, że to...

– Renata, pozwól pani mówić – przerwał jej Polański.

Strategia przesłuchań czy rozpytań, którą preferował, nie należała do ulubionych Łukowskiej. Jej zdaniem był zwyczajnie za miękki. Przez to tylko tracili czas na wysłuchiwanie pierdoletów, które nic nie wносиły do sprawy, docieranie do prawdy czy potrzebnych im informacji bardzo okrężną drogą.

Jadwiga zdawała się niewzruszona, nawet słowem czy gestem nie zareagowała na wybuch Renaty.

– Zaczęło się od religii...

Podkomisarz zacisnęła palce. No tak, teraz będzie smętne story o zmuszaniu do chodzenia do kościołka, o tym, że mamusia nie pozwalała jej trzymać pieska, a nawet świnki morskiej, oraz o innych równie fundamentalnych głupotach z czasów dzieciństwa i dojrzewania, które złożyły się na wielką rodzinną tragedię. Tylko spokój, tylko on może ją uratować. Niech Mundek ciągnie ten kabarecik z rodzinnymi traumami w tle.

– ...moja rodzina to katole, a matka to już w ogóle. Bóg na ustach, różaniec w garści. Za to w sercu same ciernie. I nie chodzi mi o koronę cierniową. Dostyc szybko dotarło do mnie, że nie wierzę w żadnego Boga, odmówiłam pójścia do bierzmowania. W ogóle nie chciałam chodzić do kościoła. Powtarzać pustych gestów, bo tak trzeba, bo taka tradycja, a w ogóle co sąsiedzi powiedzą... Awantury ciągnęły się chyba z miesiąc. Nie ustąpiłam, nie zamierzałam chodzić do kościoła tylko po to, by zadowolić matkę. Potem nie odzywała się do mnie chyba z kolejny miesiąc. Nie powiem, żebym cierpiała z tego powodu.

Renata zastanawiała się, co mogłoby ruszyć Jadwigę, sprawić, żeby buzowały w niej emocje. Jakiegokolwiek.

– Ale chyba nie poszło tylko o religię? – spytał Polański. – Jakoś nie wyobrażam sobie, żeby to był wystarczający powód do zerwania więzów rodzinnych.

– To pan nie znał mojej matki – odparła. – A tak na marginesie: więzy to bardzo adekwatne słowo.

– Więc o co jeszcze poszło? – Renata chciała mieć smętną historię Krol jak najszybciej z głowy.

– O całokształt – rzucił Jadwiga i zamilkła.

Łukowska ze świstem wypuściła powietrze. Bezwiednie wyciągnęła z kieszeni kurtki paczkę fajek i zaczęła ją obracać w palcach.

– Jak pani chce palić, to na balkonie – wyjaśniła Krol.

– Nie chcę jarać – Renata siliła się na spokój. – Chcę wreszcie usłyszeć resztę historii.

– Właśnie, potrzebujemy konkretów – dorzucił nadkomisarz.

– Opowiadałam to już tyle razy psychologom, że mnie to potwornie nudzi.

– Będę nalegał, żeby...

Krol zamachała ręką, jakby odganiała się od wyjątkowo natrętnej muchy, i zaczęła mówić:

– Jak pewnie się domyślacie, moja matka miała jasno określone wyobrażenia, jak dziewczyna taka jak ja powinna się zachowywać i do czego w życiu dążyć. Miała też plan na mnie. Raczej sztywny i niedyskutowalny. Szkoła, mąż, dzieci, ewentualnie jakaś praca, ale to niekoniecznie. I tu pojawiły się problemy. Ze szkołą kłopotów nie było, wręcz przeciwnie. Choć i tak matka kręciła nosem na moje zamiłowanie do przedmiotów ścisłych. Jakby sama, jako księgowa, nie robiła w cyferkach. Zaczęło się od bojów o ciuchy. Nigdy nie pasowały mi sukieneczki, rajstopki i inne fatalaszki dla dziewcząt.

I to się raczej nie zmieniło, uznała Renata. Tym razem Krol nie miała na sobie typowo męskiej flanelowej koszuli w kratę. Do postrzępionych czarnych dzinsów włożyła powyciągany szary golf, który wyglądał na ręcznie robiony. Robiła na drutach?

– Walka podjazdowa o ubrania toczyła się – kontynuowała nauczycielka – właściwie dopóki mieszkałam ze starymi. Matka kupowała mi na urodziny czy święta badziewne sukienki albo bluzki z falbankami, a ja ich nie nosiłam. Awantury, ciche dni, takie sprawy. Gorzej, że nie miałam chłopaka, więcej, nie robiłam niczego, żeby go mieć. Nie chodziłam na dyskoteki, nie interesowały mnie domówki. Nie przepadałam za towarzystwem rówieśników, dobrze mi było w domu, jeśli tylko ktoś nie stał nad głową i nie truł. To znaczy matka nie truła.

Ojciec był za mną. Chyba, bo nie za bardzo się odzywał. Zresztą odkąd lata temu pobudował sobie na działce nową chatę, rzadko bywał w domu. Tyle co spać, a i to nie codziennie.

– I to o tego chłopaka, którego nie było, poszło? – wtrąciła się Łukowska, lekko unosząc brwi.

– Renata, daj pani mówić – skarcił ją ponownie Polański.

Krol ciągnęła opowieść, jak gdyby nigdy nic:

– Tak do połowy liceum matka się nawet z tego cieszyła. Tak mi się zdaje. Że ja taka porządna, a przede wszystkim, że nie narobię jej problemów. I że nie przyjdę z brzuchem. Bliżej końca szkoły średniej zaczęła mnie nękać. A dlaczego z nikim nie chodzę. Że to już czas się zakreślić za chłopem, bo starą panną zostanę. A to będzie dla niej wstyd. Takie tam. Prawdziwa jazda zaczęła się, gdy poszłam na studia. Po pierwsze, matka nigdy nie zaakceptowała, że wybrałam matematykę. Ciągle mi głądziła, że to nie dla dziewczyny, że tylko życie sobie zmarnuję. A już poszło na noże, kiedy przez przypadek na mieście zobaczyła mnie z koleżanką. Taką bliższą.

– Pani jest... – Mundek na chwilę zawiesił głos.

– Nie ma się co bać tego słowa – skomentowała rzeczowo, bez cienia uśmiechu. – Chciał pan powiedzieć: lesbijką.

Renata zastanawiała się, czy ta kobieta w ogóle potrafi się śmiać.

– Tak.

– Otóż nie jestem lesbijką.

– Czyli jest pani bi – wypaliła Łukowska.

– Ach, te kategoriyczne podziały – w głosie nauczycielki wciąż nie było słycać irytacji. – To nie jest takie proste.

– Rozumiem, że to pani prywatne sprawy – nadkomisarz zaczął ostrożnie – ale proszę nam tę kwestię wyjaśnić – zawiesił głos i zaraz dodał: – Jeśli to nie problem.

– Żaden. Jestem aseksualna.

No tego jeszcze nie grali, pomyślała Renata. Spotykała na swojej drodze, nie tylko w pracy, rozmaite typy, ale osoby aseksualnej nigdy.

– Ale mówiła pani, że matka widziała panią z koleżanką – powiedział nadkomisarz, który chyba do końca nie wiedział, jak sformułować pytanie.

Krol tylko wzruszyła ramionami.

– Byłam młoda, do końca nie wiedziałam, co się ze mną dzieje, kim jestem. Próbowalam z kobietami i z mężczyznami. Także ze zwykłej ciekawości. Nie miałam z seksu żadnej przyjemności. To była czysto mechaniczna czynność. Szybko okazało się, że dla mnie zupełnie zbędna. I jakoś nawet obrzydliwa. Dotarło do mnie, że tylko oszukuję siebie, a przy okazji innych. Może nawet ich

krzywdzę. Chodziłam do psychologa, dzięki któremu zrozumiałam, kim jestem, i zaakceptowałam siebie.

– I to doprowadziło do zerwania kontaktów z matką? – dopytała Renata.

– Cóż, pewnie gdyby nie to, coś innego odegrałoby rolę zapalnika. Ale fakt, jak ostatnia głupia postawiłam na szczerość i opowiedziałam matce, kim jestem. Nie wiem, na co liczyłam, bo na pewno nie na zrozumienie. No i rozpętało się piekło. Matka wywrzeszczała, że ona pod jednym dachem z dziwołagiem nie będzie mieszkała, i właściwie wyrzuciła mnie z domu.

– Co było potem? – zapytał Polański.

– Matka kazała mi wypieprzać z chałupy. I tak zrobiłam. Zamieszkałam z koleżanką – jakby zawahała się na moment. – Tylko koleżanką. Pracowałam, potem miałam też stypendium. Ojciec czasami podrzucił mi jakąś kasę w tajemnicy przed matką. Radziłam sobie. A co najważniejsze, żyłam tak, jak chciałam.

– Ale z tego, co wiem – drążył nadkomisarz – czasami spotykała się pani z rodzicami. Tak?

Krol skrzywiła się lekko.

– Jak już mówiłam – skinęła w stronę Renaty – od wielkiego dzwonu spotykaliśmy się przy okazji świąt. Nie wszystkich, bo prawie zawsze kończyło się awanturami. Tym bardziej że nie pozwalałam matce sobą pomiatać. Nie było miło, ale robiłam to dla ojca. Dobry z niego człowiek, tylko nigdy nie umiał się postawić. A później robiłam to też dla Jadwigi.

– To znaczy Roksany? – upewnił się Polański.

– Dla mnie to Jadwiga.

Zapadła cisza. Renata schowała paczkę papierosów do kieszeni. Na razie nie przychodziło jej do głowy nic, o co chciałaby spytać Krol. Pierwsza milczenia nie wytrzymała nauczycielka i zapytała:

– Coś jeszcze? Bo muszę zrobić małej jedzenie.

Polański chrząknął, jakby szykował się do dłuższej przemowy. A temu co jeszcze chodzi po głowie?

– Zdaje sobie pani sprawę, że jeśli chce się zajmować dzieckiem, będzie musiała to jakoś sformalizować? Tym bardziej że jej rodzicom przygląda się sąd rodzinny, a pewnie i opieka społeczna.

Krol najpierw tylko skinęła głową, ale zaraz wyjaśniła:

– Miałam... To znaczy mam plan. Naprawdę, proszę mi wierzyć, jestem bardzo uporządkowaną i skrupulatną osobą. Ale wszystko w swoim czasie. A przy okazji, co z Jakubem? Jest oskarżony?

– Śledztwo w toku – zbył ją standardowym tekstem.

Nadkomisarz wstał, więc Renata też podniosła się z fotela.

– Jadwiga, pożegnaj się.

Dziewczynka od razu zareagowała na swoje drugie imię i pomachała im na do widzenia pluszowym Zygmuntem.

Na parking wracali w ciszy, co trochę drażniło Renatę. Czuła się podminowana, jakby dziwny spokój Krol ją zirytował, wyprowadził z równowagi. A może najzwyczajniej w świecie chciało jej się palić. Spytała Polańskiego, czy mają tyle czasu, żeby spokojnie zafajczyła. Tylko skinął głową. Pierwszym machem zaciągnęła się po dno płuc. Poczowała ulgę.

– I co o niej myślisz? – spytał.

– Że kłamie. Albo przynajmniej manipuluje faktami, sprzedając nam te, które akurat w danym momencie chce sprzedać.

– Dlaczego tak uważasz?

– Bo w poprzedniej rozmowie dawała do zrozumienia, że poróżniła się z rodziną głównie przez młodszą siostrę. Ponoć nie mogła znieść, że cała uwaga skupiła się na Annie. A teraz wyskoczyła z tym aseksualizmem.

– Może poszło o jedno i o drugie.

– Że niby taka kumulacja? Mogło być i tak.

– Coś jeszcze przychodzi ci do głowy?

– Że jest bardziej porypana niż ja. A to już sztuka.

– No do końca nie wiem – Polański oparł się o samochód i splótł ramiona.

Zastanawiała się przez chwilę, czy nie powiedział tak tylko dlatego, żeby przypadkiem nie sprawić jej przykrości.

– Ale swoją drogą ciekawe, co by na jej temat powiedział nasz psycholog albo profiler.

Prychnęła.

– To żadna wielka zagadka. Wysoko funkcjonująca socjopatka.

– Skąd ty niby wiesz takie rzeczy?

– Szkolenie kiedyś miałam.

Polański uśmiechnął się z politowaniem.

– Możesz się śmiać, ale na to mi właśnie wygląda. Mniejsza o nazwy czy jednostki chorobowe. Ja bym jej z miejsca dzieciaka zabrała.

– To sprawa dla sądu rodzinnego albo opieki społecznej, nie dla nas.

– Jesteś tego pewien?

Spojrzała mu w oczy. Wyraz jego twarzy mówił, że za cholerę nie ma takiej pewności.

*

– *Zaopiekuj się mną, nawet gdy powodów brak, zaopiekuj się mną, mocno tak* – darł się Tyszka, wtórując wokaliście zespołu Rezerwat, którego piosenka leciała w radiu.

Miał gdzieś, jak sąsiedzi zareagują na jego popisy wokalne.

Był w świetnym nastroju. Wszystko układało się wręcz wyśmienicie. Wyłgał się od roboty, zresztą i tak był zdania, że jego obecność w fabryce nie na wiele by się zdała. Ich sprawa właściwie utknęła w martwym punkcie, nawet Mundek nie miał pomysłu co dalej. Przynajmniej takie sprawiał wrażenie. W takiej sytuacji z prawie czystym sumieniem mógł sobie wykroić wolny weekend. Niespecjalnie nałgał, że w sobotę musi zająć się łojcem. Po południu miał pojechać z nim do pana Henia na ostatnią przymiarkę ślubnego ancugu. Rano odwiózł starzika do pani Basi, bo ten zażyczył sobie, że chce zjeść śniadanie z przyszłą żoną. Ucieszył się, że nie musi mu robić jedzenia. Potem pojechał do marketu na większe zakupy. Trafił na promocję czeskiego piwa. Chociaż obiecał Eli, że nie będzie popijał sam w domu, kupił dwie butelki piwa Złoty Bażant, bo przecież nie skorzystać z okazji napicia się świetnego browaru w dobrej cenie to prawdziwy grzech. A Ela nie musiała o niczym wiedzieć.

Miał w lodówce obiad od pani Basi, jakżeby inaczej, ale nie czuł się specjalnie głodny, więc ugotował sobie trzy parówki jak za starych, dobrych czasów przed narzeczoną – matko, jak to brzmiało – łojca. Czy lepszych? To się okaże. Tej cudownej soboty nie chciał myśleć o przyszłości, nie zamierzał się niczym martwić.

Zjadł i z butelką czeskiego piwa rozsiadł się przed telewizorem. Pora relaksu. Upił mały łyk niczym zawodowy kiper. Smakowało bosko, miało tyle wyrazistej goryczki, ile lubił. Włączył telewizor, było mu właściwie obojętne, co ogląda. Trafił na skoki narciarskie. Taki sezon.

– Mogą być i skoki – powiedział do siebie i wzniósł toast za nieszczęśnika, który nie tyle skoczył, ile spadł ze skoczni.

Zanim wypił pół piwa, zadzwoniła komórka. Ela? Przecież miała być w pracy, przynajmniej tak mu wczoraj oznajmiła. Okazało się, że ma dłuższą przerwę i siedzi w kawiarni na Nikiszu. Zapytała, czyby nie podjechał i nie spędził z nią godzinki. A pewnie, miał blisko, miał ochotę, jak zawsze w przypadku spotkań z Elą, których nieodmiennie było mu mało. A pół butelki to tyle co nic, więc spokojnie mógł wsiąść za kółko.

Podczas krótkiej jazdy z Mysłowic na Nikisz utwierdził się w przekonaniu, że lepszej okazji na wyznanie swojej winy i skrucę mieć nie będzie. Ela czekała na niego w kawiarni Zillmanna, tej samej, w której podglądał ją i tego długowłosego ciula. Było to nawet jakoś symboliczne. Tam zgrzeszył, tam wyzna swoje winy i poprosi o wybaczenie. Nie inaczej.

Wszedł do ciepłego wnętrza. Ela siedziała przy drugim stoliku od drzwi, uśmiechnęła się na jego widok. Zamachał do niej jak ostatni głupi. Był spięty, zdawał sobie z tego sprawę. I z tego, że łatwo nie będzie. Pocałował ją na powitanie, zamówił u kelnerki kawę. Zaczęli rozmawiać o tym, co dzisiaj robili. Gadka szmatka. Ela przygotowywała w galerii nową wystawę, on miał się zajmować łożcem. Opowiadał o tym trochę automatycznie, bo cały czas myślał, kiedy będzie najlepszy moment na wyznanie. Zamilkł.

Ela wbiła w niego wzrok.

– Coś się stało? – spytała z niepokojem w głosie. – Coś z twoim ojcem?

Roześmiał się szczerze.

– A nie, ojciec przeżywa drugą młodość na stare lata. Oby jak najdłużej.

– To co jest?

Czuł suchość w gardle. Odchrząknął. Raz kozie śmierć.

– Muszę ci się do czegoś przyznać.

– Że napiłeś się piwa i wsiadłeś za kierownicę? Nieładnie, panie władzo.

Pogroziła mu palcem, ale z lekkim uśmiechem na ustach. Ona to wyczuła, a przecież przed wyjściem z domu umył zęby. Musiała być czulsza niż alkomat.

– Tym bardziej nieładnie, że obiecałeś, że nie będziesz popijał.

– Tylko łyka zrobiłem – tłumaczył się – bo wiesz, czeski browar był w promocji i tak jakoś...

Urwał zdanie, bo wiedział, że jeśli będzie się ze szczegółami spowiadał z dzisiejszego popijania, do którego w gruncie rzeczy wcale nie doszło, nigdy nie przejdzie do sedna.

– Ale o coś innego chodzi – wziął głęboki oddech. – Widziałem cię tutaj.

– Chyba chciałeś powiedzieć, że mnie tu spotkałeś – powiedziała niepewnie.

– Widziałem cię z takim długowłosym ciu... facetem znaczy, widziałem kilka dni temu.

Ela powoli odstawiła filiżankę z herbatą, którą trzymała w dłoni, i wbiła w niego wzrok.

– A co tu wtedy robiłeś? I dlaczego nie wszedłeś się przywitać?

Nie było odwrotu. Stał na krawędzi trampoliny i skoczył na głęboką wodę:

– Śledziłem cię, bo...

Zaczął opowiadać, jak przypadkowo natknął się na nią i długowłosego ciula w Galerii Silesia, jak później chciał ją na chwilę odwiedzić po pracy, ale zauważył, że gdzieś się wybiera, więc ruszył za nią i tak dotarł do tej kawiarni. Mówił, że nie ma pojęcia, co go opętało, że to jakiś zupełnie niezrozumiały impuls, że jest mu niewymownie wstyd, że przez ostanie dni sumienie gryzło go tak mocno, że nie mógł się na niczym skupić, że zdaje sobie sprawę, jak źle

postąpił, i że zrobi wszystko, żeby temu zadośćuczynić. Mówił i mówił, modląc się w duchu, żeby Ela jak najszybciej przerwała jego chaotyczną spowiedź.

A ona milczała. Opuściła głowę, a kiedy wreszcie ją podniosła, zobaczył minę, której jeszcze u niej nie widział. Albo była na granicy płaczu, albo wybuchu złości. Nie miał pojęcia.

– Roman Koseła – rzuciła nagle.

– Że co?

– Tak się nazywa facet, z którym mnie widziałeś. Będzie miał w przyszłym miesiącu u mnie wystawę rzeźb. Pracujemy nad nią, dlatego się z nim spotykam.

– Cholernie mi wstyd...

Powstrzymała go gestem dłoni.

– Miałeś wiele okazji, żeby tę beznadziejną aferę, którą sam nakręciłeś, wyjaśnić w pięć sekund. Zwyczajnie, po ludzku spytać, jak to robią ludzie, którzy są ze sobą. Ale ty wolałeś za mną łązić. Co to było? Jakieś chore śledztwo? Natura psa, nad którą nie panujesz?

– Elu, ja bardzo przepraszam.

– Przeprosiny to za mało. Zdecydowanie.

Zerwała się z krzesła i zaczęła się ubierać. Też wstał i próbował ją objąć.

– Zostaw mnie – warknęła.

– Proszę, wybacz mi.

Tylko wzruszyła ramionami.

– Elu, co mam zrobić?

– Ty, nie mam pojęcia. Najgorsze, że i ja nie wiem, co robić.

Obróciła się na pięcie i wyszła, zostawiając go samego na środku kawiarni. Dostrzegł, że ludzie przyglądają mu się z zaciekawieniem. Miał to gdzieś.

Do Mysłowic wrócił na autopilocie, dobrze, że nie zaliczył z kimś dzwona. W domu opadł na fotel. Próbował myśleć, analizować, co się stało i co powinien teraz zrobić. Ale strzępy myśli nie składały się w żadną całość. Ocknął się na dźwięk telefonu. Łojciec już na niego czekał. Więc znowu na autopilocie wyszedł, pojechał po łojca i zawiózł go do krawca. Usiadł na krześle i gapił się na myśłowicki rynek. Może ktoś tam przechodził, może nie.

– I jak, synek, gryfnie?

Ze stuporu wyrwał go staruszek, który stał przed nim w pełnej weselnej gali.

– Zrobisz furorę na godach – rzucił, nawet zbytnio nie przyglądając się, jak łojciec wygląda w nowym ancugu.

– Ty się z mojego wesela nie naśmiewaj – napomniał go z półuśmiechem.

– Poważnie mówię.

– A jak już o poważnych rzeczach mówimy, kiedy twoje gody?

Wzruszył ramionami. Najprawdopodobniej nie w tym życiu.

*

Ale po co, ale czemu akurat nadkomisarz? Łukowska nie pojmowała, dlaczego Polański zadeklarował się, że odwiezie ją do Gliwic. I była ponad miarę ciekawa. Wyłgał się, że jej auto wciąż stoi pod fabryką, bo technik dopiero dzisiaj miał je obejrzeć, on jest pod ręką, więc nie ma sensu ściągać Matei. Nie zamierzał zdradzać, że i tak miał w planach wypad do Gliwic. Nie chciał opowiadać Renacie o swoich przeczuciach i intuicji, bo, jak sądził, była ostatnią osobą, która w tej kwestii okazałaby mu zrozumienie.

Podwiózł ją pod samą bramę kamienicy, na wszelki wypadek chciał przypomnieć, żeby nie ważyła się łązić gdzieś sama po nocy, ale go uprzedziła. Składając palce jak do przysięgi, oznajmiła, że nie wyściubi nosa z mieszkania, choćby się nawet paliło. Z całych sił powstrzymywał się, by nie parsknąć śmiechem. Nie udało się.

Słabo znał Gliwice, więc włączył nawigację i wstukał adres Zawojskiego. W sobotni wieczór na ulicach było pusto, nieco mocniej naciskał więc pedał gazu. Jak nie on. Chciał się jak najszybciej przekonać, czy drobiazg, który od jakiegoś czasu nie dawał mu spokoju, nie był przypadkiem przywidzeniem albo wynikiem zbyt intensywnego myślenia życzeniowego.

Parking przed blokiem Zawojskiego był całkiem zapchany, zaparkował spory kawałek dalej, przed sąsiednim budynkiem. Poszedł szybko w stronę celu, podrzucając klucze zabrane z komendy. Nim uporał się z zamkami w mieszkaniu zatrzymanego, usłyszał, że otwierają się drzwi za jego plecami. Czujny sąsiad? Zostawił klucz w zamku i się odwrócił. Na progu, trzymając mocno drzwi, stał chuderławny staruszek. Znał go z relacji Adama. Sąsiad, który darł koty z Zawojskim.

– Nowy lokator? – spytał staruszek wprost.

Mundek przedstawił się i pokazał blachę. Mężczyzna zsunął okulary na czubek nosa i obejrzał ją uważnie.

– Już się bałem, że ten pieroński ożyrok wrócił.

Polański milczał, czekając, czy sąsiad powie coś jeszcze.

– Ale zamkniecie go na dobre, tak?

– Nie mogę mówić o toczącym się śledztwie.

– Czyli go zamkniecie – staruszek wyciągnął taki wniosek, jaki chciał wyciągnąć, i zrobił ruch, jakby chciał zniknąć w mieszkaniu.

– Chwila! – Mundek go powstrzymał. – Przypadkiem nie kręcił się ktoś ostatnimi dniami przy mieszkaniu Zawojskiego?

– A co ja stróż albo ormowiec?

Nadkomisarz uśmiechnął się lekko. Już bardzo dawno nie słyszał tego określenia.

– Oczywiście, że nie, ale może przez przypadek – ostatnie słowo mocniej zaakcentował – coś pan zobaczył.

– Na szczęście teraz tu cisza i spokój.

– Więc spokoju panu przede wszystkim życzę.

Odwrócił się i wszedł do mieszkania Zawojkiego. Skrzywił się, w środku wciąż śmierdziało papierosami i przetrawionym alkoholem. Zamierzał przebywać tu tylko tyle, ile musiał. I tak pewnie w domu Beata będzie narzekała, że jego ubranie capi fajkami.

Zapalił światło w przedpokoju i spojrzał na niewielki koszyk stojący na rozpadającej się szafce na buty.

– A jednak – powiedział, biorąc do ręki kluczyk do samochodu i chowając go do kieszeni.

Pozostawało mu jeszcze ostateczne potwierdzenie własnej hipotezy. A wtedy wszystkie elementy układanki najprawdopodobniej wskoczą na właściwe miejsca. Wrócił do fabryki, był zbyt niecierpliwy, żeby czekać na doprowadzenie zatrzymanego, więc zszedł do aresztu. Znudzony profos był wyraźnie niezadowolony, że przerwano mu błogie nicnierobienie. Mundek warknął na niego. Pomogło.

Otworzył drzwi do celi, w której siedział Zawojki, i spytał, czy ma zostać. Polański tylko pokręcił głową.

Jakub zerwał się z pryczy i odruchowo cofnął do ściany. Mundek pomyślał, że chłop jest całkiem zaszczuty. I pewnie taki zostanie. Chyba że była to lękowa reakcja wynikająca z odstawienia alkoholu.

– Siadaj, pogadamy.

Zawojki posłusznie usiadł. Mundek stanął przed nim i oparł się plecami o ścianę.

– Co z moją Roksanką? – spytał Jakub chrapliwym głosem.

– Zapewniam, że wszystko dobrze. Ma opiekę.

– Ale...

– Posłuchaj, nie będziemy teraz o tym rozmawiać – wolał się na wszelki wypadek upewnić, więc zapytał: – Będiesz spokojny?

Aresztant skinął głową.

Mundek wyjął z kieszeni kluczyk i pokazał Zawojkiemu.

– To twój?

– Tak, od golfa.

– A miałeś drugi, zapasowy?

Na twarzy Zawojkiego odmalowało się zdumienie.

– A gdzie tam, przecież to był stary grat. Nawet nie wiem, czy Hubi miał zapas. Może miał, ale na pewno mi nie dawał. Ale o co się rozchodzi?

– Hubi, czyli Szmatloch?

– Tak.

– Kto cię w ostatnich miesiącach odwiedzał w mieszkaniu?

Zawojski podrapał się po głowie, jakby w ten sposób chciał wspomóc swoją niedomagającą pamięć.

– Ja tam towarzyski nie jestem. No i kogo miałbym do tego mojego syfu wpuszczać...

– Daruj sobie. Zapytałem o prostą rzecz.

– No Hubi był parę razy.

– Ktoś jeszcze.

– Jadzia. Chyba.

– Siostra twojej żony?

– No tak.

– A co to znaczy, że chyba. Była w twoim mieszkaniu czy nie? – Mundek coraz bardziej się niecierpliwił.

– Cholera, nie pamiętam. Naprawdę. Kiedyś nachlałem się na mieście w Kato i ona mnie odwoziła. Naprawdę nie pamiętam, czy odstawiła mnie pod drzwi, czy weszła.

– Tylko oni? Nikt więcej?

– Tylko.

– Dobra, tyle mi wystarczy, ale jakbyś sobie przypomniał, że ktoś jeszcze wchodził do twojej nory, zaraz poproś o rozmowę ze mną.

– No dobra, ale o co właściwie się rozchodzi. Co z tym moim mieszkaniem jest?

– O co chodzi? Być może o twoje ocalenie.

niedziela, 16 lutego 2013

Na dźwięk nadjeżdżającego auta Adam odwrócił głowę. Zbyt gwałtownie. Poczuł, jakby ktoś klupnął go pyrlikiem w czaszkę. Jednak nie ból fizyczny, młoty w głowie i na niej, był najgorszy. Najbardziej bolało go sumienie. Tyle dobrego, że Czesio, taksjarsz z Mysłowic, z którym znali się od lat, wreszcie raczył się zjawić.

Kiedy tylko wsiadł do starego, ale zadbanego merca, Czesio jak zwykle zaczął przesłuchanie. A co tam, a jak tam życie i czy jego łojciec już gotów na gody? Czesio wiedział wszystko o wszystkich, jak to taksjarsz.

Adam cały zestaw pytań skwitował jękiem:

– Chujowizna bez popitki.

Czesio miał na tyle wyczucia, że z miejsca się zamknął i nawet nie skomentował stanu Adama. A było co komentować. Komisarz nie tyle był wczorajszy, ile wciąż jeszcze podpity. Dlatego musiał zadzwonić po Czesia, który karnie, choć spóźniony, stawiał się na miejscu. Późnym wieczorem, kiedy łojciec Adama poszedł spać, ten mógł już spokojnie poświęcić się rozpaczy i picciu. Wyzywał siebie od gupieloka, który żadnego związku nie potrafi utrzymać, którego wszystkie starania zdają się na nic, i pił czeskie piwo. Rozpaczwał, że beznadziejnym zachowaniem, którego nawet nie umiał sensownie wytłumaczyć, skrzywdził Elę, chociaż przecież nie chciał, przecież nieba by jej przychylił, gdyby tylko mógł, i pił czeskie piwo. Z bezsilnej wściekłości na siebie walił pięścią o ścianę i pił wodę, bo okazało się, że ma jeszcze skitrane pół litra w barku. Konsekwencje musiały się pojawić i się pojawiły.

Wczesnym rankiem z pijackiego snu niczym z bagna wyrwał go telefon Mundka, który zarządził nieplanowane zebranie na dziewiątą. Adam próbował się bełkotliwie wyłgać od obowiązków, ale przyjaciel twardo powiedział, że nie ma takiej opcji. Teraz więc włókł się w stronę gabinetu Polańskiego, próbując opanować atak czkawki.

Otworzył drzwi, wszyscy już byli. Chciał się wytłumaczyć ze spóźnienia, ale Mundek rzucił:

– Adam, zostań na korytarzu.

Co było robić.

Po chwili Mundek wyszedł do niego i zamknął za sobą drzwi.

– Jak ty wyglądasz? Powinienem cię z miejsca odesłać do chałupy.

– No wiesz...

– Co się stało?

– Problemy mam.

– To akurat widzę. Coś z ojcem?

– Raczej z Elą.

Mundek tylko pokręcił głową.

– Chłopie, ile ty masz lat?!

– No wiesz, nie myślałem, że akurat dzisiaj...

– A właśnie że dzisiaj. Więc łeb pod zimną wodę, miętówki do gęby.

A jakbyś czuł, że nie dajesz rady, mów.

Dawno nie widział przyjaciela tak wściekłego.

– Dam radę.

Powiedział to już do pleców Mundka.

Powlókł się do łazienki, włożył głowę pod kran i puścił zimną wodę. Krzyknął, a potem prychnął, gdy poczuł coraz zimniejszą strugę. Nie mniej dotkliwą niż wcześniej walący w niego pyryk. Osuszył włosy papierowymi ręcznikami, o tyle o ile, przeczesał palcami. Wciąż nie wyglądał kwitnąco.

Nikt nie skomentował jego wyglądu. Na szczęście. Usiadł na krześle za plecami Krzyśka i Renaty.

– Dobrze, niech szef już nie stopniuje napięcia – Mateja pierwszy przerwał ciszę.

Mundek położył na biurku dwa kluczyki do samochodu, prawie identyczne, i zaczął:

– Od jakiegoś czasu męczyło mnie, że coś widziałem, ale jednak nie dostrzegłem. Renata znalazła kluczyk w aucie Zawojskiego. Uświadomiłem sobie wreszcie, że widziałem kluczyk także w jego mieszkaniu. Pojechałem tam dzisiaj i faktycznie znalazłem drugi. Trochę się różnią, jednak ząbki mają takie same. Spytałem Zawojskiego, czy miał zapas, zaprzeczył.

– A to znaczy, że ktoś sobie ten klucz dorobił bez jego wiedzy – wyrwał się Krzysiek.

– I stuknął starą Krol niby na konto Zawojskiego – dorzuciła Renata.

– Spokojnie, spokojnie – powstrzymał ich Mundek. – Nie rozpędzajcie się za bardzo. Już raz przejechaliśmy się na zbyt szybkim wyciąganiu wniosków.

– Dobrze – Adam chciał odrobić chociaż trochę straconych dzisiaj punktów. – Tylko kto mógł to zrobić?

– Wczoraj rozmawiałem z Zawojskim. Stwierdził, że w ostatnich miesiącach odwiedzali go tylko Szmatoch i chyba Jadwiga Krol, choć nie jest pewien, czy wchodziła do mieszkania.

– Ten to chyba nie do końca jest pewny, czy żyje – rzuciła Łukowska zgryźliwie.

– A dlaczego mówimy tylko o jego mieszkaniu? – dopytał Mateja. – Może ktoś mu te klucze wyciągnął, jak koleś siedział w knajpie. Dorobił, a potem z powrotem włożył mu oryginał do kieszeni. Był nietomny, więc nic nie zauważył.

– Z tego, co się dowiedziałem – zaczął Adam – on w knajpie tylko popijał, a dopiero w domu dobijał się wódką na maksa. Chyba taki numer by z nim jednak nie przeszedł.

– Na razie trzymajmy się osób, które go odwiedzały – rozstrzygnął nadkomisarz. Zawiesił głos i po chwili spytał: – Chce ktoś kawy, bo że Adam tak, to dzisiaj jest jasne.

Łukowska poprosiła o czarną. Mateja powiedział, że skoczy po zieloną herbatę dla siebie. Kiedy już każdy miał przed sobą filiżankę albo kubek, Mundek kontynuował:

– Szmatlocha możemy skreślić, bo ma potwierdzone alibi. Pozostaje nam Jadwiga Krol.

– Która być może była albo być może nie była u Zawojskiego – przypomniał Krzysiek.

– Chwila – Adam odstawił filiżankę na biurko i wstał. – Kotwa – widząc niepewną minę nadkomisarza, wyjaśnił: – W sensie sąsiad Zawojskiego, emeryt.

– Aaa, ormowiec – zaśmiał się Mundek.

– Widzę, że miałeś przyjemność go poznać.

– Wczoraj wyszedł na klatkę schodową, gdy tylko włożyłem klucz do zamka.

– Taki sąsiad to prawdziwy skarb – powiedziała Renata z pełną powagą.

– Dobrze, i co z tym Kotwą? – Polański nie chciał, żeby snuli niepotrzebne dygresje.

– Powiedział mi, że widział pod drzwiami Zawojskiego takiego, Renata, spokojnie, tylko cytuję, babochłopa.

Renata najpierw wzruszyła ramionami, ale jednak nie powstrzymała się od komentarza:

– Widzę, Adasiu, że z każdą minutą coraz lepiej się czujesz... Naprawdę cudowne ozdrowienie.

Zignorował ją i spytał:

– Jak w ogóle ta Krol wygląda?

– Na pewno nie za bardzo kobieco – odezwał się Krzysiek. – Ostrzyżona na jeża, ubiera się tak bardziej po męsku.

– Czyli to mogła być ona – uznał Adam.

– Dla porządku to jeszcze potwierdzimy – oznajmił nadkomisarz i kazał Matei znaleźć na stronie szkoły albo gdzieś w internecie zdjęcie Krol i wydrukować. – Pojedziesz z Adamem do tego Kotwy i pokażecie mu fotę.

Krzysiek potwierdził skinieniem głowy, a potem zaczął szybko pukać w swój tablet i w końcu przypomniał:

– W sumie ona sama przyznała, że na początku stycznia widziała się z Jakubem. Tylko nie mówiła gdzie.

– A my nie wnikaliśmy, bo nie wydawało się to ważne – dodała Renata.

– Pytaliście ją wtedy o alibi na czas śmierci matki? – spytał Mundek.

Renata i Krzysiek tylko wymownie na siebie popatrzyli.

– To też trzeba wyjaśnić. Na pewno nie ma alibi na czas śmierci siostry, bo ponoć siedziała sama w domu – podsumował nadkomisarz.

– Czyli Jadwiga Krol jest teraz naszą główną podejrzaną? – upewnił się Adam.

– Na razie musimy się jej dokładniej przyjrzeć, posprawdzać wszystkie fakty – zaznaczył Polański ostrożnie.

– No dobra, ale jaki by miała motyw? – Krzysiek miał wątpliwości.

– A właśnie rodzinne, nienawiść do matki, a pewnie i siostry, to mało?! – podkomisarz bardziej stwierdziła, niż spytała.

Polański dopił kawę i podniósł się z fotela.

– To teraz, tak jak mówiłem, ty – wskazał na Mateję – z Adamem jedziecie do Kotwy. Potem wracacie do fabryki i ustalacie, co Krol robiła w dniu śmierci matki.

– Mundek, niedziela jest, może być słabo.

– Nic mnie to nie obchodzi. Zrobicie, ile zdołacie. A ja z Renatą jeszcze raz odwiedzimy dwie Jadwigi, dużą i małą. Działamy.

Łukowska wstała, ruszyła do drzwi, ale zatrzymała się w pół kroku. Spojrzała na Polańskiego i zapytała:

– Ale jeśli o tych kluczykach było wiadomo już wczoraj, czemu zaczynamy działać dopiero teraz?

– Musiałem się przespać z tematem. Żeby znowu nie było wtopy.

– Aha.

Reszta ekipy podniosła się z miejsc.

– Jeszcze jedno – Mundek ich zatrzymał – i żadnych nieprzemyślanych ruchów, żadnej samowolki. Jak tylko coś odkryjecie, dajecie mi znać.

Przytaknęli bez słowa i zaczęli się zbierać.

– Byle ta robota przy niedzieli na coś się zdała – powiedział Adam do siebie.

Nie dość cicho, bo Mundek wysyczał pytanie:

– Masz jeszcze coś do dodania?

Adam wołał jak najszybciej zejść mu z oczu i popędził na korytarz.

*

Tej niedzieli słońce znowu zniknęło za grubymi zwałami chmur. Przy bezwietrznej pogodzie śnieg z deszczem nie tyle padał, ile spadał, jednostajnie, nieuchronnie, prosto w dół. Szarość zdawała się tak gęsta, namacalna, że aż lepiała się do samochodów, drzew ogołoconych z liści, ekranów dźwiękochłonnych. I do czerwonego nissana Krzyśka, który jakby poszarzał.

Mateja popatrywał z ukosa na Adama, który siedział na fotelu pasażera bez ruchu i gapił się przed siebie. Jakby dostrzegał tam coś naprawdę ciekawego, a nie ubłocone bagażniki samochodów. Niektóre ozdobione nieśmiertelnym napisem „brudas” albo szkicowymi wizerunkami męskich genitaliów.

– Co jest?

Tyszka nie zareagował.

– Adam? Co się stało, że się tak nachlałeś?

Komisarz się skrzywił i wciąż gapiąc się w przednią szybę, odparł:

– Synek, zejdz ze mnie. Wystarczy mi opierdolu od Mundka.

– No ale chyba możesz powiedzieć. Rozumiem, że Polański to twój przyjaciel, jemu się spowiadasz...

– Tylko nie gadaj mi tu o spowiedziach – warknął Tyszka.

Krzysiek mocniej nacisnął gaz, wyprzedzając długi autobus miejski.

– Jakies problemy rodzinne czy co? – nie poddawał się.

Adam parsknął i wreszcie odwrócił głowę w jego stronę.

– Czasami jesteś bardziej męczący i upierdliwy od mojego łojca.

– Martwię się.

– Ty nie bądź taka Matka Teresa.

Mateja wyobraził sobie siebie w habicie i z zakrytą głową. Teraz to on parsknął śmiechem.

– I czego rzy? – obruszył się Adam. – Pewnie, łatwo się pośmiać z czyjegos nieszczęścia.

Krzysiek wiedział, że już go ma.

– To powiedz o tym nieszczęściu, wyrzuć z siebie.

– Czy ty, synek, nie za często do tej psycholog chodzisz? A może lecisz na panią doktor? Sucz w okularkach, nie powiem, niektórych to kręci – zadał pytania retoryczne. – Ale dobra, powiem, bo mi nie dasz żyć. Poprzykałem się z Elą.

– Ale tak na amen?

– Amen to jest po śmierci.

- A wydawało mi się, że się dobrze dogadujecie.
- Bo tak było, ale wszystko koncertowo spierdoliłem.
- Co takiego zrobiłeś? Bo chyba jej nie zdradziłeś? To nie w twoim stylu.
- Nie chcę teraz o tym mówić. Robotę mamy, na tym muszę się skupić.

Krzysiek zastanawiał się, czy nie zadziałało prawo serii. Adamowi sypie się związek, jemu też. Chyba. Choć nie był już pewien, czy w ogóle jest w jakimś związku.

– Ale, Adam, przynajmniej wiesz, że zaważyłeś. Ja w ogóle nie jestem pewien, co się dzieje. Czy coś zrobiłem źle...

– Z Petardą nie ten teges?

Krzysiek odruchowo mocniej nacisnął na gaz, choć nie było takiej potrzeby.

– Tak. Nie. Nie wiem. Każda z tych odpowiedzi jest prawdziwa i jednocześnie nie jest.

– Uuu, to z ciebie dzisiaj nie tylko psycholog, ale i filozof – zaśmiał się komisarz.

– Łatwo ci się śmiać – powiedział Mateja z goryczą.

– Wcale nie, ale z drugiej strony, ile można rozpaczać. Albo dzielić włos na czworo.

Krzysiek zbierał się, żeby opowiedzieć Adamowi o sprzecznych uczuciach, które w ostatnich dniach wzbudzała w nim Renata, o tej dziwnej nocy, seksie, w którym się zatracił. I poniekąd stracił samego siebie. Nigdy nie gadał o sprawach łóżkowych z kumplami. Zawsze irytowały go ich bohaterские opowieści o cielesnych wygibasach, w których było pewnie tyle prawdy, ile w wyborczych obietnicach polityków. Ale w tej chwili odczuwał potrzebę, by o tym opowiedzieć. Komukolwiek, więc i Adam nadawał się na powiernika.

– Widziały gały, co brały – niespodziewanie rzucił tamten.

– W sensie?

– Przecież wiedziałeś, że Renatka to chodzący problem. W robocie, a okazuje się, że i w normalnym życiu.

Nie zdobył się na ripostę. Zamruczał tylko pod nosem. Z miejsca przeszła mu ochota na zwierzenia.

– Dojeżdżamy – oznajmił.

Zadzwonili domofonem. Kotwa na szczęście był w domu, czekał na nich na klatce schodowej, jakby w ten sposób dając do zrozumienia, że nie zamierza przyjmować ich w mieszkaniu.

– A co wy tak tu pielgrzymujecie ostatnio, jak do jakiego sanktuarium?

– Robimy, co musimy – uciął Adam, który nie miał nastroju na tłumaczenie się, a już na pewno nie przed wścibskim emerytem.

Krzysiek wyciągnął z kieszeni kurtki wydruk zdjęcia Jadwigi Krol.

– Widział pan tę osobę?

Kotwa wziął kartkę, przybliżał i oddalał od oczu. Chrząknął.

– To ja może jednak po bryle pójde.

Nie pakowali się za nim do mieszkania. Wrócił z okularami na czubku nosa i znowu wbił wzrok w wydruk.

– Babochłop jak żywy – powiedział z taką radością w głosie, jakby zobaczył od dawna niewidzianą bliską osobę.

– Czyli widział pan ją tutaj? – Adam wolał się upewnić.

– Przecież już mówiłem panu porucznikowi – Tyszka otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zmilczał. – Zdrowie może mam słabe, ale pamięć jak żyleta polsilver. Teraz już takich nie robią, tylko te maszynki, jeden szajs. Raz się oskrobiesz i po maszynce. Spotkałem tego babochłopa na schodach. A jak tak teraz myślę...

– To? – zachęcił go Krzysiek.

– Raz też widziałem, jak taszczyła tego pierońskiego ozyroka z auta do mieszkania. Wiadomo, taki to tylko wszystkim wadzi, problemy z nim.

– Kiedy to było?

– Jakoś kole świąt. Dokładnie nie pamiętam.

I tyle pożytku z pamięci jak żyleta – skomentował Krzysiek w myślach.

– Dziękujemy, bardzo nam pan pomógł – rzucił.

– Ale, ale, panowie władza! Co to w ogóle za strziga jest?

– Dlaczego pan myśli, że to dziwka? – zainteresował się Adam.

– A bo kera normalna baba by się z takim ochlaptusem zadawała, nie?

– Do widzenia – rzucił Krzysiek, nie zamierzając wysłuchiwać życiowych mądrości emeryta.

Zeszli ledwie kilka schodków, kiedy Kotwa zaczął się wydzierać:

– Zaraz. Ale o co chodzi? Co tu się wyprawia? Mam prawo wiedzieć, co się tu dzieje pod moim nosem.

Adam się odwrócił, zrobił trzy susy i stanął przed emerytem. Blisko, może za blisko. Krzysiek bał się, że kumpel zrobi coś głupiego. Albo stary wyczuje od niego alkohol.

– Panie Kotwa – Tyszka mówił spokojnie – prawo to pan ma wrócić do chałupy i pierdzieć w fotel.

Odwrócił się i ruszył schodami w dół, mijając Krzyśka.

Staruszka na jakiś czas zatkało, ale kiedy byli już blisko parteru, usłyszeli krzyki:

– Ja tego tak nie zostawię! Ja skargę złożę!

– A składaj sobie – powiedział Adam pod nosem.

– Nie musiałeś mu tego mówić.

– Ale powiedziałem. Koniec tematu.

Jechali w stronę Katowic, milcząc. Krzysiek zwolnił, bo padał coraz większy śnieg, który ograniczał i tak słabą widoczność.

– Czyli jednak ta Krol ma coś za uszami – odezwał się Adam.

– Na pewno ściemnia.

– I to już jest znak.

– Myślisz, że z zimną krwią zabiła matkę i siostrę?

– Myślę czy nie. Na pewno nie byłaby pierwsza. Na razie róbmy to, co kazał Mundek, sprawdzajmy. A potem się zobaczy.

Adam odebrał komórkę i przez chwilę słuchał z ponurą miną, niemo potakując.

– Coś się stało? – Krzysiek się zaniepokoił.

– A stało. Coś, co się stać nie powinno. Chyba.

*

Polański kolejny raz nacisnął dzwonek. Ni widu, ni słyhu. Zza drzwi mieszkania Jadwigi Krol nie dochodziły żadne, nawet najcichsze odgłosy.

– Do kościoła na pewno nie poszła – rzucił w przestrzeń.

– Się wie – potwierdziła Łukowska, która stała obok drzwi, oparta ramieniem o ścianę. – Może wyszła z małą na spacer?

Uśmiechnął się z politowaniem.

– Widać, że nie masz dzieci. Nikt rozsądny nie ciągnąłby malucha na dwór w taką pogodę.

Wzruszyła ramionami.

– To co robimy? – niecierpliwiła się jak zwykle.

– Zejdźmy na półpiętro. Dzwon do Jadwigi, a ja dryndnę do Krola, sprawdzę, czy nie wybrała się do ojca.

Stanęli po dwóch stronach klatki schodowej. Patrzył, jak podkomisarz wybiera numer, krzywi się, potem wybiera raz jeszcze. Krol na szczęście odebrał. Rozmowa z nim nie trwała długo.

– I co? – spytał krótko.

– Ma wyłączony telefon. Na wszelki wypadek się nie nagrywałam. A u Krola?

– To nie wygląda za ciekawie. Zdziwił się, kiedy spytałem o Jadwigę. Podobno miała być u niego dopiero jutro. Mówiła, że wzięła kilka dni wolnego, i od poniedziałku miała przez kilka dni pomieszkiwać z Roksaną u niego.

– Jadwigą – sprostowała.

– Okej, z dziewczynką dwojga imion.

– Co to niby znaczy? Że związała z małą?

– Powoli. Dlaczego miałyby to robić, skoro i tak się nią opiekuje? – głośno myślał. – Nic to, popytamy sąsiadów.

Z powrotem weszli na piętro. W mieszkaniu obok nie było nikogo, w kolejnym wreszcie drzwi się otworzyły i stanęła w nich młoda kobieta z małym dzieckiem, które nosiła na biodrze. Wytłumaczyli, dlaczego ją niepokoją.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała z wyraźną szczerością w głosie. – Nie widziałam sąsiadki dzisiaj. Ani chyba przez ostatnie dni. Właściwie nawet trudno powiedzieć, że to sąsiadka. Ledwie na „dzień dobry” odpowiada. Nigdy nie zamieniłam z nią zdania. Przemyka po klatce jak duch. Gdyby nie państwo, nawet nie wiedziałabym, jak się nazywa.

Nie zdziwiło go to, bo przecież Krol nie szukała kontaktów z innymi ludźmi, z tego, co wspominała, nie były jej do niczego potrzebne. Poza tym w miastach życie sąsiedzkie w blokach w ogóle zamierało, rozpływało się w powszechnej anonimowości. Także na Śląsku.

Podziękował kobiecie za informację, a kiedy zamknęły się za nią drzwi, powoli pokręcił głową.

– Zaczyna to wyglądać podejrzanie.

– Myślę, że nie ma co chodzić po innych ludziach z tej klatki, bo usłyszymy dokładnie to samo.

– Jasne – zgodził się.

– To może... – Renata zawiesiła głos i zaraz dodała: – ...rozejrzemy się.

Wyciągnęła etui, w którym nosiła zestaw wytrychów.

Ściągnął brwi i rzucił ostro:

– Ani mi się waż. Najpierw nakaz.

Bez słowa schowała sprzęt do kieszeni spodni.

– A w ogóle, po co to ze sobą nosisz?

– Siła nawyku.

– Pamiętaj, niech ta siła nawyku zbytnio cię nie zagarnia. Obserwuję cię.

Uniosła otwartą dłoń.

– Przysięgam, że nie zrobię nic niezgodnego z prawem.

– Ty i te twoje przysięgi... Zbieramy się – powiedział, sięgając po komórkę i wybierając numer Tyszki.

*

Niby był już luty, dnia przybywało, ale wciąż niewiele. Zmierzchało. Renata stała przed oknem w ich pokoju, wpatrując się w szarówkę rozmywającą światła

latarni. Przeciągnęła się, aż zatrzeszczał kręgosłup. Czuła głód, bo przez poranny telefon Polańskiego nie zdążyła nic zjeść. Jechała tylko na kawie. I na papierosach oczywiście.

Odwróciła się i zagadała do Matei:

– Może pizzę zamówimy?

Powoli uniósł głowę znad tabletu.

– Poczekajmy chwilę, zaraz Polański powinien wrócić, może coś zarządzi.

W takich sytuacjach czekania nienawidziła najbardziej. Ale cóż jej pozostało? Zazdrościła Tyszce, który nawet nie udawał, że coś robi, tylko zwyczajnie spał na siedząco z opuszczoną głową. A jeszcze niedawno podśmiewał się, że to ona za dużo chła. Cienias.

Kiedy wszyscy wrócili do fabryki, jeszcze coś się działo. Rzucili się do szukania informacji o nauczycielce, która zniknęła. I okazało się, że trudno na jej temat cokolwiek znaleźć. Nie udzielała się w mediach społecznościowych. Trudno było namierzyć kogoś, kto znałby jej znajomych. Choćby nawet dalszych. Ale koniec końców wyszły ciekawe rzeczy.

Mateja dotarł do zastępczyni dyrektorki szkoły, w której pracowała Krol. Miała o Jadwidze jak najlepszą opinię, uważała ją za dobrą i bardzo sumienną nauczycielkę. Choć trochę wycofaną w kontaktach z kolegami z pracy, mało towarzyską. Właśnie przez odstępstwo od reguły zapamiętała, że w dniu, kiedy została zabita jej matka, Jadwiga spóźniła się na wywiadówkę, która była wyznaczona na osiemnastą. Wcześniej jej się to nigdy nie zdarzyło. Wkurzeni rodzice przyszli do dyrektorki z pytaniem, co się dzieje. Nie wiedziała, a Krol nie odbierała telefonu. Przyjechała spóźniona o ponad pół godziny, tłumacząc się problemami z samochodem. Czyli nie miała alibi na czas zabójstwa matki i śmierci siostry.

Tyszka posprawdzał billingi telefonu Zawojskiej. Okazało się, że ostatnie połączenie, które odebrała, wyszło z telefonu na kartę. Nie był to numer Jadwigi, ale przecież mogła kupić kartę, zadzwonić do siostry i... Właśnie. Polański uznał, że jest wystarczająco dużo zbiegów okoliczności i niewyjaśnionych kwestii, które wiążą się z Jadwigą, aby podjąć dalsze kroki. Zadzwonił do prokuratora Kroka z prośbą o nakaz rewizji w jej mieszkaniu, a potem poszedł do swojego szefa, Pietrusińskiego, którego też ściągnął do fabryki. Był pewien, że Pietrucha go opieprzy za zawracanie głowy.

Teraz wszyscy czekali na ciąg dalszy. Chłopaki pewnie bez większego entuzjazmu. Renata w miłym napięciu przed akcją. Oczywiście, jeśli jakakolwiek akcja będzie.

– Jednak zadzwonię po pizzę – powiedziała, sięgając po komórkę. – Dla ciebie też, taka bardziej beźmięsna?

Zanim wybrała numer, usłyszała pukanie do niedomkniętych drzwi. Polańskiemu nagle zebrało się na żarty?

– Wlazł! – krzyknęła.

Tyszka ocknął się gwałtownie, o mało nie spadając z krzesła. Do pokoju wszedł prokurator Krok, jak zwykle w płaszczu, gajercie i pod krawatem. Za to wyjątkowo nie miał teczki. Zapomniał czy nie nosił przy niedzieli?

– Dzień dobry – powitał ich prawnik. – Mam nakaz.

– Nie musiał się pan prokurator fatygować – wypalił Mateja. – Wystarczyłaby zgoda, a papierologię byśmy załatwili później.

– Wolę, żeby wszystko było tak, jak trzeba.

Następny sztywniak, któremu paragrafy i regulaminy trwale przeorały mózg.

– Kawy, zielonej herbaty? – Mateja najwyraźniej wczuł się w rolę pana domu. – A może pizzę? – puścił oko do Renaty.

– Dziękuję, po obiedzie jestem.

Niech ta gadka szmatka się wreszcie skończy, bo nie zdzierzę – pomyślała. I chyba tą myślą ściągnęła nadkomisarza.

– Mamy zielone światło od Pietrusińskiego – powiedział Polański, który właśnie wszedł do pokoju.

Wcześniej przywitał się z prokuratorem.

– I mamy nakaz – Krok wyjął papier z wewnętrznej kieszeni płaszcza.

Szef uznał, że nie ma co zwlekać i trzeba jechać do mieszkania Krol. Renata miała się z nim zabrać, a chłopaki zostać na miejscu i dalej szukać wszelkich dostępnych informacji o Jadwidze. Prorok zapowiedział, że pojedzie z nimi na przeszukanie. Nudził się w dzień wolny czy chciał im patrzeć na ręce?

Po drodze na Brynów Krok wypytywał, jak wpadli na trop starszej córki Krolów i co konkretnie na nią w tej chwili mają. Zadawał pytania, bardzo wiele pytań, na które Polański cierpliwie odpowiadał. Zdaniem Renaty nieludzko cierpliwie. Ona by się już zirytowała. A potem kolejny raz stanęli przed drzwiami mieszkania nauczycielki. Sąsiadka, która wcześniej z nimi rozmawiała, miała być świadkiem przeszukania. Oczywiście był to pomysł Kroka. Dobrze chociaż, że się zgodził – z grymasem, bo z grymasem, ale jednak – żeby Renata otworzyła drzwi wytrychami.

Mieszkanie wciąż robiło wrażenie zimnego i nieprzyjemnego, ale nie wyglądało już na tak uładzone jak podczas ich poprzednich wizyt. W przedpokoju wałały się dwie pary dziecięcych bucików, w pokoju na kanapie leżało kilka sztuk ubrań obu Jadwig. Łukowska zajrzała do łazienki, na jej oko brakowało tam sporo kosmetyków, nie znalazła też żadnej kosmetyczki. Polański zaglądał do szaf, ściennej w przedpokoju i małej, dwudrzwiowej w pokoju.

– Nie widzę tu żadnych walizek czy większych toreb.

- A ja nie widzę Zygmunta – dorzuciła.
- Kogo takiego? – spytał prokurator.
- Hipopotama.
- To nie czas na żarty, pani podkomisarz.
- Powaga. To zdaje się ulubiona maskotka Jadwigi.
- Wasza podejrzana bawi się zabawkami? – Krok był skołowany.
- Dziewczynka ma na drugie Jadwiga – wyjaśnił Polański, który najpewniej uznał, że Renata nie jest w stanie szybko i skutecznie porozumieć się z prokuratorem.

Metodycznie przetrzepali mieszkanie, szukając czegokolwiek, co mogłoby ich naprowadzić na trop, dokąd wyjechała Krol z małą. Bez wyników.

- Wszystko wskazuje, że związała z dziewczynką – powiedział Polański.

Prokurator tylko skinął głową.

- Co robimy? – spytał nadkomisarz.

- To, co trzeba – odparł prawnik.

Stanowczo.

Renata nieco się zdziwiła, bo wyglądał jej na takiego, który sto razy mieli w głowie informacje, zanim podejmie jakąkolwiek decyzję.

*

Mundek go nie wyczuwał, zupełnie nie potrafił rozgryźć. Choć przecież uważał, że zna się na ludziach. W większości czytał jak w otwartej książce. Jednak nie w prokuratorze Sebastianie Kroku. Raz prawnik był rozsądny, skłonny do współpracy i zaangażowany w robotę, drugi raz – jakby nieobecny, rozdrażniony, może nawet zły. Doktor Jekyll i mister Hyde z prokuratury. Jeszcze trochę, a zacnie tęsknić za prokuratorem Mrozowską, nieodmiennie stałą w swojej arogancji, złośliwości i przekonaniu, że w ich pracy niekoniecznie liczą się fakty, ale na pewno wyniki.

Tym razem Krok pracował w trybie „dobry prokurator”. Kiedy wrócili do fabryki, od razu zarządził, że muszą jak najszybciej rozpocząć poszukiwania Roksany Zawojskiej. Najpierw przekażą informację wszystkim jednostkom policji, ze szczególnym uwzględnieniem regionalnych, a jeśli to nie przyniesie efektu, jutro rano pójdzie info do mediów. Nie zdenerwowały go marudzenia Matei, że przez ten czas, kiedy nie ma kontaktu z Krol, ta spokojnie mogła już wywieźć dziewczynkę za granicę. Zgasił go po prawniczemu, że działają zgodnie z procedurą, a jeśli nic z tego nie wyniknie, podejmą dalsze kroki. Mundek przyznał prokuratorowi rację i powiedział, że jego zdaniem Krol zawsze musi mieć plan działania, a jej szybki wyjazd wskazywał, że takowego nie miała.

Jego zdaniem przyczała się gdzieś, by spokojnie zastanowić się co dalej. Pytanie tylko gdzie. Może w hotelu, jednak takie rozwiązanie wydawało się zbyt ryzykowne. A może miała jakieś nieruchomości za miastem. Poleciał Krzyškowi i Adamowi to sprawdzić oraz ustalić, jakim samochodem Krol jeździ.

Z uzyskaniem pozwolenia na poszukiwanie dziecka i rozpowszechnienie jego wizerunku nie było problemu, bo pod ręką był Zawojski, który miał prawa rodzicielskie. Wciąż jeszcze. Kiedy Jakub usłyszał, z czym Mundek z Krokiem do niego przychodzi, wpadł w szal. Mundka nawet to nie zdziwiło. Było mu chłopaka zwyczajnie żal. Najpierw teściowa z żoną odcinały go od córki, a teraz zabiera mu ją kolejna kobieta z klanu Krolów. Krok z zadziwiającym spokojem poradził sobie z Zawojskim, sadzając go siłą, stanowczo, ale bez nadmiernej przemocy, na krześle i tłumacząc, że liczy się każda minuta, więc lepiej będzie dla Roksany, żeby wziął się w garść i współpracował. Podziałało. Do tego stopnia, że sam z siebie powiedział im, że w portfelu, który jest w depozycie, ma zdjęcie córeczki. Kolejna wersja prokuratora? Krok jako zimny, opanowany skurczybyk?

Okazało się, że na Krol nie są zapisane żadne inne nieruchomości poza jej mieszkaniem. Gdzie więc była? Tyszka zasugerował, że zaszyła się u koleżanki albo znajomej. Mateja tylko parsknął śmiechem, mówiąc, że jej przyjaciółki trudniej namierzyć niż miejsce pobytu Osamy bin Ladena. Próbował, więc wie. Tyle dobrego, że ustalili, czym jeździ – zielonym suzuki samurajem. Tym razem Mundek uśmiechnął się pod nosem. Ta mała terenówka nawet mu pasowała do specyficznej nauczycielki matematyki.

Puścili informację o zaginięciu Roksany w policyjny obieg. Teraz pozostawało jedynie czekać. Mundek uznał, że nie ma potrzeby, żeby wszyscy siedzieli w fabryce. On i tak miał z głowy rodzinną niedzielę, więc postanowił zostać. Beata na pewno da mu rozgrzeszenie, kiedy się dowie, że sprawa dotyczy małej dziewczynki. Adam wyglądał, jakby był na ostatnich nogach, i pewnie tak było, więc odesłał go do domu, na odchodne rzucając:

– Tylko wiesz, Adam...

Tyszka kiwnął głową. Mundek chciał, żeby został z nim Krzysiek i jeszcze raz poszperał w poszukiwaniu jakichkolwiek znajomych Krol. Pozostawała jedna sprawa, czyli odeskortowanie Renaty do Gliwic.

I wtedy prokurator Sebastian Krok zadziwił go po raz kolejny tak mocno, że niemal zwałił z nóg.

– Dobrze, tylko kto podrzuci Renatę do domu? – spytał Mundek.

– Ja mogę – powiedział Krok, a widząc niepewne miny pozostałych, dorzucił: – Naprawdę, żaden problem.

– Okej, mnie pasuje – rzucił Renata i zdjęła kurtkę z oparcia krzesła.

Krokowi spodobały się jej rude loki? Być może. Na pewno jednak Krzyżskowi nie spodobało się, że wymuskany prawnik jedzie z Renatą.

*

Prokurator to nie tyle profesja, ile stan umysłu, pomyślała Renata, kiedy Krok zamiast zwyczajowego small toku w podróży zaczął ją przesłuchiwać, czemu właściwie nie jeździ własnym autem, tylko pozwala się wozić kolegom. Jedno z podstawowych przykazań przesłuchiwanego? Kłamać, kiedy się da, byle w granicach prawdopodobieństwa.

– W warsztacie stoi.

– Aha. A czym pani jeździ?

– Bez jaj, Renata jestem.

– Sebastian.

Grzeczniutki chłopiec. Pewnie z dobrej rodziny. Buty czyszczone co rano, a spodnie w kantkę. Zerknęła w lewo. A nie, bez.

– Czyli Seba – uznała.

– Może być i tak – trudno powiedzieć, czy spodobała mu się ta forma. – To czym jeździsz?

– Audi TT.

Gwizdnął. To zawsze imponuje cieniasom, którzy jeżdżą nudną do bólu skodą fabią. Obawiała się, że za chwilę zaczną się pytania, czy kupiła sobie tę furę z pensji psa. I tym podobne przewidywalne głupoty. Zaraz więc rzuciła:

– A jak tam, Seba, po przeprowadzce do Katowic? Odnajdujesz się jako tako w nowej robocie?

– Wiesz, nawet...

Z miejsca się wyłączyła, przestała go słuchać. Faceci są prości w obsłudze. Tylko trzeba znać instrukcję, koniec końców składającą się z niewielu punktów. Wystarczy zainteresować się ich życiem i sprawami, a od razu zaczynają tokować, głęboko przekonani, że to, co robią albo myślą, jest niezwykle ważne i intrygujące. Zwłaszcza dla bab.

– ...mieszkasz?

Nie zarejestrowała, kiedy skończył monolog.

– Sorry, zamyśliłam się.

Byli już w Gliwicach. Podała mu adres i kiedy dojechali na jej ulicę, pokazała na bramę swojej kamienicy. Nie było gdzie zaparkować, więc zatrzymał się na ulicy naprzeciwko bramy.

– Niespecjalna okolica – skomentował.

– Mnie tam się podoba. Ma klimacik.

Postawiła kołnierz kurtki, nacisnęła klamkę. Teraz padnie pytanie, czy może nie zaprosiłaby go na herbatę? Nie padło. Bardzo grzeczny chłopiec.

– Dzięki za podwózkę. Cześć.

– Nie ma sprawy. Do widzenia.

Zamknęła drzwi, poszła, nie oglądając się za siebie. Słyszała, jak rusza. Kiedy weszła do bramy, usłyszała łomot dochodzący od strony podwórka. Znowu jakieś głupki się na nią zasadziły? Wyciągnęła broń i powoli, tuż przy ścianie, przesuwała się w stronę podwórka, przypominając sobie, co tam jest. Kubły na śmieci, trzepak, ławka. Nie za wiele miejsc, żeby się przyczaić. Pochyliła się i z wyciągniętą bronią wyjrzała na podwórko. Metr od niej jarzyły się oczy kota, siedzącego na kuble na śmieci. Odetchnęła. Nigdy nie lubiła futrzaków.

Z opuszczoną bronią ruszyła w stronę wejścia na klatkę schodową. Nagle drzwi odskoczyły i wyskoczył z nich zakapturzony typ z klamką w ręku. Odskoczyła i odruchowo uniosła swojego glocka. Mierzyli do siebie, ale strzał nie padł. Nie wróżyło to najgorzej. Patrzyła mu prosto w oczy. I tak, to był on.

Zaczęła mówić spokojnym tonem:

– Nie chcę się z tobą strzelać, Laska. To jeszcze nie musi się skończyć bardzo źle.

– Pamiętasz mnie, suko.

– Przypomniałeś mi.

– Zajebię cię.

– O tym już słyszałam.

Na ile Laska był zdeterminowany? Czy liczył się z tym, że może zostać postrzelony albo nawet zginąć? Nie zdążyła znaleźć odpowiedzi, bo skrzypnęły drzwi bramy. Facet lekko odwrócił głowę. To był ten moment. Zmiana układu. Skoczyła i podbiła mu rękę. Padł strzał. Z sufitu posypał się tynk. Pchnęła go w pierś. Zatoczył się, łapiąc równowagę. Z tyłu podbiegł do niego Krok, powiewając połami płaszcza, i wykonał serię ruchów, po których Laska wylądował na glebie i łapał rozpaczliwie powietrze jak wigilijny karp wyciągnięty z wanny. Celując w napastnika, spytała:

– Co to, kurwa, było?

– Krav maga.

– Nieźle. To tego teraz uczą w ramach aplikacji prokuratorskiej?

Nie odpowiedział. Przycisnęła Laskę kolanem i go skuła. Wziął gwałtowny oddech, a potem rzygnął prosto na buty Kroka. Prokurator nawet się nie skrzywił.

– Niezły syf – rzuciła.

Trzasnęły drzwi i pojawił się w nich sąsiad Marek. Bejsbolem wskazał Kroka i zapytał:

– Jebnąć elegancikowi?

– Nie trzeba. Swój.

Marek opuścił pałkę, spojrzął na zarzyganego Laskę i pokręcił głową.

– Wiesz co, laska, dopóki się tu nie sprowadziłaś, to tu był raj na ziemi.

Cisza, spokój, rekreacja.

– Akurat – roześmiała się.

– Jakby co, nie było mnie tu, nic nie wiem, nic nie pamiętam – oznajmił bejsbolista i zniknął za drzwiami.

– Kto to był? – zapytał prokurator.

– Ponoć straż sąsiedzka.

Laska jako tako doszedł do siebie i zaczął się niezdarnie poruszać, by odsunąć się od kałuży wymiocin.

– Leż – warknęła Renata.

Znieruchomiał.

– Właściwie skąd się tu wzięłeś? – spytała Kroka.

– Jak odjeżdżałem, zobaczyłem w lusterku, że jakiś typ w dresach ruszył za tobą i przyczał się przy bramie. Zawróciłem, żeby sprawdzić, co się dzieje.

– Tak w ogóle, dzięki – lekko kopnęła Laskę. – Ty, przyszedłeś z jakimś waflem? Po co?

– Podnieś mnie, proszę – wymamrotał.

W sumie nie musiała się nad nim znęcać ponad miarę. Razem z Krokiem postawili go do pionu, a potem kazała mu klęknąć.

– Więc?

– Nie chciałem cię zabijać od razu. Chciałem, żebyś najpierw cierpiała. Jak moja mama. On był do pomocy.

– Piękny plan – skomentowała.

Kiwnęła na Kroka i odeszli w stronę bramy.

– Co to jest za człowiek? – spytał.

– Znajomy z dawnych lat. Nie rozstaliśmy się w zgodzie.

– A coś więcej?

Tylko pokręciła głową. Wyjęła komórkę i oznajmiła:

– Dzwonię na miejscową komendę, niech go zawijają.

– Zostanę.

– Nawet pan powinien, panie prokuratorze.

poniedziałek, 17 lutego 2013

Polański wiedział, czego będzie dotyczyła rozmowa, zdawał też sobie sprawę, że nie będzie przyjemna, kiedy tylko rano szef, podinspektor Kazimierz Pietrusiński, kazał mu się stawić w trybie natychmiastowym. Z Łukowską. Weszli do sekretariatu, przywitał się serdecznie z panią Jolą, która pracowała tu od niedawna, i spytał, w jakim nastroju jest pan i władca. Uśmiechnęła się niewyraźnie i odparła:

– Jak uda wam się bardziej wkurzyć szefa, będzie to sztuka.

Trudno, niejeden ochrzan już zebrał od Pietruchy. Zapukał do gabinetu, usłyszał niewyraźny okrzyk. Weszli.

Podinspektor stał przy oknie i palił, mając gdzieś zakaz. Nie odwrócił się do nich. Kiedy usłyszał, że Mundek odsuwa krzesło, żeby usiąść, rzucił oschle:

– Pостоicie.

Zgasił papierosa w doniczce z paprotką, a potem wbił niedopałek głębiej w ziemię. Mundek nie znał się na kwiatach, ale był pewien, że nie posłuży to roślinie. Pietrucha usiadł za biurkiem, splótł ramiona na piersi. Na jego skroni pulsowała żyłka.

– Dłaczego ja, wasz szef – zaczął cicho, stopniowo podnosząc głos – dowiaduję się o strzelaninie z udziałem podkomisarz Łukowskiej od policjantów z Gliwic? Dłaczego nie od was?

Milczeli.

– Co to w ogóle za afera? – rozplótł ramiona i walnął pięścią w stół.

– Nie ja strzelałam – Renata uniosła dłonie w uspokajającym geście.

– A do tego jeszcze w tym wszystkim uczestniczył prokurator... Jak mu tam?

– Krok – odpowiedział Mundek.

– Milczeć! – ryknął Pietrucha.

Faktycznie, Mundek dawno nie widział szefa tak złego. Pietrusiński chyba sam się zreflektował, że krzyki niewiele pomogą. Posapał chwilę i już spokojniejszym głosem polecił:

– Chcę wiedzieć o wszystkim. Mówcie od początku do końca jak na spowiedzi.

– To wiązało się z... – zaczęła podkomisarz.

– Ja powiem – wtrącił się Mundek.

Zdawał sobie sprawę, że on umie rozmawiać z Pietruchą, a Łukowska niekoniecznie. Poza tym obawiał się, że Renata palnie coś, co potem trzeba będzie odkręcać tygodniami. Albo w ogóle odkręcić się nie da.

– Tylko się streszczaj, bo nie mamy całego dnia.

Opowiedział o Lasce, którego kiedyś Renata zapuszkowała, o planie zemsty, jaki tamten wymyślił, próbach zastraszenia. I finale afery, o którym jeszcze wczoraj wieczorem poinformowała go podkomisarz. Przemilczał, że on sam też nie od początku wiedział o sprawie. Jeszcze podinspektor zaczęłyby wątpić w jego umiejętności dowodzenia zespołem. A tego bardzo by nie chciał.

– No to się w pale bojowej nie mieści – podsumował Pietrucha, kręcąc łysą głową. – Dlaczego, Mundek, nie miałem wiedzy, że coś grozi mojej podwładnej? Czemu mi nie raczyłeś powiedzieć?

– Panowaliśmy nad sytuacją – powiedział z takim przekonaniem, na jakie było go stać. – Uznałem, że sami jesteśmy w stanie zapewnić ochronę podkomisarz. A gdyby tak nie było, na pewno poprosiłbym o pomoc.

– Ale to zupełnie nie o to chodzi. Ja nic nie wiem, więc ty uprawiasz samowolkę. Tak to widzę. I to wasze panowanie słabe się okazało, skoro strzelane było.

– Nikomu nic się nie stało – wtrąciła się Łukowska.

Pietrusiński tylko zmarszczył brwi. Renata na szczęście zrozumiała przekaz, bo nie brnęła w dalsze tłumaczenia.

– Od dzisiaj – wskazał palcem na Mundka – chodzisz na krótkiej smyczy. Informujesz mnie o wszystkim, co dotyczy twojego zespołu. Najmniejszej pierdole, każdym ruchu. Inaczej naprawdę zrobi się przykro.

Mundek chciał przeprosić szefa, tak zwyczajnie wypadało, ale Pietrucha nie dał mu dojść do głosu.

– I nie myśl sobie, że to czcze pogrożki. A teraz zejździe mi z oczu – wykonał ruch, jakby odganiał się od natrętnego owada.

Mundek zamknął za nimi drzwi gabinetu. Słyszał, jak Renata wypuszcza powietrze z wyraźną ulgą.

– Chyba w sumie, no – z wysiłkiem formułowała myśl – nie było tak całkiem do dupy.

– Tak myślisz? – rzucił, nie patrząc na nią.

Poczuł w kieszeni spodni wibrowanie komórki, którą wcześniej wyciszył. Spojrzał na wyświetlacz, odebrał, słuchał chwilę i zaraz powiedział:

– Renata, biegiem do mojego pokoju.

*

– Myślisz, że to nie jest fałszywy alarm? – Polański wolał się upewnić.

Mateja, który od rana odbierał telefony z numeru podanego w medialnym komunikacie o zaginięciu Roksany Zawojskiej, skinął głową, tłumacząc:

– Jak zwykle, dzwoniły różne oszołomy albo ludzie, którym się wydawało, że widzieli dziecko gdzieś tam, na stacji benzynowej, na ulicy, w galerii handlowej, najczęściej w towarzystwie obleśnego mężczyzny. Normalka. Ale tu mamy konkret. Ta – przesunął palcem po tablecie – Małgorzata Adamczewska jest znajomą Krok ze studiów. Twierdzi, że Jadwiga przyjechała do niej wczoraj z małą niby na wycieczkę. Żeby się upewnić, spytałem, jakim autem jeździ Krok. Potwierdziła, że małą terenówką.

Tyszka zastanawiał się, dlaczego Mundek draży temat, zamiast działać. Gdyby to on decydował, już pędziliby na bombach do Pszczyny. Podczas sprawy Krolów, jak ją nazywał, przyjaciel działał ślamazarnie, niezbyt zdecydowanie. Tak to widział i oceniał. Czyżby Mundek się wypalił? A może zebrał dzisiaj od Pietruchy taki opierdół, że teraz zastanawia się pięć razy, zanim cokolwiek zrobi? Swoją drogą, ciekawe, o co tym razem poszło.

– Dobrze – odezwał się Mundek po chwili namysłu. – Dzwonię do powiatowej w Pszczynie, żeby zawinęli Krol. Mam nadzieję, że Adamczewska była ostrożna i jej nie spłoszyła. A wy się zbierajcie do drogi. Jedziemy wszyscy, Renata z Krzyśkiem, Adam ze mną.

Adam odetchnął z ulgą. Wszystko wskazywało, że Mundek wybaczył mu wczorajszą wpadkę, chociaż na pewno nie puścił jej w niepamięć.

*

Okazało się, że technicy wreszcie oddali Renacie audi. Uparła się, że pojedą jej wozem. Krzysiek specjalnie nie protestował, wiedząc, jak bardzo lubi swój samochód i jazdę nim. Za to zaprotestował gwałtownie, kiedy zaczęła mu opowiadać o zakończeniu historii z Laską.

– Tak dłużej nie może być! – walnął pięścią w deskę rozdzielczą.

– Nie demoluj mi auta – upomniała go beznamiętnym głosem. – Właściwie o co ci tak konkretnie chodzi?

– Mniejsza, że mnie ostatnio olewasz. Ale miałaś mnie informować na bieżąco w sprawie Laski.

– Przecież informowałam.

– To dlaczego dopiero teraz dowiaduję się, że była z nim kolejna afera? Nie mogłaś zadzwonić?

Milczała. Zdawał sobie sprawę, że to jej zwykła strategia. Mówiła, co chciała i kiedy chciała. Tylko czy koniecznie musiał to znosić?

– Jest po sprawie, koniec tematu – podsumowała.

– I jeszcze ten cały Krok!

– A co ma do tego prokurator?

Właściwie sam nie był pewien, dlaczego wspomniał o Kroku. Z czystej zazdrości? Chyba już nie.

Zbliżali się do Pszczyny. Renata cisnęła pedał gazu, na ile tylko się dało na zapchanej drodze.

Rozdzwoniła się jego komórka. Polański dawał znać, że miejscowi zgarnęli Jadwigę Krol, a dziewczynka jest bezpieczna. Polecił, żeby podjechali pod powiatową i tam na niego poczekali.

– Mają Krol – przekazał Renacie.

– Czyli po sprawie.

– Na to wygląda.

– Więc widzisz, dzień pełen sukcesów. Ciesz się tym. Po prostu.

Ciesz się... Dobrze sobie.

*

Weszli w bramę niewielkiej kamienicy przy rynku w Pszczynie, na której parterze znajdowała się kawiarnia.

– A wiesz, że nigdy w tym mieście nie byłem – rzucił Adam.

– A kiedy ty się ostatnio ruszyłeś, nie licząc roboty, poza swoje Mysłowice? – Mundeck się zaśmiał.

Mieszkanie Małgorzaty Adamczewskiej znajdowało się na pierwszym piętrze. Otworzyła im niewysoka, krucha blondynka i zaprosiła do kuchni. Unosił się tam delikatny zapach melisy. Ziołowa herbatka nie pomogła, bo kobieta wciąż wyglądała na roztrzęsioną.

– Ja nie chciałam, ja nie wiedziałam – powiedziała łamiącym się głosem.

– Ależ nikt nie ma do pani pretensji – uspokajał ją Mundeck. – Więcej, dziękujemy, że pani nas zawiadomiła.

Nadkomisarz nie był pewien, czy jego słowa uspokoiły Adamczewską.

– Musimy zadać pani kilka pytań, dobrze? – spytała.

– Tak.

– Proszę opowiedzieć, jak było z przyjazdem Krol. Kiedy i dlaczego się u pani pojawiła?

Kobieta wciąż miała w palcach jednorazową chusteczkę.

– Zadzwoiła do mnie w niedzielę rano. Zdziwiłam się, bo rzadko się kontaktowałyśmy, a jeśli już, raczej ja dzwoniłam. Przeważnie na święta. Spytała, czy może przyjechać do mnie na dwa, trzy dni z siostrzenicą. Mówiła,

że mała straciła matkę, więc chce jej zmienić otoczenie, zorganizować jakieś atrakcje, żeby nie myślała o mamie. Brzmiało to rozsądnie. Poza tym jak w takiej sytuacji odmówić. Zgodziłam się. Przyjechały tak jakoś przed południem.

– Jak się zachowywała Roksana? Jakie były jej relacje z ciotką, tak na pani oko?

– W sensie z Jadwinią?

Dwa imiona, a tyle zamieszania, Mundek skomentował w myślach.

– Tak.

– No chyba normalne. W ogóle nie powiedziałabym, że mała jest porwana. Nie wyglądała na zestresowaną ani nawet smutną. Bawiła się i z Jadwigą, i ze mną. Właściwie, jak tak teraz myślę, Jadwiga była bardzo skoncentrowana na małej. Taka... uważna. I czuła. Jak nie ona.

– Jak nie ona? – powtórzył Mundek. – Chwileczkę, wrócimy do tego za chwilę. A rano zobaczyła pani komunikat o zaginięciu, tak?

– One jeszcze spały. Ja wcześniej wstaję, robię sobie kawę, włączam komputer i patrzę, co tam w świecie. Taki codzienny rytuał. I trafiłam na ten komunikat. Nie mieściło mi się to w głowie. Zdenerwowałam się. Wahałam się, ale zadzwoniłam na policję.

– I świetnie pani zrobiła. Jak Krol zareagowała na pojawienie się policji?

– Właściwie... nijak. Bez emocji, ale ona tak ma. Do mnie powiedziała, że jestem zdradliwą suką, do policjantów, że mają się dobrze opiekować Jadwinią. Mała płakała, Jadwiga nie reagowała na jej szloch. Była taka jakby zamrożona.

Nagle cisnęła chusteczkę na stół, poderwała się, chwyciła czajnik i nalała wody.

– Jaka ja beznadziejna jestem. Nawet nic do picia nie zaproponowałam.

– Spokojnie, nie trzeba – powiedział Mundek.

– A ja poproszę kawę – wyrwał się Adam.

Woda zawrzała, po chwili kobieta postawiła przed komisarzem kubek z rozpuszczalną.

– Mówiła pani o braku czułości Jadwigi – nadkomisarz wrócił do odpuszczonego wcześniej wątku. – Chyba dobrze się znałyście. Skąd?

– Na studiach ponad rok wynajmowałyśmy wspólnie mieszkanie.

– Współlokatorzy nie zawsze się dobrze znają.

Zauważył, że Adamczewska się zarumieniła.

– Jest mi trudno, bo...

– Proszę pani, sprawa jest poważna. Wszelkie informacje o Krol mogą okazać się dla nas istotne.

Kobieta wzięła głębszy oddech i zaczęła mówić szybko, jakby chciała rozładować doskwierające jej napięcie:

– Bo... zakochałam się w Jadwidze. Coś tam między nami było, ale nawet nie umiem powiedzieć co, nazwać tego. Ja się starałam, ona była obojętna. Zawsze. Jakby nic jej nie ruszało. Była jak lodowy głaz, który nigdy się nie rozpuszcza. A potem z dnia na dzień się wyprowadziła. I tyle.

– Czy tak się też zachowywała w stosunku do innych?

– Tak. Jakby... Jak to ująć? Była impregnowana na to, co inni robią czy mówią. Jakby żyła sama, zamknięta w niewidzialnej bańce.

Zerknął na Adama. Kumpel spokojnie siorbał gorącą kawę. Pewnie uznał, że to jego, Mundka, rozpytanie, i nie zamierzał się angażować. Cwaniaczek.

– Czy poznała pani kogoś z rodziny Jadwigi?

– Ojca, choć trudno powiedzieć, że poznałam. Czasami wpadał do nas i podrzucał Jadwidze kasę.

– A może Jadwiga opowiadała pani o swojej rodzinie?

– Nie chciała o tym mówić, ale raz czy dwa wymknęło jej się, że nienawidzi matki. Zapamiętałam to, bo mnie poruszyło, że jednak i ona ma jakieś emocje. Mimo że złe.

Kiedy zbierali się do wyjścia, Adamczewska kolejny raz spytała, czy nie będzie miała problemów. Zapewnił, że najmniejszych.

Szybko szli do zaparkowanego dwieście metrów dalej auta.

– I co ty właściwie myślisz o tej Krol? – zadał pytanie Adamowi, po trosze dlatego że sam miał wobec niej sprzeczne odczucia.

– Że albo jest zwyczajnie walnięta, albo głęboko nieszczęśliwa.

Tyle to i ja wiem – pomyślał.

*

Gdzie ten Polański podziewa się tak długo? Renata chodziła wzdłuż samochodu, pałac. zaproponowała Matei, żeby sami poszli do pszczyńskiej komendy, ale powiedział, że szef kazał czekać. Poza tym nadkomisarz tak do końca nie wyjaśnił, jaki ma plan i po co wszyscy tu przyjechali.

– A wiesz, że tutaj są żubry? – rzucił Krzysiek od czapy.

Rzuciła niedopałek i przydeptała.

– Taaa, i jeszcze królowa angielska z całym dworem na dokładkę.

– Nie, ale mieszkała tu księżniczka Daisy, księżna pszczyńska. Ma nawet pomnik-ławkę na rynku.

Jeśli Matei zebrało się na popisywanie wiedzą krajoznawczą, najpewniej minął mu już foch. Świetnie, bo drażniły ją jego huśtawki nastroju.

– Z żubrami to prawda. Jest tu niedaleko zagroda. Można je oglądać z bliska. Może się tam kiedyś wybierzemy?

– Raczej nie dzisiaj.

I raczej nigdy. Nie kręciły ją żubry ani inne mniej lub bardziej egzotyczne zwierzęta. Nawet jako dziecko nie lubiła chodzić do zoo. Miała kiedyś psa, sznaucera. I psy by mieć mogła, gdyby nie jej tryb pracy i życia.

Wreszcie dostrzegła, że zbliża się rzech Tyszki. Że też to auto ze szrotu jeszcze jeździ. Polański zarządził, że przejmują Krol i małą. On z Adamem mieli odwiedzić podejrzaną do fabryki, ona z Mateją – dziewczynkę do dziadka. Miała robić za niańkę?

Pozalataliwali wszystkie formalności i wyszli z komendy. Krol szła bez słowa, z opuszczoną głową. Renata nie była pewna, czy Polański dobrze zrobił, nie zakładając jej kajdanek. Była słusznej postury, gdyby strzeliło jej coś do łba, mogłaby im narobić problemów. Mała była wyraźnie zdezorientowana i przestraszona, pociągała nosem, ale grzecznie szła w stronę audi, trzymana za rękę przez Mateję, który coś do niej zagadywał. Renata ruszyła do drzwi kierowcy. Mateja stanął obok z dziewczynką, nieco niepewny.

– Pakuj się z małą na tylne siedzenie – zarządziła.

– Ale ja...

– Będziesz się ćwiczył w trudnej i wymagającej roli ojca.

I usiadła za kółkiem.

*

Byli w połowie drogi do Kato, kiedy Krol odezwała się po raz pierwszy.

– Popełniłście błąd – rzuciła beznamiętnym tonem.

– Dlaczego? – spytał Mundek.

– Błąd, który będzie drogo kosztował Jadwigę.

– Jeszcze raz pytam, dlaczego tak sądzisz?

– Niczego więcej ode mnie nie usłyszycie.

Epilogi

poniedziałek, 17 lutego 2013

Jadwiga Krol, jak zapowiedziała, tak zrobiła. Konsekwentnie odmawiała składania zeznań w sprawach śmierci matki i siostry. Nie chciała wyjaśnić, dlaczego nagle wyjechała z siostrzenicą do Pszczyny i co później chciała z nią zrobić. Siedziała sztywno, ze wzrokiem wbitym w przestrzeń, ignorując pytania przesłuchujących. Polański kilka razy robił do niej podejścia, wzywał na przesłuchania o różnych porach dnia. Niczego nie uzyskał. Wysłał do niej Tyszkę, który miał dryg do przesłuchań i potrafił zmusić do mówienia niemal każdego. Wychodząc z pokoju przesłuchań, Adam skomentował, że z Krol jest prawdziwa kapitan Nemo, więc nie sądzi, żeby ktokolwiek coś z nią wskórał. Wreszcie wysłał do niej nawet Łukowską, myśląc, że może kobieta łatwiej skłoni podejrzaną do mówienia. Bez rezultatu.

Prawdę powiedziawszy, zeznania Krol czy jej przyznanie się do winy nie były Mundkowi niezbędne. Miał dość obciążających ją dowodów w sprawie o zabójstwo jej matki, Zdzisławy Krol. Na tyle mocnych, że wraz z prokuratorem Krokiem zdecydowali, że trzeba postarać się o zwolnienie Zawojskiego z aresztu. Na kluczyku do auta znalezionym w samochodzie Zawojskiego były jej odciski palców. Mieli nagrania z monitoringu sklepu spożywczego znajdującego się niedaleko mieszkania Zawojskiego, a na nich dwa razy w dniu zabójstwa Zdzisławy pojawiał się terenowy samochód Jadwigi. Czyli przyjechała pod blok byłego męża siostry, zabrała jego samochód, potrąciła nim matkę, a potem wróciła po swoje auto, żeby spokojnie pojechać na wywiadówkę. Musiała mieć nerwy ze stali albo – co sugerowała choćby Adamczewska – była zupełnie wyprana z emocji. Do tego miała motyw, czyli pielęgnowaną od dawna nienawiść do matki.

Gorzej było w przypadku śmierci Anny Zawojskiej. Jadwiga nie miała alibi, jednak poza tym nie znaleźli żadnych dowodów na to, że przyczyniła się do śmierci siostry. Albo szukali nie tam, gdzie trzeba. Podobnie było w kwestii

uprowadzenia Roksany. Stary Krol sam przekazał dziewczynkę pod opiekę córki i nie zamierzał oskarżać jej o cokolwiek. Łatwo mogła się wyłgać, że po prostu pojechała z małą na wycieczkę. Gdyby oczywiście raczyła się odzywać i odpowiadać na pytania.

Mundek mógłby machnąć ręką na zeznania Krol, jednak dręczyło go, nie dawało spokoju pytanie, dlaczego dopiero teraz zdecydowała się zabić matkę. Musiało się coś stać, musiał zadziałać jakiś katalizator, który sprawił, że nienawiść wezbrała w niej na tyle mocno, że skłoniła ją do zbrodni. Co to mogło być? Prawdopodobnie większość policjantów na jego miejscu by odpuściła, ale nie on, dlatego zdecydował się na dosyć podłą zagrywkę. Chociaż, prawdę powiedziawszy, nie liczył na wiele. Obiecał sobie, że będzie to ostatnia próba, jeśli i tym razem nic z Krol nie wyciągnie, da jej spokój.

Wezwał ją na przesłuchanie późnym popołudniem. Czekał na nią, patrzył, jak wprowadza ją mundurowy i sadza na krzesło. Twarz Jadwigi nie wyrażała niczego, jakby kobieta założyła maskę. Jej wzrok wydał się Mundkowi pusty. Czy na pewno?

– Nie znudziło się jeszcze panu? – odezwała się pierwsza.

– Dlaczego?

Nie odpowiedziała, nie zareagowała choćby najmniejszym gestem.

– Wiesz – skrócił dystans – że mam dosyć dowodów, aby oskarżyć cię o zamordowanie matki, ale chciałbym wiedzieć, dlaczego zabiłaś ją właśnie teraz?

Zero reakcji.

Otworzył leżącą na stoliku teczkę i powoli rozkładał zdjęcia, które przed południem zrobiła Łukowska. Nie odzywał się. Kładł obok siebie, jedno po drugim, zdjęcia z pogrzebu Anny Zawojskiej. Otwarty grób. Grupka żałobników. Trumna, w której znajdowały się zwłoki. Moment spuszczenia trumny do grobu.

Jadwiga patrzyła na zdjęcia bez śladu zainteresowania czy emocji.

Ostatnia fotografia, ostatnia szansa. Stary Krol ze spuszczoną głową, trzymający na rękach płaczącą Roksanę Jadwigę.

Jadwiga szarpnęła głową, ale wciąż milczała.

– Dlaczego? – powtórzył niemal szeptem.

Krol nie patrzyła na niego, tylko gdzieś obok. A może jednak w głąb siebie.

– Zrobiłam to dla Jadzi.

A jednak drgnęło. Trudno powiedzieć, żeby się ucieszył, ale poczuł coś na kształt satysfakcji.

– Co to dokładnie znaczy?

– Myślałam, że jest pan bardziej inteligentny, domyślny.

– Nie rozmawiamy o mnie.

– Uratowałam ją. Musiałam.

– Przed twoją matką?

– A przed kim innym? – pytanie chyba było retoryczne, więc milczał. – Zrobiła z Anki kukłę, stłamsiła ją i zniewoliła. Z Jadzią byłoby dokładnie tak samo. A może wyrządziłaby jej jeszcze większą krzywdę. Z wiekiem matka robiła się coraz gorsza. Jakby kumulowała w sobie złość do świata i innych ludzi. I w jakiś pokrętny sposób się mściła. Głównie na bliskich. Chyba. Dawno temu przestałam próbować ją zrozumieć. Anki nie mogłam uratować, nie wiem nawet, czybym chciała. Musiała najpierw dojść do ładu sama ze sobą. Ale miałam dosyć siły, aby uratować Jadzię. I to zrobiłam.

– I zabiłaś matkę.

– Naprawdę... – czyżby w głosie zabrzmiał cień emocji? – Potrzebuje pan tego do protokołu czy co?

– Zabicie kogoś nigdy nie jest dobrym rozwiązaniem.

– Tak pan sądzi? Ma pan dzieci? – Skinął głową. – I do czego byłby pan zdolny, żeby ochronić je przed kimś naprawdę złym i bezwzględny?

Trafiła w czuły punkt, co znowu nie było trudne. Czy byłby zdolny zabić, żeby ratować któreś ze swoich dzieci? Zaraz wyrzucił to pytanie z głowy, bo zdał sobie sprawę, że Krol próbuje nim manipulować.

– A przy okazji wrobiłaś Zawojkiego.

– On i tak jest stracony. Jadzia nie będzie miała z niego pożytku.

Wyglądało na to, że Krol tak mocno zafiksowała się na dobru dziewczynki, że postanowiła wyeliminować wszystko i wszystkich, którzy w jej mniemaniu mogli mu zagrazać. Jego zdaniem wykroczyła daleko poza granice normalnych zachowań.

– Siostrę też zabiłaś po to, żeby Jadzia miała w życiu lepiej?

Krol nie odpowiedziała. Po blacie stolika podsunął ku niej zdjęcie z trumną Zawojkiej.

– Jeśli pan myśli, że ten sam trik zadziała dwa razy, to się pan myli.

– Zabiłaś siostrę?

– Mogłam być dla Jadzi najlepszą opiekunką. Zastąpić jej matkę. I babkę, właściwie każdego. Mogłam zbudować dla niej piękny i bezpieczny świat.

– Czyli zabiłaś Annę Zawojką.

– Wystarczy.

– Czego wystarczy?

– Nic więcej nie powiem.

Wyprowadzono ją. Mundek został sam w pokoju przesłuchań i wkładał fotografie do teczek. Bywały takie dni w robocie, kiedy odnosił wrażenie, że zupełnie nie rozumie świata i ludzi. To był jeden z nich...

sobota, 2 marca 2013

Tyszka stał przed wejściem do kościoła pod wezwaniem Serca Pana Jezusa. Oczywiście Najświętszego Serca. Jeden z najważniejszych kościołów w Mysłowicach był ciekawie położony, bo zaraz po drugiej stronie ulicy Krakowskiej znajdował się budynek sądu, a za nim areszt. Tuż obok siebie miejsce sądu doczesnego oraz tego, które straszy sądem ostatecznym. Spojrzał w górę. Przez chmury przebierało słońce. Jeśli dzień ślubu jest słoneczny, choćby trochę, dobrze to wróży przyszłemu małżeństwu. Jeśli pada deszcz, będzie przechlapane. W ostatnich tygodniach niejeden taki zabobon sprzedała mu pani Basia. Czy naprawdę wierzyła w takie bzdety, to już inna sprawa. Nie dopytywał.

Chciało mu się palić, ale głupio mu było stać z petem na przykościelnym terenie. Poszedł pod pobliski przystanek. Zapalił i zaciągnął się głęboko. Nie miał nic konkretnego do zrobienia i czuł się trochę jak piąte koło u wozu. Fakt, niekoniecznie chciał pomagać w przedweselnych przygotowaniach. Wszystkim więc zajęła się rodzina pani Basi, liczna, rozrośnięta na wszystkie strony, więc przeciwiczona we wszelkich rytuałach z rozmaitych okazji. Musiał przyznać, że byli bardzo sprawni. W pewnym momencie nawet chciał się włączyć w gody łożca, zaproponował, że zostanie świadkiem. Stary stwierdził, że to chyba tak do końca nie wypada, a zresztą ma już świadka, kolegę, z którym kiedyś robił na grubie. Pani Basia też wybrała sobie świadkową mniej więcej w swoim wieku.

Wrzucił niedopałek do kosza na śmieci, wyjął komórkę i sprawdził czas. Msza ślubna miała się rozpocząć niedługo. Zastanawiał się, czy nie wypalić następnego papierosa na zapas. Podniósł głowę i wtedy ją zobaczył. Szła od strony przejazdu pod torami kolejowymi. W grafitowym płaszczu przed kolano, w kolorowym szaliku, z bukietem kwiatów, który pewnie nieprzypadkowo zgrywał się z kolorystyką szala, z włosami lekko poruszającymi się na wietrze. Wyszedł jej naprzeciw.

Zauważyła go. Uśmiechnęła się? Chyba. Nie był pewien.

– Cześć.

– Cześć.

Przez pierońsko długą i nieprzyjemną chwilę trwał w stuporze, zastanawiając się, co zrobić. Objąć ją na powitanie? Pocałować? Ale jak, w policzek?

Wyciągnąć rękę?

Nie widział Eli ani nie rozmawiał z nią ponad dwa tygodnie, od nieszczęsnego spotkania, podczas którego wyjawiał, że ją śledził. Dzwonił do niej wiele razy, ale nie odbierała. Wysyłał esemesy, na które nie odpisywała. W desperacji wysłał nawet mejla, choć był zdania, że mejle nadają się wyłącznie do załatwiania spraw zawodowych. Nic. Myślał, że z nimi koniec.

– Ja... – zaczął niepewnie.

– Jak chcesz się tłumaczyć albo przeproszać, to sobie daruj.

Pokręcił głową.

– Ja nie myślałem, że przyjedziesz.

– A dlaczego miałabym nie przyjść na ślub twojego ojca? Lubię go.

Wreszcie go oświeciło, co zrobić. Podał jej ramię. Niby bliskość, ale jednak taka bardziej oficjalna. Z pewnym wahaniem włożyła pod nie rękę i poszli razem do kościoła. Przechodząc główną nawą, skinął na powitanie Mundkowi i Beacie. Zauważył też Krzyśka, który stał gdzieś z boku. Nie dostrzegł tylko Renaty. Pewnie zapomniała, zapisała albo zwyczajnie nie chciało jej się przyjechać. Nie poczuł żalu, nie był z nią szczególnie zżyty. Z łojcem nie mieli bliższej rodziny, jedynie kuzynów, z którymi widywali się głównie na Wszystkich Świętych albo z okazji pogrzebów. Na wesela już go nie zapraszali, słusznie zakładając, że raczej nie zrewanżuje się tym samym. Dlatego zaprosił całą swoją ekipę z fabryki. Byli dla niego jak rodzina. Tak jakby.

Miał miejsce z przodu, jak na syna pana młodego przystało. Pociągnął tam za sobą Elę. Przez moment czuł jej opór, jednak poszła z nim i usiadła obok w ławie.

Nigdy żadna msza nie zleciała mu tak szybko. Wbijał wzrok w łojca, który robił wszystko, by trzymać się prosto i wypaść jak trzeba. Wyglądał świetnie w nowym ancugu, widać pan Henio, mimo wieku, sprawił się bez zarzutu. Kiedy łojciec ślubował pani Basi, chyba zakręciła mu się łza w oku. A może był to jedynie odbłask świtała. Adam też czuł wzruszenie. Wcześniej miał co do tego ślubu wątpliwości, które teraz odeszły. Łojciec wyglądał na szczęśliwego, a o to przecież chodziło. Także Adamowi. Różnie im się układało, raz lepiej, raz gorzej, ale kochał i szanował swojego starzyka. Jak to syn. Oczywista sprawa. Z drugiej strony, czy jednak zawsze tak jest? Sprawa Krolów i Zawojskich po raz kolejny uświadomiła mu, ile złych emocji, które mogą doprowadzić do tragedii, bywa między bliskimi.

Po zaślubinach obyło się bez zwyczajowych atrakcji w rodzaju sypania ryżem, więc nie zabawili długo przed kościołem. Zdjęcia, życzenia i kwiaty od tych, którzy nie wybierali się na imprezę weselną. Wreszcie się na coś przydał, bo odbierał od nowożeńców podarki. Kątem oka dostrzegł Łukowską. A jednak

przyszła. Tyle że towarzyszył jej... prokurator Krok. Poszukał wzrokiem Krzyśka. Stał z Mundkiem i Beatą z tyłu, prawie przy wyjściu z przykościelnego terenu. *Co z tego wyniknie?* – przeleciało mu przez myśl. Podobno wesele bez mordobicia to żadne wesele. To akurat z mądrości jego łojca. Tyle że taka zasada obowiązywała pewnie z pół wieku temu.

Zbierali się, żeby pojechać do sali weselnej na Brzęczkowicach. Odnalazł w tłumie Elę i spytał, czy pojedzie z nim na weselisko. Odparła, że nie miała tego w planach. Zdaje się, że chciała coś dodać. A może mu się tylko wydawało? Na pożegnanie pocałowała go w policzek, co mogło coś znaczyć, choć wcale nie musiało. Nie zamierzał akurat tego dnia się nad tym zastanawiać.

Przyjęcie zaczęło się od wyzerki, bo przecież wesele na tym polega, żeby się fest nafutrować. I popić. Dostrzegł w kącie sali podest dla zespołu. W planach były muzyka i tańce? Nie pamiętał.

Całą policyjną ekipą siedzieli u krańca długiego stołu. Cieszył się na ich widok. Cieszył się, że będzie mógł porozmawiać z Beatą, której długo nie widział. Cieszył się, że Mateja nie wkurzył się na widok prokuratora Kroka u boku Renaty. Albo tylko dobrze udawał. Cieszył się nawet z tego, że Renata jest w szampańskim nastroju. Tego wieczoru, tej nocy chciał się tylko cieszyć.

Po poczęstunku, jak to zwykle bywa, weselnicy zaczęli się zbijać w grupy. Podszedł do łojca i pani Basi, spytał, czy wszystko w porządku, jeszcze raz pogratulował i uściskał. Chciał wszystkim przekazać swoją radość. A potem wrócił na miejsce. Rozmawiali, popijali, ale bez pośpiechu. Radości nie zmaćliło nawet pojawienie się na scenie trzech podtatusiałych muzyków, którzy zaczęli wygrywać śląskie szlagiery. I to przyjął z uśmiechem. Pierwsze pary ruszyły do tańca.

Zbliżała się północ. Zaczął się zastanawiać, czy będą oczepiny, czy jak to się nazywa. Znowu nie pamiętał, czy były w planie imprezy. Dostrzegł, że Mundek sięga do wewnętrznej kieszeni marynarki po komórkę, patrzy na wyświetlacz i się krzywi. Czy naprawdę musiał brać ze sobą telefon? Mundek wstał i wyszedł na korytarz. Zdaje się, że tylko on, Adam, zauważył, co się dzieje, reszta była zajęta rozmową. Wstał, modląc się w duchu, byle to nie był trup, byle nie dzisiaj, byle nie teraz. Poszedł za Mundkiem. Przyjaciel stał, wciąż trzymając komórkę przy uchu. Był blady, zbyt blady.

Skończył rozmowę, powoli opuścił rękę, jakby ta czynność wymagała wielkiego wysiłku.

- Mundek, co jest? Coś w robocie?
- Matka...
- Co z twoją matką? – zaniepokoił się.
- Moja matka jest w więzieniu.

- Jak to w więzieniu? Jakim znowu więzieniu? Co ty pleciesz?
- W więzieniu. Hiszpańskim.